

# TILLIE COLE

*Dannie jest kolorem w jego ciemności.  
Cromwell jest biciem jej serca.*



## NASZE ŻYCZENIE

FILIA

Tillie Cole

Nasze Życzenie

tytuł oryginału A Wish For Us

przekład Katarzyna Agnieszka Dyrek

*Romanowi - jesteś biciem mojego serca*

*Muzyka to dusza wszechświata, skrzydła umysłu, lot wyobraźni  
i wszelkie życie*

**- Platon**

## **ROZDZIAŁ 1**

*CROMWELL*

*Brighton, Anglia*

Klub pulsował, kiedy beat, który wlewałem w zebranych, opanowywał ich ciała. Ludzie unosili ręce, kołysali biodrami i szeroko otwierali przeszklone oczy. Moja muzyka uderzała w ich uszy, a rytm kontrolował każdy ruch. Aura była gęsta i parna, ubrania lepiły się do skóry. W lokalu zgromadził się tłum, ponieważ wszyscy chcieli mnie usłyszeć.

Obserwowałem, jak rozpalali się kolorami. Jak zatracali się w dźwięku. Porzucali to, kim byli za dnia - korposzczurem, studentem, policjantem, pracownikiem *call center*... W tej chwili większość była zapewne porządnie naćpana, więc ludzie stali się niewolnikami moich rytmów. W tym konkretnym momencie moja muzyka stanowiła ich życie. Liczyła się tylko ona, gdy odrzucali głowy w tył, poddając się odurzeniu, pragnąc nirwany, którą dawałem im z mojego miejsca na podeście.

Ja jednak nie czułem nic. Jedynie odrętwienie, które zapewniał stojący obok alkohol.

Czyjeś ręce objęły mnie w pasie. Ciepły oddech owionął ucho, pełne usta pocałowały szyję. Puściłem ostatni kawałek, złapałem jacka danielsa i upiłem łyk prosto z butelki.

Odstawiłem ją i przysunąłem się do laptopa, by zmiksować kolejny utwór. Palce z ostrymi paznokciami przeczesaly moje włosy, ciągnąc czarne kosmyki. Stukałem w klawisze, sprowadzając muzykę do wolniejszego, spokojniejszego tempa.

Oddychałem głębiej, gdy zgromadzeni czekali z zapartym tchem.

Zmusiłem ich do powolnego kołysania, przygotowując *crescendo*, wspaniałe uderzenie złożone z talerzy i bębnów, szaleńczą mieszankę, którą zamierzałem ich uraczyć. Uniosłem głowę znad laptopa i spojrzałem na tłum. Uśmiechnąłem się, widząc, że oni również się przygotowali i czekali... czekali... po prostu czekali...

*Teraz.*

Opuściłem rękę, drugą przyciskając słuchawkę do lewego ucha.

Nagle niczym grzmot burzy eksplodował syntetyczny dźwięk *dance'u*.

Powietrze wypełniło się kolorowymi światłami. Do oczu napłynęły mi zieleń, błękity, czerwienie, którymi emanowała każda osoba, jakby biło od niej neonowe światło.

Ręce wokół mojego pasa zacieśniły uchwyt, ale zignorowałem je, wsłuchując się w nawoływanie butelki. Pociągnąłem kolejny łyk, mięśnie zaczęły się rozluźniać. Palce tańczyły na klawiaturze, przesuwały suwaki miksera.

Uniosłem głowę, zebrani wciąż jedli mi z ręki.

Zawsze tak było.

Moją uwagę przyciągnęła dziewczyna pośrodku sali. Długie brązowe włosy zebrała z tyłu głowy. Miała na sobie fioletową sukienkę, która zasłaniała cały dekolt i szyję - strojem nie przypominała reszty bywalców lokalu. Otaczająca ją barwa również była inna - jasny róż i lawenda. Spokój. Pogoda ducha. Przyglądałem się jej, marszcząc brwi.

Miała zamknięte oczy i się nie poruszała. Stała nieruchomo i wyglądała, jakby nie zdawała sobie sprawy z obecności innych, podczas gdy ludzie wpadali na nią i ją popychali. Głowę trzymała uniesioną, a na jej twarzy malował się wyraz skupienia.

Przyspieszyłem tempo, dodałem energii muzyce i ludziom, ale dziewczyna nadal się nie ruszyła. Nie było to normalne. Każdego klubowicza potrafiłem owinąć sobie wokół palca. Kontrolowałem ich, mówiłem, co mają robić. Na tej scenie byłem lalkarzem, a oni marionetkami.

Kolejny łyk jacka spłynął mi do gardła. Przez następne pięć kawałków dziewczyna stała w miejscu, spijając beaty niczym wodę, ale wyraz jej twarzy pozostawał niezmienny. Brakowało uśmiechu. Nie było euforii. Tylko... zamknięte oczy i grymas.

Róż i lawenda wciąż otaczały ją niczym tarcza.

- Cromwell - powiedziała mi do ucha blondynka, która się do mnie przyczepiła. Jej palce powędrowały pod moją koszulkę i pasek jeansów.

Długie paznokcie sunęły niżej, ale nie odrywałem spojrzenia od dziewczyny w fioletowej sukience.

Brązowe włosy zaczynały się kręcić, ponieważ znajdowała się pomiędzy spoconymi klubowiczami. Blondynka, która niemal pieprzyła mnie na widoku wszystkich tych ludzi, dotarła do mojego rozporoka i go rozpięła. Włączyłem następny miks, złapałem ją za rękę i odciągnąłem od siebie, po czym zasunąłem zamek w spodniach. Warknąłem, gdy jej palce znalazły się w moich włosach. Spojrzałem na kumpla, który kręcił się obok.

- Nick! - Wskazałem na mikser. - Pilnuj. I nie spieprz.

Zdezorientowany chłopak zmarszczył brwi, po czym spostrzegł

stojącą za mną dziewczynę i się uśmiechnął. Wziął moje słuchawki i podszedł do sprzętu, by się upewnić, że wrzucona przeze mnie lista grała, jak należy. Steve, właściciel lokalu, zawsze wpuszczał kilka dziewczyn za kulisy. Nigdy o to nie prosiłem, ale również nie zdarzyło mi się odmówić. Dlaczego miałbym odrzucać napaloną, gotową na wszystko laskę?

Zgarnąłem whisky, gdy blondynka przywarła do moich ust, ciągnąc za pochodzącą z festiwalu w Creamfields koszulkę bez rękawów.

Oderwałem się od jej warg i przyssałem do butelki. Dziewczyna zaciągnęła mnie w ciemny kąt za sceną. Opadła na kolana i znów zainteresowała się moim rozporokiem. Zamknąłem oczy, gdy wzięła się do roboty.

Popijając jacka danielsa, opierałem głowę o ścianę. Zmusiłem się, by coś czuć. Spojrzałem w dół, przyglądając się, jak podskakiwała blond

czupryna. Odrętwienie, które odczuwałem każdego dnia sprawiło, że byłem praktycznie pusty w środku. Poczułem napięcie w podbrzuszu.

Uda zaczęły mrowić, po czym było po wszystkim.

Blondynka wstała. Kiedy na mnie spojrzała, zobaczyłem w jej oczach gwiazdy.

- Twoje tęczęwki. - Wyciągnęła rękę, powiodła palcem wokół mojego oka. - Mają taką dziwną barwę - ciemnoniebieską.

Rzeczywiście takie były. W połączeniu z moimi czarnymi włosami przykuwały uwagę. Nie powinienem zapominać oczywiście o tym, że byłem również jednym z najpopularniejszych DJ-ów w Europie. Dobra, może uwaga miała mniejszy związek z moimi oczami, a większy z moim nazwiskiem, które brzmiało Cromwell Dean i tego lata zajmowało topowe miejsca na największych festiwalach i w najmodniejszych klubach.

Zapiąłem rozprek i obróciłem się, by sprawdzić, czy Nick puścił mój kolejny miks. Skrzywiłem się, gdy nie udało mu się przejść z jednego kawałka do drugiego tak, jak ja bym to zrobił. Granatowa barwa pojawiła się jako tło wdmuchanego na parkiet dymu.

Nigdy nie uzyskiwałem granatowej.

Odsunąłem się od dziewczyny, rzucając:

- Dzięki, złotko.

Zignorowałem wyzwisko, którym odpowiedziała: - Kutas.

Zdjąłem Nickowi słuchawki z głowy i włożyłem je na swoją.

Postukałem w klawiaturę i chwilę później tłum znów jadł mi z ręki.

Podświadomie zacząłem szukać wzrokiem dziewczyny w fioletowej

sukience.

Nie znalazłem jej jednak. Nie było jasnego rózu i lawendy.

Upiłem kolejny łyk Jacka Danielsa, zmiksowałem następny kawałek, po czym się wymknąłem.

\*\*\*

Piasek pod moimi stopami był chłodny. Może i w Wielkiej Brytanii właśnie rozpoczynało się lato, jednak nie oznaczało to, że nie można było odmrozić sobie jaj już w chwili, gdy wyszło się na zewnątrz. W

jednej dłoni trzymając butelkę z whisky, w drugiej paczkę fajek, usiadłem na piasku. Odpaliłem papierosa i zapatrzyłem się w niebo. W

kieszeni zawibrowała komórka... znowu. Odzywała się przez cały wieczór.

Wkurzony, że musiałem poruszyć ręką, wyciągnąłem telefon.

Miałem trzy nieodebrane połączenia od profesora Lewisa, dwa od mamy i na końcu kilka SMS-ów.

Mama: PROFESOR LEWIS ZNÓW PRÓBOWAŁ SIĘ Z TOBĄ SKONTAKTOWAĆ. CO

ZAMIERZASZ ZROBIĆ? ZADZWOŃ, PROSZĘ. WIEM, ŻE JESTEŚ Z TWOJĄ PRZYSZŁOŚĆ. MASZ TALENT, SYNKU. MOŻE CZAS, BY

NIE ZMARNUJ SZANSY TYLKO DLATEGO, ŻE JESTEŚ NA MNIE ZŁY

Poczułem, jak ogarnia mnie wściekłość. Miałem ochotę wrzucić telefon do przekłętego oceanu i przyglądać się, jak idzie na dno wraz z całym tym mieszającym mi w głowie gównem, ale zobaczyłem wiadomość od profesora Lewisa.

Lewis: OFERTA WCIĄŻ AKTUALNA, ALE W PRZYSZŁYM TYGODNI DOSTAĆ ODPOWIEDŹ. MAM WSZYSTKO, CZEGO TRZEBA DO PRZEJĘCIA TWOJEJ ZGODY. POSIADASZ PONADPRZECIĘTNY TALENT, CROZIE ZMARNUJ GO. MOGĘ POMÓC.

Tym razem rzuciłem komórkę na bok. Zapadła się w piasku.

Zaciągnąłem się dymem papierosowym i zamknąłem oczy. Kiedy opadły powieki, usłyszałem nieopodal cichą melodię. Klasyczną. Mozarta.

Mój upojony alkoholem umysł natychmiast odpłynął do czasu, gdy byłem mały...

- *Co słyszysz, synu? - zapytał tata.*

*Opuściłem powieki i wsłuchałem się w utwór. Przed oczami zaczęły tańczyć barwy.*

- *Fortepian. Skrzypce. Wiolonczele... - Odetchnąłem. - Słyszę czerwienie, zielenie, róże.*

*Otworzyłem oczy i popatrzyłem na siedzącego na moim łóżku ojca.*

*Wpatrywał się we mnie. Na jego twarzy gościł zabawny wyraz.*

- *Słyszysz barwy? - zapytał, ale nie brzmiał na zaskoczonego.*

*Zaczerwieniłem się. Wsadziłem głowę pod kołdrę. Tata odsunął ją i pogłaskał mnie po włosach. - To dobrze — stwierdził z powagą.*



- *To bardzo dobrze...*

Uniosłem powieki. Dłonie zaczęły mi pulsować. Spojrzałem na trzymaną butelkę, knykcie pobielwały od siły uścisku. Usiadłem prosto, w głowie kręciło mi się od ilości wypitej whisky. Poczułem tępy ból w skroniach. Uświadomiłem sobie, że to nie od alkoholu, ale od muzyki dochodzącej z plaży. Odsunąłem włosy z twarzy, po czym spojrzałem w prawo.

Kilka metrów dalej znajdowała się jakaś osoba. Zmrużyłem oczy, wschodzące właśnie słońce umożliwiało dostrzeżenie jej sylwetki. Była to dziewczyna, która owinęła się kocem. Obok niej leżał telefon, z głośnika dobiegał koncert fortepianowy Mozarta.

Musiła poczuć, że na nią patrzyłem, ponieważ obróciła głowę.

Zmarszczyłem brwi, zastanawiając się, skąd znałem tę twarz, ale wtedy...

-Jesteś DJ-em - powiedziała.

Zaświtało mi w głowie. Dziewczyna w fioletowej sukience.

Mocniej opatulila się kocem, gdy próbowałem umiejscowić jej akcent. Amerykanka. Mocno przeciągała słowa i przypuszczałem, że pochodziła gdzieś z południowego wschodu USA.

Mówiła jak moja mama.

Uśmiechała się, milcząc. Sam również nie byłem gadułą. Zwłaszcza gdy mój żołądek był wypełniony whisky i nie miałem ochoty na pogaduszki z nieznajomą o czwartej rano na plaży w Brighton.

- Słyszałam o tobie - powiedziała. Wpatrywałem się w ocean. Po horyzoncie sunęły statki, ich światelka były niczym świetliki.

Parsknąłem gorzkim śmiechem. Świetnie. Kolejna laska, która chce przelecieć DJ-a.

- Super - mruknąłem i upiłem alkohol z butelki, odczuwając w gardle uzależniające palenie. Miałem nadzieję, że dziewczyna się odwali, a przynajmniej porzuci próby rozmowy. Moja głowa nie potrafiła znieść więcej dźwięku.

- Niezbyt - odparła. Spojrzałem na nią, marszcząc brwi z dezorientacją.

Patrzyła

na

wodę,

opierając

podbródek

na

przedramionach splecionych na ugiętych kolanach. Koc zsunął się jej z ramion, ukazując fioletową sukienkę, którą zauważyłem zza swojej konsoly. Obróciła się twarzą do mnie, kładąc policzek na rękach.

Poczułem ciepło. Była ładna. -Słyszałam o tobie, Cromwellu Deanie. -

Wzruszyła ramionami. - Postanowiłam kupić bilet, by cię zobaczyć, zanim jutro wrócę do domu.

Odpaliłem kolejnego papierosa. Zmarszczyła nos. Najwyraźniej nie lubiła woni dymu.

Peszek. Mogła odejść. Kiedy ostatnio sprawdzałem, Anglia była wolnym krajem.

Dziewczyna milczała. Zauważyłem, że patrzyła na mnie. Zmrużyła brązowe oczy, jakby mnie analizowała. Widziała we mnie coś, czego nikomu nie chciałem ujawniać.

Nikt nie patrzył na mnie tak uważnie. Nigdy nie dawałem ludziom na to szansy. Rozkręcałem się w klubach przy mikserze, ponieważ inni byli daleko na parkiecie, nikt więc nie widział mojego prawdziwego oblicza. Sposób, w jaki dziewczyna na mnie patrzyła, sprawił, że ze zdenerwowania wstrząsnął mną dreszcz.

Nie potrzebowałem tego teraz.

- Dziś już ktoś ssał mi fiuta, złotko. Nie szukam powtórki.

Zamruwała. Nawet w promieniach wschodzącego słońca zdołałem zauważyć, że się zarumieniła.

- Twoja muzyka pozbawiona jest duszy - rzuciła. Zamarłem z papierosem w pół drogi do ust. Coś mnie zakłuło, gdy to powiedziała.

Odsunąłem to jednak od siebie, powracając do zwyczajowego odrętwienia.

Zaciągnąłem się papierosem.

- Tak? Cóż, jest jak jest.

- Słyszałam, że za konsolą jesteś jakimś nowym mesjaszem czy kimś takim, ale twoja muzyka składa się jedynie z syntetycznych dźwięków i wymuszonych beatów pomieszanych w niezbyt oryginalnym tempie.

Roześmiałem się i pokręciłem głową. Dziewczyna spojrzała mi prosto w oczy.

- To się nazywa elektroniczna muzyka taneczna. Nie jest to pięćdziesięcioosobowa orkiestra. - Rozłożyłem ręce. - Słyszałaś o mnie.

Sama tak stwierdziłaś. Wiesz więc, czym się zajmuję. Czego się spodziewałaś? Mozarta? - Rzuciłem okiem na jej telefon, z głośnika którego nadal płynął ten przeklęty koncert.

Usiadłem prosto, zaskoczony własną reakcją. Nie rozmawiałem tak

długo od... sam nie wiedziałem od jak dawna. Zaciągnąłem się, po czym wypuściłem przetrzymywany w płucach dym.

- I wyłącz to, co? Kto, u diabła, idzie posłuchać miksów DJ-a, po czym siedzi na plaży i słucha muzyki klasycznej?

Zmarszczyła brwi, ale wyłączyła melodię. Położyłem się na chłodnym piasku i zamknąłem oczy. Słyszałem uderzające o brzeg fale.

Moją głowę wypełniła jasna zieleń. Usłyszałem, że dziewczyna się poruszyła. Modliłem się, by sobie poszła, ale poczułem, że usiadła tuż obok. Świat pociemniał, gdy alkohol i brak snu zaczęły wciągać mnie pod powierzchnię.

- Co odczuwasz, kiedy miksujesz swoją muzykę? - zapytała. Nie rozumiałem, dlaczego uważała, że zgodzę się na ten mały wywiad.

Mimo to, zaskakując samego siebie, odpowiedziałem jej:

- Nic nie czuję. - Uniosłem jedną powiekę, gdy tego nie skomentowała. Jedyne patrzyła na mnie. Miała największe brązowe oczy, jakie w życiu widziałem. Ciemne włosy odgarnęła z twarzy i związała w kucyk. Miała pełne usta i gładką cerę.

- W tym właśnie problem. - Uśmiechnęła się, ale widać w tym było jedynie smutek. Współczucie. - Najlepsza muzyka pochodzi z serca.

Musi ją odczuwać zarówno twórca, jak i słuchacz. Każda cząstka tworzonoego utworu ma zostać opakowana w uczucia. - Na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz, ale nie miałem pojęcia, co to takiego.

Jej słowa były niczym ostrze wbite w moją pierś. Nie spodziewałem się tak szorstkiego komentarza, ani tępego bólu, który rozgorzał tuż za moim mostkiem. Jakby dziewczyna wzięła nóż rzeźnicki i dźgnęła mnie nim prosto w duszę.

Miałem ochotę poderwać się z miejsca i uciec. Wymazać jej krytykę z pamięci. Zamiast tego parsknąłem wymuszonym śmiechem i rzuciłem:

- Wróć do domu, mała Dorotko. Tam, gdzie muzyka coś znaczy.

Gdzie się ją czuje.

- Dorotka pochodziła z Kansas. - Odwróciła wzrok. - Ja nie.

- Wróć więc tam, gdziekolwiek jest twój dom - warknąłem.

Skrzyżowałem ręce na piersi, opadłem mocniej na piasek i zamknąłem oczy, próbując odciąć się od chłodnego wiatru, który owiewał mi skórę, i słów siedzącej obok mnie brunetki, które nadal kłuły w serce.

Nie pozwalałem, by cokolwiek miało na mnie taki wpływ. Już nie.

Potrzebowałem snu. Nie chciałem wracać do domu mamy tu w Brighton, a moje mieszkanie w Londynie znajdowało się za daleko.

Miałem nadzieję, że nie znajdą mnie tu gliniarze i nie wyrzucą z plaży.

Nie otwierając oczu, powiedziałem:

- Dzięki za tę nocną krytykę, ale jestem DJ-em z najszybciej rozwijającą się karierą w Europie, najlepsze kluby na świecie biją się, bym grał na ich podestach - a mam dopiero dziewiętnaście lat - więc chyba zignoruję twoje wnikliwe uwagi i nadal będę wiódł swój cholernie słodki żywot.

Dziewczyna westchnęła, ale mi nie odpowiedziała.

Obudziłem się, gdy słońce wdzierало się pod moje powieki.

Wzdrygnąłem się, kiedy je uchyliłem. W głowie zahuczało mi od skrzeczenia mew. Usiadłem, zobaczyłem pustą plażę i słońce stojące wysoko na niebie. Otarłem twarz i jęknąłem, gdy dopadł mnie kac. W

brzuchu mi burczało, zapragnąłem pełnego angielskiego śniadania z kilkoma kubkami czarnej herbaty.

Wstałem, a coś zsunęło mi się z kolan. U moich stóp na piasku leżał

koc. Ten sam, który widziałem przy Amerykance w fioletowej sukience.

Ten, którym się owinęła.

Wziąłem go, a do mojego nosa dotarła lekka woń. Słodka.

Uzależniająca. Rozejrzałem się. Dziewczyny nie było.

Zostawiła koc. Nie. Nakryła mnie nim.

*Twoja muzyka pozbawiona jest duszy. Żołądek mocno mi się skurczył na wspomnienie jej słów. Przegoniłem je z głowy, jak robiłem w przypadku wszystkiego, co zmuszało mnie do odczuwania. Ukryłem je głęboko w swoim wnętrzu.*

Następnie zaciągnąłem tyłek do domu.

## **ROZDZIAŁ 2**

*CROMWELL*

*Uniwersytet Jeffersona Younga., Karolina Południowa  
Trzy miesiące później..*

Zapukałem.

Nic.

Upuściłem torbę na podłogę. Kiedy nikt nie otworzył, obróciłem

gałkę i wszedłem. Połowa pokoju oblepiona była plakatami przedstawiającymi

zespoły

muzyczne,

sztukę,

Myszkę

Miki,

jasnozieloną koniczynę - tematy były przeróżne. Tworzyły największą zbieraninę przypadkowych rzeczy, jaką w życiu widziałem. W łóżku ktoś już spał, czarna kołdra leżała zwinięta w jego tylnej części.

Niewielkie biurko wyścielały paczki po chipsach i opakowania po czekoladzie. Używane farby i pędzle walały się w nieładzie na parapecie.

Sam byłem niechlujem, ale nie aż takim.

Po lewej najwyraźniej znajdowało się moje łóżko. Rzuciłem obok niego wypchaną torbę, po czym opadłem na materac. Był maleńki, moje stopy niemal z niego zwisały. Wziąłem słuchawki, które miałem na szyi, i nałożyłem je na uszy. *Jet lag* dawał o sobie znać, a do tego miałem skurcz w karku, bo w samolocie drzemałem w jakiejś dziwnej pozycji.

Kiedy miałem włączyć muzykę, ktoś wbiegł do pokoju. Natychmiast otworzyłem oczy i spostrzegłem wysokiego chłopaka z jasnymi, potarganymi włosami. Miał na sobie spodnie za kolano i koszulkę bez rękawów.

- Jesteś! - zawołał, kładąc ręce na udach i próbując złapać oddech.

Uniosłem pytająco jedną brew. Gestem poprosił, bym poczekał, po czym podszedł i podał mi dłoń. Uścisnąłem ją niechętnie.

- Cromwell Dean, jak mniemam - powiedział.

Usiadłem na łóżku, spuszcżając nogi na podłogę. Chłopak odsunął fotel od biurka i przyciągnął go do mojego łóżka. Odwrócił go i usiadł, kładąc ręce na jego oparciu.

- Easton Farraday. Twój współlokator.

Skinąłem głową, po czym wskazałem na jego stronę pokoju.

- Twoja dekoracja jest... różnorodna.

Easton puścił do mnie oko i się uśmiechnął. Nie byłem przyzwyczajony do wesołych ludzi. Nie wiedziałem, dlaczego niektórzy mieli powody, by się tak szeroko szczerzyć.

- Przypuszczam, że to komplement. - Wstał. - Chodźmy.

Zrobiłem to samo, jednocześnie przeczesując palcami włosy.

- A niby dokąd się wybieramy?

Easton parsknął śmiechem.

- O, stary, chwilę zajmie, nim przywyknę do twojego akcentu. -

Szturchnął mnie w ramię. - Ale dziewczyny będzie kręcić. - Obejrzał

mnie sobie. - Jak i to, że jesteś sławnym DJ-em i w ogóle. Dupeczki rwiesz stadami, co?

- Radzę sobie.

Położył ręce na moich ramionach.

- Szczęściarz. Naucz mnie tego! — Podeszedł do drzwi. — Chodźmy.

Easton Farraday oprowadzi cię po uczelni Jeffersona Younga.

Wyjrzałem przez okno na kwadratowy skwer. Słońce mocno paliło.



Znajdowałem się z dala od Anglii, nie byłem przyzwyczajony do tak mocnego żaru. Choć, ściśle rzecz biorąc, pochodziłem z Karoliny Południowej. Mama tu mieszkała, ale nie poznałem tego miejsca.

Przeprowadziliśmy się do Wielkiej Brytanii, gdy miałem zaledwie siedem tygodni. Być może urodziłem się w Ameryce, ale byłem na wskroś Brytyjczykiem.

- A dlaczego nie? - powiedziałem i wyszedłem za Eastonem.

Przemierzyliśmy korytarz. Minęliśmy kilka osób, każda z nich przywitała się z moim przewodnikiem. Mój nowy współlokator przybijał

piątki, ścisnął i puszczał oko zarówno do dziewczyn, jak i chłopaków, którzy dziwnie mi się przyglądali. Niektórzy zapewne próbowali mnie wy badać, inni wyraźnie mnie rozpoznali.

Easton skinął głową nadchodzącej parze, nieznany chłopak łypnął na mnie okiem.

- Cholera, Cromwell Dean. Easton mówił, że przyjedziesz, ale myślałem, że jaja sobie robił. - Pokręcił głową. - Co, u diabła, porabiasz na tej uczelni? Wszyscy mówią tylko o tobie.

Otworzyłem usta, ale odpowiedział za mnie Easton:

- Przyjechał dla Lewisa, nie? Wszyscy, którzy na czymś grają, są tu dla niego.

Chłopak pokiwał głową, jakbym to ja sam mu odpowiedział.

- Matt, kumpel Eastona. - Roześmiał się. - Wkrótce się przekonasz, że mieszkasz z najpopularniejszym chłopakiem w tym kampusie. Na tej uczelni nie jesteśmy najważniejsi, ale ten gość to straszna gaduła.

Potrzebował zaledwie trzech tygodni, aby poznali go wszyscy z pierwszego roku. Niewiele więcej, by znała go kadra profesorska, wszyscy ze starszych roczników i każdy inny.

- Sara - przedstawiła się ruda, stojąca obok Matta dziewczyna. -

Bez wątpienia trafisz do naszej grupy.

- Musisz zagrać w piątek - stwierdził Matt.

Easton jęknął i szturchnął kumpla w ramię.

- Mam plan, Matt. Trzeba popracować, by żądać czegoś takiego.

Przeskakiwałem wzrokiem pomiędzy nimi. Sara przewróciła oczami, a Easton na mnie spojrzał.

- Kilka kilometrów od kampusu znajduje się opuszczony budynek, coś jak skrzyżowanie stodoły ze starym magazynem.

Absolwent tej szkoły jest właścicielem ziemi, na której stoi. Pozwala nam tam imprezować. Nie ma tu za wiele miejsc na zabawę, musimy być kreatywni. Wszystko jakoś się trzyma. Któryś z zesłorocznych studentów z najstarszego rocznika zamontował światła. Zrobił też parkiet i podest. Chciał wydać kasę tatusia, który zdradzał jego matkę.

Lokal jest teraz pierwsza klasa.

- A gliny? - zapytałem.

Easton wzruszył ramionami.

-To uczelnia w małej miejscinie. Większość z nas pochodzi z tych rejonów. Uniwerek nigdy nie miał nic do zaoferowania, prócz taniej nauki, aż przyjechał tu Lewis. Większość policjantów chodziła do szkoły z kimś stąd. To starzy kumple. Psy nas nie niepokoją.

- Mamy z nimi układ typu: my nie mówimy, oni nie pytają. Spichlerz jest na tyle daleko od cywilizacji, że nikt się nie skarży na hałas -  
dodał Matt.

Głowa mi pulsowała. Musiałem zapalić, odczuwałem również brak snu.

- Spoko - powiedziałem, kiedy oczy całej trójki zwróciły się na mnie, czekając na odpowiedź.

- Cholera! - Matt objął Sarę. - Nie wierzę. Cromwell Dean będzie miksował w Spichlerzu! - Spojrzał na Eastona.

- Będzie zajebiście.

Easton zasalutował, po czym położył rękę na moim ramieniu.

- Oprowadzę Croma. Na razie. - Zszedłem za Eastonem schodami prowadzącymi na podwórze. Chłopak odetchnął głęboko, gdy niczym pociąg towarowy uderzyło w nas wilgotne powietrze. Rozłożył ręce. -

Patrz, Cromwell, oto skwer.

Ludzie siedzieli na trawie, muzyka płynęła z ich telefonów. Studenci czytali, rozmawiali w grupach. Ponownie wszyscy przywitani się z Eastonem. Na mnie znów się gapili. Chyba było to normalne, kiedy przenosiłeś się na drugim roku do wiejskiej uczelni w zupełnie innym kraju.

- Skwer. Można się tu wyluzować, iść na wagary czy co tam -

powiedział mój współlokator. Poszedłem za nim do stołówki, później do biblioteki, która według jego słów nie służyła do wypożyczania książek, ale do macanek za regałami. Podeszliśmy do pickupa. - Wsiadaj -

polecił. Zbyt zmęczony, by się sprzeczać, wskoczyłem do środka. Easton ruszył i wyjechał z kampusu.

- Hej - rzucił, gdy odpaliłem papierosa i zaciągnąłem się głęboko.

Zamknąłem oczy i wypuściłem dym. Dziewięć godzin lotu bez palenia było okropne. - Podziel się, Crom - powiedział, więc podałem mu szluga. Opuściłem szybę, przyglądając się boiskom i niewielkiemu stadionowi drużyny futbolu amerykańskiego. - Hej - powtórzył. — Przypuszczam, że Lewis jest dla ciebie autorytetem, ale nawet jeśli tak, jesteś już ustawiony w życiu, co?

Obróciłem głowę na zagłówek, by na niego spojrzeć. Na ramieniu miał tatuaż. Jakiś znak zodiaku czy coś takiego. Nie rozumiałem, dlaczego ludzie robili sobie tylko jeden. W chwili, gdy zrobiłem pierwszy, umówiłem spotkania na resztę. Milion rysunków, a później wciąż chciałem ich więcej. Byłem uzależniony.

Z głośnika płynęły dźwięki ułożonej na telefonie *playlisty*. Jakby na zawołanie rozpoczął się jeden z moich miksów. Easton się zaśmiał.

- Na wypadek, gdybyś się zastanawiał, Bóg też chce, żebyś odpowiedział.

Odchyliłem głowę i zamknąłem oczy, zaciągając się dymem.

- Przez rok studiowałem w Londynie. Było w porządku, ale nie chciałem mieszkać dłużej w Anglii. Lewis zaprosił mnie tutaj, bym u niego studiował. Przyjechałem.

Zapadła chwilowa cisza.

- Ale dalej nie rozumiem. Po co w ogóle studiować? Rozwijasz karierę. Po co trudzić się studiami?

Obrócił się nóż w moim brzuchu, gardło mi się ścisnęło. Nie zamierzałem się tam zapuszczać. Trzymałem więc zamknięte oczy i usta.

Easton westchnął.

- Dobra. Bądź tajemniczy. Dodaj to do listy rzeczy, dzięki którym laskom odbije na twoim punkcie. - Szturchnął mnie w ramię. - Otwórz oczy. Jak mam ci pokazać Jefferson Town, jeśli nie patrzysz?

- Może to być wycieczka jedynie dźwiękowa. Gęba ci się nie zamyka, mógłbyś zarobić na tym niezły pieniądz.

Parsknął śmiechem.

- Prawda. - Wskazał niewielkie miasteczko, do którego wjeżdżaliśmy. - Witaj w Jefferson. Założono je w roku tysiąc osiemset dwunastym. Populacja: dwa tysiące. - Skręcił w coś, co zdawało się być główną drogą. — Znajdziesz tutaj wszystko, co konieczne - powiedział z fatalnym angielskim akcentem, który, jak zakładałem, był specjalnie dla mnie. - Dairy Queen, McDonald s i tego typu restauracje. Kilka barów dla miejscowych. Jakieś małe jadłodajnie. Kawiarnię, która ma całkiem dobre wieczorki muzyczne, jeśli chcesz się wyluzować. Niektórzy mieszkańcy mają talent. — Było też kino z czterema salami i jakieś atrakcje dla turystów. W końcu minęliśmy Spichlerz. Dokładnie tak to wyglądało, ale Easton zarzekał się, że w środku budynek przypominał

lokal na Ibizie. Grałem jednak na tej wyspie, więc szczerze wątpiłem w jego słowa, choć liczyło się tylko to, że w tej miejscinie znalazło się miejsce, w którym mogłem występować.

- Co studiujesz? - zapytałem.

- Rysunek - odparł. Przypomniałem sobie plakaty na ścianach naszego pokoju. - Lubię też mieszać formy przekazu. Zajmuję się wszystkim, co ma barwę i wyraz. - Spojrzał na mnie. - W piątek ogarnę oświetlenie. Ty za mikserem, ja przy światłach. Będzie zajebiście. -

Poruszył figlarnie brwiami. -Pomyśl tylko o wszystkich tych laskach.

W tamtej chwili mogłem myśleć jedynie o tym, by się przespać.

## **ROZDZIAŁ 3**

*CROMWELL*

Easton praktycznie podskakiwał za kierownicą, gdy zbliżaliśmy się do Spichlerza. Była dopiero dziesiąta wieczór. Zwykle nie wchodziłem za konsolę przed północą.

Miał rację. Miejsce tętniło życiem, ludzie wylewali się na trawę przed drewnianym budynkiem. Spomiędzy desek dochodziła muzyka *dance*. Skrzywiłem się, słysząc kiepskie przejście pomiędzy piosenkami.

Easton musiał zauważyć moją minę. Zatrzymał pickupa i położył mi rękę na ramieniu.

- Jesteś naszym zbawcą, Crom. Słyszysz, co musieliśmy znieść?

Bryce pilnuje swoich mikserów. Czuj się ostrzeżony.

Odpaliłem papierosa i wyszedłem na zewnątrz. Wszyscy patrzyli na pojazd Eastona, odkąd pojawił się pod Spichlerzem. Gdy wysiadłem, było jeszcze gorzej. Zignorowałem spojrzenia i szepty, podszedłem do paki.

Wyjąłem z niej torbę z laptopem, zarzuciłem ją na ramię. Koszulka bez rękawów przylepiła się do mojego torsu. Przez pogodę miałem wrażenie, że cały czas żyję w saunie. Nawet jeansy lepiły mi się do nóg.

Poszedłem za Eastonem w stronę budynku. Po drodze chłonęły mnie wzrokiem wszystkie laski. Na obydwu rękach miałem tatuaże - pełne rękawy - a także na szyi, więc wywoływałem tylko dwie reakcje: dziewczynom robiło się mokro w majtkach lub odczuwały całkowity wstręt. Po zachowaniu tych tutaj przypuszczałem, że prawdziwe było to pierwsze.

Drogę zagroziła mi jakaś brunetka, więc musiałem się zatrzymać.

Usłyszałem śmiech Eastona. Dziewczyna szturchnęła go w ramię i powiedziała:

- Jestem Kacey, a ty to Cromwell Dean.

- Spozstrzegawcza - przyznałem.

Uśmiechnęła się. Zwilżyłem językiem wargi, przez co spojrzała na moje usta.

- Chciałam... chciałam... - Zarumieniła się. - Nie mogę się doczekać, by usłyszeć, jak grasz. - Upiła łyk piwa i zdenerwowana założyła włosy za ucho. - Mam kilka twoich miksów na składance do biegania, ale ktoś mi mówił, że na żywo jesteś niepowtarzalny.

Spojrzałem na Eastona.

- Lepiej chodźmy, jeśli mamy oszczędzić wszystkim krwawienia z uszu przez to, co zapodaje ten cały Bryce.

- Na razie, Kacey - powiedział mój towarzysz. Skinąłem głową dziewczynie, ominąłem ją i ruszyłem w stronę drzwi. Easton szturchnął mnie w ramię.

- Jest spoko. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Seksowna sztuka, co?

Kiedy zauważyłem, że wszyscy się na mnie gapili, pochyliłem głowę, ukrywając twarz. Nie znosiłem takiej uwagi. Wiedziałem, że było to głupie, by DJ nie lubił, gdy na niego patrzono, ale wołałem, żeby ludzie pragnęli jedynie mojej muzyki, a nie mnie samego. Nie chciałem, by interesowali się moją osobą. Moim celem był dźwięk.

Musiałem grać, żeby nie oszaleć.

Nie byłem przyjazny.

I tak za wiele sobą nie reprezentowałem. Nie byłem wart poznawania.

Easton parsknął śmiechem na tę próbę pozostania niewidocznym i zarzucił mi rękę na ramiona. Potrzebował uwagi, nigdy nie miał mnie zrozumieć. Gnojek nie znał też pojęcia przestrzeni osobistej, ale mimowolnie zacząłem go lubić. Nie zawierałem przyjaźni, chociaż

miałem przeczucie, że koleś by mi nie odpuścił, nawet gdybym go o to poprosił.

- Cholera, Crom. Czujesz się jak zwierzak w zoo, czy jak? Nie mamy tu w Jefferson zbyt wielu celebrytów.
- Nie jestem celebrytą - odparłem, gdy prowadził mnie w kierunku podestu.
- Jesteś w świecie elektronicznej muzyki tanecznej. I na tej uczelni także. - Przysunął się do dziewczyny stojącej przy estradzie. Było pewne, że gość był magnesem na laski. Spojrzał znów na mnie. - Czym się trujesz?
- Jackiem. Weź całą butelkę.
- Nieźle - powiedział i uśmiechnął się z aprobatą.

Dziewczyna odeszła. Otworzyłem torbę, wyjąłem słuchawki, rozluźniłem kark i wyciągnąłem laptopa. Easton przyglądał mi się, jakbym był jakimś żywym, oddychającym eksponatem w muzeum.

Uniosłem brwi.

- To jak obserwowanie mistrza przy pracy, czy coś takiego. - stwierdził.

Stuknął obecnego DJ-a w ramię. Bryce zerknął na mnie spode łba i zeskoczył z podestu. Easton roześmiał się, gdy skrzywiony gnojek przepchnął się obok mnie. Wszedłem po schodkach na podest i ustawiłem laptopa. Podłączyłem do niego sprzęt, po czym się rozejrzałem.

Lokal był zatłoczony. Patrzyły na mnie setki par oczu. Wziąłem głęboki wdech, gdy wzrastający żar roztańczonych ciał musnął moją skórę i zobaczyłem otaczające publikę żywe barwy.

Obok mnie pojawiła się butelka whisky. Upiłem łyk, po czym postawiłem ją po prawej. Easton stał po lewej, kiwnął do mnie głową.



Przechylił butelkę tequili, jakby była w niej woda. Zerknąłem znad komputera na oczekujący tłum.

Żyłem tą chwilą. Zamarłem. Wstrzymałem oddech przed nadejściem chaosu.

Dotknąłem klawiatury, ustawiłem brzmienie, po czym jednym ruchem wprowadziłem zebranych w euforię. Easton zalał Spichlerz jasnozielonym światłem laserów. Zaraz rozbłysły stroboskopy, co sprawiło, że ludzie wyglądali, jakby poruszali się w zwolnionym tempie.

Byli pijani, upaleni, mocno naćpani.

Easton odrzucił głowę w tył i zarechotał.

- To szalone! Cromwell Dean w Spichlerzu!

Beat stał się rytmem mojego serca, gdy odbijał się od ścian budynku.

Easton nie kłamał. W środku lokal był naprawdę spoko. Upiłem kolejny łyk jacka danielsa. Mój towarzysz pociągał z butelki, jakby alkohol miał mu się skończyć, gdyby go odpowiednio szybko nie wypił.

Wzruszyłem ramionami. Jego życie, jego kac, który rano miał zaatakować głowę. Spojrzałem na swoją whisky. Kogo chciałem okłamać? Planowałem dołączyć do niego w cierpieniu.

Easton szturchnął mnie w ramię. Ruchem głowy wskazał miejsce przed podestem. Kacey, ta laska, która zatrzymała nas przed wejściem, wpatrywała się we mnie. Uśmiechnęła się, a ja kiwnąłem jej głową. Gdy rozglądałem się po zebranych, zobaczyłem, że ludzie stali, śmiejąc się w grupkach, pary się całowały, inne tańczyły. Nie zaznałem w życiu czegoś takiego. Miałem muzykę. Koniec. Odczułem nagły smutek, co zupełnie mnie zaskoczyło. Wyobraziłem sobie, jak wyrzucam to uczucie.

Nie chciałem go do siebie dopuścić.

Wróciłem uwagą do muzyki, dokręciłem kilka beatów do

miksowanego kawałka, dodając mu głębi. Bas bił tak mocno, że drżał od niego budynek. Easton pochylił się nade mną do mikrofonu. Nigdy się nie odzywałem. Przemawiała za mnie muzyka, którą tworzyłem. Nikt nawet nie śpiewał do moich melodii. Były tylko beaty i rytm.

- Tak się zatracacie?! - krzyknął, a tłum odpowiedział wrzawą.

Chłopak wskoczył na stolik ze sprzętem. Pokręciłem głową, uśmiechając się na widok wielkiego ego Eastona Farradaya. - Pytałem...

- umilkł, po czym wykrzyknął: - ...czy tak się zajebicie zatracacie?!

Potraktowałem wszystkich tak mocnym i szybkim basem, że powaliłem ich na kolana. Ciała podskakiwały, wpadały na siebie. Ludzie kołysali się, pili, niektórzy praktycznie pełzali po podłodze. Ja również się zatraciłem. Jak zwykle wtopiłem się w podest. Zostałem wyrwany z mroku w mojej głowie i wrzucony w ten szal. W tę pełną odrętwienia nirwanę.

Zamknąłem oczy i oderwałem się od świateł Eastona. Moje kości wibrowały basem z głośników. Dźwięk wpływał przez moje uszy i wlewał się prosto w moje żyły. Pod powiekami eksplodowały czerwienie i żółcie. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, jak Easton zatacza się na podeście. Obejmował jakąś dziewczynę, która praktycznie pożerała jego usta. Razem wyszli na zewnątrz.

Godziny mijały w okamgnieniu. Grałem, aż skończyły mi się miksy.

Bryce, ten fiut, który stał tu wcześniej, wszedł na podest, zanim zdołałem z niego zejść. Wziąłem jacka i wyszedłem z budynku. Publika była zbyt pochłonięta, by w ogóle zauważyć zmianę DJ-a.

Całkowicie nimi zawładnąłem.

Na zewnątrz znalazłem sobie ciche miejsce przy jednej ze ścian Spichlerza. Osunąłem się na ziemię i zamknąłem oczy. Dźwięk śmiechu zmusił mnie do uniesienia powiek.

To miejsce zupełnie nie było podobne do Uniwersytetu w Londynie.

Uczelnia Jeffersona Younga była mała i każdy znał tu każdego. Szkoła w Wielkiej Brytanii była ogromna, łatwo było się zgubić pośród innych studentów. Mieszkałem sam. W mieszkaniu blisko kampusu, nie w akademiku. Nie miałem przyjaciół.

Tutaj czekał na mnie zupełnie inny świat. I miałem świadomość, że ledwie go zakosztowałem.

Przez ostatnie dni rzadko wychodziłem z pokoju, odsypiałem *jet lag* i miksowałem kawałki na dzisiejszy wieczór. Easton próbował namówić mnie na wypad z kumplami, ale odmówiłem. Nie byłem towarzyski.

Lepiej radziłem sobie na własną rękę.

Ponownie opuściłem powieki, ale poczułem obok siebie ciepłe ciało.

Kacey z piwem Corona w dłoni.

- Zmęczony?
- Zajechany - odparłem, na co parsknęła śmiechem. Zapewne przez mój akcent. Easton przez cały tydzień reagował tak samo.
- Byłeś cudowny. - Spojrzałem na nią, ale obróciła głowę.
- Musisz czuć się nieswojo, co? Jefferson nie jest Londynem. Nie żebym tam była, ale... No wiesz...
- Odległość jest dobra.

Przytaknęła, jakby rozumiała. Ale tak nie było.

- Studiujesz muzykę? - zapytała i pokręciła głową. - To przecież oczywiste. Musisz być na kierunku muzycznym. - Rzuciła okiem na wychodzących ze Spichlerza. Też bym uciekła, gdybym musiała słuchać takiej kichy zapodawanej przez DJ-a. - Ja jestem na literaturze angielskiej.

Nie odpowiedziałem, po prostu nie leżało to w mojej naturze.

Zamiast tego upiłem łyk jacka, więc dziewczyna napiła się corony.

Chwilę później podeszli Sara i Matt, który kucnął obok Kacey i odezwał się do niej cichym, ale pospiesznym tonem. Dziewczyna westchnęła.

- Muszę po nią zadzwonić?

Matt skinął głową.

- Chryste. - Kacey wstała i wyciągnęła telefon.

- Co się stało? - zapytałem.

- Easton - odparł Matt. - Napruł się. Nie chce się ruszyć.

- Wskazał na Kacey. - Dzwoni do jego siostry. W tym stanie tylko ona potrafi sobie z nim poradzić. Gnojek staje się cholernie agresywny, gdy próbujesz go zabrać do domu. Lubi imprezować, ale nie ma kontroli nad wódką, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

- Odwal się! - Po terenie poniósł się pijany głos Eastona. Ludzie omijali go szerokim łukiem, a on zataczał się w naszym kierunku, wciąż ściskając w ręce butelkę tequili, która była jednak pusta. - Cromwell! -

Stanął obok i złapał mnie za szyję. - Co za nuta! - bełkotał. - Nie wierzę, że tu jesteś, stary. W Jefferson! Tu się nigdy nic nie dzieje. To zajebiście nudna dziura.

Osunął się przy ścianie. Matt próbował go postawić na nogi.

- Odpierdol się! - warknął jednak Easton. - Gdzie Bonnie?

- Jedzie.

Zwiesił głowę, choć pokiwał nią, dając znać, że słyszał.

- Przyjechałem z nim - szepnąłem do Matta.
- Cholera. U nas jest pełen skład. Bonnie cię podrzuci. I tak zawsze odwozi brata do akademika. Jest miła. Nie będzie miała nic przeciwko.
- Idę po swoje rzeczy. - Wróciłem do Spichlerza i zgarnąłem laptopa. Wychodząc, odsunąłem włosy z twarzy. Rozejrzałem się.

Miałem nadzieję, że przyjeżdżając tutaj, poczuję się lepiej. Że wyciągnie mnie to z czarnej otchłani, w której nieustannie tkwiłem. Zagrałem w lokalu pełnym ludzi. Rozmawiałem z niektórymi, ale odczuwałem smutek, który odsunąłem od siebie. Wciąż walczył o możliwość wypłynięcia. Był gotowy, by mnie pochłonąć. Pogrzebać mnie w przeszłości.

Przyjazd tutaj nie sprawił żadnej różnicy.

Zauważyłem zaparkowaną naprzeciw srebrną terenówkę. Gdy podchodziłem, oślepiły mnie światła. Skrzywiłem się. Kac zaczynał dobierać mi się do głowy. Matt pomagał wstać Eastonowi, obok którego znajdowała się nowa laska w jeansach rurkach i białym kardiganie.

Musiała to być jego siostra. Zbliżyłem się, gdy Matt trzasnął drzwiami. Easton leżał nieprzytomny na tylnym siedzeniu.

- Odwiesz go? - Matt zapytał dziewczynę, nim uściskał ją i puścił. Sara zrobiła to samo.
- Tak - odparła nowoprzybyła.
- Cromwell! - Matt przywołał mnie gestem. Dziewczyna nie odwróciła się, gdy podchodziłem. Stała sztywno, tyłem do mnie. - Tutaj.

Bonnie zabierze Eastona do akademika. -Spojrzał na nią. - Podwiesz też Cromwella, co? U nas nie ma miejsca. East go tu przywiózł.

Nie usłyszałem odpowiedzi. Zamiast tego poszedłem do tyłu i

włożyłem do bagażnika swoją torbę. Matt pomachał mi, gdy odchodził, zabierając ze sobą Sarę. Kacey złapała mnie za rękę.

- Miło było cię poznać. - Odeszła ze wszystkimi, spoglądając przez ramię.

Kiedy zamierzałem otworzyć drzwi po stronie pasażera, siostra Eastona odwróciła się do mnie twarzą. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

Mgliste wspomnienie dotarło do mnie niczym lekka bryza, po czym z całej siły walnęło w głowę.

*Twoja muzyka pozbawiona jest duszy...*

Dziewczyna westchnęła, zauważając najwyraźniej moje wkurzenie, i powiedziała:

- Jeszcze raz dobry wieczór.

- Ty. - Parsknąłem oschłym śmiechem, gdy zdradziecki świat zagrał przeciwko mnie.

- Ja - powiedziała pozornie rozbawiona i wzruszyła ramionami.

Stałem i patrzyłem, jak podeszła do drzwi kierowcy. Brązowe włosy zebrała z tyłu, podobnie jak w Brighton. Związała je w kucyk, który zwisał jej na plecach, kończąc się w połowie kręgosłupa.

Wsiadła i opuściła szybę w drzwiach po stronie pasażera.

- Wsiadasz, czy idziesz pieszo do domu?

Zacząłem bawić się ćwiekiem, który miałem w języku, próbując rozewrzeć zaciśnięte w pięści dłonie. Nie było mowy, bym pokazał jej, ile kosztował mnie ten jej chamski tekst wypowiedziany w chłodny poranek w Brighton. Nie chciałem, by ponownie tak mnie dotknął.

Bonnie, jak najwyraźniej miała na imię, uruchomiła samochód.

Prychnąłem z niedowierzaniem. Otworzyłem tylne drzwi. Easton chrapał. Jego kończyny zajmowały całą przestrzeń.

Bonnie rozsiadła się, spoglądając na mnie przez szczelinę pomiędzy przednimi fotelami. Nie chciałem patrzeć jej w oczy.

- Wygląda na to, że musisz usiąść obok mnie, gwiazdorze.

Westchnąłem głęboko i zacisnąłem usta. Spojrzałem na miejsce przy ścianie, w którym uprzednio siedziałem. Butelka jacka nadal tam stała.

Podszedłem, wziąłem ją, po czym wsiadłem do auta. Potrzebowałem alkoholu na tę podróż.

- Jack Daniels - powiedziała dziewczyna. - Widzę, że jesteście przyjaciółmi.

- Najlepszymi - odparłem i osunąłem się na siedzeniu. Cisza panująca w samochodzie była ogłuszająca. Wyciągnąłem rękę i włączyłem radio. Z głośników popłynął *folk*. Nie, dzięki. Przełączyłem na kolejny kawałek z *playlisty*. Rozpoczęła się *Piąta Symfonia* Beethovena, więc postanowiłem wyłączyć to cholerstwo.

- Twój gust muzyczny pozostawia wiele do życzenia. -Upiłem spory łyk jacka. Nie wiedziałem, dlaczego w ogóle otworzyłem usta.

Nigdy nie odzywałem się jako pierwszy, ale gdy jej słowa z tamtej nocy wirowały mi w głowie, poczułem, jak wzrastał gniew i po prostu palnąłem tę głupotę.

- O, prawda. Nie lubisz muzyki klasycznej. A teraz *folku*. Dobrze wiedzieć, że obraża cię dobre brzmienie. - Przeniosła uwagę z drogi i przez chwilę patrzyła na mnie kątem oka.

Zmarszczyła brwi. - Przyjechałeś dla Lewisa, prawda? No bo po cóż innego miałbyś się zjawić w Jefferson?

Upiłem kolejny łyk, ignorując jej pytanie. Nie chciałem rozmawiać z nią o muzyce. W ogóle nie chciało mi się z nią gadać, kropka. Wyjąłem

paczkę fajek z kieszeni, wsadziłem do ust papierosa. Zamierzałem go zapalić, ale dziewczyna powiedziała:

- W moim samochodzie się nie pali. - I tak go odpaliłem i zaciągnąłem się głęboko. Auto zatrzymało się tak gwałtownie, że niemal wypuściłem z palców butelkę. - Powiedziałam, że w moim samochodzie się nie pali - warknęła. - Zgaś albo wysiądź. Masz tylko dwie możliwości do wyboru, Cromwellu Deanie.

Spiąłem się. Nikt nigdy się tak do mnie nie odzywał. Fakt, że ta laska mocno mnie wkurzała, nie poprawiał sytuacji. Popatrzyłem jej w oczy i wziąłem długiego, powolnego, słodkiego macha, po czym wyrzuciłem peta przez okno, które dla mnie otworzyła. Był to pierwszy raz, gdy spojrzałem bezpośrednio w jej oblicze. Miała duże brązowe oczy i pełne usta. Uniosłem rękę.

- I po sprawie, Bonnie Farraday.

Ruszyła i nagle znaleźliśmy się na głównej ulicy miasta.

Gdzieniegdzie widać było studentów wracających do akademika ze Spichlerza. Nie chciałem rozmawiać, ale nie dało się znieść ciszy panującej w samochodzie. Zacisnąłem dłonie na odzianych w jeansy udach.

- Spichlerz to nie twoje klimaty? - zapytałem sztywno.

- Miałam dziś co robić. Uczyłam się przed rozpoczynającymi się w poniedziałek zajęciami. - Wskazała za plecy na chrapiącego brata. - A przynajmniej próbowałam, aż bliźniak jak zawsze postanowił się nawalić. - Uniosłem brwi. Zauważyła to. - Tak. Easton jest starszy zaledwie o cztery minuty. Nie jesteśmy podobni, co? W ogóle. Ale to mój przyjaciel, zatem oto jestem. Taksówka marki Bonnie.

- Easton mówił, że oboje pochodzicie z tych okolic.

- Tak, z Jefferson. Jesteśmy rdzennymi mieszkańcami Karoliny Południowej. - Czułem, że na mnie patrzy. - Dziwne, co? Że jesteś tu, po



tym jak spotkaliśmy się w Anglii.

Wzruszyłem ramionami. Ale tak, było to dziwne. Jakie istniało ku temu prawdopodobieństwo?

Bonnie zatrzymała się na wolnym miejscu przed akademikiem.

Spojrzała do tyłu na brata.

- Będziesz musiał pomóc mi wnieść go po schodach. Wysiadłem i podszedłem do tyłu. Wyciągnąłem Eastona i wziąłem go pod ramię.
- Mój komputer - powiedziałem, ruchem głowy wskazując bagażnik. Bonnie otworzyła klapę i wyjęła torbę. Udało mi się wnieść Eastona po schodach, po czym rzuciłem go na jego łóżko.

Bonnie stanęła tuż za mną. Brakowało jej tchu, sapała po wejściu na górę.

- Może powinnaś zacząć ćwiczyć? Schody nie były aż takie straszne. - Byłem fiutem. Wiedziałem o tym, ale nie mogłem się powstrzymać. Tamtej nocy w Brighton naprawdę mnie wkurzyła.

Najwyraźniej nie potrafiłem odpuścić.

Ignorując mnie, Bonnie położyła torbę na moim biurku. Wzięła szklankę ze stolika nocnego należącego do jej brata i wyszła z pokoju.

Wróciła z wodą i odstawiła ją na to samo miejsce. Zostawiła obok dwie tabletki i pocałowała Eastona w czoło.

- Zadzwoń jutro.

Położyłem się na łóżku, ze słuchawkami na szyi, gotowy się wylogować. Bonnie ominęła mnie, ale przystanęła.

- Dziękuję, że pomogłeś mi go tu wnieść. - Zerknęła na niego po raz ostatni. Jej spojrzenie z jakiegoś powodu wydawało się zmięknąć.

Sprawiło to, że wyglądała... ładniej niż normalnie. - Czy mógłbyś,

proszę, go popilnować?

Wyrzuciłem te myśli z głowy.

- Jest już duży. Jestem pewien, że sam będzie na siebie uważał.

Bonnie spojrzała na mnie gwałtownie. Wydawała się zszokowana, po czym na jej twarzy pojawił się chłód.

- Jak zwykle uroczy. Dobranoc.

Wyszła. Kiedy zamknęła drzwi, Easton obrócił się i uchylił jedno oko.

- Bonnie?

- Wyszła - odparłem, zdejmując koszulkę. Rozebrałem się do bokserek i położyłem spać.

Easton obrócił się do mnie tyłem.

- To moja siostra. Powiedziała ci o tym?

- Tak.

Zasnął krótką chwilę później.

Otworzyłem *playlistę* na telefonie. I podobnie jak każdej nocy, uspokoilem się, gdy głowę wypełnił mi *dance*. Przy elektronicznej muzyce tanecznej kolory były zupełnie inne. Nie były tymi, dzięki którym wszystko pamiętałem.

I podziękowałem za to temu, cokolwiek było na górze, Bogu czy komu tam.

## **ROZDZIAŁ 4**

*BONNIE*

Zamknęłam drzwi auta i przeszłam do akademika. Z każdym krokiem myślałam o Cromwellu Deanie. Oczywiście, że wiedziałam o jego obecności tutaj. Od chwili gdy Easton dowiedział się, że będzie z nim mieszkał, mówił tylko o tym.

Nie potrafiłam jednak w to uwierzyć.

Brat nie wiedział o naszym spotkaniu w Brighton. Nikt nie wiedział.

Szczerze mówiąc, wciąż nie mogłam uwierzyć, że rozmawiałam z nim w taki sposób, ale to, jak się do mnie odzywał... zdeorientowało mnie. Był

tak chamski, że nie potrafiłam się opanować. Widziałam, jak z butelką jacka danielsa w dłoni przechadzał się plażą. Przyglądałam mu się w zatłoczonym klubie. Patrzyłam na zgromadzonych, którzy tańczyli do jego muzyki, jak byłby ich bogiem. Ale czułam jedynie...

Rozczarowanie.

Cromwell Dean. Większość znała go jako DJ-a, ale ja wiedziałam coś więcej. Znałam go jako cudowne dziecko muzyki klasycznej. Oglądałam go, choć o tym nie wiedział. Gdy był młodszy, stworzył symfonię tak piękną, że zainspirował mnie do bycia lepszym muzykiem. W tym małym Angliku widziałam nieoszlifowany diament i przyszłego Mozarta. Na którejś z prywatnych lekcji nauczycielka muzyki pokazała mi nagranie. Chciała mi udowodnić, do czego był zdolny ktoś w moim wieku.

Pokazać, że na świecie żyli inni, którzy mieli tak wielką pasję do dźwięku, jak ja. Cromwell Dean stał się moim największym przyjacielem, chociaż nie wiedział o moim istnieniu. Był moją nadzieją.

Liczyłam na to, że poza granicami tego małego miasteczka żyli ludzie, którzy podobnie jak ja mieli w sercu muzykę. Ktoś, kto pragnął nut, melodii, koncertów...

Cromwell w wieku szesnastu lat wygrał program stacji BBC

promujący młodych kompozytorów. Jego muzyka była grana przez Orkiestrę Symfoniczną BBC w wieczór finałów. Oglądałam to o północy na laptopie, a przez cały utwór po moich policzkach płynęły łzy.

Kamera pokazała go, jak przyglądał się orkiestrze, stojąc na miejscu dyrygenta.

Pomyślałam, że był tak piękny, jak symfonia, którą skomponował.

Zniknął zaledwie kilka miesięcy później. Przestał tworzyć. Jego muzyka ucichła wraz z jego nazwiskiem.

Ale nie zapomniałam o nim przez cały ten czas. Kiedy więc zaczął ponownie tworzyć, moja ekscytacja sięgnęła nieba.

Aż go usłyszałam.

Nie miałam nic przeciwko muzyce elektronicznej, ale kiedy usłyszałam, jak chłopak, którego idealizowałam przez tak wiele lat, miksuje syntetyczne beaty zamiast tworzyć prawdziwą muzykę instrumentalną, w czym był mistrzem, pękło mi serce.

Podczas pobytu w Anglii poszłam go posłuchać. Nie mogłam się powstrzymać. Wtopiłam się w tłum. Zamknęłam oczy, ale niczego nie poczułam. Uniosłam powieki i obserwowałam go, żywiąc jedynie współczucie dla chłopca, który niegdyś dyrygował orkiestrą grającą jego oszałamiającą symfonię. Ręce tańczyły, trzymając batutę, gdy dawał się ponieść strunom i sekcji dętej. Muzyka ta pochodziła prosto z jego duszy. Było w niej odcisnięte jego serce, które pozostawił w sali koncertowej, w której występował, i które podarował ludziom, mającym szczęście go słuchać.

Na podeście w klubie jego oczy były martwe. W beatach nie brzmiało jego serce, jego dusza nie znajdowała się nawet w tym samym pomieszczeniu. Być może naprawdę był najszybciej rosnącym w sławę DJ-em w Europie, ale to, co grał, nie odzwierciedlało jego pasji. Nie do tego został stworzony.

Mnie nie mógł oszukać.

Cromwell Dean, którego obserwowałam jako dziecko, umarł wraz z tym, co stanowiło potrzebę tworzenia tak znamienitych utworów muzyki klasycznej.

- Bonnie?

Zamrugałam i zobaczyłam przed sobą drzwi na korytarzu akademika. Obróciłam się i zauważyłam Kacey, która wchodziła do sąsiedniego pokoju.

- Hej - odparłam i złapałam się za skroń.

- Dobrze się czujesz? Stoisz z ręką na klamce od kilku dobrych minut.

Roześmiałam się i pokręciłam głową.

- Zamyśliłam się.

Kacey się uśmiechnęła.

-Jak Easton?

Przewróciłam oczami.

- Pijany, ale na szczęście śpi bezpiecznie we własnym łóżku.

Kacey podeszła do mnie.

- Odwiozłaś Cromwella?

-Tak.

-Jaki on jest? Rozmawiałaś z nim?

- Troszkę. - Westchnęłam ze zmęczenia. Czułam, że muszę się położyć.

-I?

Zerknęłam na nią i pokręciłam głową.

- Szczerze mówiąc, jest chamem. Niegrzeczny i arogancki.

- Ale przystojny. - Zarumieniła się.

- Nie wydaje mi się, by warto było się za nim uganiać, Kace. -

Przypomniałam sobie dziewczynę, z którą zniknął w Brighton w połowie występu. I jego wulgarne słowa, skierowane do mnie na plaży:  
*Dziś już ktoś ssał mi fiuta...*

Nie przyjaźniłam się z Kacey, po prostu mieszkała w pokoju obok.

Była słodka i miałam pewność, że Cromwell Dean przeżułby ją i wypluł, gdyby tylko dała mu to, czego chciał. Wyglądał mi na właśnie takiego typu.

- Tak - odparła. Wiedziałam, że przytaknęła jedynie z grzeczności.

- Lepiej pójde spać. - Przechyliła głowę na bok. - Ty też powinnaś się położyć, kochana. Jesteś trochę blada.

- Dobranoc, Kace. Do jutra.

Weszłam do swojego pojedynczego pokoju. Upuściłam torebkę na podłogę, włożyłam piżamę i położyłam się do łóżka. Próbowałam zasnąć. Byłam zmęczona, ciało bolało mnie z wyczerpania, a mimo to umysł nie chciał się wyłączyć.

Nie potrafiłam wyrzucić Cromwella z głowy. A, co gorsza, wiedziałam, że zobaczę go w poniedziałek. Mieliśmy razem niemal wszystkie zajęcia. Ja również studiowałam muzykę. Nie było dla mnie innej drogi. Wiedziałam, że Dean podąży tą samą. Easton mi o tym powiedział.

Zamknęłam oczy, ale widziałam tylko Cromwella siedzącego w moim aucie z butelką whisky w dłoni. Palił, choć mu zabroniłam. Miał tatuaże i kolczyki.

- Co ci się stało, chłopaku? - szepnęłam w noc.

Wzięłam komórkę i włączyłam nagranie, które od tak dawna nosiłam w sercu. Kiedy zaczęły grać instrumenty strunowe, po czym włączyła się sekcja dęta, zamknęłam oczy i dałam się ukołysać.

Zastanawiałam się, czy tego rodzaju melodia odnajdzie raz jeszcze drogę do serca Cromwella Deana.

\*\*\*

- Siostra? - Obróciłam się w fotelu, gdy do pokoju wszedł mój brat.

- No, dzień dobry - powiedziałam. Easton usiadł na łóżku. Powiódł palcami po strunach mojej gitary, nim przełożył ją na podłogę.

- Przepraszam za wczoraj - rzucił, patrząc mi w oczy. -Crom po raz pierwszy stanął za naszymi mikserami i było niewiarygodnie. -

Wzruszył ramionami. - Znasz mnie.

- Tak. Znam cię. - Podeszłam do małej lodówki i wyjęłam puszkę oranżady.

- Cukier. Dzięki, Bonn. Wiesz, jak mnie pocieszyć.

- Zdajesz sobie przecież sprawę, że nie piję takich rzeczy. Mam je dla ciebie w razie kaca.

Puścił do mnie oko.

- Cromwell powiedział, że odwiozłaś nas do akademika. -Skinęłam głową. - Co o nim myślisz?

Przesunęłam jego nogi, bym również zmieściła się na łóżku.

- Co o nim myślę?

- Tak - rzucił, po czym wypił cały napój. Wstał, wziął sobie kolejny i usiadł z powrotem. - Wiem, że nie jest uprzejmy, ale lubię gościa. Nie sądzę, by miał wielu kumpli.

- Dopiero tu przyjechał.

- Mam na myśli również Anglię. Nikt do niego nie dzwoni.

Widziałem kilka SMS-ów, ale powiedział, że to od mamy.

- Może nie powinien więc być tak chamski, co?

- Źle się przy tobie zachowywał?

- Był pijany - powiedziałam, całkowicie pomijając fakt, że gdy spotkaliśmy się w Brighton, zachowywał się o wiele gorzej.

Easton skinął głową.

- Powinnaś tam być, Bonn. Gość jest niesłychanie utalentowany.



Zachowuje się, jakby wyszedł na podest i grał prosto z duszy. I, cholera, będziecie chodzić na te same zajęcia, wiesz? Będziesz musiała go pilnować.

- Mam wrażenie, że nie potrzebuje, by ktokolwiek na niego uważał, East.

- A nawet jeśli. - Poderwał się z łóżka i wyciągnął do mnie rękę. -

Chodź. Rodzice są już pewnie w restauracji.

Podaliśmy mu dłoń i wstałam. Spojrzał na mnie uważnie.

- Dobrze się czujesz? Wyglądasz na zmęczoną. Tego lata zostałam w domu na dłużej niż zazwyczaj.

Przewróciłam oczami.

- Eastonie, tak, jestem zmęczona. Musiałam przyjechać po ciebie, a wcześniej uczyłam się przez pół nocy. - Poczułam, że zarumieniłam się pod wpływem tej wymówki. - Wiesz, chcę zaimponować Lewisowi w poniedziałek. Masz świadomość, co to znaczy, że jest tu ktoś taki? -

Pokręciłam głową. - Nie każdego dnia ktoś z tak niesłychanym talentem staje się twoim mentorem.

Easton mnie objął.

- Kujonka.

Odsunęłam się i rzuciłam w niego miętówkami.

- Zjedz kilka, nim spotkamy się z rodzicami. Śmierdzisz jak monopolowy. - Brat złapał opakowanie i podszedł do drzwi.

W poniedziałek zaczną się wykłady. Byłam pewna, że Cromwell Dean nawet na mnie nie spojrzy. A Easton się mylił. Gość nie potrzebował nikogo, kto by go pilnował.

Byłam przekonana, że gdybym spróbowała, zachowywałby się jak fiut.

## **ROZDZIAŁ 5**

*BONNIE*

Po sali niósł się szmer rozmów. W zeszłym roku nie czuło się tu tak wielkiej energii. Pomieszczenie nie było duże, ale wyczuwałam ekscytację, jakbym stała pośrodku zatłoczonego stadionu.

Przysunął się do mnie mój przyjaciel Bryce.

- Dziwne, co? Jak profesor może narobić tak wiele szumu.

Lewis nie był jednak jakimś tam zwykłym profesorem. Był światowej klasy kompozytorem. Podróżował po świecie. Występował w salach koncertowych i operach, o których ktoś taki jak ja mógł jedynie pomarzyć. Wszyscy dobrze wiedzieli o jego osobistych problemach z alkoholem i narkotykami. To one właśnie sprawiły, że porzucił

dotychczasowe życie i powrócił do Jefferson. Pochodził z tego miasta.

W wywiadzie do gazety uczelnianej przyznał, że potrzebował wrócić do korzeni w znajomym otoczeniu. Przyjmując tu posadę, chciał poświęcić się lokalnej społeczności.

Strata w świecie muzyki okazała się naszym zyskiem.

Postukałam długopisem o notatnik. Drzwi się otworzyły, wszedł

mężczyzna, którego niezliczoną ilość razy widziałam w telewizji.

Rozmowy ucichły, gdy podszedł do biurka na środku sali. Na żywo był młodszy, niż się spodziewałam. Miał ciemne włosy i ciepły uśmiech.

Otworzył usta, by się przywitać, kiedy w wejściu pojawiła się wysoka, wytatuowana sylwetka.

Cromwell.

Wejście profesora Lewisa wywołało ciszę i zachwyt, natomiast wejście Cromwella Deana szepty. Chłopak skupił na sobie spojrzenie piętnastu par oczu, gdy szedł powoli w kierunku tylnych rzędów.

Przemierzył schody auli i zajął miejsce z tyłu. Nie odwróciłam się jak reszta. Patrzyłam na profesora Lewisa, zauważając na jego twarzy wyraz irytacji.

Nauczyciel odchrząknął.

- Pan Dean. Miło, że pan do nas dołączył.

Tym razem rzuciłam okiem na Cromwella, żeby sprawdzić, czy przejawiał w ogóle jakąś skruchę. Siedział jednak przygarbiony, patrząc na Lewisa. Wyglądał arogancko, obracając językiem przy zębach. Miał na sobie czarne jeansy, łańcuch zwisający przy kieszeni i prostą białą koszulkę z dekoltem i krótkimi rękawami, które opinały jego bicepsy.

Tatuaże oplatały ręce i szyję niczym bluszcz.

Niektórzy uznaliby je za sztukę. Mnie wydawało się, że go dusiły.

Zmierzwiłone włosy opadały mu na czoło. W uszach błyszcząły srebrne kolczyki i pojedynczy z lewej strony nosa.

Gdy już prawie odwróciłam wzrok, spojrzał na mnie. Jego tęczęwki miały przedziwną barwę - burzliwy odcień błękitu. Nie były niebieskie

jak niebo, ale niemal granatowe jak niebezpieczne głębiny wzburzonego morza. Westchnął ciężko. Byłam pewna, że to przez moją obecność. Nie wspomniałam mu, że również studiowałam muzykę.

- Panie Dean? Możemy zaczynać? - zapytał Lewis.

Cromwell skinął głową.

- Nie zamierzałem pana powstrzymywać.

Wytrzeszczyłam oczy na tę odpowiedź.

Wyraźnie było słychać jego mocny akcent, znacznie odmienny od południowego sposobu mówienia profesora Lewisa. Jakby Cromwell potrzebował kolejnego powodu, by się wyróżniać. Jego ponura postawa i tatuaże wystarczały, aby odcinał się od tego małego miasta.

Wzięłam sweter wiszący na oparciu krzesła i włożyłam go. W sali zrobiło się nagle chłodno.

- Nie będę niepotrzebnie głądził - powiedział Lewis, zwracając się do klasy. - Prowadzę wymagające zajęcia i oczekuję, że spełnicie moje wymagania, dając z siebie wszystko. - Stał przed swoim biurkiem.

Usiadł na blacie i kontynuował: - Do tej pory wszyscy powinniście byli zapoznać się już z sylabusem. Jeśli to zrobiliście, wiecie, że ogromna część oceny końcowej pochodzić będzie z trwającego cały rok przedsięwzięcia, a mianowicie skomponowanego utworu. Zadanie to będziecie musieli wykonać w parach. - Uśmiechnął się, a w jego brązowych oczach załśniło podekscytowanie. Wydawało mi się, że zerknął przelotnie na Cromwella, ale nie miałam pewności. - Dobrałem was już w te pary. - Z aktówki wyciągnął kartkę. - Pod koniec tych zajęć dowiecie się, z kim przyjdzie wam pracować. I, zanim zapytacie, to od razu odpowiadam, że nie można się zamienić. I, tak, obie osoby z pary muszą wykonać zadanie lub ryzykować brak zaliczenia, czego nikt zapewne nie chce. - Wrócił za biurko i włączył projektor. Asystent prowadzącego wyłączył światła. - Każda para dostanie piętnaście godzin w semestrze na indywidualne konsultacje ze mną. - Spojrzał z

kamiennym wyrazem twarzy przez ramię. - Nie zmarnujcie tego czasu.

Zerknęłam na Bryce'a, czując, jak krew przyspiesza mi w żyłach.

- Indywidualne konsultacje - powiedziałam podekscytowana, na co chłopak uśmiechnął się szeroko.

- Co dwa tygodnie będziemy mieć seminarium, by omawiać wasze kompozycje, zarówno indywidualne, jak i w parach. Ponieważ na tych zajęciach chodzi o komponowanie. - Lewis uśmiechnął się i na chwilę porzucił swoją nieustępliwą postawę. - W tej sali zamierzam stworzyć mistrzów. A wy poznacie moje osobiste demony. - Wstrzymałam oddech. Każdy wiedział o jego problemach, ale nie przypuszczałam, że będzie mówił o nich na zajęciach. - Próbowałem dać światu wszystko, co we mnie najlepsze, ale nie było to moim przeznaczeniem. -

Ponownie się uśmiechnął, a na jego twarzy pojawił się spokój. - Ale odnalazłem szczęście w pomocy innym przy rozwijaniu ich talentu.

Wydaje się, że moim powołaniem jest nauczanie. Ułatwianie innym znalezienia swojego miejsca na tym świecie. Ich pasji.

W sali panowała kompletna cisza. Zamrugałam, uświadamiając sobie, że serce mi urosło, a do oczu napłynęły łzy.

- Pod koniec roku odbędą się prezentacje. Wtedy przedstawicie swoje dzieła. - Wstał i włożył ręce do kieszeni eleganckich spodni. -

Kiedy byłem kompozytorem, nie nauczyłem się polegać na innych.

Dzielcie się pomysłami, naciskajcie na siebie nawzajem, by wasze utwory były jak najlepsze. - Wskazał ręką naklasę. - Wszyscy znaleźliście się tutaj, ponieważ macie talent, ale wiadomość z ostatniej chwili: tak jak i milion innych ludzi. Ten projekt pomoże wam uczyć się od siebie i ulepszać swoje zdolności. Jest to zadanie, które najbardziej mnie intryguje.

Profesor Lewis wrócił do ekranu projektora i omówił pozostałe

wymogi jego wykładów. Gdy skończył, powiedział:

- Koniec na dziś. Sugeruję, byście poznali nazwisko partnera i poszli z nim na kawę czy coś w tym stylu. Mądrze wykorzystajcie swój czas. Poznajcie dobrze osobę, z którą przyjdzie wam pracować. -

Uśmiechnął się. - W tym roku spędzicie razem sporo czasu.

Studenci pobiegli na przód sali, by czytać z kartki, którą asystent powiesił na ścianie. Inni poszli przedstawić się Lewisowi. Bryce sprawdził, z kim go przydzielono, po czym podszedł do Tommy ego Wildera. Zmarszczyła brwi. Normalnie pracowaliśmy razem. Wrócił do mnie i pokręcił głową.

- Tym razem drużyna marzeń została rozdzielona, Bonn.

Serce odrobinę mi się ścisnęło. Widziałam na twarzy chłopaka, że również był rozczarowany. Dobrze się czułam w jego towarzystwie. Nie był najbardziej utalentowanym uczniem, ale był słodki. Wiedziałam, że lubił mnie bardziej niż jak koleżankę z klasy, ale nigdy nie zdecydowałabym się na związek. Mimo to czułam się przy nim komfortowo. Nie zadawał zbyt wielu osobistych pytań.

Czekałam, by tłum się przeredził. Kilka osób spojrzało na mnie, nim odeszło od kartki. Zastanawiałam się dlaczego, ale kiedy przeczytałam listę, dostałam odpowiedź.

Wypuściłam wstrzymywane powietrze. Wpatrywałam się z niedowierzaniem w umieszczone obok mojego nazwisko: *Cromwell Dean*.

Gdy się odwróciłam, w sali pozostał jedynie profesor Lewis.

- Bonnie Farraday, jak mniemam. - Trzymał w ręce moje dokumenty ze zdjęciem.

- Tak, profesorze. - Przygryzłam wargę. - Pamiętam, jak mówił pan, że nie można zmienić partnera...

- Tak, mówiłem całkiem poważnie.

Żołądek mi się skurczył.

- Dobrze. - Obróciłam się, by wyjść.

- Jesteś jedną z najlepszych w tej klasie, Bonnie - powiedział Lewis.

- Cromwell jest nowy. - Usiadł na skraju swojego biurka. Znajdował się tak blisko mnie, że widziałam siwe pasma w jego włosach.

Przypuszczałam, że był po czterdziestce.

- Był jednym z najlepszych w Wielkiej Brytanii. Jest bystry i niezwykle utalentowany, ale bycie nowym na uczelni każdego może przytłoczyć. Bez względu na to, jak wydaje się tego nie okazywać. -

Skrzyżował ręce na piersi. - Na wydziale powiedziano mi, że dobrze zrobiłem, wpisując was razem.

- Tak, profesorze - odparłam ponownie. Po raz pierwszy wkurzyłam się, że uznano mnie za kogoś wiarygodnego i sumiennego.

Postanowiłam wyjść, ale wcześniej powiedziałam:

- Witamy z powrotem w Jefferson, profesorze. Dla wielu z nas stanowi pan prawdziwą inspirację.

Uśmiechnął się i wrócił do pracy.

Wyszłam, rozglądając się po korytarzu za Cromwellem.

Westchnęłam, gdy go nie zobaczyłam. Wybiegł z sali, nie sprawdzając listy. Mogłam się założyć, że nie wiedział, że to właśnie ja byłam jego partnerką w tym projekcie.

Pozbawiona energii oparłam się o ścianę. Miałam dwugodzinne okienko, więc postanowiłam go odszukać.

Byłam zdeterminowana. Nie mogłam pozwolić, by jego kiepska postawa stała się moją zgubą. Jeśli musiałam z nim pracować, mogłam to zrobić, ale zupełnie nie zanosiło się na to, że ta współpraca zakończy się sukcesem.

## **ROZDZIAŁ 6**

### *CROMWELL*

Usiadłem za biurkiem i wpisałem hasło do laptopa. Easton był na zajęciach, więc posadziłem tyłek na fotelu i włączyłem program do miksowania. Włożyłem słuchawki i odpaliłem kawałek, z którym walczyłem od kilku dni.

Zamknąłem oczy i pozwoliłem, by beaty sączyły się do moich uszu.

Pod powiekami eksplodowały zielenie i róże. Nawet nie patrząc, uniosłem rękę do miksera i podkręciłem tempo. Moje serce próbowało nadążyć za basem. Trójkąty i kwadraty tańczyły, układając się w nieregularne wzory i...

Ktoś zdarł mi słuchawki z głowy. Odwróciłem się i poderwałem z miejsca. Zobaczyłem, że trzymała je Bonnie Farraday. Wybuchła we mnie lodowata wściekłość, choć opadła nieco, gdy spostrzegłem, że była to akurat siostra Eastona. Zdziwiłem się. Ostatnimi czasy napędzał mnie gniew. Nie rozumiałem, dlaczego w tej chwili przycichł.

Nie lubiłem odczuwać dezorientacji.



Wyciągnąłem rękę.

- Oddaj.

Bonnie powoli przycisnęła słuchawki do swojego torsu. Zamknąłem oczy, by nie wybuchnąć. Kiedy ponownie je otworzyłem, stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Miała na sobie jeansy rurki i biały T-shirt, a na nim sweter podobny do tych, które nosiły bogate dzieciaki włóczące się latem ulicami Chelsea. Długie brązowe włosy splotła w warkocz. Gdy spojrzałem jej w twarz, wyglądała na zaniepokojoną.

- Co tu robisz? - zapytałem. Obróciłem się i wyłączyłem kawałek, który walił z głośników. Nie skończyłem nad nim pracować. Nikomu nie pozwalałem słuchać niedokończonego materiału. Miałem nową składankę do wrzucenia na strony *streamingowe*. Mała Bonnie Farraday namieszała mi w grafiku.

- Spojrzałeś w ogóle na listę partnerów?

Zmarszczyłem brwi.

- Była jakaś lista?

To ją zirytowało.

- Ta, o której Lewis mówił niemal przez całe zajęcia. - Podeszła i wepchnęła mi słuchawki w pierś. Spojrzałem w dół. Mierzyłem prawie metr dziewięćdziesiąt, Bonnie była przy mnie malutka. Miała zaledwie jakieś metr sześćdziesiąt, a Easton był kilka centymetrów niższy ode mnie. Najwyraźniej lepiej go karmili.

- Jesteśmy, gwiazdorze, partnerami. Mamy razem komponować.

Przez cały rok.

Wpatrywałem się w nią. Spojrzałem w te brązowe oczy i poczułem, jak los śmiał mi się w twarz. Wydawało się, że nie mogłem uciec przed tą dziewczyną.

- Oczywiście. - Westchnąłem i odwróciłem się do laptopa.

Wcisnąłem klawisz, by zlikwidować wygaszacz, ale Bonnie zamknęła pokrywę.

Pozostawiła dłoń na komputerze. Nie uniosłem głowy, wysyczałem jedynie przez zaciśnięte zęby:

-Powiem ci to tylko raz, Bonnie. Puść mój komputer i wyjdź.

Pracuję.

Nie ruszyła się. Nie zabrała ręki. Przewróciłem oczami i popatrzyłem na nią.

- Nie zepsuj mi tego - powiedziała ze spokojem, ale jej słowa, które wybrzmiały z małomiasteczkowym akcentem, wcale takie nie były.

Usłyszałem w jej głosie drzenie, przez które ścisnęło mnie w piersi.

Odepchnąłem od siebie to uczucie i uniosłem brwi.

- A niby jak mam ci to zepsuć, Farraday? - Wiedziałem, że byłem podły i protekcyjny, ale zaczynała mnie wkurzać.

Z irytacji coś drgnęło na jej policzku, ale wciąż nie zabrała ręki z mojego komputera.

- Ciężko pracowałam, by zejść tak daleko, i nie pozwolę komuś, kto z łatwością prześlizguje się przez życie, by mi to spieprzył.

Wydawała się zdesperowana. Mimo to rozpałił się we mnie ogień.

- Niczego o mnie nie wiesz.

- Nie, nie wiem - odparła. - I nie muszę wiedzieć. Możesz mnie nie lubić, ale utknęliśmy razem w tym projekcie. - Przełknęła ślinę, a jej głos nieco zmiękł. - Nauczanie przez kogoś takiego jak Lewis jest dla mnie spełnieniem marzeń. - Odsunęła dłoń od mojego laptopa.

Wpatrywałem się w miejsce, w którym przed chwilą znajdowały się jej palce. - Nie odbieraj mi tego - powiedziała ciszej.

Nie wiedziałem dlaczego, ale powróciło przeganiane przeze mnie klucie w żołądku. Bonnie włożyła rękę do torebki i wyciągnęła jakiś świstek.

- Asystent rozdawał to przy drzwiach. Wyszedłeś, nim zdołał ci to dać. - Nawet nie spojrzałem na kartkę, która wylądowała na moim blacie.

Westchnęła z frustracją.

-Jest tam napisane, że na piątkowym seminarium musimy przedstawić wstępny szkic naszego projektu. - Założyła kosmyk włosów za ucho. - Nie będzie mnie tu przez kilka dni, więc musimy to teraz omówić.

Myśl o pracy z Bonnie sprawiła, że wzrósł mój niepokój. Nie podobało mi się to. Byłem odrętwiały i było mi z tym dobrze, a z jakiegoś powodu ta dziewczyna rozpaliała życie w mojej martwej duszy.

- Jestem zajęty. - Usiadłem i założyłem słuchawki. Zdołałem puścić dźwięk, nim ekran mojego laptopa znów został zamknięty, tym razem mocniej. Policzyłem do dziesięciu... naprawdę cholernie wolno.

Budził się gniew, z którym żyłem na co dzień.

Zsunąłem słuchawki, zostawiłem je na szyi. Obróciłem się. Bonnie wciąż tu stała, sapiąc ze złości. Zamknęła oczy i opuściła ramiona.

- Cromwell, proszę. Wiem, że jesteś na mnie zły za to, co powiedziałam w Brighton. Słyszysz to, gdy ze mną rozmawiasz, ale musimy zrobić ten szkic.

Krew zawrzała we mnie na samo wspomnienie tamtych słów.

- Nie jestem na ciebie zły. Nie czuję w stosunku do ciebie zupełnie nic - powiedziałem oschle. Nie chciałem, by wiedziała, jak bardzo

poruszyła mnie swoimi słowami.

- Dobrze. W takim razie...

Zacisnąłem usta, gdy zaczęła pocierać ramiona. Wyglądała, jakbym ją skrzywdził. Znowu poczułem w brzuchu wkurzające kłucie. Bonnie podeszła do drzwi, ale się zatrzymała. Obróciła się twarzą do mnie i uniosła głowę.

- Chodź ze mną na kawę. Coś uzgodnimy. Zapiszę wszystko. Nie będziesz musiał robić nic, prócz uczestniczenia w tym projekcie.

Musimy jedynie zdecydować, co takiego zaprezentujemy.

Wypuściłem wstrzymywane powietrze. Chciałem być sam. Lepiej było mi w samotności.

- No chodź, proszę. Później będziesz mógł wrócić do swojego kontrolera bębnow. - Była wytrwała, musiałem jej to oddać.

Naprawdę nie chciałem iść, ale, co dziwne, wstałem.

- Masz godzinę.

Bonnie odprężyła się, gdy poszedłem za nią do drzwi. Zamknąłem je wcześniej na zamek. Obróciłem się, ale musiała zgadnąć, o czym myślałem.

- Easton dał mi klucz. Przeważnie przywożę go z imprez. Logiczne, bym go miała. - Spojrzała w dół. - Ale bez twojego pozwolenia więcej go nie użyję.

Coś we mnie drgnęło, gdy opuściła spojrzenie brązowych oczu.

Natychmiast to od siebie odsunąłem.

Bonnie poprowadziła nas przez skwer. Nie szła obok mnie, ale nieco z przodu, z czym nie miałem problemu. Uśmiechnęło się do mnie kilka dziewczyn, na co podjąłem decyzję, że w tym tygodniu którąś sobie

przygarne. Wydawało mi się, że nie miało być to trudne. Zbyt długo obchodziłem się bez płci przeciwnej i zacząłem być nerwowy.

Rozproszony

Głównie przez Bonnie.

Zatrzymała się przy samochodzie.

- Jeśli mamy tylko godzinę, pojedziemy. Będzie szybciej.

Studenci przyglądali się nam, gdy Bonnie wyjeżdżała z kampusu.

- Tak dla twojej wiadomości, do wieczora będziemy oficjalnie parą  
- oznajmiła.

Spojrzałem na nią, mrużąc oczy.

- Że co?

Wskazała na gapiów.

-Wada takiej małej uczelni. Plotki są tu szybsze od światła.

Rozsiadłem się wygodnie, przyglądając głównej ulicy.

- Super. A już chciałem znaleźć sobie jakąś chętną do łóżka.

Bonnie parsknęła gorzkim śmiechem.

- W niczym ci to nie przeszkodzi. Jesteś tu nową zabaweczką.

Przez to, że kogoś masz, będziesz jeszcze bardziej atrakcyjny.

- Dobrze wiedzieć.

Zaparkowała przed Jefferson Coffee. Wsiadła, torebka z notatkami i Bóg wie, czym jeszcze wisiała na jej ramieniu. Miałem w portfelu jakieś dziesięć dolarów. Włożyłem rękę do kieszeni.

Nie zabierałem ze sobą całego dobytku.

Nigdy wcześniej tu nie byłem, ale lokal przypominał wiele innych hipsterskich kawiarni, jakie widziałem. Miał pomalowane na czerwono ściany, na tyłach niewielką scenę.

- Cześć, Bonnie! - powiedziało przynajmniej pięć osób, gdy przechodziliśmy do stolika na tyłach. Uśmiechnęła się do nich promiennie, ale radosny wyraz twarzy zniknął, kiedy zajęła miejsce i spojrzała na mnie.

Zacisnąłem dłonie w pięści, chociaż nie podobało mi się to, że miała na mnie taki wpływ.

Usiadłem.

Przyszedł jakiś chłopak.

- To co zwykle, Bonnie?

- Tak. Dzięki, Sam.

- Dziś bez Bryce'a? W powszedni dzień chyba nie widziałem cię bez niego.

- Nowy partner — powiedziała, jak gdyby ogłaszała, że ktoś umarł.

Gość spojrzał na mnie. Skinął głową, jakby widział, dlaczego była wkurzona.

- Największą kawę, jaką macie - powiedziałem. - Czarną.

Bonnie otworzyła zeszyt.

- Dobra. Chyba powinniśmy zacząć od tego, co możemy zagrać.

Pomoże to nam zorientować się, jakie mamy mocne strony.

- Zajmuję się tworzeniem jedynie muzyki elektronicznej. Będę

pracował na laptopie, kontrolerze bębnów i tego typu sprzęcie.

Bonnie patrzyła na mnie z pustym wyrazem twarzy.

- Nie możemy komponować za pomocą twojego komputera i syntetyzowanych beatów.

Rozsiadłem się na krześle.

- Ale tylko to potrafię. Pracuję z muzyką syntetyczną. Lewis o tym wie. Zaproponował mi stypendium. Ściągnął mnie tu. Myślisz, że sam znalazłem to zadupie?

- Nie grasz niczego innego? Nie tworzysz muzyki na prawdziwych instrumentach? - Brzmiała podejrzliwie. Jakby wiedziała o mnie coś, czego nie powinna. Zaniepokoiło mnie to.

Zaprzeczyłem, wyciągnąłem ręce i zaplotłem je za głowę. Chciałem jej powiedzieć, że miksowanie elektronicznych beatów było grą na instrumencie, ale nie otworzyłem ust.

- Gram na fortepianie i gitarze. I trochę na skrzypcach, ale nie jestem w tym dobra. - Zmrużyła oczy. Wpatrywała się we mnie uważnie, testowała. - Ale potrafisz czytać i pisać nuty, prawda?

Skinąłem głową, dziękując Bogu, kiedy przyniesiono kawę, za przerwanie tego przekłętą potoku słów. Wychyliłem swoją, jakby była napojem gazowanym. Sam to zobaczył i zapewnił, że przyjdzie mi dolać.

- Lewis chce, żebyśmy mieli przynajmniej temat. Żebyśmy wiedzieli, o czym będzie opowiadał nasz utwór. Co będziemy chcieli przekazać. -

Przechyliła głowę na bok. - Jakies pomysły?

- Nie.

- Myślałam o czymś takim jak pory roku. Może o czymś związanym z naturą. O zmianach, których nie jesteśmy w stanie powstrzymać.

Przewróciłem oczami.

- Jakież to buntownicze. Już słyszę ptasie trele, niknące w basie na moim laptopie. - Znów zachowywałem się jak fiut. Przesadzałem bardziej niż zwykle. Nie potrafiłem się przy niej powstrzymać.

Potała zmęczone oczy.

- Cromwell, musimy przez to przejść, okej? Żadne z nas nie musi się tym cieszyć, ale możemy razem pracować. Mnóstwo muzyków tak robi, tworząc przy tym coś dobrego. - Upiła łyk kawy. - Obstawiam pomysł zmian pór roku. W ten sposób możemy wykorzystać więcej instrumentów i skomponować fragmenty w różnym tempie.

- Dobra - powiedziałem, gdy Sam wrócił i napełnił mi kubek.

Bonnie oparła się na krześle, popijając kawę. Patrzyła na mnie znad napoju.

- Podoba ci się widok? - zapytałem z uśmiechem.

Zignorowała mnie.

- Lewis powiedział mi, że w Londynie byłeś jednym z najlepszych na roku.

Zamarłem, mięśnie się spięły.

- Ktoś powinien powiedzieć Lewisowi, by zamknął gębę.

- Zostawię to tobie. - Oparła podbródek na rękę. - W jaki sposób tu w ogóle przyjechałeś? Masz wizę?

- Podwójne obywatelstwo. Urodziłem się w Stanach



Zjednoczonych. W Charleston.

- Jesteś Amerykaninem? - zapytała zszokowana. - Nie wiedziałam.
- Nie. Jestem Brytyjczykiem.

Prychnęła sfrustrowana.

- Wiesz, o co mi chodzi. Urodziłeś się tutaj?
- Przeprowadziliśmy się do Anglii, gdy miałem siedem tygodni. Od tamtej pory tu nie byłem. Jestem więc takim samym Amerykaninem jak stara dobra Elka.
- Kto?
- Królowa Elżbieta.

Bonnie puściła to mimo uszu.

- Twój rodzice pochodzą więc z Karoliny Południowej?
- Mama.
- A tata?
- Skończyliśmy? - warknąłem. Nie zamierzałem dyskutować z nią o mojej rodzinie. Wskazałem na bazgraninę w zeszycie.
- Pory roku. Wiele instrumentów. Różne tempo. Zapewne wyjdzie z tego jakieś gówno, ale tyle mamy. Skończyliśmy.

Bonnie ponownie się oparła. Otworzyła usta, patrzyła szeroko otwartymi oczami. Odczułem ukłucie wyrzutów sumienia, gdy spojrzałem na jej bladą twarz, ale jak zwykle moje serce skuło się lodem. Byłem w tym dobry.

-Tak. Nieważne - powiedziała ostrożnie, biorąc się w garść. - Z tym mogę coś już zrobić.

Poderwałem się szybko z miejsca, rzuciłem na stół moją dychę.

Krzesełko zazgrzytało na drewnianej podłodze. Wszyscy klienci na mnie popatrzyli. Zanim Bonnie zdołała zaproponować, że mnie odwiezie, wyszedłem z lokalu.

Przeszedłem uliczką i trafiłem do parku, który wiódł do kampusu.

Mięśnie miałem spięte. Wyjąłem papierosy i odpaliłem jednego, ignorując spojrzenia mamusi z dziećmi. Do czasu, gdy dotarłem na sporą łąkę, wypaliłem trzy fajki i miałem we krwi odpowiednią ilość nikotyny. Usiadłem pod drzewem i spojrzałem na gościa, który w oddali ćwiczył *tai chi* czy coś takiego.

Wyglądał jak z obrazka.

Popatrzyłem na słońce. Wiatr był nikły. Roześmiałem się, kiedy usłyszałem nad sobą śpiew ptaków.

Ptaki.

- Pory roku - wymamrotałem pod nosem. Co za banał.

Gdy jednak siedziałem pod drzewem, próbując wypchnąć z głowy kiepski, zbyt popularny koncept, wyobraziłem sobie wstęp do utworu grany krótkimi dźwiękami na flecie. Usłyszałem pojedynczego skrzypka prowadzącego główną melodię.

Wiosna.

Żółć. Wszystkie odcienie żółci.

Otworzyłem oczy i zacisnąłem dłonie w pięści, aż zaczęły boleć.

Obróciłem się i wbiłem je w pień, o który do tej pory się opierałem.

Odsunąłem ręce i zobaczyłem, że obtarłem sobie skórę do krwi.

Poderwałem się z trawy i wróciłem do akademika. Posoka znaczyła

szlak do domu. Potrzebowałem moich beatów. Moich miksów.

Musiałem zapomnieć.

Włożyłem słuchawki, które do tej pory wisiały na mojej szyi, i pozwoliłem, by głośne dźwięki zagłuszyły kolory, myśli i obrazy dręczące mój umysł.

Otworzyłem nową *playlistę* w telefonie i zatraciłem się w ciężkim brzmieniu stylu *garage* i *grime*. Nie była to moja muzyka. Nawet mi się nie podobała. Potrzebowałem jedynie, żeby odciągnęła moje myśli od Lewisa, rodziców, Bonnie Farraday i jej pytań.

Easton leżał na łóżku, gdy wszedłem do pokoju. Zdjąłem słuchawki.

Współlokator wstał i gwizdnął cicho, kręcąc głową.

- Co zrobiłeś, by wkurzyć moją siostrę?

- Jak zwykle byłem czarujący. - Usiadłem do komputera i wróciłem do tego, co przerwała Bonnie, ale pod powiekami zobaczyłem jej zszokowaną i zranioną minę, więc zamarłem.

Easton położył się na moim łóżku. Podrzucał piłkę do futbolu amerykańskiego.

- Tak, cóż, jeśli chciałeś ją wkurzyć, to świetnie ci poszło. -Przestał

bawić się piłką. - Musicie pracować razem?

- Na to wygląda. - Dodałem trochę skrzypiec do kawałka, nad którym się skupiałem. Melodia wyszła idealnie. Nigdy nie otwierałem pliku z *samplami* prawdziwych instrumentów. Wcześniej nie miksowałem za ich pomocą.

Aż do teraz.

Odetchnąłem głęboko.

Zapomniałem o Eastonie, zbyt skupiony na tym, że do tej cholernej piosenki dodałem skrzypce, aż powiedział:

- Wiem, że potrafi być zadziorna, ale bądź dla niej wyrozumiały, dobrze? - Dotarły do mnie jego słowa, jak i brzmiące w nich ostrzeżenie. - Nie jestem pewien, czy zniesie takie szaleństwo. -

Wzruszył ramionami. - Dziewczyna z małego miasta i takie tam. - Zdjął nogi z łóżka. - Idziemy dzisiaj do baru. Tym razem mi się nie wykręcisz.

*Jet lag* już cię nie trzyma. Wystarczająco długo snułeś się jak duch.

Teraz jesteś po prostu nietowarzyskim gnojkiem, a ja nie mogę ci na to pozwolić. Mam reputację, której muszę pilnować.

- Wchodzę, pod warunkiem, że będą laski. - Nie wierzyłem, że naprawdę się zgodziłem, ale chciałem wyrzucić Bonnie z głowy, potrzebowałem, by opuściła moje myśli. Musiałem zaliczyć jakąś panienkę. Chodziło tylko o to. To dlaczego wywierała na mnie taki efekt.

- W końcu! - krzyknął współlokator, klepiąc mnie po plecach. -

Wiedziałem, że nie bez powodu cię polubiłem. -Rzucił piłką przez pokój i trafił do kosza. - Weź fałszywe dokumenty. Będziesz idealnym skrzydłowym. - Zatarł ręce. - Zobaczę mistrza w akcji. Czekałem, aż pokażesz mi swoje sposoby.

- Nie wiem, czy trzeba ci mojej pomocy.

Easton udawał, że się zastanawia.

- Pewnie nie, ale ty i ja, stary. Razem wejdziemy z tutejszymi laskami na zupełnie nowy poziom.

Podszedłem do szafy, wyjąłem czystą koszulkę, przeczesałem palcami zmierzwione włosy.

Dziś miałem pobzykać i zapomnieć o bożym świecie.

Szkoda, że przez resztę wieczoru w głowie kołatały mi się wielkie brązowe oczy i dźwięk pojedynczych skrzypiec.

## **ROZDZIAŁ 7**

*BONNIE*

- Bonnie, Cromwell, pozostańcie w sali. - Uniosłam głowę, gdy usłyszałam profesora. Popatrzyłam na swojego partnera.

Nie spoglądał na mnie za wiele od naszej wizyty w kawiarni.

Właściwie wydaje mi się, że mnie unikał. Teraz jednak dotyczyło to nawet mojego wzroku. Rozsiadł się wygodnie, udając, że nie słyszał

Lewisa.

Wykład dobiegł końca, więc zaczęłam zbierać swoje rzeczy.

- Wszystko w porządku? - zapytał Bryce, rzucając oskarżycielskie spojrzenie w kierunku Cromwella.

- Tak. - Wiedziałam, że musiało chodzić o utwór, który mieliśmy skomponować. Nawet ja, kiedy zaczęłam go pisać, zdałam sobie sprawę, że był słaby. Posłałam przyjacielowi sztywny uśmiech i go objęłam. -

Zobaczymy się później, dobrze? - Bryce ponownie zerknął na Cromwella. - Poradzę sobie - nalegałam.

- Panie McCarthy, chciałbym porozmawiać tylko z tą dwójką -  
powiedział Lewis.

Bryce skinął głową i wyszedł. Podeszłam do biurka profesora, przy którym czekały dwa krzesła. Zająłam jedno z nich. Usłyszałam powolne, ciężkie kroki schodzącego po schodach Cromwella. Chwilę później chłopak usiadł obok mnie. Poczułam zapach jego perfum.

Były mocne, z nutą pikanterii.

To pierwszy raz, gdy musiałam porozmawiać z profesorem.

Konsultacje miały zacząć się dopiero za tydzień. Lewis wziął zarys utworu, który przygotowałam, i położył go na blacie przed nami.

- Chciałem porozmawiać z wami o waszej potencjalnej pracy. -

Przełknęłam ślinę, żołądek skurczył mi się z nerwów.

- Zapowiada się dobrze. Konspekt jest w porządku. - Spojrzał na mnie, wiedząc najwyraźniej, że to ja byłam jego autorką.

- Ale w całości nie ma... z braku lepszego słowa, uczucia. -

Sapnęłam, gdy profesor zadał ten cios. Nie popatrzyłam na Cromwella.

Był to ten sam tekst, którym obdarowałam go w Brighton.

Lewis otarł twarz i spojrzał na mojego towarzysza, który gapił się w podłogę. Rozzłościłam się. Chłopak wydawał się nigdy niczym nie przejmować. Nie rozumiałam, w jaki sposób został wybrany, by studiować u Lewisa, skoro w stosunku do muzyki cechowała go taka postawa.

- Najsłynniejszym dziełem Vivaldiego były *Cztery pory roku* -

powiedział profesor, po czym spojrzał na zarys. - Chcę, by moi studenci byli oryginalni. Żeby w komponowaniu wyrażali siebie, a nie, by

odtworzali pomysły innych mistrzów. - Pochylił się, w jego oczach zobaczyłam pasję do tego projektu. - Chcę, żeby było to tylko wasze dzieło. Płynące z serca. Włóżcie w to swoje emocje. Problemy, z którymi musicie się mierzyć. - Oparł się na krzesło. - Powiedzcie, kim jesteście. Tchnijcie w ten utwór wszystko, kim jesteście.

- Poprawimy się - stwierdziłam. - Prawda, Cromwell? - Kiedy milczał, miałam ochotę krzyczeć z frustracji.

Lewis ponownie wstał.

- Zostańcie w tej sali. Aż do popołudnia jest wolna. Zobaczcie, czy do czegoś dojdziecie.

Profesor wyszedł, zapanowała ogłuszająca cisza. Zakryłam twarz rękami i wzięłam głęboki wdech. Nie zdołałam się jednak uspokoić. Gdy spojrzałam na Cromwella i jego beznamiętną postawę, serce skurczyło mi się, bo pomyślałam o muzyku, jakim według mnie kiedyś był. Tym, który najwyraźniej już nie istniał.

- Naprawdę masz to gdzieś? - zapytałam szeptem.

Popatrzył mi w twarz, a jego oczy wydawały się bez życia.

Zimne.

- Tak, chyba tak. - Akcent sprawił, że jego odpowiedź brzmiała kpiąco i protekcyjnie.

- Dlaczego tu w ogóle jesteś? - Wstałam i potarłam mostek, za którym serce kołatało gwałtownie z rosnącej we mnie frustracji. - Nie grasz na instrumentach. Nie przejmujesz się projektem. Widziałam cię na innych wykładach i wydawało mi się, że ciekawią cię one równie mocno jak ten. - Nakręciłam się i nie potrafiłam przestać. Chodziłam, ale zatrzymałam się i wzięłam pod boki, gdy nagły gniew sprawił, że dech uwiązł mi w gardle. - W tym tygodniu prosiłam o spotkanie aż trzykrotnie. Odmówiłeś. Mimo to wiem, że wychodziłeś z moim bratem, piłeś i zabawiałeś się z połową studentek tej uczelni.

Cromwell uniósł brwi. Posłał mi nikły uśmiech. Popełnił jednak błąd. Na ten widok coś we mnie pękło.

- Słyszałam, jak miksujesz, Cromwell. Nie zapominaj o tym. -

Parsknęłam śmiechem. Co niby miałam zrobić? Widziałam, jak moje marzenia związane z tym rokiem przesypują się niczym piasek w klepsydrze. - Pojechałam pociągiem do Brighton, by cię posłuchać, ale rozczarowałeś mnie. - Wzięłam torebkę. - Widzę, że nie ma w tobie chęci ani pasji do muzyki, a zostałeś wciśnięty w ten pełen program z Bóg wie jakiego powodu. Nie mam pojęcia, co Lewis w tobie widzi, ale będzie bardzo rozczarowany, gdy to coś się nie objawi. - Spojrzałam mu prosto w oczy - Mnie już zawiodłeś. - Wyrzuciłam z siebie gniew, więc stanęłam przed chłopakiem i poprosiłam spokojniej: - Spotkaj się dziś ze mną w Jefferson Coffee. Możemy spróbować to naprawić i postarać się, byśmy dostali dobre stopnie. Przyjdź o siódmej.

Nie czekałam na jego odpowiedź. Nikt nie zaszedł mi za skórę tak bardzo, jak on. Wyszłam z budynku. Na zewnątrz było ciepło, choć lato stopniowo zaczynało się ochładzać. Oparłam rękę na ścianie i oddychałam. Poruszyłam się dopiero, gdy usłyszałam za plecami głosy.

Powoli, nadal próbując uspokoić rozszalałe serce, poszłam do akademika i położyłam się na łóżku. Zamknęłam oczy, ale umysł podsuwał mi obrazy Cromwella.

Pomyślałam o przedstawiającym go nagraniu, które widziałam wiele lat temu. Gdzie się podział tamten chłopiec? Co się stało, że stracił całą swoją pasję? Chłopak, którego oglądałam przez te wszystkie lata, umarł.

Kiedyś grał z wielkim przekonaniem, determinacją i z duszą. Teraz we wszystkich aspektach był zimny. Grał coś, co nie miało znaczenia. I nic przy tym nie czułam. Do świata nie trafiał żaden przekaz.

A moje marzenie, by odnieść sukces u Lewisa, spoczywało w jego dłoniach.



\*\*\*

- Dolać, Bonn? - Przeniosłam wzrok z okna na Sama, który stał obok mnie z prawie pustym dzbankiem.

- Nie. - Obdarowałam go sztywnym uśmiechem. - Chyba. .. znów mnie wystawił.

- Cromwell?

-Jak do tego doszedłeś?

- Przeczucie. — Uśmiechnął się. — Przynajmniej pijesz bezkofeinową. Gdyby była normalna, nie spałabyś całą noc.

Ponownie się uśmiechnęłam, ale byłam pewna, że dostrzegł smutek na mojej twarzy.

- Pozbieram swoje rzeczy i pójdę. Która w ogóle jest godzina? -

Rozejrzałam się po kawiarni, zobaczyłam, że obsługa zaraz ją zamknie.

Krzesła stały do góry nogami na stołach, podłoga właśnie została zmyta.

- Przepraszam, Sam. Powinieneś powiedzieć mi wcześniej.

- Żaden kłopot. Wyglądałaś, jakbyś usilnie nad czymś pracowała.

Nie chciałem ci przeszkadzać.

- Dziękuję.

- A w ogóle jest wpół do dwunastej. W razie gdybyś nadal się zastanawiała.

Posłałam mu kolejny sztywny uśmiech, po czym założyłam torebkę na ramię. Włożyłam sweter. Było zimno, a ja byłam zmęczona.

Przyszłam tutaj, bo chciałam się przewietrzyć i rozruszać kończyny.

Szłam główną ulicą, ale zatrzymałam się, mijając Wood Knocks -

bar, do którego uczęszczała większość. Pod nim znajdował się klub, do którego schodzono w okolicach północy. Jeśli nic nie działo się w Spichlerzu, wszyscy siedzieli w Wood Knocks. Taniec, tanie piwo i swobodna postawa wobec fałszywych dokumentów były wstępem do zaciągnięcia kogoś do łóżka.

- Kieliszki, sukinsyny! - Natychmiast rozpoznałam głos brata.

Zerknęłam przez okno i zobaczyłam, że Easton stał na stole. Jego donośny głos odbijał się od ścian. Nie mogłam uwierzyć, że znów się upił. To kolejna rzecz, która mnie martwiła. Za dużo imprezował.

- Cromwell, pakuj tu dupę - powiedział z okropnym angielskim akcentem. - Tutaj, chłopcze! - Rozejrzał się po zebranych. - Gdzie on się podział?

Parsknęłam, nie dowierzając. Odeszłam, zanim zdołałabym zobaczyć twarz Cromwella. Gdybym go spotkała, mogłabym się wygłupić, wydzierając się za to, że wystawił mnie w kawiarni na niemal pięć godzin, bym sama zajęła się projektem.

Przyspieszyłam, idąc w stronę kampusu, przebierając nogami szybciej, niż było to rozważne. Dotarłam do pokoju, ale zatrzymałam się z ręką na klamce, zmieniłam zdanie i poszłam do budynku wydziału muzycznego. Nawet przed przybyciem Lewisa na uczelnię, pomieszczenia były otwarte dla studentów o każdej porze dnia i nocy.

Władze rozumiały, że wena niekoniecznie przychodziła w dzień.

Większość artystów tworzyła nocami. A przynajmniej ci, których znałam.

Przesunęłam kartą przez czytnik i przemierzyłam korytarz.

Upuściłam torebkę na podłogę, gdy usłyszałam dźwięk pianina.

Zatrzymałam się blisko drzwi, zamknęłam oczy, a na mojej twarzy pojawił się uśmiech. Zawsze tak było. Ilekroć słyszałam melodię, coś budziło się w moim wnętrzu. Muzyka wsiąkała we mnie niczym mżawka w ubranie chłodnego dnia. Czułam ją w kościach.

Nic mnie tak nie uszczęśliwiało, jak perfekcyjne dźwięki instrumentu, jakie wydawał on w tej chwili. Uwielbiałam wszystkie, ale pianino sprawiało, że czułam więcej. Może dlatego, że nigdy nie potrafiłam na nim zagrać tak pięknie, jak osoba, która robiła to teraz.

Nie wiedziałam. Miałam jedynie świadomość, że nuty chwyciły mnie za serce i nie chciałam, by kiedykolwiek puściły.

Dźwięk umilkł. Otworzyłam oczy. Ruszyłam, by skorzystać z pianina w innej sali, ale usłyszałam skrzypce. Zamarłam i odetchnęłam głęboko.

Melodia i każde muśnięcie smyczka były idealne. Wsłuchiwałam się uważniej, próbując rozpoznać utwór lub chociaż kompozytora, ale... nie potrafiłam.

Zrozumiałam, że wykonawca był twórcą tej melodii.

Kiedy umilkły skrzypce i korytarzem poniosł się dźwięk klarnetu, zdałam sobie sprawę, że wszystko to płynęło z największej sali, w której przechowywano

instrumenty

przeznaczone

do

kształcenia

muzycznego.

Zamknęłam

oczy

i

słuchałam

osoby,

która

wypróbowywała je po kolei.

Nie byłam pewna, jak długo tam stałam, ale gdy zapadła cisza, moje uszy oplakiwały brak zapierającej dech w piersi melodii. Westchnęłam.

Czułam się tak, jakbym nie oddychała, odkąd usłyszałam pierwsze nuty tej podróży po instrumentach.

Wpatrywałam się w drzwi. Szybę zasłonięto roletą. Stałam, zbierając myśli, kiedy ponownie rozległ się dźwięk pianina. W przeciwieństwie do reszty melodii, ta była jakaś inna. Czułam się inaczej. Powolne takty były ponure, towarzyszył im głębszy ton klawiszy. Poczułam ucisk w gardle z powodu smutku, jaki niosła ze sobą ta melodia.

Wraz z muzyką do oczu napłynęły mi łzy. Zanim zorientowałam się, co robię, poruszyłam nogami. Złapałam dłonią za kłamkę, ale jej nie nacisnęłam.

Nie zrobiłam tego, ponieważ w szczelinie zobaczyłam pianistę.

Zapomniałam, jak się oddycha, gdy spojrzałam na twórcę, na mistrza

tego pięknego dźwięku.

Widziałam w życiu wiele występów, jednak nic nie równało się surowości tego, co dziś usłyszałam. Powiodłam wzrokiem za palcami tańczącymi na klawiszach niczym ptactwo wodne na tafli jeziora.

Przeniosłam spojrzenie na wytatuowane ramiona, widoczne w całej okazałości dzięki koszulce bez rękawów, na policzki z ciemnym zarostem i srebrne kolczyki.

Dostrzegłam pojedynczą łzę. Spływającą po opalonym policzku kroplę, która rozprysnęła się na klawiszach z kości słoniowej, opowiadających historię pełną bólu, cierpienia i żalu.

Serce mi się ścisnęło, reagując na tę opowieść bez słów. Gdy przyglądałam się twarzy Cromwella, czułam, jakbym zobaczyła ją po raz pierwszy. Zniknęła arogancja i wściekłość, które nosił jak tarczę.

Chłopak, którego nie rozpoznawałam przestał się chronić i siedział odsłonięty.

Nigdy nie widziałam nikogo tak pięknego.

Stałam tam z sercem w gardle, słuchając jego gry. Obserwowałam nieruchomy wyraz jego twarzy, na której łzy ukazywały ból. Palce ani razu nie trafiły w fałszywą nutę. Idealnie opowiadały historię, którą całkowicie rozumiałam, choć była mi obca.

Dłonie zwolniły. Przyjrzałam się uważniej i zobaczyłam, że drżały.

Tańczyły jednak aż do ostatniej długiej, żalosnej nuty, która zamknęła tę piękną melodię.

Cromwell zwiesił głowę, zatrząsły się jego ramiona. Gdy poczułam głębię jego smutku, zadrżała moja dolna warga.

Otarł oczy i unióśł głowę.

Obserwowałam, jak odetchnął, jak siedział w ciszy. Patrzyłam z zadumą, gdy coś do mnie dotarło - Cromwell Dean był nadzieją, o której zawsze marzyłam.

Wziął głęboki wdech. Moje serce zabiło szybciej na ten widok.

Klamka poruszyła się pod moją dłoń, drzwi się otworzyły, ujawniając mnie.

Cromwell spojrzał w moją stronę, bo w ciszy zgrzyt zawiasów rozbrzmiał niczym grzmot. Z pięknej twarzy odpłynęła krew, gdy chłopak popatrzył mi w oczy.

Postawiłam krok w przód.

- Cromwell, ja...

Wstał od pianina tak gwałtownie, że wywróciła się ławeczka, na której siedział. Odwrócił się, a w ciemnoniebieskich oczach pojawił się gniew. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale milczał.

Rozejrzał się po sali, popatrzył na instrumenty, na których grał, jakby zdradziły jego tajemnicę.

- Słyszałam cię. - Weszłam głębiej do sali. Dolna warga drżała mi ze strachu. Nie bałam się chłopaka, ale tego, co mogła oznaczać ta chwila. Tego, kim naprawdę był. Co w sobie miał.

Kim mógł być.

- Twój talent... - Pokręciłam głową. - Cromwell... Nigdy nie wyobrażałam sobie...

Odwrócił się ode mnie i przeszedł na skraj sali, jakby chciał z niej uciec. Wyciągnęłam rękę, pragnąc go dotknąć, dać ukojenie, bo oddychał pospiesznie, gdy zagubionym wzrokiem szukał tego, co mógłby teraz zrobić. Podszedł do mnie, ponieważ jedyne wyjście znajdowało się za moimi plecami. Miał szeroko otwarte oczy i bladą cerę. Zatrzymał się w niewielkiej odległości ode mnie, garbiąc z wyczerpania.

Wydawał się załamany.

Jego kolczyki połyskiwały w słabym świetle, w którym grał. Niezbyt mocny reflektor nie śmiał rzucać jasnego światła na artystę, który nie chciał ujawniać swojego talentu.

Z bliska widziałam wilgoć na jego skórze, resztki łez spływających po policzkach. Znow się zbliżył, próbując się wydostać. Nigdy go takim nie widziałam. Bez arogancji. Bez tej wyniosłej postawy.

Cromwell Dean był nagi.

Jego oddech owiał moją twarz. Mięta i tytoń oraz coś słodkiego.

- Bonnie - szepnęła. Poraziło mnie padające z jego ust moje imię.

Ochrypli głos brzmiał, jakby wołał o pomoc.

- Słyszałam cię. - Spojrzałam w jego błyszczące oczy. Serce mocniej mi zabiło. Cisza w sali była na tyle głęboka, że dało się słyszeć bicie naszych serc.

Cromwell zatoczył się i uderzył plecami w ścianę. Spojrzenie niebieskich oczu skupił na pianinie stojącym po drugiej stronie sali. Po wyrazie jego twarzy nie potrafiłam stwierdzić, czy patrzył na nie jak na zbawcę, czy wroga.

Nagle odepchnął się od ściany i pobiegł, by zabrać coś z pokrywy instrumentu. Później próbował mnie wyminąć. Kiedy otarł się o mnie ramieniem, zareagowałam instynktownie i położyłam rękę na jego skórze. Zamarł i zwiesił głowę oraz szerokie ramiona. Zamrugłam, by rozgonić łzy, które nabiegły, gdy zobaczyłam go takiego zagubionego.

Udręczonego.

Obnażonego.

- Proszę... puść mnie - powiedział.

Moje serce zgubiło rytm, kiedy usłyszałam desperację w jego głosie.

Powinnam była zrobić to, o co prosił, ale nadal go trzymałam. Nie mogłam pozwolić, by wyszedł stąd w takim stanie. W tamtej chwili stwierdziłam, że nie chciałam go puścić.

- Sposób, w jaki grałeś... - Pokręciłam głową, bo zabrakło mi słów.

Cromwell westchnął, wypuścił drżący oddech, po czym uniósł coś do piersi. Odsunęłam się, bym mogła zobaczyć, co to takiego. W drżących palcach trzymał nieśmiertelnik. Ścisnął go tak mocno, że pobieleły mu knykcie.

Zacisnął mocno powieki, a ja spięłam się ze współczuciem, gdy z jego oka popłynęła łza. Chciałam ją otrzeć, ale się powstrzymałam. Nie byłam pewna, czy mi na to pozwoli. Kiedy otworzył oczy, na jego twarzy malowała się czysta udręka.

- Bonnie... - szepnął z mocnym akcentem i popatrzył mi w oczy.

Zawsze uważałam, że jego akcent był protekcyjny, ale w tej chwili był ujmujący.

Odsunął się ode mnie, przeszedł do drzwi. Na drewnianej podłodze rozbrzmiały ciężkie kroki.

- Cromwell! - zawołałam za nim. Przystanął, ale się nie odwrócił.

Pragnęłam, by został. Nie wiedziałam, co powiedzieć, ale nie chciałam, żeby wychodził. Wydawało mi się, że czekałam całą wieczność z sercem w gardle na to, co zrobi, czy się odwróci i do mnie podejdzie, ale drzwi otworzyły się i zamknęły, zostałam sama.

Próbowałam złapać dech. Chciałam za nim pobiec, ale nie mogłam się ruszyć, nie potrafiłam przetworzyć widoku załamanego chłopaka przy pianinie. Wzięłam dziesięć głębokich oddechów, zanim zdołałam zrobić krok.

Podeszłam do instrumentu i podniosłam przewróconą ławeczkę.



Usiadłam, dotknęłam klawiszy. Wciąż były odrobinę ciepłe.

Dotknęłam czegoś mokrego. Najwyraźniej były to jego łzy.

Nie wytarłam palców.

Ułożyłam ręce i zaczęłam grać coś, co sama napisałam. Zamknęłam oczy, otworzyłam usta, uwalniając radość. Słowa do tej melodii były modlitwą, która została wysłuchana. Śpiewaną poezją, która powstała w sercu, a popłynęła z duszy.

Śpiewałam cicho piosenkę, którą napisałam tylko dla siebie. Tę, która była znacząca, która stała się moim hymnem. Tę, dzięki której byłam silna.

Miała być śpiewana z akompaniamentem gitary akustycznej, mimo to siedziałam przy tym pięknym instrumencie. Umiejętnie przesuwałam palcami po klawiszach z kości słoniowej, ale kiedy melodia zbliżała się ku końcowi, zamknęłam pokrywę. Wiedziałam, że po tym, co powołał tu do życia Cromwell, moja gra nie była godna tego pianina.

Spojrzałam na drzwi, w myślach zobaczyłam zagubione oczy chłopaka i usłyszałam jego drżący głos. Odetchnęłam głęboko, próbując odnaleźć w sobie niechęć do niego, która zrodziła się we mnie już przy naszym pierwszym spotkaniu.

Ale żadnej nie było. Pomimo chamstwa i arogancji, jakie okazywał mi od wielu dni. Wiedziałam teraz, że za tatuażami, ciemnymi włosami i niebieskimi oczami krył się ból. Natychmiast przestałam myśleć o nim tak jak wcześniej.

Po moim policzku spłynęła łza. Cromwell Dean cierpiał tak mocno, że nie miał już w sobie radości z muzyki, którą tak niegdyś kochał. Ból był tak wielki, że chłopak ronił łzy.

Współczułam mu, ponieważ znałam ten rodzaj udręki.

W najbardziej nieprawdopodobnym miejscu i czasie odnalazłam z Cromwellem Deanem wspólną cechę, ale czy kiedykolwiek wyjawimy sobie nasze tajemnice?

Westchnęłam.

Pewnie nie.

## **ROZDZIAŁ 8**

### *CROMWELL*

Owiał mnie wiatr, gdy przemierzyłem skwer, na środku którego znajdował się pomnik z brązu, przedstawiający jakiegoś dawnego absolwenta. Rozejrzałem się po ciemnych krańcach trawnika, podświetlonych starymi ulicznymi latarniami.

Mocno zaciągnąłem się dymem, pragnąc, by nikotyna nieco mnie uspokoiła. Bez skutku. Pozwoliłem, żeby nogi poprowadziły mnie tam, gdzie same chciały. Nie powstrzymało to drżenia rąk. Nie ukoilo pospiesznego bicia serca. Pieprzone łyżki też nie chciały przestać płynąć.

Palce zaciskane na metalu bolały mnie tak mocno, że zastanawiałem się, czy wróci mi jeszcze do nich czucie. Szedłem i szedłem, aż znalazłem się nad jeziorem. Panowała tam cisza, nie było żadnych oznak życia. Widziałem tylko przywiązane do pomostu łódzie i światła pochodzące z odległego, znajdującego się na brzegu baru. Stopy zaniosły mnie na koniec pomostu, nim się poddały. Opadłem na kolana.

Usłyszałem chłopot wody, która uderzała o drewniane bele. Przed oczami zobaczyłem jasny fiolet, w ustach poczułem smak cynamonu.

Jęknąłem cicho, nie chcąc tego. Nie chciałem barw, smaków, odczuć...

- Synu - szepnął z błyszczącymi oczami. - Jak... W jaki sposób możesz tak grać?

Wzruszyłem ramionami i zabrałem ręce z klawiszy fortepianu. Tata pogłaskał mnie po głowie i uklęknął obok.

- Ktoś cię tego nauczył ?

- Po prostu... - Zamknąłem pospiesznie usta.

- Co, po prostu? - Uśmiechnął się. - No dalej, koleżko, obiecuję, że nie będę się złościł. - Nie chciałem, żeby się na mnie zdenerwował. Spędził

wiele miesięcy w wojsku i właśnie wrócił. Chciałem, by był dumny, a nie zły.

Przełknąłem ślinę przez ściśnięte gardło i powiodłem palcami po klawiszach. Nie wydały dźwięku.

- Po prostu gram - szepnąłem. Spojrzałem na tatę. Uniosłem dłonie.

- Wiedzą, co robić. - Wskazałem głowę. - Podążają za kolorami. I smakami. - Wskazałem tors i brzuch. - I tym, jak się czuję.

Tata zamrugał, po czym nagle mnie przytulił. Tęskniłem, kiedy go nie było. Nie byłem sobą, gdy wyjeżdżał. Kiedy się odsunął, powiedział:

- Zagraj raz jeszcze, Cromwell. Daj mi posłuchać.

Spełniłem polecenie.

Po raz pierwszy na twarzy taty dostrzegłem wzruszenie.

Grałem więc dalej...

Gwałtownie wciągnąłem wilgotne powietrze. Poruszyłem nogami,

plecy przycisnąłem do drewnianej bariery. W oddali płynął kajakiem jakiś człowiek. Zastanawiałem się, co robił tu w środku nocy, ale pomyślałem, że mógł być taki jak ja. Może nie odpoczywał, nawet gdy zamykał oczy. Zamiast tego widział niszczące go wspomnienia. Kiedy patrzyłem na wodę falującą pomiędzy jego wiosłami, żałowałem, że nie mogłem być na jego miejscu. Płynąć bez celu. Po prostu płynąć.

Przed oczami stanęła mi twarz Bonnie. Czułem, że nieśmiertelnik wrzynał mi się w dłoń. Spojrzałem w dół i przypomniałem sobie, jak układałem palce na klawiszach pianina. Spostrzegłem jednak wytatuowane czaszki i numer, który był dla mnie święty. Wszystko to drwiło ze mnie.

Do sali musiała wejść akurat Bonnie Farraday. O północy, gdy wszyscy inni byli w barach lub łózkach. Dziewczyna, która zdołała do mnie dotrzeć. Sprawić, że poczułem to, czego już nigdy nie chciałem czuć. Pokręciłem głową i wolną ręką otarłem twarz.

Zaczęło się od listu...

*Wpadnij o piątej do mojego gabinetu, Profesor Lewis.*

Poszedłem więc i usiadłem naprzeciw niego. Przyglądał mi się w milczeniu. Spotkałem się z nim już kilkakrotnie. Głównie, gdy byłem młodszy... I tuż przed tym, jak...

Poznałem go, gdy pojechałem z rodzicami obejrzeć jego poczynania w Royal Albert Hall. Słyszał o mnie i zaprosił nas do siebie.

Minęły lata i przestał się ze mną kontaktować. Przynajmniej wtedy, kiedy chciałem jego pomocy.

Teraz ledwie wiedziałem, kim był.

- Jak sobie radzisz, Cromwell? - zapytał z akcentem podobnym do mamy, choć u niej po latach spędzonych w Anglii już się to nieco zmieniło.

- Dobrze - wymamrotałem i spojrzałem na dyplomy zawieszane na ścianach i zdjęcia, na których dyrygował orkiestrą w Royal Albert Hall na gali BBC.

Przypomniałem sobie woń tego miejsca - drewno i żywica.

- A co myślisz o Uniwersytecie Jeffersona Younga?

-Jest nudny.

Lewis westchnął. Przysunął się, a na jego twarzy malowała się troska. Chwilę później zrozumiałem, o co chodziło.

- Rano spojrzałem na datę - umilkł. - Wiem, że to rocznica...-

Odchrząknął. - Spotkałem się z twoim tatą tylko kilka razy, ale często rozmawialiśmy. Wierzył... że masz tak wielki...

Pobladłem. Nie wiedziałem, że tata często z nim rozmawiał.

Zamknąłem oczy i odetchnąłem.

Wystarczyło sprawdzić w wyszukiwarce Google, kiedy i jak do tego doszło. Obcy ludzie - lub ci, których ledwo znałem - mogli poznać historię ze szczegółami, gdyby wpisali tam nazwisko taty. Mogli przeczytać o jego śmierci, jakby go znali. Jakby tam byli, gdy to wszystko się wydarzyło...

Ale nie mogłem tego teraz rozważać. Nie potrafiłem stawić temu czoła z profesorem, którego nie znałem za dobrze. Być może zaproponował mi stypendium, ale przecież on również mnie nie znał.

Nie miał prawa się mieszać.

Poderwałem się z miejsca i rzuciłem do drzwi.

- Cromwell! - usłyszałem, gdy spieszyłem się, by odejść.

Studenci omijali mnie szerokim łukiem, kiedy przemierzałem

korytarz. Potrąciłem jakiegoś kretyna, który się obrócił, po czym rzucił:  
- Uważaj, dupku!

Złapałem go za szmaty i pchnąłem na ścianę.

- Sam uważaj, frajerze, nim przefasonuję ci gębę. - Chciałem mu przywalić. Musiałem uwolnić się od tego gniewu, zanim zrobię coś, czego będę żałował.

- Cromwell! - Ponad zebrany mi poniósł się głos Eastona.

Szarpnąłem kutasa, którego trzymałem przy ścianie, i rzuciłem go na podłogę. Spojrzał na mnie, wytrzeszczając oczy.

Odwróciłem się i wyszedłem, po czym rozejrzałem się na prawo i lewo, zastanawiając się, dokąd iść.

Dogonił mnie Easton. Zaszedł mi drogę.

- East, na Boga, odsuń się.

- Chodź ze mną - powiedział.

- East...

- Po prostu chodź.

Poszedłem więc.

Pomachała do mnie jakaś laska.

- Cześć, Cromwell.

- Nie teraz - warknąłem i wsiadłem do pickupa współlokatora.

Easton wyjechał z kampusu i po raz pierwszy w życiu domyślił się, że lepiej nie otwierać ust.

W kieszeni zaczął wibrować mi telefon. Dzwoniła mama. Przez cały

dzień próbowała się ze mną skontaktować. Odebrałem z zaciśniętymi zębami.

- Cromwell - powiedziała z ulgą.

- Czego?

Nastąpiła chwila ciszy.

- Chciałam sprawdzić, czy wszystko dziś u ciebie w porządku, kochanie.

-Tak-odparłem, zmieniając pozycję na siedzeniu. Musiałem wysiąść z tego auta.

Mama pociągnęła nosem, a we mnie uderzyła lodowata wściekłość.

- Dla nas obojga to trudny dzień.

Skrzywiłem się z niesmakiem.

-Tak, cóż, masz nowego męża. Idź się wypłakać do niego.

Rozłączyłem się, gdy Easton przystanął przy zalesionym terenie.

Wyskoczyłem z samochodu i pomaszerowałem przed siebie, nie wiedząc, dokąd idę. Wpadłem między drzewa i podszedłem do wody. Zamarłem.

Zamknąłem oczy i stałem, próbując się uspokoić. Oddychałem, napinając brzuch, odczuwając cały ból, który wiązał się z dzisiejszym dniem.

Opadłem na ziemię, cały czas wpatrując się w wodę. Nie wiedziałem nawet o istnieniu tego miejsca, nie sądziłem, że coś takiego znajduje się tak blisko kampusu.

Easton znalazł się tuż obok. Wyrzuciłem z głowy rozmowę z mamą.

Zwalczyłem gniew na tego wścibskiego drania Lewisa i po prostu oddychałem.

- Przychodzę tu, gdy jestem w takim właśnie nastroju. -Siedząc, Easton pochylił się i objął ugięte kolana. - Spokojnie tu, nie? Jakby nie było tu nikogo innego, tylko ty. - Parsknął śmiechem. - Cóż, my.

Wsunąłem palce we włosy i zwiesiłem głowę. Zacisnąłem mocno powieki, ale widziałem jedynie twarz taty. Przypomniałem sobie ostatni raz, gdy z nim rozmawiałem. Podłesłowa i jego minę, kiedy odwróciłem się plecami i odszedłem.

Nie mogłem tego znieść.

Spojrzałem na taflę jeziora. Przyszedłem na świat w Karolinie Południowej, mimo to zupełnie nic nie łączyło mnie z tym miejscem.

Widok, który miałem przed sobą, nie przypominał domu. Było tu za gorąco, a drzewa miały bladozielony kolor. Po raz pierwszy od przyjazdu tutaj poczułem tęsknotę, choć nie wiedziałem dokładnie za czym. W Anglii przez dłuższy czas nie czułem się jak w domu. Moja relacja z mamą się pogorszyła i nie miałem przyjaciół, a przynajmniej nie takich prawdziwych.

Upłynął chyba z wiek, nim się uspokoiłem. Easton zniknął jakiś czas temu. Gdy ponownie się pojawił, trzymał piwo. Postawił między nami sześciopak. Otworzyłem butelkę zębami. Wypuściłem powietrze zaraz po tym, gdy upiłem łyk.

-W porządku? - zapytał.

Przytaknąłem. Stuknęliśmy się butelkami.

- Wood Knocks. Dziś wieczór. Porzucimy myśli. Pomogę ci zapomnieć.

Ponownie skinąłem głową, następnie wychyliłem trzy piwa.

Zrobiłbym wszystko, by tylko się tak nie czuć.



\*\*\*

Ręce jakiejś laski pogłaskały mnie po brzuchu, wsunęły się pod pasek jeansów. Odchyliłem głowę i oparłem ją o ścianę. Usta ssały moją szyję, palce owinęły się wokół mojego członka.

- Cromwell - szepnęła. - Będę się tym cieszyć.

Rozglądałem się po słabo oświetlonym pomieszczeniu.

Znajdowaliśmy się w szatni, w której zimną można było zostawić kurtkę. Na podłodze leżały trociny. Były tam również łupiny orzechów.

Dziewczyna trzymała w ręce mojego fiuta. Przyciskała wargi do mojej szyi. Wkurzała mnie.

-Jesteś taki seksowny - powiedziała cicho.

Nie chciałem tego robić.

Przewróciłem oczami, odsunąłem ją od siebie i odepchnąłem jej rękę. Wyszedłem z szatni i wmieszałem się w tłum, zebrany najwyraźniej przez Eastona w ciągu godziny, w której wróciliśmy do akademika i przyszedliśmy tutaj.

Słyszałem go. Byłem pewien, że głos mojego współlokatora było słyhać nawet z kosmosu. Wybiegłem na ulicę i się rozejrzałem. Nie zastałem ani żywej duszy. Wszyscy byli w środku.

Sklepy i restauracje zdawały się lekko kołysać. Przetarłem twarz.

Wypiłem za dużo.

— Gdzie jest Cromwell? — pytała w środku jakaś dziewczyna.

Poszedłem w kierunku kampusu, nim ktokolwiek zdołał pojąć, że się ulotniłem. Wracałem na chwiejnych nogach, ale kiedy zbliżyłem się do akademika, nie chciałem się w nim znaleźć.

Nie myślałem o tym, co robię. Nie wiedziałem, gdzie idę, póki nie znalazłem się pod wydziałem muzycznym. Wpatrywałem się w zamknięte drzwi i czytnik kart, który mógł mnie wpuścić. Oddychałem ciężko, jakbym właśnie przebiegł maraton. Próbowałem się odwrócić, ale nogi nie chciały mnie słuchać.

Oparłem głowę o drzwi i zamknąłem oczy...

*Uniosłem ręce nad klawiszy i zamrugalem. Gdy grałem, moje myśli zawsze udawały się gdzie indziej. Zmieniały się, przekształcały w kolory i wzory. Było tak, póki nie skończyłem i powracała do mnie rzeczywistość.*

*Publika zaczęła klaskać. Wstałem i spojrzałem w tłum. Dostrzegłem mamę, która ze łzami w oczach klaskała na stojąco. Uśmiechnąłem się do niej i zszedłem ze sceny.*

*Gdy rozluźniłem muszkę, zaczepił mnie kierownik muzyczny.*

- *Wspaniale, Cromwell. Było cudownie. Nie wierzę, że masz dopiero dwanaście lat.*

- *Dziękuję - powiedziałem i wszedłem za kulisy, gdzie mogłem się przebrać.*

*Idąc, patrzyłem pod nogi. Cieszyłem się, że oglądała mnie dziś mama, ale osoby, której obecności najbardziej pragnąłem, nie było.*

*Nigdy go nie było.*

*Kiedy wyszedłem zza rogu, kątem oka zobaczyłem jakiś ruch.*

*Uniosłem głowę. Pierwsze, co spostrzegłem, to kolor khaki.*

*Wytrzeszczyłem oczy.*

*-Tata?*

*- Cromwell — powiedział. Nadal nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Serce kołatało mi w piersi, gdy podbiegłem do ojca i objąłem go w pasie.*

*- Byłeś niewiarygodny -pochwalił, tuląc mnie do siebie.*

*- Widziałeś?*

*Przytaknął.*

*- Nie przegapiłbym tego.*

Kiedy uniosłem głowę, znajdowałem się w sali muzycznej. W dłoni trzymałem legitymację studencką. Byłem w pomieszczeniu, na końcu którego na stelażach poukładano instrumenty.

Dłonie mrowiły mnie, by ich dotknąć. Chciałem obwinić o to alkohol. Pragnąłem zrzucić winę na wszystko, prócz własnej chęci przebywania w tym miejscu. Potrzeby zagrania na tych instrumentach.

Podszedłem do pianina i dotknąłem go. Czułem się, jakby ktoś rozrywał moje wnętrze. Zabrałem rękę i spróbowałem się odwrócić, ale nie mogłem. Usiadłem na ławeczce i uniosłem pokrywę. Spojrzały na mnie czarne i białe klawisze, wykonane z kości słoniowej. I jak zawsze potrafiłem je przeczytać. Nie były dla mnie nieme, ale wypełnione nutami, muzyką, kolorem. Dotknąłem ich, przygryzając wargę.

Cofnąłem jednak rękę.

*- Nie - warknąłem pod nosem. Mój głos poniósł się po sali.*

Zamknąłem oczy, próbując pozbyć się bólu w piersi, który odczuwałem od trzech lat. Mogłem nad nim zapanować. Byłem w tym teraz dobry.

Potrafiłem go od siebie odepchnąć. Ale od rana musiałem walczyć z nim mocniej niż zazwyczaj. Nękał mnie przez cały dzień.

Coraz trudniej było się bronić.

*Zagraj, synu*, szepnął głos w mojej głowie. Zacisnąłem dłonie w pięści, gdy w podświadomości usłyszałem tatę. *Graj...*

Wciągnąłem gwałtownie powietrze, poddając się.

W pomieszczeniu panowała cisza. Puste płótno czekało na zapełnienie barwami. Położyłem palce na klawiszach. Wstrzymałem oddech i wcisnąłem jeden z nich. Dźwięk rozległ się niczym syrena alarmowa. Zobaczyłem zieleń tak żywą, że graniczyła niemal z neonowym światłem. Wcisnąłem kolejny, który przyniósł ze sobą wyblakłą czerwień. Zanim zdołałem się powstrzymać, moje dłonie tańczyły na klawiszach tak, jakbym trzy lata temu nie odsunął się całkowicie od fortepianu i nigdy nie przestał grać.

Spod moich palców wylewała się *Toccatą i fugą d-moll* Bacha, każdy ton płonął w moim umyśle. Nie potrzebowałem nut. Po prostu podążałem za kolorami. Żywa czerwień. Błady błękit. Ochra. Jasny brąz.

Cytrynowa żółć i wiele innych. W mojej głowie powstawał arras.

Kiedy utwór zbliżał się do końca, obróciłem się na ławeczce. Nie zrobiłem tego świadomie. Niecelowo poddałem się męczarniom.

Przemierzyłem po prostu salę i wybrałem to, co jako pierwsze wpadło mi w ręce. Dotknąłem smyczkiem strun skrzypiec, zamknąłem oczy i grałem.

Tym razem wylała się ze mnie moja własna muzyka.

Zmieniałem instrumenty, a dźwięk był niczym narkotyk wstrzyknięty w moje żyły. Przeistoczyłem się w ćpuna, który nie brał od trzech lat, aby w końcu dostać działkę. Nie potrafiłem przestać.

Przedawkowałem barwy i smaki, adrenalina sprawiła, że moja krew

zaczęła się gotować.

Nie wiedziałem, ile minęło czasu, ale kiedy zagrałem na każdym z instrumentów i ruszyłem do drzwi, poczułem, że to jeszcze nie koniec.

Pragnąłem, by moje nogi chociaż trochę dziś ze mną współpracowały.

Chciałem zostawić to wszystko za sobą i wierzyć, że przyczyną wszystkiego był alkohol.

Jednak to nie on mną teraz kierował. Nie byłem już upojony. To ja sam przejąłem stery. I doskonale o tym wiedziałem.

Jak przyciągany magnesem, wróciłem do pianina. Wyjąłem z kieszeni nieśmiertelnik. Nie potrafiłem spojrzeć na wygrawerowane na nim imię. Zamiast tego położyłem na pokrywie metalową blaszkę, pozwalając, by przy mnie była.

Aby on był przy mnie.

Odetchnąłem pięciokrotnie, nim ponownie dotknąłem klawiszy.

Moje serce kołatało jak oszalałe, gdy oddałem im nad sobą kontrolę. A kiedy ją przejęły, czułem się, jakby ktoś wbił mi nóż w pierś.

Grałem ten utwór tylko raz. Trzy lata temu, w ten sam dzień.

Nigdzie go nie zapisałem. Nie musiałem tego robić. Wrył mi się w pamięć. Każda nuta. Każda barwa. Każda rozdzierająca emocja.

Kolory były ciemne, tony ciche. Kiedy otoczyły mnie dźwięki, skrzywiłem się, wspominając mamę, która weszła do mojego pokoju o trzeciej w nocy...

*- Kochanie... - szepnęła. Ręce jej się trzęsły, była blada, miała twarz zalaną łzami. — Znaleźli go... Nie żyje.*

Wpatrywałem się w nią wtedy, ale ani drgnąłem. To nie była prawda. Nie mogła być. Zaginął, ale wszystko będzie dobrze. Musiał

wrócić. Po tym, jak się między nami ułożyło, musiał wrócić.

Obserwując załamanie matki, zdałem sobie sprawę, że to prawda.

*Nie żyje.*

Kiedy słońce zaczęło wschodzić, poszedłem do pokoju, w którym stało moje pianino - prezent na dwunaste urodziny - i zagrałem.

Grałem, zaczynając rozumieć.

Tata nie żył.

Skuliłem się, nie przerywając melodii, ból w brzuchu był nie do zniesienia. Płynęła ciemna, powolna muzyka, niepodobna do niczego, co kiedykolwiek stworzyłem. Nie mogłem umrzeć. Życie było takie niesprawiedliwe.

*Nie żyje...* Słowa mamy powracały echem w mojej głowie. Gdy dotarłem do *crescendo*, z mojego gardła dobył się ryk, po którym popłynęły wielkie, gęste łzy, ale moje palce nie przestały się poruszać.

Wydawało mi się, że nie mogły się zatrzymać.

Musiałem grać.

Jakby ręce wiedziały, że to koniec. Jakby miały świadomość, że już więcej nie znajdą się na klawiszach.

Kiedy obecny utwór miał się ku końcowi i zbliżała się ostatnia nuta, otworzyłem oczy i spojrzałem na swoje dłonie. Sytuacja mnie przerosła.

Moje palce na klawiszach. Powrót po tak długim czasie do muzyki.

Barwy, metaliczny posmak... wielka dziura w mojej piersi.

Łzy na pianinie. Obraz taty pod powiekami. Ostatnie spojrzenie, jakim mnie obdarował, pełne bólu i smutku. Twarz, której już nigdy nie zobaczyłem.

Zabrał ze sobą moją muzykę.

Odsunąłem ręce od klawiszy. Nie mogłem oddychać. Sala była cicha, aż nagle...

Zgrzyt zawiasów sprawił, że poderwałem głowę. Gdy zobaczyłem, kto stał w drzwiach, poczułem, że krew odpłynęła mi z twarzy.

Wpatrywała się we mnie Bonnie Farraday, jej oblicze było blade, oczy pełne smutku. Ten obraz mnie zniszczył. Nie chciałem być sam, ale w tamtej chwili nie było nikogo, kto by mnie wsparł. Nie miałem się do kogo zwrócić. Odepchnąłem od siebie wszystkich.

I wtedy pojawiła się ona. W jej oczach błyszczały łzy. Bonnie była przy mnie, kiedy się rozpadałem. Nie wiedziałem, co zrobić. Musiałem wyjść, musiałem i ją odtrącić. Nie potrzebowałem nikogo. Lepiej mi było w samotności. Ale w tamtej chwili pragnąłem, by przy mnie była.

Dotknęła mojego ramienia i niemal się poddałem.

Gdy spojrzałem jej w oczy, a z moich popłynęły łzy, wiedziałem, że muszę uciec. Puściłem się biegiem, usłyszałem, jak mnie zawołała.

Biegłem, aż zobaczyłem niewielką polankę, którą wcześniej pokazał mi Easton. Opadłem na trawę, pozwalając, by otulił mnie ciepły wiatr.

Kiedy odpalałem papierosa, popatrzyłem na swoje dłonie.

Wydawały się inne. Palce w jakiś sposób były wolne, jakbym w końcu, po tylu latach, dał im to, czego tak usilnie pragnęły.

Zagrałem. Pozwoliłem, by powróciła do mnie muzyka.

Zaciągając się dymem, próbowałem wyrzucić z głowy wszystkie uczucia, ale echo nut wciąż rozbrzmiewało mi w uszach. Cienie barw wciąż były żywe w moim umyśle, a skóra rąk mrowiła po tym, jak dotykałem nimi klawiszy.

Pamięć mięśniowa nie chciała ustąpić.

Sfrustrowany położyłem się na plecach i zapatrzyłem w nocne niebo.

Widać było każdą gwiazdę. Zamknąłem oczy, próbując wszystko od siebie odsunąć i wrócić do pustki, z którą żyłem od tak dawna. Nie udało się. Nic nie chciało odejść.

A już zwłaszcza południowy akcent Bonnie Farraday i wyraz jej oczu. *Sposób, w jaki grałeś...*

Jej głos miał fioletową barwę.

Zamknąłem oczy.

Najbardziej lubiłem słuchać fioletowego.

## **ROZDZIAŁ 9**

### *CROMWELL*

Przyglądałem się, gdy siedziała obok tego fiuta Bryce'a. Uśmiechała się, śmiała z nim, kiedy Lewis przygotowywał się do wykładu. *Nie patrz na nią, głupku*, poleciłem sobie. Odwróciłem wzrok, ale gdy się roześmiała, natychmiast na nią spojrzałem.

Jej śmiech miał jasnoróżową barwę.

Kiedy tak się przyglądałem, żołądek mi się skurczył. Ekran telefonu pojaśniał, gdy go odblokowałem. Przez cały weekend wgapiałem się w jedną prostą wiadomość.



Bonnie: DOBRZE SIĘ CZUJESZ?

To nieskomplikowane pytanie rozbudziło coś w mojej piersi.

Czułem się, jakby coś tam pękało za każdym razem, gdy czytałem te słowa. *Dobrze się czujesz?*

Nie widziałem Bonnie od kilku dni. Nie przyszła do Eastona, który przez większość czasu odsypiał piątkowego kaca. Spoglądałem wtedy na drzwi znad laptopa, spodziewając się jej wizyty. Czekałem, by Easton się ruszył na ewentualne spotkanie z siostrą. Ale ona nie przyszła, a współlokator wyszedł jedynie po żarcie.

Wmówiłem sobie, że to dobrze. Że nie muszę się z nią widzieć po tym, jak zrobiłem z siebie kretyna. Nocą leżałem jednak w łóżku, gapiąc się w tę prostą wiadomość. *Dobrze się czujesz?*

Nie odpisałem.

Zająłem się pracą. Wrzuciłem do internetu nowe miksy. Moje kawałki znajdowały się na listach najczęściej pobieranych w kategorii Elektroniczna Muzyka Taneczna. Powinienem się cieszyć. A jednak za każdym razem, gdy ich słuchałem, miałem w umyśle pustkę. Teraz kiedy zagrałem na instrumentach, które niegdyś tak bardzo kochałem, wszystko inne wydawało się bez życia.

Musiałem zapomnieć o tamtej nocy. Gdy jednak moje spojrzenie ponownie powędrowało do Bonnie, do jej ładnej twarzy i gęstych ciemnych włosów, poczułem się, jakbym wrócił do tamtej sali, gdzie dziewczyna trzymała rękę na moim ramieniu.

Próbowała dziś ze mną porozmawiać, kiedy przyszedłem na zajęcia, ale minąłem ją bez słowa. Nie byłem pewien, czy mogłem spojrzeć na nią ponownie, nie pragnąc przy tym, by rozstała się przede mną ziemia i mnie pochłonęła.

Ale musiałem popatrzeć na Bonnie... i nie potrafiłem odwrócić wzroku.

Rozsiadłem się, na siłę słuchając paplaniny Lewisa na temat efektywności zmiany tempa przy komponowaniu. Nudziło mnie to. Nie musiałem się uczyć tych pierdoł.

Gdy już niemal zasnąłem, spojrzałem na zegarek. Do końca wykładu pozostało zaledwie dziesięć minut. Przyglądałem się tarczy zegara, na której wskazówki odliczały czas. Zawibrował leżący na blacie telefon.

Żołądek mi się skurczył, gdy zobaczyłem, od kogo pochodziła wiadomość.

Bonnie: MOZEMY SIE SPOTKAĆ PO ZAJĘCIACH?

Moje serce gwałtownie przyspieszyło. Spojrzałem na nią, ale się nie odwróciła. Wiedziałem, że nie powinienem ulec.

Co niby miałbym jej powiedzieć? A gdyby wspomniała piątkowy wieczór, musiałbym brać nogi za pas. Nie miałem nic do powiedzenia.

Byłem pijany. Kropka. Tej wersji zamierzałem się trzymać.

Nie chciałem o tym rozmawiać. Nie mogłem.

Wziąłem komórkę, by odpisać, że nie dam rady, ale zamiast tego wystukałem: DOBRA.

- W przyszłym tygodniu zaczynają się indywidualne konsultacje -

powiedział Lewis, przyciągając moją uwagę. Wskazał ścianę. -

Harmonogram wisi tam. Wpiszcie się, zanim stąd wyjdziecie. -

Próbowałem uspokoić serce, ale nie chciało zwolnić na myśl, że będę musiał porozmawiać z Bonnie.

Studenci poszli wpisywać się na listę. Zostałem na miejscu, powoli zbierając swoje rzeczy. Bonnie stała na dole z Bryce'em.

- Chodź ze mną na kawę, Bonn - zasugerował.

Z jakiegoś powodu, gdy to usłyszałem, w mojej piersi rozpałił się ogień.

Bonnie założyła włosy za ucho i poszła się wpisać, po czym obróciła się do Bryce'a.

- Nie... wiem - zająknęła się.

Złapał ją za rękę, na co niemal eksplodowałem. Spojrzała na ich splecione palce, a ja zamarłem, zastanawiając się, co robi.

- No zgódź się, Bonn. Zapraszam cię już od zeszłego roku.

Uśmiechnęła się do niego, a rozanielona mina chłopaka naprawdę mnie wkurzyła.

- Farraday - powiedziałem bez namysłu. Zaskoczona Bonnie uniosła głowę. - Nie mam całego dnia. Jeśli chcesz się teraz spotkać, to chodźmy. - Posłałem Bryce'owi spojrzenie. - Nie chcę być świadkiem, jak go odrzucasz.

Bonnie się zarumieniła. Bryce wyglądał, jakby miał ochotę mnie zabić. Chciałbym, by spróbował. Dziewczyna zabrała rękę.

- Do zobaczenia jutro, Bryce.

Usłyszałem w jej głosie lekkie drżenie. Po nerwowym spojrzeniu, jakim mnie obdarowała, przypuszczałem, że również nie wiedziała, co powiedzieć w związku z piątkową nocą.

Bryce skinął głową i udał się do drzwi, uprzednio posyłając mi złowrogie spojrzenie. Dupek. Bonnie stanęła przede mną.

- Cromwell, nie musisz się tak do niego odzywać.

Zagotowało się we mnie. Nie spodobał mi się sposób, w jaki go broniła. Lubiła go? Dlatego to robiła?

- Chciałaś się spotkać. - Wskazałem teczkę opatrzoną napisem

„komponowany utwór”, którą trzymała. Przeczesałem włosy palcami. - Przeszkadzał.

Wzięła głęboki wdech, w tej samej chwili spojrzała mi w twarz. Jej oczy były szeroko otwarte, zobaczyłem w nich przebłysk współczucia.

Poczułem się zażenowany. Wsadziłem rękę do kieszeni i wyciągnąłem paczkę fajek.

- Idę zajarać. Będę na zewnątrz.

Założyłem słuchawki i wyszedłem. Byłem w połowie papierosa, gdy podeszła do mnie - Stacey?, Sonya? - laska, z którą bzykałem się w zeszłym tygodniu.

- Cześć, Cromwell. Co porabiasz? - Jej głos ociekał intencjami.

Zaciągnąłem się i wypuściłem dym. W tym samym momencie drzwi otworzyły się i wyszła Bonnie.

- Cześć, Suzy - powiedziała, po czym spojrzała na mnie. -Idziemy?

- Zaniepokojona spuściła wzrok, na co skurczył mi się żołądek.

Wzruszyłem ramionami do Suzy.

- Mam już plany.

Dopaliłem szluga i poszedłem za Bonnie do samochodu.

Przypuszczałem, że pojedziemy do kawiarni. Zdawało się, że dziewczyna tam mieszkała. Spiąłem się, gdy zamknęła drzwi. Nie chciałem, by wspomniała o piątkowej nocy. Modliłem się, żeby tego nie zrobiła.

Zanim uruchomiła silnik, patrzyła przez okno.

- Cromwell...

Zamierzałem na nią warknąć. Powiedzieć, by się odwaliła, jak robiłem w przypadku każdego, kto próbował wyciągnąć ode mnie, co czułem. Kiedy jednak spojrzała na mnie tymi swoimi oczami, a na jej twarzy dostrzegłem troskę, ulotniła się ze mnie cała chęć walki.

- Nie rób tego... - szepnąłem, choć mój głos rozbrzmiał zbyt głośno w przestrzeni samochodu. - Zostaw to... proszę.

W jej oczach pojawiła się wilgoć. Skinęła głową. Złapała za kierownicę, ale nim wyjechała z parkingu, oznajmiła:

- Powiedz tylko, czy dobrze się czujesz. - Nie patrzyła na mnie.

Wpatrywała się przed siebie. - Muszę wiedzieć, że wszystko u ciebie w porządku.

Zacząłem poruszać nogą, gdy uderzyły we mnie jej słowa, ponieważ mówiła, jakby jej zależało. Drżenie w jej głosie... barwa lawendy, która ją otaczała, podpowiedziała mi, że pytała szczerze.

-Tak - odparłem, na co się rozluźniła. Prawda była jednak taka, że wcale nie czułem się dobrze, ale emocje, które kazały mi trzymać wszystkich na dystans, zacisnęły się wokół mojego gardła, zmuszając, bym się zamknął.

Ilekcroć znajdowałem się w towarzystwie Bonnie, czułem się jak w za ciasnej obroży.

Uśmiechnęła się, a obroża natychmiast się rozluźniła. Jednak gdy w milczeniu wyjeżdżaliśmy z kampusu, poczułem, że znów się zacieśniła.

Podjechaliśmy pod Jefferson Coffee. Zajęliśmy stolik, który wydawał

mi się jej zwyczajowym miejscem, a kelner obsługujący nas wcześniej, przyniósł nasze napoje.

- Założyłem, że to samo, co ostatnio - powiedział, nalewając mi mocnej czarnej kawy.

Kiedy odszedł, spojrzałem na siedzącą naprzeciw Bonnie.

Wpatrywała się we mnie. Spuściła wzrok, otworzyła teczkę i wyjęła nuty. Wydawała się zażenowana.

- Mam... kilka pomysłów na początek utworu. Od jakiegoś czasu siedzi mi to w głowie. - Nerwowo upiła łyk kawy. - Wiem, że nie mamy jeszcze tematu przewodniego, ale pomyślałam, że ci to pokażę.

Zerknąłem na nuty i zacząłem je czytać. Skończyłem, ale się nie odezwałem.

- Nie podoba ci się.

Uniosłem wzrok. Nie żeby mi się nie podobało, ale... nie było niczym wyjątkowym. Kolory nie popłynęły. Czułem się, jakbym zobaczył na ścianie jakąś maszynową reprodukcję obrazu. Była spoko, ale nie była zapierającym dech w piersi dziełem.

Postawiłem na milczenie. Gdybym otworzył usta, zasmuciłbym ją.

Zacisnąłem zęby z frustracji, gdy zdałem sobie sprawę, że nie chciałem sprawić jej przykrości. Ta dziewczyna ostro mieszała mi w głowie.

Przeciągnąłem się. Zauważyłem, że na mnie patrzyła. Kiedy spojrzałem jej w oczy, przeniosła wzrok na nuty.

-Jest okropne.

- Nie.

- Ale dobre też nie jest - stwierdziła i oparła się wygodnie.

Wyglądała na przygnębioną. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Wiedziałem, że poruszy temat piątkowej nocy. Gdy czekałem, zaczął wzrastać we mnie zwyczajowy gniew. Musiała zobaczyć coś w mojej twarzy, bo powiedziała: - Cromwell, uważam, że powinniśmy iść do Lewisa i poprosić o zmianę partnerów. To... -

Wskazała na mnie, potem na siebie - ...nie działa. - Trzymała zwieszoną

głowę. - Jeśli chodzi o muzykę, nie potrafimy się dogadać. - Śledziła palcem wzór drewna. - Czy... - Przełknęła ślinę. - ...nadal chcesz pracować jedynie z muzyką elektroniczną, czy może zmieniłeś zdanie?

Zamknąłem oczy i wziąłem głęboki wdech. Przecież prosiłem, by nie poruszała tego tematu.

Nie mogłem o tym rozmawiać.

I miała rację. Nie pasowaliśmy do siebie. Nasze gusty były różne. Nie zamierzałem wracać na drogę muzyki klasycznej. Mimo to myśl o tym, by pracowała z kimś innym, kimś takim jak Bryce, sprawiła, że zapragnąłem walczyć.

- Nie można się zamienić.

Bonnie przestała się denerwować i przysunęła się w moją stronę.

- Więc mi pomóż. - Potarła czoło i odetchnęła głęboko. Wyglądała na zmęczoną. - Ponawiam pytanie, czy nadal chcesz trzymać się tylko muzyki elektronicznej?

- Tak - rzuciłem przez zaciśnięte zęby.

Zobaczyłem w jej oczach rozczarowanie.

- Cromwell... - Pokręciła głową. - Sposób, w jaki grałeś... -

Wyciągnęła rękę i dotknęła moich palców. Jej skóra była miękka, głos cichy, kojący, smutny. - Nie wiem, dlaczego nie chcesz grać, ale to, co wtedy usłyszałam...-Do oczu napłynęły jej łzy, drugą dłoń położyła sobie na mostku. - Poruszyło mnie. Bardzo.

Serce biło mi jak oszalałe. Kiedy mnie dotykała, nie potrafiłem go uspokoić. Gdy mówiła, co czuła, słuchając mojej muzyki. Widziałem ją.

Spostrzegłem na jej ładnej twarzy nadzieję. Nadzieję, że z nią porozmawiam. Że zgodzę się komponować muzykę klasyczną.

Przed oczami stanął mi jednak ojciec, a moje wnętrze zamarzło niczym gałęzie drzewa podczas śnieżycy. Mięśnie skurczyły się z gniewu, wyrwałem rękę i obróciłem w ustach ćwiek, który miałem w języku, by nie wybuchnąć.

-Nie.

- Dlaczego...

- Powiedziałem, że nie! - Bonnie zamarła. Rozejrzałem się po kawiarni i zobaczyłem, że wszyscy się we mnie wpatrywali.

Przysunąłem się do niej. - Prosiłem, byś zapomniała o tym, co słyszałaś, i nie poruszała tego tematu. - Zmiałem serwetkę. - Dlaczego nie możesz uszanować tej prośby? - Chciałem, żeby mój ton był ostry, by ją odstraszył. Zamiast tego wyszedł drżący i obdarty z emocji.

- Ponieważ nigdy w życiu nie słuchałam kogoś tak utalentowanego, Cromwell.

Każde z łagodnie wypowiedzianych słów trafiło we mnie niczym pocisk, próbując zburzyć mój ochronny mur.

- Daj sobie spokój - rzuciłem. Ponownie poczułem ucisk w gardle, obroża mocno się zaciskała.

Napięcie zelżało, kiedy ktoś odchrząknął. Wściekły, nie spuszczałem oka z Bonnie, gdy Sam, chłopak, który wałęsał się z dzbankiem, zapytał

ją:

-Wszystko w porządku, Bonn?

- Tak - odparła z uśmiechem. Żołądek ponownie mi się ścisnął.

Widziałem jej uśmiech po raz drugi dzisiejszego dnia. I znów nie był przeznaczony dla mnie.



Ubodło mnie to bardziej, niż powinno.

Czułem, że Sam wpatrywał się we mnie.

- Idziesz w weekend na koncert? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała. - A ty?

- Muszę być w pracy. O, zanim zapomnę, Harvey chciał z tobą rozmawiać. - Bonnie wstała i poszła za Samem. Nie miałem pojęcia, kim był ten Harvey. Dopilem kawę i spojrzałem na nuty, które wciąż leżały na stole, kusząc mnie. Opuściłem rękę i się na nie zagapiłem.

Rozejrzałem się po kawiarni, zobaczyłem, że Bonnie rozmawiała z kimś przy drzwiach na zaplecze. Walczyłem z ochotą, by wziąć długopis, aż w końcu potrzeba poprawienia utworu wygrała. Przekreśliłem zapisane nuty i spisałem te pasujące znacznie lepiej.

Kiedy skończyłem, spojrzałem na arkusz, po czym wstałem pospiesznie. Serce zbyt szybko kołatało mi w piersi. Nie powinienem był tego ruszać, ale musiałem to pozmieniać, poprawić nuty, melodię.

Wszystko.

Musiałem wyjść. Zamierzałem wziąć ze sobą kartki i wyrzucić je do najbliższego kosza.

- Cholera - syknąłem, gdy wyszedłem, orientując się, że ich jednak nie zabrałem. Rozejrzałem się, zastanawiając, dokąd się udać, ale w tej samej chwili na moją komórkę przyszła wiadomość.

Suzy: JESTEŚ W POBLIŻU? MOJEJ WSPÓŁLOKATORKI NIE BĘDZ DNIA.

Przez szybę zobaczyłem, że Bonnie wróciła do stolika i wzięła papier nutowy. Mój puls przyspieszył, kiedy przejrzała strony. Złapała się za serce, przez co moje ścisnęło się w odpowiedzi. Uniosła głowę i rozejrzała się po kawiarni. Szukała mnie. Stopy mrowiły, by wrócić i z nią popracować. Pokazać jej, do czego zainspirowała mnie jej muzyka.

Powiedzieć, co zrobiłbym z tym utworem. Jakie wykorzystałbym w nim instrumenty. Jak bym dyrygował.

Ale rządzące mną emocje, które powstrzymywały mnie przed dzieleniem się czymkolwiek, znów ścisnęły mi gardło, zatrzymując w miejscu. Trzymając w moim wnętrzu cały gniew.

Ponownie zawibrował telefon.

Suzy: ???

Uniosłem głowę i zobaczyłem twarz Bonnie, która spijała wzrokiem zapisane przeze mnie nuty. Wiedziałem, że to ona burzyła mury, które wznosiłem wokół siebie przez ostatnie trzy lata.

I zdawałem sobie sprawę, że musiałem się odsunąć, inaczej nie byłbym w stanie poradzić sobie z tym, co się zza nich wyleje.

Ja: DAJ MI KWADRANS.

Włożyłem telefon do kieszeni, blokując całe otoczenie, i odszedłem, zanim Bonnie zdołałaby mnie odnaleźć. Chciałem wyrzucić ją z głowy, wymuszając, by kontrolę przejęło odrętwienie, ale zaledwie kilka kroków dalej zobaczyłem plakat zapraszający na weekendowy koncert w parku. Filharmonia Karoliny Południowej. Zacisnąłem usta, walcząc z ochotą, żeby tam pójść.

I Bonnie tam będzie. Samo to wystarczyło, by mnie zniechęcić.

Musiałem trzymać ją na dystans. Jedyne popracować z nią nad projektem. I tak za dużo już ode mnie dostała. Znała zbyt wiele moich tajemnic.

Musiałem wrócić do miksowania, ponownie skryć się za moimi wysokimi murami.

To wszystko, czym musiałem się zająć.

\*\*\*

- Nie wpisałeś się.

Usiadłem w gabinecie Lewisa. W kącie pomieszczenia stało pianino.

Na ścianie w gablocie zamocowano stare skrzypce z wyraźnie popękany drewnem i kruchym mostkiem. Na stojaku znajdowała się gitara, o tylną ścianę oparta została wiolonczela.

Przestałem na nie patrzeć, gdy poczułem się tu jak w domu.

Spojrzałem na zdjęcia, na których profesor dyrygował, i uświadomiłem sobie, jak był młody, kiedy zaczynał. Zastanawiałem się, czy od zawsze kochał muzykę. Czy była w każdym jego oddechu.

- Cromwell - powiedział, skupiając na sobie moją uwagę.

- Nie potrzebuję tych spotkań.

Na jego policzku drgnął mięsień. Położył ręce na biurku.

- Cromwell, wiem, że od dłuższego czasu zajmujesz się muzyką elektroniczną. Jeśli to na niej chcesz się skupić, w porządku.

Popracujemy z nią.

- Potrafi mnie pan czegoś nauczyć w tej dziedzinie?

Zmrużył oczy.

- Nie, ale znam muzykę. Potrafię ci powiedzieć, co jest dobre, a co się nie sprawdza - urwał, oceniając mnie. - Możemy też zająć się twoimi innymi umiejętnościami. - Wskazał na swoje instrumenty. - Grą na fortepianie, skrzypcach. - Parsknął śmiechem. - Czymkolwiek.

- Nie, dzięki - wymamrotałem. Rzuciłem okiem na zegar. Już prawie weekend. Zaraz po tym spotkaniu czekała na mnie butelka jacka. Ten tydzień mnie wykończył, byłem więc gotowy się z nim rozstać, by zanurzyć się w odrętwieniu, które niósł ze sobą alkohol.

- Wciąż komponujesz?

Założyłem ręce za głowę.

-Nie.

Lewis spojrzął na mnie z ukosa.

- Nie wierzę.

Cały się spiąłem.

- Może pan wierzyć, w co zechce - warknąłem.

- Chodziło mi o to, że nie sędzę, byś potrafił powstrzymać się od komponowania. - Postukał się w skroń. - Bez względu na to, jak bardzo byśmy pragnęli, to się nigdy nie wyłącza. - Złączył dłonie na biurku. -

Nawet kiedy byłem w najgorszym stanie, pijany i naćpany, wciąż komponowałem. - Uśmiechnął się, ale nie było w tym wesołości. Był za to smutek Jego twarz odzwierciedlała moje uczucia. - Z odwyku wyszedłem z całą symfonią. - Przestał się uśmiechać. - Nawet jeśli coś powoduje, że nienawidzisz muzyki, może być katalizatorem do następnego wielkiego dzieła.

- Głębokie - mruknąłem. Lewis opadł na fotel z przygnębieniem.

Znów byłem fiutem, ale miałem dość tego tygodnia. Byłem zmęczony i wyprany z emocji.

Potrzebowałem pieprzonej przerwy.

Zabawne. Nie wiedziałem, czy to za sprawą profesora, ale pomyślałem o ojcu i tym, że takie zachowanie złamałoby mu serce. Nie wychował mnie przecież w ten sposób.

*Maniery nic nie kosztują, synu. Zawsze bądź wdzięczny za pomoc.*

Ale jego już tu nie było. I radziłem sobie w jedyny sposób, jaki znałem. Ponownie spojrzałem na zegar.

- Mogę już iść?

Lewis podążył za moim wzrokiem i westchnął. Kiedy wstałem, powiedział:

- Nie próbuję ci doradzać, Cromwell. Chcę jedynie, byś miał świadomość talentu, jakim zostałeś obdarowany.

Zasalutowałem mu drwiąco. Nie potrafiłem znieść kolejnej rozprawiającej o moim talencie osoby. I tak było trudno odsunąć to od siebie, zanim jeszcze Lewis i Bonnie zaczęli podsycać ogień, który starałem się ugasić.

-Twój ojciec to widział - powiedział, gdy złapałem za klamkę.

Obróciłem się twarzą do niego, ale nie miałem już siły, by się kłócić.

-Jeszcze raz pan o nim wspomni, a już tu nie przyjdę. I tak rozważam, czy nie wynieść się z tej dziury.

Lewis uniósł ręce.

- Dobra. Przestanę o nim mówić. - Wstał i podszedł do mnie. Był dość wysoki. Zatrzymał się tuż przede mną. - Ale nie rzucisz studiów.

Stałem tyłem do drzwi.

- Tak? A co pan może wiedzieć...

- Wystarczająco, by mieć świadomość, że nawet jeśli jesteś mocno obrażony na cały świat, nie wyjedziesz stąd. - Wskazał na pokój. - To twoja arena. Jesteś jednak w tej chwili zbyt wkurzony i zraniony, aby to przyznać. - Wzruszył ramionami. - Widzisz to, ale z tym walczysz. -

Zrozumienie w jego spojrzeniu niemal powaliło mnie na kolana. - Jesteś dobrym Dj-em. Bóg wie, że to ostatnio opłacalne zajęcie i nie wątpię, że czeka cię świetlana przyszłość, ale z takim talentem mógłbyś zostać na scenie legendą. - Wskazał na własne zdjęcie w Albert Hall. Usiadł. -

Decyzja będzie należeć do ciebie.

Przez chwilę patrzyłem na fotografię profesora ubranego we frak, dyrygującego orkiestrą, która grała stworzoną przez niego muzykę.

Poczułem ucisk w żołądku i nacisk na moje mury. Cokolwiek żyło w moim wnętrzu, próbowało się właśnie wydostać. Coraz trudniej było mi to zdusić.

- Mam nadzieję, że zdecydujesz właściwie, Cromwell. Dobrze wiem, jak to jest żyć z takim żalem. - Przesunął rękę i włączył komputer. -

Możesz odejść. Mam utwór, na który muszę rzucić okiem. - Spojrzał na mnie znad ekranu. - Czekam na szkic waszego projektu, ale nie mam nieskończenie wiele czasu.

*Kutas*, pomyślałem i trzasnąłem drzwiami. Zamierzałem skręcić w lewo, do wyjścia z budynku, ale obróciłem głowę w prawo, bo usłyszałem orkiestrę. Przemierzyłem korytarz. Po prostu chciałem skorzystać z drugiego wyjścia. Wmawiałem to sobie, gdy zatrzymałem się przy sali prób. Oparłem się o futrynę i skrzyżowałem ręce na piersi.

Kiedy prowadzenie przejęła wiolonczela, na chwilę opuściłem swoją barierę ochronną i pozwoliłem, by obmył mnie ten dźwięk. Zrodził się we mnie spokój, jakiego nie czułem od lat. Zostałem, wsłuchując się w *Kanon D-dur* Pachelbela. Utwór nie należał do najtrudniejszych,

muzycy nie odgrywali go najlepiej, ale nie miało to znaczenia. Liczyło się tylko to, że płynęły nuty.

I że słuchałem. Gdy grała wiolonczela, widziałem kolor magenty i łososiowe sześciokąty. Wybuchła brzoskwiniowa i kremowa barwa, a kształt się zmienił, po czym pojawiły się fiolety i róże, kiedy do melodii dołączyły skrzypce. Gdy struny tańczyły i śpiewały, posmakowałem czegoś kwiatowego i poczułem, jak mocno ścisnęło mnie w piersi, a żołądek wypełnił się światłem.

Kiedy utwór dobiegł końca, otworzyłem oczy i bez tchu odepchnąłem się od futryny. Spojrzałem w lewo. Lewis stał w drzwiach gabinetu i mi się przyglądał. Rozpalił się we mnie gniew, że mężczyzna mnie obserwował, więc wybiegłem z budynku i udałem się do akademika. W chwili, w której wszedłem do pokoju, poczułem zapach farby.

- Cholera. - Rzuciłem plecak na łóżko.

Easton odwrócił się od tego, co właśnie malował.

- Wspaniałego poranka.

Pokręciłem głową.

- Palant. Tak mówią tylko w Irlandii, a ja jestem Anglikiem. -

Opadłem na materac, ale gdy to zrobiłem, nie potrafiłem znaleźć sobie miejsca. Pieprzony Lewis namieszał mi w głowie. Widok Bonnie Farraday, która złapała się za serce, czytając nuty, powracał echem w moich myślach. Jeszcze lepiej pamiętałem jednak to, jak w piątek złapała mnie za ramię.

Wszyscy popychali mnie na krawędź i nie mogłem już tego znieść.

- Co za różnica?

Przewróciłem oczami i poderwałem się z miejsca. Spojrzałem na obraz, który namalował. Wszędzie były oślepiające kolory. Jakby stworzył to naćpany Jackson Pollock.

-Jezu, East. Co to, u diabła, ma być?

Roześmiał się i odłożył farby. Cały był nimi umazany. Rozłożył szeroko ręce.

- To ja! Tak się czuję w ten piękny słoneczny dzionek. -Podszedł

do mnie. - Jest weekend, Crom. Świat należy do nas!

- Spokojnie. - Spojrzałem na komputer oraz resztę mojego sprzętu i zdałem sobie sprawę, że nie miałem teraz ochoty na mikrowanie. -

Chodźmy coś zjeść. Muszę się wyrwać z tego kampusu.

- Podoba mi się ten pomysł.

Wyszliśmy z akademika i poszliśmy w kierunku głównej ulicy.

Oczywiście.

- Twoja mama znowu pisała - powiedział Easton, gdy wchodziliśmy do Wood Knocks. Spojrzałem na niego, marszcząc brwi.

Uniósł ręce. - Zostawiłeś otwartego laptopa. Słyszałem powiadomienie za każdym razem, kiedy przychodziła wiadomość.

- Super - wymamrotałem.

- Masz ojczyma, co? - Zerknąłem na niego spode łba. -Widziałem w temacie. - Uśmiechnął się. - W okolicach Bożego Narodzenia będą jego urodziny. Chciała wiedzieć, czy wrócisz do domu, by z nimi świętować. - Zatrzymałem się i na niego spojrzałem. - Dobra! - rzucił. -

Tylko tyle przeczytałem. Przyrzekam. - Puścił do mnie oko i się uśmiechnął.

Odpowiedzią miało być wielkie nie. Nie wybierałem się do domu na



święta. Sama myśl o nowym mężu mamy w domu taty rozdzierała moje wnętrze. Trzymałem się jak najdalej.

Przeszliśmy przez oświetlony park. Było w nim pełno ludzi.

Zmrużyłem oczy, próbując domyślić się, co się tu działo.

- Koncert orkiestry czy czegoś w tym stylu - oznajmił Easton. Doszło mnie odległe brzmienie rozgrzewających się muzyków. - Wydaje mi się, że Bonnie się tu wybierała. Nie do końca twój klimat, co, stary? Cała ta klasyka. - Pokręcił głową.

- Nie kumam, jak ktoś może siedzieć i tego słuchać.

Bonnie. Nie widziałem się z nią od tygodnia. Przez ostatnie dni nie pojawiała się na wykładach, co było... dziwne. Bez niej, siedzącej w przednim rzędzie, sala zdawała się niemal pusta. Nie napisała też do mnie. Nie prosiła o spotkanie. Nie pytała, czy dobrze się czuję.

Nie... podobało mi się to.

- Jest fiutem? - zapytał Easton, gdy weszliśmy do baru.

Zdezorientowany, uniosłem brwi. Zatraciłem się w myślach o Bonnie.

- Ojczym.

Usiedliśmy. Podeszedł do nas barman.

- Dwie corony - powiedział mój towarzysz, po czym przemyślał sprawę. - I kilka kieliszków tequili, Chris.

Obrócił się i spojrzał na mnie, czekając na odpowiedź.

- Nie znam go za dobrze. Nigdy się o to nie pokusiłem.

Wyprowadziłem się z domu, nim mama go poznała.

Easton przytaknął, ale wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał.

- A mama? Z nią też się nie dogadujesz? - Pokręcił głową. - Moja by do tego nie dopuściła. Wmaszerowałyby do naszego pokoju i rozkazała, bym z nią porozmawiał. - Parsknął śmiechem. - Potrafi być siłą, z którą należy się liczyć.

- Kiedyś się dogadywałem. - Umilkłem, gdy podano drinki.

Zacząłem od tequili. Wychyliłem kieliszek, zapominając o limonce i soli. - Ale teraz nie bardzo. - Nie znośłem rozmawiać o rodzinie. Do diabła, nie znośłem gadać, kropka.

- A co z twoim ta...

- Co jest z Bonnie? - przerwałem Eastonowi, nim zdołał zadać mi to pytanie. Moje serce znacznie przyspieszyło na samą myśl, że będę mu musiał odpowiedzieć.

Nie zauważył tego jednak. Upił łyk piwa i powiedział:

- Grypa. Wróciła na tydzień do rodziców, by mama mogła się nią zająć. - Roześmiał się. - Przekażę pozdrowienia.

- Nie trudź się - warknąłem, ale wewnątrz poczułem ulgę. Miała grypę, co oznaczało, że niedługo wróci na wykłady.

Twarz Eastona się rozpogodziła.

- Zabawne, że mój współlokator i moja siostra tak się nie cierpią. -

Bonnie mnie nie znośła? Nie miałem pojęcia, że zmarszczyłem brwi, póki nie dodał: - Nie mów, że zraniłem twoje uczucia. - Uderzył ręką w stół. - Cholera! Znaleźliśmy twój kryptonit. Wkurzasz się, gdy jakaś laska cię nie lubi.

- Wcale nie. - Czekałem, aż się uspokoi. Aż sam to zrobię. Bonnie mnie nie lubiła... - Pracujemy razem na zajęciach Lewisa. I tyle. -

Chciałem zmienić temat. Szybko.

- Dobra, dobra. Drocę się. - Pochylił się, oparł ręce na barze.

Przyglądał mi się. Nie, właściwie bacznie mnie obserwował. -

Rozumiem, dlaczego się nie dogadujecie. - Machnął na barmana, chcąc zamówić następną kolejkę.

- Wyjaśnisz, czy tak to zostawisz?

Easton uśmiechnął się i poprawił na wysokim stołku.

- Bonnie zawsze była energiczna i dostawała to, czego chciała.

Nawet gdy byliśmy mali, potrafiła wszystko zorganizować. Spotkania czy głupie gry dla sąsiadów. - Przez chwilę patrzył w dal. - A ja zawsze wpadałem w kłopoty, zachodziłem rodzicom za skórę.

- Nic się więc nie zmieniło.

- Prawda. - Stuknął się ze mną piwem i westchnął. - Potem zakochała się w muzyce fortepianowej i to był koniec. - Pstryknął. -

Przepadła. Nie ruszała się nigdzie bez małego syntezatora. - Parsknął

śmiechem. - Przez jakieś dwa lata przyprawiała mnie o ból głowy, nim nauczyła się grać na tyle dobrze, że mogłem to znosić. Później przyszedł recital za recitalem. - Jego uśmiech osłabł. Easton zamilkł.

Milczał zbyt długo. Ta cisza zaczęła mnie denerwować. - Dobra z niej dusza. To moja siostra, ale chodzi o coś więcej. Jest też moją przyjaciółką. Cholera, jest moim etycznym kompasem. Trzyma mnie w ryzach. - Dopił piwo i odsunął na bok pustą butelkę. - Z naszej dwójki, to ona jest lepsza. Nie sądzę, by ktokolwiek w to wątpił. Zginąłbym bez niej.

Milczałem. Easton uniósł głowę i się uśmiechnął.

-Ty jednak jesteś w gównianym nastroju dwadzieścia cztery na siedem. Nigdy niczego nie robisz na czas. Ledwie się odzywasz. Jesteś odludkiem. I, co gorsza, grasz *dance*. Moja siostra, która uwielbia

muzykę klasyczną i *folk*, dostała za partnera kolesia, który nie umie grać na niczym innym niż na swoim komputerze i kontrolerze bębnow.

Śmiał się do rozpuku. Wpatrywałem się w piwo, rozważając, jak bardzo się mylił w stosunku do mnie i do Bonnie. Widziała mnie.

Prawdziwego mnie. Tego, który krył się głęboko w moim wnętrzu.

I mnie nie lubiła? Wiedziałem, że parę razy byłem dla niej chamski, ale przecież mnie widziała. Nie podobało mi się to, że mimo tego za mną nie przepadała.

Ponieważ docierało do mnie, że ja ją lubiłem.

Otworzyły się drzwi baru, wrywając mnie z zamyślenia. Do środka weszło kilka dziewczyn. Easton natychmiast skupił na nich uwagę.

- Tak - powiedział pod nosem, a jego oczy się rozpromieniły. -

Przyszła Alex. - Jak na zawołanie podszedł do nas uroczy rudzielec.

- Easton Farraday. Fajnie cię tu widzieć. - Uśmiechnęła się, więc uznałem, że to dobra chwila, by się ulotnić.

Dopiłem piwo, wychyliłem kieliszek tequili, a nową butelkę corony włożyłem do kieszeni dziurawych na kolanach jeansów. Założyłem zdjęty wcześniej kapsel, by nic się nie rozlało.

- Idziesz już? - zapytał Easton, obejmując rudą w pasie. Ruchem głowy wskazał na jej dwie koleżanki. Jedna z nich, blondynka, już pochłaniała mnie wzrokiem.

- Na zewnątrz. - Pokazałem mu paczkę fajek.

Skinął głową i przyciągnął rudą do baru. Wychodząc na ulicę, nie spojrzałem na dziewczyny. Odpaliłem papierosa i odszedłem. Nie zamierzałem wracać do baru. Nie miałem dziś ochoty na imprezowanie.

Nie

chciałem

też

wracać

do

akademika.

Czułem

się

zdezorientowany. Pragnąłem jedynie na jakiś czas stać się kimś innym.

Miałem dość samego siebie.

Ulica była zatłoczona, ludzie wyszli coś zjeść i się napić. Szedłem ze zwieszoną głową, minąłem kilku studentów.

Starsi szli w kierunku parku. Rozejrzałem się, kiedy znalazłem się na jego skraju. Na trawniku siedziały setki ludzi, głównie na kocach.

Spojrzałem na to, na co wszyscy patrzyli - pośrodku sceny znajdowała się orkiestra składająca się chyba z pięćdziesięciu muzyków. Po parku poniosły się oklaski. Zmrużyłem oczy, próbując dostrzec coś między drzewami, które zasłaniały mi widok.

Zauważyłem dyrygenta, który właśnie wchodził na scenę. Moje serce puściło się sprintem, gdy podniósł batutę i dał znać muzykom, by się przygotowali. Smyczki spoczęły na strunach, flety przy wargach, palce pianistki na klawiszach.

Chwilę później wszyscy zaczęli grać w doskonałej harmonii.

Popłynęły dźwięki *Piątej symfonii* Beethovena. Przysunąłem się do barierki. Wiedziałem, że powinienem odejść. Musiałem stąd pójść.

Zamiast tego ruszyłem do wejścia. Znalazłem kasę biletową, ale na bramce powieszono napis „bilety wyprzedano”.

*Idź do akademika, Cromwell.* Wszedłem na ścieżkę biegnącą przy parku, prowadzącą do kampusu, ale z każdym nowym krokiem barwy w moim umyśle stawały się coraz jaśniejsze. Zatrzymałem się i zacisnąłem powieki. Oparłem się o ogrodzenie i wcisnąłem dłonie w oczy, kolory jednak pozostały

Czerwień tańczyła trójkątami, stając się leśną zielenią. Jasne żółcie przekształcały się w ciepłe brzoskwiniowe odcienie, a długie, pomarańczowe jak zachód słońca sekcje zmieniały się w brązy.

Opuściłem ręce i przygarbiłem się, pokonany. Odwróciłem się i spojrzałem za bariery. Scena znajdowała się w oddali. Rozejrzałem się za ochroną, ale żadnej nie zobaczyłem. Przełożyłem nogę przez ogrodzenie i wspiałem się na nie. Zeskoczyłem po drugiej stronie, podrapałem się o krzaki.

Kryła mnie ciemność, gdy przeszedłem do centrum parku.

Przesunąłem się pomiędzy drzewami w stronę źródła dźwięku. Z

każdym krokiem barwy nasycaly się, aż zrobiłem coś, na co nie pozwalałem sobie od lat. Byłem teraz za bardzo zmęczony, aby z tym walczyć.

Uwolniłem kolory.

Zerwałem krępujące je więzy i pozwoliłem im się wzbić.

Ręce mrowiły mnie, by przystąpić do działania, ale zamknąłem oczy i wchłaniałem dźwięk.

Kiedy czwarta część symfonii dobiegła końca, otworzyłem oczy i podszedłem do publiki. Po lewej spostrzegłem pień, więc na nim usiadłem. Spojrzałem w kierunku sceny, gdy rozpoczynał się nowy utwór, i... zobaczyłem przed sobą znajomą brunetkę. Moje serce zgubiło rytm. Nie widziałem jej tydzień, przez co otaczające ją róże i fiolety wydawały się jaśniejsze. Bardziej żywe.

Nie potrafiłem oderwać od niej wzroku.

Bonnie siedziała sama na kocu, owinięta drugim. Przypomniałem sobie o tym, którym zostałem nakryty, kiedy zasnąłem na plaży w Brighton.

Przykryła mnie, choć zachowałem się jak skończony duppek. Serce ponownie mi się ścisnęło. Poruszyłem nogami, próbując przepędzić to uczucie.

Odczuwałem w tej chwili tak wiele.

Bonnie siedziała z ugiętymi kolanami, trzymając na nich ręce.

Nawet z odległości widziałem, jak wpatrywała się w muzyków. Nie chciała utracić ani nuty.

Obserwowałem ją, gdy rozpoczął się jeden z *Koncertów brandenburskich* Bacha. Zacisnąłem dłonie w pięści. Rozluźniłem je, gdy Bonnie uniosła rękę i otarła wilgotny policzek. Zorientowałem się, że ruszyłem do niej. Opadłem na trawę tuż obok.

Poczułem na sobie jej spojrzenie, kiedy oderwała wzrok od orkiestry. Siedziałem wyprostowany, trzymając ręce na nogach.

Przyglądała mi się z wypisanym na twarzy zaskoczeniem.

Zacisnąłem zęby, gdy mój puls przyspieszył. Wyjąłem piwo z kieszeni i upiłem łyk. Wciąż czułem na sobie jej wzrok, więc spojrzałem jej w twarz.

- Farraday.

Zamrugała, po czym popatrzyła na orkiestrę. Kiedy utwór Bacha dobiegł końca, rozpoczęła się przerwa. Muzycy zeszli ze sceny, widzowie ruszyli po jedzenie i napoje. Położyłem się na trawie, podpierając na łokciu. Nie miałem pojęcia, co tu robiłem. Easton niedawno powiedział mi, że Bonnie mnie nie lubiła.

I wiedziałem, że właśnie o to chodziło. Nie musiałem się tym przejmować, tak naprawdę powinienem się cieszyć, ale nie potrafiłem wyrzucić tego z głowy. Widziała mnie. Wiedziała, że umiałem grać.

Nie musiałem przy niej udawać.

- Nie wierzę, że tu jesteś - powiedziała drżącym głosem. Była zdenerwowana. Widziałem to na jej twarzy, w jej oczach. Sam również w to nie wierzyłem. Gdy nie odpowiedziałem, Bonnie zajęła się grzebaniem w stojącym nieopodal koszyku. Miała na sobie różową bluzę - czy sweter, jak by to nazwała - i jeansy. Brązowy koc owijał w tej



chwili jej nogi. Wyciągnęła torebkę słodczy, otworzyła ją i włożyła do ust długi kawałek czerwonej lukrecji.

Ja włożyłem do swoich papierosa i chciałem go odpalić. Bonnie położyła rękę na moim ramieniu.

- Proszę, nie rób tego, Cromwell. - Spojrzałem na swoje ramię.

Trzymała palce w tym samym miejscu, w którym położyła je w piątkową noc w sali muzycznej. Kiedy mnie słyszała i widziała, jak grałem na instrumentach.

Gdy była świadkiem mojego załamania.

Popatrzyłem na nią. Miała zarumienione policzki i szeroko otwarte oczy. Zastanawiałem się, czy przypomniała sobie o tym samym.

Podtrzymywałem spojrzenie, próbując odczytać to, co znajdowało się w jej oczach. Ale kiedy nie dałem rady, opuściłem rękę i schowałem papierosa do paczki.

Szepnęła w końcu:

- Dziękuję. - Potarła mostek. Zastanawiałem się, czy jej serce również biło za szybko.

Nie wiedziałem, co przy niej powiedzieć. Ostatni raz, gdy się widzieliśmy, złamałem się i poprawiłem jej nuty. Nie potraktowałem jej za dobrze. Próbowałem wyrzucić ją z głowy, choć bez względu na moje starania nie chciała jej opuścić.

Bonnie patrzyła wszędzie, tylko nie na mnie.

- Byłaś chora - palnąłem. Zabrzmiało to bardziej jak oskarżenie niż pytanie.

Również musiała to zauważyć, bo spojrzała na mnie, po czym się uśmiechnęła. Jej uroczy uśmiech wyczyniał dziwaczne rzeczy z moim wnętrzem. Żołądek ścisnął mi się w supeł.

- Byłam chora.

Usiadłem prosto i zerknąłem na publikę, próbując odsunąć od siebie emocje.

- Tęskniłeś za mną?

Obróciłem się do niej, nie wiedząc, dlaczego o to zapytała i nie mając pojęcia, jak jej odpowiedzieć.

Uśmiechała się. Kiedy szybko zamrugąłem, zdezorientowany, parsknęła śmiechem. Położyła dłoń na moim przedramieniu.

- Żartuję, Cromwell. - Pomachała ręką, by mnie uspokoić. -

Możesz już zacząć oddychać.

Dopiłem piwo, ale wciąż słyszałem jej śmiech. Widziałem jego róż.

Wiedziałem, że był przeznaczony dla mnie. Nigdy nie sądziłem, że uśmiechnie się do mnie w ten sposób. Ale przecież nie spodziewałem się również, że będę tu dzisiaj.

Spiąłem się, czekając, aż poruszy temat sali muzycznej. Zada pytanie. Zacznie naciskać na pracę nad projektem. Ale nic takiego się nie stało.

- Chcesz? - Podsunęła mi paczkę lukrecji. Pokręciłem głową. - Co?

Nie lubisz łakoci?

- Nie. Przynajmniej nie amerykańskich.

- Co? - zapytała ze śmiechem. Spojrzałem na scenę, na powracających muzyków. Zawsze przyglądałem się rozkładaniu instrumentów. Bonnie pociągnęła mnie za rękę, bym na nią popatrzył. -

Nie, muszę to usłyszeć. Nie lubisz amerykańskich słodczy?

Pokręciłem głową.

- Dlaczego?
- Bo są gówniane — odparłem szczerze.

Przez chwilę Bonnie wyglądała na zszokowaną, aż wybuchnęła głośnym śmiechem. Zabrała paczkę i przycisnęła ją sobie do piersi.

Znów poczułem w swoim wnętrzu ucisk. Przeszedł od żołądka w górę, w końcu objął całe moje ciało. Bonnie otarła oczy. Zapytała:

- Dobra, w takim razie które z brytyjskich słodczy są dobre?
- Wszystkie. - Pokręciłem głową na wspomnienie tego, gdy po raz pierwszy spróbowałem amerykańskiej czekolady. Była beznadziejna. Od tamtej pory jej nie tknąłem. Czekałem na paczkę z czymś dobrym od mamy.

Bonnie skinęła głową.

- Muszę przyznać, że próbowałam co nieco w wakacje. I muszę się zgodzić. Słodczyce w Wielkiej Brytanii są niesamowite.

Coraz więcej muzyków pojawiało się na scenie, widzowie wracali na miejsca na trawie. Bonnie przyglądała się temu z zachwytem, nim popatrzyła na mnie.

- Lubisz więc muzykę klasyczną? - Zamarłem. - Wiem, że nie wolno mi o tym mówić. O tobie. O tamtej nocy. - Na jej twarzy odmalowało się współczucie. - I muszę to uszanować. - Wzruszyła ramionami. - Ale przyszedłeś tu. Na koncert muzyki klasycznej.

Drapałem naklejkę na butelce, aż w końcu spojrzałem jej w oczy.

Nie odezwałem się, ponieważ odpowiedź była oczywista. Byłem tu. To mówiło samo przez się.

Musiała zrozumieć, że nie chciałem odpowiedzieć, bo wskazała na orkiestrę.

- Są niesamowici. Widziałam ich tak wiele razy.

Grali w porządku. W najlepszym wypadku dobrze.

- No i? - zapytała.

- No i co?

Wzięła głęboki wdech.

- Lubisz muzykę klasyczną, co? W tej chwili... możesz już to przy mnie przyznać. - Słyszałem prośbę w jej głosie. Prośbę, bym dał jej przynajmniej to.

Orkiestra rozpoczęła *Cwał Walkirii* Wagnera, a w mojej głowie pojawiły się kolory jak na obrazie Eastona. Próbowałem wyrzucić je z myśli, ale okazało się, że kiedy siedziałem tu z Bonnie, nie było to możliwe. Sprawiała, że poruszały się swobodniej.

- Cromwell...

-Tak? - zapytałem zirytowany. Usiadłem prosto. - Lubię.-

Westchnąłem. - Lubię - przyznałem bardziej przed sobą niż przed nią.

Spojrzałem na widzów i muzyków na scenie, poczułem się jak w domu. Minęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni się tak czułem. A gdy wpatrywałem się w dyrygenta, zobaczyłem siebie na jego miejscu.

Przypomniałem sobie, jak to było stać we fraku, słuchając orkiestry grającej moje dzieło.

Nie dało się tego z niczym porównać.

- Nie byłem w stanie pozbyć się z głowy twojej muzyki -

powiedziała Bonnie, wrywając mnie z zamyślenia. Spojrzałem jej w oczy, serce mi się ścisnęło, ponieważ o tym mówiła. - Tych kilku nut, które w zeszłym tygodniu zostawiłeś na stoliku w Jefferson Coffee. -

Żołądek mi się skurczył. - Cromwell - szepnęła. Zdziwiłem się, że w

ogóle usłyszałem ją przy muzyce, ale tak właśnie było. Oczywiście, że usłyszałem.

Jej głos był fioletowy.

Zacisnąłem dłonie w pięści. Powiniennem wstać i odejść. Nie byłby to pierwszy raz. Ale zostałem. Popatrzyłem jej w oczy. Bonnie przełknęła ślinę.

- Wiem, że nie chcesz, bym o tym mówiła. - Pokręciła głową. - Ale było to... - urwała, próbując znaleźć słowa, gdy prowadzenie przejęła sekcja smyczkowa. Nie przejmowałem się jednak w tej chwili skrzypcami, wiolonczelami czy kontrabasami, chciałem słuchać jedynie tego, co wyjdzie z jej ust. -Podobało mi się. - Uśmiechnęła się. - Bardzo.

Jak... Przyszło ci to do głowy tam na miejscu?

Przełknąłem ślinę, włożyłem rękę do kieszeni, szukając papierosów.

Wyciągnąłem je i odpaliłem jednego. Na twarzy Bonnie zobaczyłem rozczarowanie, ale wstałem, nim zdołała cokolwiek powiedzieć.

Podszedłem do drzewa, oparłem się o pień. Tylko w połowie patrzyłem na orkiestrę. Resztę uwagi skupiałem na Bonnie, która wróciła wzrokiem do muzyków, ale zgarbiła się nieco. Poczula się odrzucona. I stało się tak przez moją niechęć do rozmowy. Żuła lukrecję, ale widziałem, że nie zatraciła się ponownie w muzyce.

Odebrałem jej całą radość.

Pomyślałem o tym, jak wyglądała, gdy tu przyszedłem. Była oczarowana muzyką. Zastanawiałem się, czy sam kiedykolwiek się tak czułem. Żeby tak bardzo się zatracić i niczym się nie przejmować. Aby prócz muzyki nie wpuszczać niczego innego do głowy. Wiedziałem, że tak. Dawno temu. Zanim wszystko się spieprzyło i zacząłem pogardzać muzyką klasyczną.

Ale kiedy tam stałem, wypełniając płuca niezbędną nikotyną, wiedziałem w głębi duszy, że nie mogłem już tego robić. Walczyłem

przez trzy lata, ale przygrywałem.

*Urodziłeś się do tego, Cromwell. Tym właśnie jesteś. W małym paluszku masz więcej talentu niż ktokolwiek, kogo znam. Wliczając w to siebie samego.*

Poczułem ucisk w gardle, gdy do głowy powróciły słowa ojca. Kiedy popatrzyłem na papierosa, zobaczyłem, że ręka mi drżała. Zaciągnąłem się po raz ostatni i wziąłem się w garść, ale znajomy gniew i ból powróciły do mojego wnętrza z taką mocą, że przez chwilę nie mogłem oddychać. Działo się tak, ilekroć o nim myślałem. Ilekroć słuchałem tej muzyki. Ilekroć byłem w towarzystwie Bonnie.

Nie wiedziałem, dlaczego była inna.

Rzuciłem peta na ziemię.

Gdy rozpoczęła się solówka pianistki, chciałem w coś uderzyć, ale moje stopy stały w miejscu. Dźwięk klawiszy z kości słoniowej sprawił, że się zasłuchałem. Zapatrzyłem. Widziałem jednak siebie na scenie.

Wyobrażałem sobie, jak wykonuję utwór, którego nigdy nie będę mógł skończyć. Utwór, który prześladował mnie od tak dawna.

Ten, którego nie widziałem do końca w myślach. Kolory były przytłumione, zatracone w mroku. Ta kompozycja sprawiła, że porzuciłem swoją największą miłość.

- Cromwell? - Głos Bonnie poniósł się ponad melodią, pianinem bombardującym moje myśli niczym pociski spadające na tatę, gdy był na misji. Zamknąłem oczy, ponownie wciskając w nie dłonie. Ktoś mnie za nie złapał. - Cromwell? - Bonnie odciągnęła moje ręce. Wpatrywała się we mnie wielkimi brązowymi oczami. - Dobrze się czujesz?

Musiałem uciec. Musiałem stąd zniknąć, ale...

Pianistka ponownie zaczęła grać, choć tym razem...

- *Szósty koncert fortepianowy B-dur...* - powiedziała Bonnie. -  
...Mozarta.

Przełknąłem ślinę. *Mój ulubiony utwór, synu. Podoba mi się najbardziej z tych, które nie są twoje.*

Rozejrzałem się, zagubiony. Bonnie trzymała mnie mocno za nadgarstek. Popatrzyłem na jej palce zaciśnięte na mojej wytatuowanej skórze i uświadomiłem sobie, że nie puszczała.

- Chodź, usiądź. - Jej dotyk za każdym razem zdawał się przebijać przez mój mrok. Tym razem pozwoliłem na to. Nie walczyłem z tym.

Nie uciekłem. Zostałem. I nie chciałem się tym martwić.

Bonnie zaprowadziła mnie z powrotem do swojego koca. Włożyła mi do ręki butelkę z wodą. Wypiłem, nawet o tym nie myśląc. Kiedy zabrała puste opakowanie, podała mi długi kawałek lukrecji.

Uśmiechnęła się, gdy spojrzałem jej w twarz.

Położyłem się na trawie, znów podpierając na łokciu. Orkiestra zaczęła grać *Nokturn Es-dur* Chopina, a wieczór zbliżał się ku końcowi.

Siedzieliśmy, milcząc. Kiedy wziąłem gryz lukrecji, zakosztowałem słodczy i mruknąłem:

- To wciąż gówniany smak.

Bonnie się roześmiała.

I w końcu mogłem oddychać.

## **ROZDZIAŁ 10**

*BONNIE*

Nie wiedziałam, co myśleć, gdy tak siedziałam obok Cromwella.

Kiedy palił papierosa przy drzewie, wyglądał, jakby utknął w jakimś koszmarze. Trząsł się. Był blady i wpatrywał się w pianistkę, jakby ta była duchem. Był tak przerażony, jak wtedy w sali muzycznej i w kawiarni. Jakby widok, dźwięk, a nawet czytanie nut wciągało go w horror, któremu nie chciał stawiać czoła.

Zachowywał się wtedy najbardziej okrutnie. Był najbardziej szorstki w obyciu. W tych samych chwilach jednak moje serce najmocniej nad nim płakało, ponieważ rozumiałam, co może wywołać strach.

Widziałam, że coś niewoliło Cromwella, choć nie wiedziałam co takiego. I nie miałam pojęcia, jak mu pomóc.

Kiedy orkiestra skończyła występ, wstałam, by klaskać z takim entuzjazmem, jaki zdołałam z siebie wykrzesać. Mój towarzysz pozostał na trawie. Serce mocno mi kołatało, gdy spojrzałam na niego.

Przyglądał się mi. Wbijał we mnie spojrzenie niebieskich oczu. Jego tatuaże były niczym cenne obrazy na nagich ramionach. Kolczyki połyskiwały w świetle reflektorów. Muskularna, wysoka sylwetka zdawała się zajmować cały trawnik, a sama jego obecność zapierała mi dech w piersi.

Obróciłam głowę, skupiając wzrok na kłaniających się muzykach.

Wciąż czułam na sobie jego spojrzenie. Przeszył mnie dreszcz, ponieważ za każdym razem, gdy widziałam Cromwella, wtedy, kiedy rozmawialiśmy, w jego głosie słyszałam smutek. No i widziałam, jak



płakał, siedząc przy pianinie. Słyszałam tę jego perfekcyjną melodię, która nie chciała opuścić mojej głowy.

Trudno było mi kogoś nie lubić, gdy wiedziałam, że ta osoba cierpiała.

Kiedy muzycy zeszli ze sceny, widownia zaczęła się rozpraszać.

Pochyliłam się, by pozbierać swoje rzeczy. Spakowałam je do koszyka i w końcu spojrzałam na Cromwella. Patrzył gdzieś przed siebie, obejmując ugięte kolana. Sądziłam, że pewnie odejdzie. Zawsze tak robił. Choć nic, co dotyczyło tego chłopaka, nie miało już sensu.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam, a gdy uniósł głowę, zobaczyłam, że jego oczy nadal były przeszkłone i zagubione.

Skinął głową, po czym wstał bez słowa i szedł obok mnie, kiedy zmierzałam do wyjścia. Odebrał mi koszyk. Serce nieco mi urosło.

Objęłam się rękami, bo było mi zimno.

- Myślałam, że będziesz dziś na mieście. Pójdiesz do baru albo do Spichlerza, żeby grać tę swoją muzykę.

- Nie. - Nie trudził się, by rozwinąć tę myśl.

Gdy dotarliśmy do bramy, usłyszałam klakson. Spojrzałam na drogę i zobaczyłam mamę.

- Tutaj jestem - powiedziałam, po czym obróciłam się do Cromwella. Zmarszczył brwi. - To moja mama. — Pochyliłam głowę, zaczerwieniona ze wstydu. - Ponieważ chorowałam, mieszkałam przez tydzień u rodziców. - Cholera, brzmiałam jak dzieciak, który biegł do mamusi, nie potrafiąc poradzić sobie z najprostszymi rzeczami.

Miałam dziewiętnaście lat. Wiedziałam, jak to wyglądało. Nie chciałam, by Cromwell miał mnie za żalosną, on jednak patrzył na mnie, jakby wcale tak nie uważał. Właściwie sposób, w jaki się we mnie wpatrywał, sprawiał, że dech wiązał mi w gardle. Spoglądał intensywnie, otwarcie. Cromwell zawsze się chronił, wycofywał w siebie, ale dziś coś

się zmieniło, choć dostrzegłam za ledwie przebłyski.

Na pewno z jedną rzeczą nie potrafiłam sobie poradzić, a mianowicie z tym, że Cromwell Dean okazywał mi ciepło. Nie byłam przygotowana na emocje, które w ten sposób wzbudzał.

Wzięłam od niego koszyk i zakołysałam się na piętach.

- Dziękuję. Za poniesienie moich rzeczy.

Skinął głową, po czym spojrział przez ramię na grupkę, która wysypała się z Wood Knocks. Westchnęłam. Wiedziałam, że to tam wolał iść. Tam było jego życie.

Ale nie moje. Musiałam o tym pamiętać, nim do głowy napłynęłoby mi więcej myśli.

- Dobranoc. - Odwróciłam się i ruszyłam do samochodu mamy.

- Będziesz w przyszłym tygodniu na wykładach? - Zatrzymałam się. Cromwell Dean pytał mnie o zajęcia?

Spojrzałam przez ramię.

- Powinam być - odparłam i mimowolnie dociekałam: -A dlaczego pytasz?

Potań wytatuowany kark. Zacisnął usta, po czym powiedział:

- Z ciekawości.

- Mieliśmy popracować nad projektem, pamiętasz? -

przypomniałam.

Pokiwał głową. Wydawało mi się, że chciał coś dodać, ale milczał.

Stał niezręcznie, patrząc na mnie lub na drogę. Wyróżniał się na tle innych przez tatuaże, kolczyki, ubiór, ciemne włosy i ciemnoniebieskie oczy.

- Spotkamy się w środę? - zapytałam, na co się spiał. Poruszył językiem w ustach. Zauważyłam, że robił tak za każdym razem, gdy nie był czegoś pewien. Kiedy wrzał w nim wewnętrzny konflikt, a zwłaszcza gdy chodziło o muzykę, obserwowałam, jak zastanawiał się nad tym prostym pytaniem, po czym popatrzył mi w oczy i krótko skinął głową.

- Dobranoc, Cromwell - powtórzyłam.

Nie odpowiedział mi. Odwrócił się w kierunku baru. Nie wsiadłam do samochodu mamy, póki nie wszedł do środka. Kiedy otworzył drzwi, muzyka zadudniła basem.

Mama również się temu przyglądała.

- Kto to był? - zapytała, gdy włączała się do ruchu.

- Cromwell Dean.

Wytrzeszczyła oczy.

- Współlokator twojego brata?

- Tak. I mój partner na zajęciach z komponowania. - I chłopak, który zajmował praktycznie każdą moją myśl, odkąd zobaczyłam go w sali muzycznej. Od momentu, w którym zmienił moje nuty w coś zapierającego dech w piersi. I odkąd usiadł obok mnie na koncercie muzyki klasycznej i poniósł mój koszyk.

Cromwell Dean był tajemniczy.

- Cóż... - powiedziała. - Interesująca osoba.

- Mhm.

- A jak koncert?

- Wspaniały. - Wzięłam głęboki wdech. Miałam z tym problem.

Potałam mostek.

- Dobrze się czujesz? - zapytała z troską mama. - Wciąż jesteś zmęczona? Nie przeginasz, co?

Uśmiechnęłam się.

- Nic mi nie jest. To tylko brak energii. Ten tydzień był wyczerpujący.

Nie odpowiedziała. Wzięła mnie tylko za rękę i mocno ścisnęła.

- Może przez następny tydzień również powinnaś z nami zostać.

Wiedziałam, że powinnam, ale...

- Wrócę do akademika w środę. - Nie było mowy, żebym nie stawiała się na spotkanie z Cromwellem. Miałam tyły w nauce, jakich nie dorobiłam się nigdy wcześniej, ale prawdziwym powodem było to, że chciałam się przekonać, czy chłopak jeszcze bardziej otworzy się na muzykę. Czułam się, jakbym stała nad przepaścią, czekając na cząstkę tego, co mógł zaserwować mi jego geniusz.

- O, kochanie, ale nie naciskaj na siebie zbyt mocno.

- Nie będę.

Mama wjechała na podjazd, a dziesięć minut później byłam już w swoim pokoju. Czułam się wykończona. Wzywało mnie łóżko, ale usiadłam przy pianinie elektronicznym z nutami, które pozmieniał mi Cromwell. Założyłam słuchawki i położyłam palce na instrumencie. I, podobnie jak w ciągu całego ostatniego tygodnia, dałam się poprowadzić. Melodia mnie zachwyciła. Ręce tańczyły na klawiszach, jakby nie miały innego wyjścia, jak tylko odtworzyć zapisane przez chłopaka dźwięki.

Wszystko zbyt szybko dobiegło końca, zagrałam więc od początku.

Nim zmęczenie przejęło nade mną kontrolę, powtórzyłam kompozycję w sumie sześć razy. Powiodłam palcami po papierze nutowym.

Mimowolnie pokręciłam głową. Dla Cromwella było to tak naturalne...

Sądził, że nie widziałam, gdy przerabiał moją melodię, ale ja patrzyłam.

Obserwowałam, jak walczył sam ze sobą, decydując, czy w ogóle tego dotknąć.

Jego ręce drżały, a spojrzenie przeskakiwało pomiędzy mną a nutami, aż w którejś chwili wygrała w nim jakaś desperacka potrzeba.

Ta sama, którą widziałam wtedy w sali muzycznej. Kiedy tworzył, na jego twarzy malował się wyraz, którego nie potrafiłam opisać. Skończył, rzucił długopis i poderwał się z miejsca, jakby papier sparzył go w ręce.

Zdjęłam słuchawki i poszłam się położyć. Odtwarzałam w myślach występ orkiestry. Pomyślałam również o Cromwellu, który ułożył się obok mnie na trawie. Pokręciłam głową. Było to surrealistyczne.

Przypomniałam sobie, jak wyglądały jego oczy, gdy wpatrywał się w pianistkę.

Jak drżały mu dłonie.

Jak na jego twarzy niespodziewanie pojawił się wyraz spokoju.

Jak się skrzywił, kiedy poczęstowałam go lukrecją.

Uśmiechnęłam się.

\*\*\*

- Nie idziemy dziś do kawiarni? - Cromwell wydawał się zdezorientowany, gdy poprowadziłam go do sali muzycznej. Nadszedł czas, byśmy ostro wzięli się do pracy.

Przesunęłam legitymację w formie karty przez czytnik w drzwiach i udałam się do mniejszej sali, którą zarezerwo-wałam wcześniej.

Cromwell został przy drzwiach, a ja podeszłam do stojącego na środku stołu. W kącie znajdowało się pianino.

Wyjęłam notatnik, czysty arkusz nutowy i długopisy, próbując jednocześnie ignorować ból głowy. Wzięłam z torebki butelkę z wodą, upiłam kilka sporych łyków.

Cromwell usiadł obok. Wnosząc po jego wyglądzie, można by pomyśleć, że właśnie wszedł do sali tortur. Miał ze sobą komputer.

Położyłam na blacie nuty, które zapisał mi tydzień temu w kawiarni.

Zerknął na nie i westchnął z frustracją.

- Podoba mi się. - Powiodłam palcami po papierze i popatrzyłam mu w oczy. - Jest piękne. A to tylko kilka taktów. - Nie ukrywał podziwu dla jego talentu. Wiedział o tym. Moja reakcja na niego sprzed tygodni mówiła sama przez się. Teraz miałam przed sobą kilka pospiesznie zapisanych taktów, które zapierały dech w piersi.

Uśmiechnęłam się, próbując zamaskować swoje emocje. - To dobry początek. - Cromwell wpatrywał się pustym wzrokiem w stół. - O

czym myślałeś? - zapytałam, stukając palcem w nuty. - Kiedy to pisałeś?

- Nie myślałem - odparł. Powrócił do swojej wcześniejszej postawy.

A jednak odkąd usłyszałam, jak grał, stawał się powoli nieco bardziej

przystępny.

- Przeczytałeś moje zapiski i co? - naciskałam.

Założył ręce za głowę.

- Nie wiem.

- Nie wiesz? - dociekałam. Pokręcił głową, ale wiedziałam, że kłamał.

- Jesteś blada - rzucił, całkowicie zmieniając temat.

- Zawsze jestem blada.

- Nie. Nie aż tak.

- Byłam chora. Tak się niestety przy tym dzieje.

- Twój utwór nie przedstawiał niczego nowego - palnął.

Potrzebowałam chwili, by nadążyć za tokiem jego myślenia.

Otworzyłam usta, ale milczałam, bo ukłuły mnie jego słowa. -

Brakowało mu intensywności. - Zadał ten cios przez zaciśnięte zęby, cichy głos sprawił, że ostra krytyka była nieco łatwiejsza do zniesienia.

Wydawało mi się, że Cromwell nie chciał rozrywać na strzępy mojej ciężkiej pracy. W ogóle nie chciał jej oceniać. - Nuty nie uzupełniały się nawzajem tak dobrze, jak by mogły to robić.

- Generalnie było to więc słabe - powiedziałam, parskając gorzkim śmiechem. Miałam do wyboru to lub pokazanie, jak mnie tym zasmucił.

- Nie słabe, ale... nie było wyjątkowe. - Skrzywił się, gdy to powiedział.

Wpatrywałam się w niego, starając się nie zachować jak dziecko w

ogniu jego argumentów. Nie udało się jednak. Odetchnęłam głęboko.

- Okej. - Rozejrzałam się, po czym wstałam. Potrzebowałam chwili. Podeszłam do pianina. Usiadłam na ławeczce i uniosłam pokrywę. Przeciągnęłam palcami po klawiszach. Zamknęłam oczy i zaczęłam grać to, co popłynęło z mojego serca. Nuty i takty, które stworzyłam. Kiedy skończyłam, zagrałam kolejny fragment.

Ten, który napisał Cromwell.

Wyraźnie usłyszałam różnicę w jakości. Jego utwór był żywy jak piękny, głęboki sen, a mój był nijaki jak popołudniowa drzemka.

Westchnęłam i zamknęłam oczy. Zabrałam ręce z klawiszy.

- Jak ty to robisz? - szepnęłam bardziej do siebie niż do Cromwella, który przyglądał mi się, oparty leniwie na krześle. Nie potrafiłam odczytać tego, co widziałam w jego oczach.

- Nie... - urwał, próbując wyjaśnić. - Nie grasz z przekonaniem.

- Co? - Nie spodziewałam się takich słów.

Cromwell ruchem głowy wskazał instrument.

- Siedzisz zbyt sztywno. Jesteś spięta, co sprawia, że niewygodnie ci grać. Jeśli kiepsko ci za instrumentem, twoja muzyka również taka będzie.

- Nie... wiem, jak robić to inaczej. - Rozzłościłam się, kiedy do oczu napłynęły mi łzy i głos zaczął drżeć, a serce gwałtownie się ścisnęło.

Marzyłam, by dobrze grać na pianinie. Pragnęłam choć w małej części dorównać Cromwellowi.

Chłopak milczał. Słyszałam odgłosy ćwiczeń dochodzące z innych sal. Wzięłam głęboki wdech, po czym wypuściłam powietrze.

Zamknęłam oczy. Nagle poczułam czyjeś ciepło i je otworzyłam.



Cromwell stał po mojej prawej.

- Przesuń się, Farraday. - Serce waliło mi jak młotem, gdy nade mną górował. Pragnęłam, żeby usiadł przy tym pianinie ze mną.

Chciałam się przekonać, co by zrobił.

Nie śmiałam mieć nadziei, że zagra.

Mój żołądek wywinął koziółka z powodu jego bliskości, ale spełniłam polecenie i zrobiłam mu miejsce na ławeczce. Cromwell się zawahał. Zastanawiałam się, czy przemyślał sprawę i postanowił inaczej, ale zaraz usiadł obok mnie.

Cudnie pachniał. Pikantnie. I choć nie znosiłam papierosów, nie potrafiłam zaprzeczyć, że woń, którą przesiąknęło jego ubranie, sprawiała, że jego zapach był jeszcze bardziej pociągający.

- Masz za sztywne ręce. - Nie patrzył na mnie, gdy mówił. Jak na ironię, sam miał sztywne dłonie i spiętą postawę. - Musisz się bardziej odprężyć.

Roześmiałam się.

- Sam nie wyglądasz jak zrelaksowany Budda. - Zerknął na mnie kątem oka. Wydawało mi się, że drgnęły kąciki jego ust, ale stało się to zbyt szybko, bym mogła potwierdzić swoje przypuszczenia.

Wziął mnie za rękę, co mocno mnie zszokowało. Wstrzymałam oddech, kiedy ułożył moje palce na klawiszach. Miał ciepłą, choć szorstką skórę. Zastanawiałam się, czy było to efektem lat grania na przeróżnych instrumentach. Nie zapytałam go. Wiedziałam, że gdybym to zrobiła, straciłabym tę jego otwartość.

- Graj - polecił.

Zmarszczyłam brwi.

- Ale co?

Spojrzał na mnie, jakbym mówiła w języku, którego nie rozumiał.

- Cokolwiek będziesz musiała.
- Musiała? - Zdezorientowana, pokręciłam głową.
- Graj - powiedział, marszcząc brwi. - Po prostu graj.

Zamknęłam oczy i zaczęłam. Przełknęłam z trudem ślinę, gdy uświadomiłam sobie, że grałam takty, które napisał Cromwell. Kiedy przerwałam, wzięłam głęboki oddech i popatrzyłam mu w oczy.

Wyglądał na zdezorientowanego. Wtedy mnie olśniło...

- Grasz to, co leży ci na sercu, prawda? Nie potrzebujesz nut? Po prostu... grasz.

Na wszystkie pytania odpowiedział mi pusty wyraz jego twarzy. Nie miał pojęcia, że inni tak nie robili. Że nie potrafili. Zakręciło mi się w głowie, ponieważ przypuszczałam, że Cromwell mógł spojrzeć na instrument, po czym zagrać jakąkolwiek wymyśloną przez siebie melodię.

Jego dłonie unosiły się nad klawiszami. Przyglądałam się wytatuowanym palcom. Czaszki i cyfry były mocnym przeciwieństwem klawiszy, a mimo to wydawały się do nich pasować niczym dawno zaginione bratnie dusze.

Serce mi się ścisnęło. Chorowałam od dłuższego czasu i nie zanosilo się na poprawę, ale było to niczym w porównaniu do napiętej struny w moim wnętrzu, która się poruszyła, kiedy z instrumentu popłynęła piękna muzyka. Czułam się, jakbym słuchała jej, znajdując się poza własnym ciałem. Przypomniałam sobie noc, gdy słuchałam, jak grał

melodię tak smutną, że się rozplakałam. W tej chwili przyglądałam się z bliska, doświadczałam jej, siedząc tuż obok. Czułam się przy tym, jakbym posmakowała boskości. Nie istniały inne słowa, którymi można by to opisać.

Zaryzykowałam i zerknęłam na jego twarz. Miał zamknięte oczy. Na zwykle sztywnej, skrzywionej twarzy malował się... czysty spokój. Moje serce zgubiło rytm, a oczy rozszerzyły się z zachwyty.

Cromwell Dean był tak piękny...

Poczułam w podbrzuszu trzepotanie, nie potrafiłam wytłumaczyć mrowienia w piersi. Rozpalił się lęk. Miałam ochotę potrzeć mostek.

Podnieść się z ławeczki i uciec od tego, co próbowało zagnieździć się w moim umyśle. Nie, nie, nie... Nie mogłam... Nie mogłam pozwolić sobie, by zapuścić się w te rejony...

Cromwell wyrwał mnie z zamyślenia, płynnie zmieniając tempo.

Kołysał się do rytmu, wiedziałam, że nie miał o tym pojęcia.

Takie granie - tworzenie - było dla niego tak naturalne, jak oddychanie.

Nie śmiałam zaczerpnąć tchu, żeby nie zniszczyć magii chwili, pod wpływem której się znajdowałam. Gdyby to ode mnie zależało, siedziałabym tu z Cromwellem, póki nie zmęczyłby się graniem.

Pozwoliłam sobie na oddech dopiero, gdy znieruchomiały jego dłonie, a utwór, którego nigdy wcześniej nie słyszałam, zaniknął, odbijając się uprzednio echem od ścian sali.

Kiedy wybrzmiała ostatnia nuta, Cromwell otworzył oczy. Chwilę później zacisnął usta, a gęsta chmura smutku opadła na radosną atmosferę, jaka go ogarnęła. Wróciła do niego świadomość, że znajdował się ze mną w sali i nie przebywał już tam, dokąd zanosła go muzyka. Znowu cierpiał. Na jego twarzy malował się ból.

Gdy obserwowałam go z bliska, uświadomiłam sobie, że gra go bolała.

- Cromwell... - szepnęłam, walcząc z ochotą, by go przytulić.

Wyglądał teraz na bardzo samotnego. Całkowicie odosobnionego w bólu. - To było... Nie mam słów... Jak...?

-To koncert - powiedział tak cicho, że ledwie go usłyszałam. -Co?

Zwiesił głowę. Potarł zarost na policzkach.

- Myślałem... - Westchnął. Nie byłam pewna, czy dokończy, ale na szczęście to zrobił: - Myślałem o koncercie. - Zacisnął usta, jakby walczył z tym, co próbował... Nie. Musiał powiedzieć. - O tamtym wieczorze... muzyce. - Wbił wzrok w białą ścianę. - O...

Przełknęłam ślinę, gdy przerwał. O *mnie?*, chciałam zapytać, ale się nie odezwałam. Zwłaszcza teraz, zwłaszcza po czymś takim. Musiałam zakończyć to spotkanie. Musiałam uciec od Cromwella. Kiedy go poznałam i był chamski, gdy był nieprzyjazny na początku semestru, łatwo było nie zauważać, jak był przystojny Bez problemu można było ignorować to, jak napinały się mięśnie jego ramion, zmieniając tatuaże w żywe dzieło sztuki.

Ale teraz uwidoczniała się jego prawdziwa postać, kiedy płakał przy pianinie tamtej piątkowej nocy i walczył ze sobą nad moimi nutami, a także gdy pomagał mi w tej chwili lepiej grać... Kiedy mówił do mnie cicho i czule, gdy jego głos był głęboki i ochrypły, a ja czułam się, jakby powołał do życia kolejną symfonię. Kiedy ślady jego idealnie stworzonej muzyki wciąż wirowały w powietrzu wokół nas.

Łatwo było zauważyć, jaki naprawdę był przystojny.

- Mam... - Odchrząknął. Pomógł mi pozbyć się z umysłu mgły, którą sam wywołał. Spojrzałam na niego spod rzęs, mając nadzieję, że zapewni mi ochronę przed tym, co teraz czułam, ale zamarłam, gdy popatrzyłam mu w twarz. Policzki miał całe czerwone.

- Co masz? - zapytałam szeptem, który w cichej sali rozbrzmiał niczym krzyk.

- Mam więcej - przyznał, jakby wyznawał coś bardzo złego.

- Więcej?

Wskazał na nuty. Żołądek skurczył mi się z ekscytacji.

- Napisałeś coś?

Skinął krótko i sztywno głową.

- Mogę posłuchać?

Spojrzał w bok, szerokie ramiona miał sztywne. Wstrzymałam oddech. Nie śmiałam zaczerpnąć tchu, kiedy Cromwell rozglądał się po pomieszczeniu, skupiając się na wszystkim, tylko nie na mnie, pianinie czy prawdzie - że się do tego urodził.

Gdy go obserwowałam, łzy napłynęły mi do oczu, ponieważ cokolwiek powstrzymywało go, by w pełni oddać się muzyce, by w pełni być sobą, wpływało na całą jego osobę. Dusiło go.

Wyglądało na to, że go niszczyło.

W tamtej chwili poczułam z nim więź. Nie miał się o tym dowiedzieć, ale nie różniliśmy się aż tak bardzo.

Nie było to zamierzone. Uniosłam rękę i położyłam ją na jego nagim ramieniu, na znajomym wzorze stworzonym z jasnych kolorów na opalonej skórze. Zrobiłam to instynktownie, żeby bez słów powiedzieć temu zamkniętemu w sobie chłopakowi, że rozumiem. Aby mu pomóc.

Cromwell znieruchomiał. Wpatrywałam się w swoją dłoń. Na jego ramionach pojawiła się gęsia skórka. Czerwona róża w oczodole czaszki drgnęła pod moimi palcami.

Zamknął oczy i wziął głęboki wdech. Nie zabrałam ręki, w razie, gdyby potrzebował mojej energii, żeby mi pokazać. Aby sobie na to pozwolić. Jego dłonie przesunęły się po klawiaturze, odnalazły właściwe położenie. Nie musiał na nie patrzeć, dokładnie znał umiejscowienie każdego klawisza. Wiedza ta płynęła wyłącznie z lat ćwiczeń.

Wypuścił powietrze i zaczął grać.

Zamarłam uwieczona na zewnątrz jego świata, zerkając do środka, ale nie będąc w stanie do niego wejść. Oddychałam pospiesznie, nie wydając przy tym dźwięku. Nie chciałam zanieczyścić melodii, zniszczyć moim drżącym oddechem piękna, które wylewało się z jego duszy.

Pragnęłam się przyglądać. Chciałam spijać widok Cromwella Deana przy pianinie, ale opadły mi powieki, nie pozostawiając innego wyboru, jak tylko wyostrzyć zmysł słuchu. Uśmiechnęłam się. Słyszałam wszystko, co odczuwał. Smutek w powolnym takcie. Radość w szybszych, wyższych tonach, a także żal w tych niższych.

Przypomniałam sobie chwilę, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy. W

lecie w klubie, gdzie obmywał mnie w ten sposób swoimi beatami. Nie dało się tego jednak porównać. Na lepkim, wilgotnym parkiecie czułam jedynie rozczarowanie. Teraz... odczuwałam całą gamę uczuć. Moje niespokojnie bijące serce walczyło, by przyjąć wszystko, co Cromwell wlewał do jego wnętrza, przez co nie było w stanie utrzymać żadnego rytmu.

I wtedy stało się coś dziwnego. Nuty, które mi ofiarował się zmieniły. Utwór nagle się przekształcił. Otworzyłam oczy i spojrzałam na jego dłonie. Poruszały się bardzo szybko, ciało kołysało się do muzyki, jakby Cromwell znajdował się w zupełnie innym świecie.

Siedziałam nieruchomo, wpatrując się w czoło, które pokrył pot.

Zmarszczył brwi, ale na ustach błąkał się cień uśmiechu.

Serce mi urosło na ten widok.

Ale uśmiech znikł, wargi zostały zaciśnięte. Nie wiedziałam, co zrobić, co myśleć. Miałam świadomość, że coś zaszło przed moimi oczami. Muzyka wypełniająca pomieszczenie była niepodobna do niczego, co wcześniej słyszałam.

I nigdy czegoś takiego nie czułam.

Emocje złapały mnie za gardło, gdy spostrzegłam, jak po policzku Cromwella spłynęła łza. Dolna warga zaczęła drżeć mi ze współczucia.

Melodia była piękna niczym ciepły promień słońca na skórze po wietrznej zimie, zwiastujący nadejście wiosny.

Cromwell mocniej się zakołysał, odchylił w tył i wrócił na miejsce, jakby był jednością z instrumentem. Nie było wiadomo, gdzie się kończył, a gdzie zaczynała muzyka.

Byłam pewna, że udało mi się dostrzec cząstkę jego duszy.

Zabrałam rękę z jego ramienia, kiedy na klawisze kapnęła łza. Utrata dotyku sprawiła, że Cromwell otworzył oczy. Następne wydarzenia były natychmiastowe. Rozchylił powieki i zamarł, palce przestały poruszać się po klawiszach. Poderwał się z ławeczki. Ja również wstałam, nim zdołał mnie z nią przewrócić. Dla równowagi złapałam się pianina.

Spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami. Jego źrenice były tak rozszerzone,

że

nie

pozostawiały

miejsca

ciemnoniebieskim

tęczówkom.

Na jego szyi uwidoczniły się żyły, mięśnie napięły się do tego stopnia, że sylwetka wyglądała na ogromną. Oddychałam ciężko, wstrząśnięta jego nagłym zachowaniem.

Spojrzał na instrument, potem na swoje ręce. Palce zacisnął w pięści i zadrżał od nagłego gniewu. Policzki miał wilgotne od łez, które były

dowodem na to, że jego muzyka łamała mu serce.

Że go zniszczyła.

Cromwell podszedł do stołu i zaczął zbierać swoje rzeczy.

Przyglądałam mu się w ciszy, nie mając pojęcia, co powiedzieć.

To ten drugi utwór, który zagrał, w którym się zatracił, spowodował

w nim tę zmianę. Cromwell właśnie z tym walczył. Moja dłoń wciąż była ciepła, niedawno stykała się z nim, gdy tworzył to arcydzieło. Kątem oka zobaczyłam, że znieruchomiał, więc obróciłam się do niego. Patrzył

na moją rękę... tę, która wspierała go, kiedy grał.

Znałam już to jego spojrzenie. Planował uciec. Gdy ruszył do drzwi, stanęłam przed nim, zagrządzając mu drogę. Zatrzymał się więc nagle, przyciskając do piersi laptopa niczym tarczę.

- Nie - poprosiłam łamiącym się ze strachu głosem.

Nie chciałam, by wszystko się skończyło, by znów wyszedł. Nie w taki sposób. Wpatrywałam się w jego zdezorientowaną twarz. Jej wyraz był ostry, oczy szeroko otwarte. Jego ciało się trzęsło.

Przełknęłam ślinę, czując, jak wzrastała pomiędzy nami temperatura. Nie wiedziałam, co się ze mną działo. Nie pozwoliłam sobie nawet o tym myśleć. Nie mogłam, ponieważ nie było to rozsądne.

Cromwell był jak posąg, przy gwałtownych oddechach poruszała się jedynie jego pierś.

Uniosłam drżące dłonie do jego twarzy. Nadal patrzył mi w oczy.

Zakręciło mi się w głowie, gdy położyłam dłonie na jego policzkach.

Stanęłam na palcach, próbując znaleźć się na tym samym poziomie.



- Nie uciekaj. - Mój głos drżał. Zdradzał moje zdenerwowanie. - W porządku - szepnęłam. Zamknął oczy, a z jego gardła dobył się cichy jęk.

Dźwięk ten niemal mnie zniszczył. Pokazywał ogrom bólu, który Cromwell nosił w sercu.

Nagle otworzył oczy i zbliżył się o krok, aż nasze klatki piersiowe się zetknęły i oddychaliśmy tym samym powietrzem.

Upuścił laptopa na podłogę, gdzie ten się rozbił. Złapał mnie za rękę.

- Nie mogę, Bonnie - szepnął ochrypłym głosem z mocnym akcentem. Policzki wciąż miał mokre, oczy czerwone. - Nie potrafię stawić temu czoła. Nie daję rady mierzyć się z uczuciami, które we mnie wzbudzasz. Kiedy jesteś blisko. Gdy mnie dotykasz. - Skrzywił się i gwałtownie wciągnął powietrze. - Nie mogę poradzić sobie z całym tym bólem.

Chciałam coś powiedzieć, by go ukoić. Zapewnić, że znałam ten okropny rodzaj cierpienia. Ale nic takiego nie wyszło z moich ust.

Jedyne, co z nich padło, to udręczony, zbolący dźwięk: - Cromwell...

Cofnął się, kiedy rozbrzmiało jego imię. Nie poświecił nawet spojrzenia rozbitemu laptopowi. Po prostu wyszedł, pozostawiając za sobą pustkę.

Oparłam się o ścianę, próbując się uspokoić. Podeszłam do torebki, wyjęłam butelkę z wodą. Piłam, aż zwolnił puls i opuściły mnie zawroty głowy.

Co on mi robił? Nie powinnam się tak czuć. Zarzekałam się, że nigdy nikogo do siebie nie dopuszczę, ale sposób, w jaki grał, w jaki patrzył na mnie tymi ciemnoniebieskimi oczami, które milcząco wołały o pomoc...

Załamany chłopak torował sobie drogę do mojego serca.

Dopadło mnie jednak zwątpienie. Rozpoznałam wyraz jego twarzy,

kiedy uciekał. Chciał mnie od siebie odepchnąć, podobnie jak zrobił to niezliczoną ilość razy.

Spojrzałam na swoją dłoń. Wpatrywałam się w nią, choć jej nie widziałam, i rozumiałam. Grał, gdy trzymałam rękę na jego ramieniu.

Kiedy go dotykałam, był zagubiony, zatracony we własnym utworze... a gdy zabrałam palce, on rozpadł się na małe kawałki.

Zamknęłam dłoń i odwróciłam wzrok. Nie miałam pojęcia, co to oznaczało.

Dotykając go jednak, zobaczyłam cień uśmiechu i słyszałam muzykę, którą tworzył, myśląc o koncercie...

- Cromwell - szepnęłam. Czekałam, aż uspokoi się moje serce, bym mogła wyrzucić chłopaka z głowy.

Kiedy wyszłam z budynku, było już ciemno.

Niczym ocean podczas sztormu moje serce wcale się nie uspokoiło.

## **ROZDZIAŁ 11**

*BONNIE*

Zamrugałam mocno, budząc się. Pokój był ciemny, świeciła tylko mała lampka w kącie. Błądząc ręką, na stoliku nocnym znalazłam komórkę, która zakłócała ciszę nocy.

Zmrużyłam oczy, patrząc w ekran, a żołądek mi się skurczył.

- Matt?

- Bonnie - powiedział zdyszany chłopak. - Musisz przyjechać.

Chodzi o Eastona.

Spuściłam nogi z łóżka, zanim jeszcze dokończył wymawiać imię mojego brata.

- Co się stało?

- Jest gorzej niż zwykle - urwał. Muzyka i śmiech, które słyszałam, zaczęły cichnąć. Widocznie poszedł w spokojniejsze miejsce. - Jesteś, Bonn?

- Tak. - Przełączyłam go na głośnomówiący i zaczęłam wciągać jeansy.

- Zaatakował chłopaka z bractwa, a ten mu oddał.

Włożyłam sweter.

- Coś mu się stało?

- Krwawi, ale nie dopuszcza do siebie nikogo. - Znów umilkł. -

Nigdy nie widziałem go w takim stanie, Bonn. Nie jest sobą.

- Gdzie jesteście? - Chwyciłam kluczyki. Przejrzałam się pospiesznie w lustrze, wyglądałam okropnie. Związałam włosy w kok i zmusiłam zmęczone nogi do ruchu.

-W Spichlerzu.

- Co? - zapytałam, gdy sapiąc szłam do auta. - W śróde? -

Spojrzałam na zegarek. - Jest trzecia w nocy, Matt!

- Cromwell chciał miksować. Żaden z nas nie przegapiłby jego występu na żywo. Wcześniej wrócił do akademika pijany i gotowy na imprezę. East zebrał ludzi i pojechaliśmy. Było zajebiście! - Dech uwiązł

mi w gardle na wspomnienie Cromwella. Znow się upił. Bez wątplenia whisky, po którą ciągle sięgał. - Bonn? Jesteś tam?

- Przyjadę za kwadrans.

Wyjechałam z kampusu w stronę Spichlerza. Stale musiałam walczyć ze snem. Ostatnio byłam coraz bardziej zmęczona.

Uświadomiłam sobie, że zanim obudził mnie Matt, spałam jakieś dziewięćdziesiąt minut. *Cromwell... co aż tak cię zraniło?*, pomyślałam.

Nie byłam w stanie wyrzucić go dziś z głowy. A teraz musiałam martwić się jeszcze o Eastona.

Dopały mnie wyrzuty sumienia, kiedy pomyślałam o bracie.

Poczułam również przerażenie i ból. Zacisnęłam palce na kierownicy, łzy napłynęły mi do oczu. Otarłam je, nim zdołały popłynąć.

- Nie teraz, Bonn - powiedziałam do siebie. - Trzymaj się dla Eastona.

Pokręciłam głową i opuściłam szybę, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Jadąc, spójrzałam na ciemne niebo i gwiazdy. Zawsze poprawiało mi to nastrój.

Prowadziły mnie światła Spichlerza. Pijani studenci wylewali się przez drzwi. Grała szybka, ogłuszająca muzyka. Zastanawiałam się, czy na podeście nadal stał Cromwell.

Ktoś mi pomachał. W światłach samochodu zobaczyłam, że to Matt.

Zaparkowałam na tyłach budynku, w pobliżu starego silosu. Gdy wysiadłam, poczułam *déjà vu*. Wzięłam wdech, ignorując wysiłek, który musiałam włożyć, by wypuścić powietrze. Kiedy ruszyłam do Sary i

Matta, obok budynku spostrzegłam znajomą parę nóg.

Minęłam kolegę, żeby dostać się do leżącego na trawie brata, któremu oczy wywróciły się na tył głowy. Uklękałam.

- Easton? - Poklepałam go po policzku. Spojrzałam na Matta. - Co wziął?

Chłopak pokręcił głową.

- Nie wiem. Nie widziałem, by coś brał. Pił tylko wodę i piwo.

Powiodłam palcami pod szeroką skórzaną bransoletą, z którą się nie rozstawał, po bliźnie na skórze, szukając pulsu. Serce biło dość szybko, ale nie szaleńczo.

Brat otworzył oczy.

- Bonn. - Uśmiechnął się, na zębach miał krew. Założyłam, że pochodziła od ciosu. W sekundę wyraz twarzy bliźniaka przeszedł od szczęśliwego do zboląłego. Easton przyciągnął mnie do siebie. - Co się dzieje?

- Jesteś pijany i chyba naćpany. - Złapałam go za rękę.

- Nie. - Spojrzał mi w twarz. Zdawało mi się, że w jego oczach zobaczyłam przeblysłk trzeźwości. - Ale co się dzieje? - Przestałam na chwilę oddychać. Zaśmiał się bez humoru. - Wiem, że coś jest nie tak.

- Złapał mnie za głowę i przyciągnął do siebie jeszcze bliżej, aż nasze czoła się zetknęły. - Ukrywasz coś przede mną. Wiem o tym.

Zachciało mi się płakać, gdy znów wywrócił oczami. Poczułam ból, miałam ochotę krzyknąć. Zamiast tego zwróciłam się do Matta:

- Czy mógłbyś mi pomóc? Muszę zawieźć go do akademika.

- Bonn? - Odezwał się kolejny głos za moimi plecami.

- Cześć, Bryce.

- Wszystko w porządku?

Matt postawił Eastona na nogi, ale waga mojego brata była dla niego zbyt duża. Bryce pomógł mu, pytając mnie: - Dokąd?

- Do mojego auta, proszę. - Poprowadziłam ich i otworzyłam samochód. Przyjacieli położył Eastona na siedzeniu i zamknął drzwi.

Zakręciło mi się nagle w głowie, więc oparłam się o auto i złapałam za skronie. Było za gorąco. Choć próbowałam sobie poradzić, wiedziałam, że się przeforsowałam.

- Bonn? Dobrze się czujesz?

Posłałam mu słaby uśmiech.

-Tak. Jestem tylko zmęczona.

Bryce uśmiechnął się do mnie i potarł kark.

- Pojadę za tobą. Nie piłem.

Spojrzałam na Spichlerz.

- Stałeś za mikserem?

- Tak, ale to już nieważne. Impreza się skończyła.

- Na pewno? - Bryce miał ładny uśmiech. Zastanowiłam się, jak wyglądałby Cromwell, gdyby się tak szeroko uśmiechnął. Pokręciłam głową. Nie mogłam teraz o nim myśleć.

- Bonn? - Bryce założył mi kosmyk włosów za ucho. Spięłam się. -

Przepraszam - powiedział, zarumieniony - Nie powinienem... Nie...

- W porządku. - Ścisnęłam jego dłoń. Była gładsza niż ręka Cromwella, Bryce nie miał też tatuaży na knykcjach.

Wątpiłam również, by ot tak z powietrza potrafił stworzyć arcydzieło.

Puściłam jego dłoń i otworzyłam drzwi auta.

- Do zobaczenia w akademiku. - Wsiadłam, Bryce pobiegł do swojego pojazdu. Przyglądałam się mu, odczuwając ból w piersi. Nigdy nie dopuściłam go do siebie. Zawsze przy mnie był, stał na uboczu, a ja nie pozwalałam mu się zbliżyć. Nigdy nikomu na to nie pozwalałam.

*Nie możesz tego zrobić*, powiedział mój wewnętrzny głos. *Nie byłoby to fair.*

Ale zdradziecki umysł szybko przywołał obraz Cromwella, przypomniał mi również, co czułam, kiedy siedziałam obok niego.

Czego doświadczałam, dotykając go i słuchając. Zobaczyłam, jak walczył z uśmiechem, gdy leżał na trawie na koncercie.

- Bonn? - wybełkotał za moimi plecami Easton.

-Jestem, jestem.

- Co się dzieje?

- Odwożę cię. - Skręciłam w główną ulicę. - Już niedaleko.

- Nie, co się dzieje z tobą?

Znów skurczył mi się żołądek. Drugi raz już o to pytał. Zawisła nad nami ciemna chmura. Kiedy spojrzałam w lusterko wsteczne, na chwilę straciłam dech. Na twarzy brata malowała się udręka. Położył dłoń na moim ramieniu.

- Powiedziałaabyś mi, co, Bonn? Prawdę.

- Eastonie. - Poczułam silny ucisk w gardle. — Nic mi nie jest. -

Znienawidziłam się, gdy wypowiedziałam te słowa. -Odpoczywaj.

Easton uśmiechnął się z ulgą, ale wciąż marszczył czoło. Musiał przez dłuższą chwilę się nad tym zastanawiać. Ręce trzęsły mi się na kierownicy. W końcu wjechałam na parking przed akademikiem.

Bryce zaparkował tuż obok. Wyłączyłam silnik i przez chwilę siedziałam w ciszy. Wszystko stawało się coraz trudniejsze. Przytłaczało mnie. Gdy spojrzałam na pijanych, wracających do pokoi studentów, w moim wnętrzu otworzyła się dziura. Nigdy nie doświadczyłam tego, co oni. Czy kiedykolwiek poczuję, jak to jest?

Zwykle nie rozczulałam się nad sobą, ale w tamtej chwili pozwoliłam, by pochłonął mnie smutek.

Z żalosego zamyślenia wyrwało mnie pukanie w szybę. Zobaczyłam Bryce'a.

- Otwórz drzwi, wyciągnę go.

Wysiadłam, ignorując fakt, że nogi miałam jak z ołowiu. Bryce zarzucił sobie rękę Eastona na ramię. Zaprowadziłam go do właściwego pokoju. Wyjęłam klucz, ale zamarłam, kiedy przypomniałam sobie, jak Cromwell zareagował na to ostatnim razem.

Zapukałam. Moje serce przyspieszyło, gdy czekałam, aż otworzy.

Rozstaliśmy się zaledwie kilka godzin wcześniej, a mimo to wydawało mi się, jakby minęły wieki. Nikt jednak nie otworzył. Widocznie Cromwell jeszcze nie wrócił ze Spichlerza.

Wsunęłam klucz w zamek, ale gałka obróciła się i drzwi stanęły otworem. Poleciałam do przodu, w ostatniej chwili przytrzymując się futryny.

Chwilę trwało, nim uniosłam głowę, a kiedy to zrobiłam, dostrzegłam przed sobą szeroki tors, którego każdy centymetr pokryty był tatuażami. Wciągnęłam gwałtownie powietrze, gdy zobaczyłam przed sobą Cromwella ubranego jedynie w czarne bokserki. Jego pierś



unosila się szybko, zanim zdałam sobie sprawę, że był zdyszany Ciemnoniebieskie, zaszklone po alkoholu oczy próbowały skupić na mnie wzrok.

- Co, do cholery? - warknął.

- Przepraszam. Chodzi o Eastona. On... - urwałam, kiedy usłyszałam zgrzyt sprężyny materaca. Natychmiast spojrzałam na łóżko Cromwella i pękło mi serce. Nie wiedziałam jak to możliwe. Nie miałam pojęcia, że nadal było w stanie to zrobić.

- Cromwell? - Ze środka pokoju popłynął znajomy głos. Pod kołdrą leżała Kacey, widać było jedynie ramiączka jej biustonosza.

Policzki stanęły mi w ogniu. Paliły, gdy walczyłam o oddech.

Spojrzałam na Cromwella i zobaczyłam, że mi się przyglądał, choć jego twarz wyraźnie pobladła. Rozchylił usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale szepnął tylko:

- Bonnie...

Usłyszałam coś w jego głosie, zobaczyłam coś w oczach. Coś, czego nie potrafiłam wyjaśnić. Wyrzuty sumienia? Wstyd?

Nie wiedziałam, czy nie było to myślenie życzeniowe.

Torturując samą siebie, nie potrafiłam przestać mu się przyglądać.

Klatkę piersiową miał zaróżowioną i błyszczącą. Włosy, które, szczerze mówiąc, zawsze były zmierzwiłone, teraz wyglądały na jeszcze bardziej potargane. Skupiłam wzrok na jego ustach. Nie wiedziałam dlaczego, ale zakłuło, kiedy zobaczyłam zaczerwienione i nabrzmiące wargi. Gdy po naszym spotkaniu wróciłam do swojego pokoju, jak idiotka zastanawiałam się, jak by to było go pocałować. Poczuć na sobie jego usta. Usłyszeć swoje imię wyszeptane, gdy trzymałby mnie za rękę...

Wróciłam do rzeczywistości i wyrzuciłam to bolesne wspomnienie z głowy. Cromwell był praktycznie nagi. Tak jak Kacey. Uświadomiłam

sobie, że mu na mnie nie zależało. Nie miało dla niego żadnego znaczenia to, co dziś dzieliliśmy. Nie mogło być inaczej, jeśli kilka godzin później zrobił coś takiego.

- O, cześć, Bonnie. - Kacey usiadła na łóżku, ale nie patrzyła na mnie. Jej policzki zaróżowiły się z zażenowania.

- Cześć - wydusiłam. Obróciłam się, ignorując Cromwella.

- Eee... przywiozłam Eastona. Wypił za dużo. - Podeszłam do Bryce'a, który piorunował Cromwella wzrokiem. - Ale może zostać u mnie. Widzę, że jesteś zajęty.

Położyłam dłoń na ramieniu przyjaciela i popchnęłam go lekko do tyłu. Nie chciałam się odwracać, by sprawdzić, czy Cromwell zamknął

drzwi, czy może się nam przyglądał. A jednak nic nie miało być dziś po mojej myśli. Choć wiedziałam, że zaboli, zerknęłam przez ramię i zobaczyłam, że Cromwell stał w drzwiach. Spiał wytatuowane ciało, palce wsunął w czarne włosy, ale najbardziej widoczne były jego oczy.

Były tak głębokie, jak letnie niebo, i wpatrywały się we mnie. Lśniła w nich podsycana alkoholem desperacja, która całkowicie mnie zniszczyła.

Z każdym krokiem byłam coraz bardziej zdezorientowana. Dopiero kiedy minęłam wejście do własnego akademika, zorientowałam się, w jak wielki wpadłam szok. Żołądek związał mi się w supeł.

Na wspomnienie zaróżowionej skóry na torsie i policzkach Cromwella miałam ochotę wydłubać sobie oczy. Jego piersi pokrytej potem po... po...

-Tędy, Bonnie. - Bryce czekał na mnie pod drzwiami. Uśmiechnęłam się i wyjęłam klucze.

- Przepraszam, jestem zmęczona. - Nie wiedziałam, czy chłopak mi uwierzył, ale przeszedł za mną przez próg i położył Eastona na łóżku.

Brat natychmiast zasnął. Przykryłam go, po czym zwróciłam się do Bryce'a.

- Dziękuję - powiedziałam, w końcu na niego patrząc.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. - Westchnęłam. - Muszę się przespać. Wciąż... nie wróciłam do pełni sił.

- Okej. - Bryce stał niezręcznie, aż w końcu pochylił się i pocałował

mnie w policzek. Wciągnęłam powietrze, gdy jego wargi dotknęły mojej skóry. Pierś nie zamrowiała jednak, żołądek nie skurczył się, jak robił to przy Cromwellu, ale gest był słodki. Bryce był słodki.

Nie dążył do autodestrukcji ani do pociągnięcia mnie za sobą na dno.

- Do jutra, Bonn. - Wyszedł. Zakołysałam się na piętach, obserwując, jak wychodził. Pomyślałam o Cromwellu i Kacey. O tym, że najwyraźniej nie zależało mu na mnie, choć zdawało mi się, że było inaczej. Muzyka, którą się ze mną podzielił, nie znaczyła nic - po prostu pokazał mi swój talent. Parsknęłam gorzkim śmiechem. Sądziłam, że w jakiś magiczny sposób pomogłam mu grać prosto z serca. Okazało się, że tylko to sobie wymyśliłam.

- Bryce? - odezwałam się, chociaż tego nie przemyślałam. Kiedy chłopak się odwrócił, zignorowałam przypływ gorąca do policzków i powiedziałam: - Pytasz mnie zawsze... - Głos mi drżał, więc pokręciłam głową. Uniosłam ją i spojrzałam na niego. - Gdybyś miał ochotę, moglibyśmy pójść gdzieś w piątek. - Spuściłam wzrok. - To znaczy, jeśli chcesz...

- Tak - wtrącił, nim miałam szansę, by znaleźć właściwe słowa.

Podszedł do mnie. - Z chęcią gdzieś cię zabiorę.

W mojej duszy nie rozbłysły fajerwerki, których się spodziewałam, ale poczułam radość i chyba powinno mi to wystarczyć.

- Dobrze. - Nie miałam co zrobić z rękami, więc włożyłam je do kieszeni.

- Dobrze. - Uśmiechnął się. - Do jutra, Bonn.

Przebrałam się w łazience w piżamę i położyłam na niewielkiej sofce, którą podarowała mi mama, gdy się tu wprowadziłam. Nie mogąc zasnąć, gapiłam się w sufit. Pragnęłam, żeby mój umysł się wyłączył, ponieważ nie chciałam już niczego czuć. Zostałam jednak zdradzona.

Głowa nie pozwalała ciału odpocząć, kończyny były za ciężkie i bolały.

Umysł podrzucał mi wydarzenia tego wieczoru, jakby odtwarzał film.

Od początku do końca.

Po jego zakończeniu brakowało mi tchu. Zaczepnęłam na siłę powietrza, odmawiając poddania się. Od tak dawna z tym walczyłam.

Tym razem również nie zamierzałam rezygnować.

Kiedy zaczęły opadać mi powieki, zobaczyłam obraz Kacey, która z jasnymi oczami i zaróżowionymi policzkami leżała w łóżku Cromwella.

Spojrzałam na rękę, tę, którą go wcześniej dotykałam. Tamten moment szybko stracił swój blask. Wyglądało na to, że Cromwell pozwalał się dotykać wszystkim oprócz mnie.

I, choć nie chciałam tego przyznawać, bolało.

\*\*\*

- Bonnie. - Profesor Lewis odetchnął powoli.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

- Nie mogę... - Pokręciłam głową, serce mocno mi zakolało.

Potałam mostek. - Profesorze, rozumiem pana stanowisko w sprawie niezmienniania partnerów. Naprawdę. Ale praca z Cromwellem... -

Westchnęłam. - Szczerze mówiąc, to najokropniejszy projekt, z jakim miałam do czynienia na tej uczelni.

Lewis wpatrywał się uważnie w moją twarz.

- Panno Farraday...

- Sprawdzał pan dziś skrzynkę odbiorczą? - Spojrzałam na zegar.

Było wpół do dziewiątej. Natknęłam się na wykładowcę, gdy dziesięć minut temu otwierał swój gabinet. Wiedziałam, że prawdopodobnie nie czytał jeszcze e-maili.

Zmarszczył brwi.

- Dlaczego pani pyta?

- Proszę sprawdzić. - Przełknęłam ślinę, ponieważ przez nerwy zaczynało ścisnąć mi się gardło. - Znajdzie pan tam wiadomość od dziekana.

Zdezorientowany

profesor

włączył

komputer

i

przeczytał

wspomniany list. Wiedziałam, że go dostał, ponieważ nagle posmutniał

- właśnie dlatego nikomu o tym nie mówiłam.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie dałam mu dojść do słowa.

- Praca z Cromwellem wywołuje u mnie więcej stresu, niż jestem w stanie znieść. - Uśmiechnęłam się. - Uwielbiam pana wykłady, profesorze. To moje ulubione zajęcia. - Odpowiedział uśmiechem, ale nie podobał mi się nowy sposób, w jaki na mnie patrzył. Jakby coś było nie tak. Jakbym była kruchą, porcelanową laleczką, która w każdej chwili mogła pęknąć.

Rozejrzałam się po gabinecie i zdjęciach na ścianach. Nad biurkiem wisiały obrazy przedstawiające jasne, wirujące barwy. Przypominały mi dzieła Eastona. Patrząc na jeden z nich, powiedziałam:

- Chcę tworzyć muzykę. - Parsknęłam śmiechem. - Ale, szczerze mówiąc, nie jestem w tym dobra.

- Pisze pani teksty - stwierdził profesor. Wskazał na moją teczkę. -

Czytałem je.

- Tak, piszę. - Odetchnęłam, czując, że się rumienię. Nie dzieliłam się z nikim moją miłością do słów. Słów, które przywierały do muzyki, a ich znaczenie słyhać było jedynie w piosence. - Jestem zdeterminowana, by ukończyć pana przedmiot. -Usiadłam prosto, mając nadzieję, że dodam sobie tym pewności siebie, której akurat mi brakowało. - Zamierzam zaprezentować swój utwór wraz z innymi studentami pod koniec roku.

- Jestem pewien, że tak będzie - powiedział zachęcająco. Rozpaliło to iskrę tłącą się w moim wnętrzu i dodało nadziei.

- Ale nie jestem w stanie zrobić tego z Cromwellem Deanem. -

Pokręciłam głową. - Przykro mi. Wiem, że ufał pan, że mu pomogę. Ze

zachęcę go do pracy przy tym projekcie, ale...

~ Nie potrzebuję więcej wyjaśnień, panno Faraday. Jestem świadomy postawy Cromwella. - Zapisał coś w moich dokumentach, po czym ponownie się rozsiadł. - Dobrze. Zrobione. - Potarł zarośnięty podbródek. - Może pracować pani sama?

- Tak będzie lepiej. - Wzruszyłam ramionami. - Przez wiele lat ćwiczyłam samodzielnie.

- W takim razie nie mogę się doczekać, by ocenić postępy pani pracy.

Kamień, o którego istnieniu nie wiedziałam, spadł mi z serca, gdy Lewis wyraził zgodę na porzucenie partnera. Ulgę jednak szybko zastąpił strach. Bałam się, że nigdy nie będę w stanie dorównać Cromwellowi, który tak pięknie dla mnie zagrał. Nie miało to jednak znaczenia. Zwycięstwem było to, że się od niego uwolniłam.

Zignorowałam tępy ból, który rozgorzał pod silnym poczuciem ulgi.

Podniosłam się, ponieważ zaraz miały rozpocząć się wykłady.

- Powodzenia. Ze wszystkim.

Posłałam profesorowi sztywny uśmiech.

- Dziękuję.

Wyszłam i ruszyłam do sali. Bryce siedział już na swoim zwyczajowym miejscu. Uśmiechnął się do mnie szeroko, kiedy przemierzyłam dwa schodki, by do niego dołączyć. Żołądek mi się skurczył, ale nie z ekscytacji czy nerwów. Stało się tak, bo w końcu zgodziłam się z nim umówić. Nie powinnam była tego robić.

Zareagowałam spontanicznie na tamte wydarzenia. Na Cromwella z Kacey. Widok jego niczym nieskrępowanego zachowania popchnął mnie do doświadczenia rzeczy, których nigdy nie zakosztowałam, póki

jeszcze mogłam to robić.

Nie powinnam tylko pozwolić sobie czy Bryce'owi na zbytne zainteresowanie.

- Pięknie wyglądasz - powiedział nieśmiało, gdy usiadłam obok.
- Wyglądam na zmęczoną - odparłam, śmiejąc się. Worki pod oczami miałam coraz większe. Żadna ilość snu nie miała być na to remedium, ale chłopak nie musiał o tym wiedzieć.

Bryce spojrzał na przód sali. Jego uśmiech zniknął, a na twarzy wykwitł rumieniec. Po jego reakcji domyśliłam się, kto właśnie wszedł.

Patrzyłam w zeszyt. Na marginesie kreśliłam jakieś szlaczki. Kiedy minął mnie Cromwell, poczułam pikantną woń jego perfum czy czegośkolwiek, czym pachniał. Serce podeszło mi do gardła, gdy uświadomiłam sobie, że zatrzymał się tuż obok. Zaczęłam szybciej oddychać, mocniej przykładając się do bazgrania na marginesie.

Nie uniosłam głowy. Nie mogłam... aż...

- Bonnie.

Zamknęłam oczy, kiedy usłyszałam głos Cromwella. W jego tonie ponownie dało się słyszeć smutek, jak za każdym razem, gdy odrobinę się na mnie otwierał. Kiedy lekko pękała jego zbroja.

W tej chwili jednak nie mogłam pozwolić, by podziałał na mnie jego szorstki głos. Zabolalo, gdy zobaczyłam go z Kacey. Nie spojrzałam więc na niego. To, w połączeniu z dopadającym mnie zmęczeniem, było po prostu przesadą.

Spięłam się, kiedy przeszył mnie dreszcz. W końcu Cromwell odszedł i zajął swoje miejsce.

- Fiut - wymamrotał pod nosem Bryce. Udawałam, że tego również nie słyszałam.



Do sali wszedł Lewis.

- Otwórzcie książki na stronie dwieście dziesiątej. Dziś będziemy uczyć się o koncertach.

Wykonałam polecenie, całkowicie wyrzucając Cromwella z głowy.

Nie myślałam o nim, aż pod koniec zajęć zawołał go profesor.

- Cromwell, muszę się z tobą zobaczyć jutro po południu.

Zebrałam swoje rzeczy i wyszłam z sali tak szybko, jak było to możliwe. Wiedziałam, o czym Lewis chciał z nim rozmawiać.

- Bonnie! - Dogonił mnie Bryce.

-Hej.

- To jutro? - Ponownie potarł kark. Uświadomiłam sobie, że był zdenerwowany.

-Jutro - powtórzyłam.

- O ósmej w Jefferson Coffee?

- Super. - Odprężyłam się nieco. Znałam ten lokal na wylot.

Znacznie łatwiej było mi iść na randkę właśnie tam. W sobotę też zamierzałam wybrać się do kawiarni, choć akurat w ten dzień nie odwiedzali jej studenci, którzy wieczór spędzali w Spichlerzu. Dzięki temu perspektywa wyjścia na kawę dwa dni z rzędu stała się bardziej znośna. Nie będzie tam nikogo znajomego.

Chłopak położył dłoń na moim ramieniu i je ścisnął.

- Do zobaczenia.

-Na razie. - Obserwowałam, jak odchodził. Był miły. Dobry. Właśnie

tego potrzebowałam, by móc skreślić to doświadczenie z mojej listy rzeczy do zrobienia w życiu. Spotkać się z kimś, kto nie sprawiłby, bym poczuła się jeszcze gorzej, a zamiast tego pokazał, jak wygląda prawdziwa randka.

Zaczęłam grzebać w torebce w poszukiwaniu gumy do żucia.

Dopiero gdy uniosłam wzrok, zobaczyłam, że o przeciwległą ścianę korytarza opierał się Cromwell. Stał tuż obok gabinetu Lewisa, na tyle blisko, że możliwe, że słyszał, o czym rozmawiałam z Bryce'em.

Piorunował mnie wzrokiem z niemal gniewnym wyrazem twarzy.

Nie obchodziło mnie to, ponieważ patrząc na niego, widziałam tylko półnągą Kacey w jego łóżku i jego niechlujny wygląd, kiedy otworzył drzwi.

Przeszłam obok niego wyprostowana i wyszłam z budynku. Chłodny wiatr nie stanowił żadnego ukojenia dla moich palących płuc. Nie sądziłam, by istniał lek na to, jak moje ciało reagowało na Cromwella.

Chyba mógł mi pomóc tylko dystans.

Planowałam więc odsunąć się bardzo, bardzo daleko. Gdy zerknęłam za siebie, zobaczyłam, że stał przy drzwiach, palił i patrzył na mnie. Dopiero w tym świetle zobaczyłam smutek bijący od niego jak z latarni. Dech uwiązał mi w gardle.

Zwiesiłam więc głowę i poszłam na kolejny wykład.

Nie spojrzałam więcej za siebie.

## **ROZDZIAŁ 12**

*CROMWELL*

- Co? - Nie byłem pewien, czy się nie przesłyszałem.

- Od tej chwili będziesz pracował sam - powiedział Lewis. -

Postanowiłem was rozdzielić. Praca w parze z panną Farraday nie wychodziła za dobrze. Nie stworzyłeś nic, co można by ocenić. -

Wzruszył ramionami. - Niektórzy po prostu nie są kreatywni. Podjąłem tę decyzję, by umożliwić ci samodzielne komponowanie.

Oszołomiony patrzyłem na profesora. Bonnie nie chciała już ze mną pracować. Żołądek mi się skurczył, zmieniłem pozycję na krześle. W

myślach pojawiła się na moment mina, jaką miała, gdy stała na progu mojego pokoju i dostrzegła Kacey w moim łóżku. Ponownie przesunąłem się na krześle, bo coś zakłuło mnie w piersi.

Zraniłem ją. Widziałem to w jej oczach.

Skrzywdziłem ją.

Odesłałem Kacey do domu. Nie próbowałem nawet do niej wrócić.

Do tego, co z nią robiłem, zanim rozbrzmiało pukanie. Nie mogłem.

Miałem przed oczami jedynie twarz Bonnie. Choć byłem mocno wstawiony, wiedziałem, jak bardzo spieprzyłem sprawę.

Kiedy siedziałem tu teraz, ramię paliło mnie dokładnie w miejscu, w którym położyła dłoń, gdy zatraciłem się w muzyce. Zatonąłem w niej tak głęboko, że nie połąpałem się nawet w tym, co takiego grałem. A

grałem tamten utwór. Ten, którego już nigdy nie chciałem tykać.

Bonnie to słyszała.

Nikt inny nie miał takiej okazji.

- Cromwell - powiedział Lewis, wyrywając mnie z zamyślenia.

- Dobra. Jak pan chce. - Wyszedłem z jego gabinetu i przemierzyłem korytarz. Szło nim kilku studentów, którzy wiedzieli, że lepiej omijać mnie szerokim łukiem. Bonnie miała zniknąć z mojego życia. Powinienem się cieszyć, przecież tego właśnie chciałem.

Odpychałem ją od siebie jak wszystkich innych.

Ale moje ciało ożywiało się przy niej i nie mogłem tego zignorować.

Od zawsze lepiej pracowało mi się w samotności. Ale myśl o braku jej towarzystwa...

Odpaliłem szluga i ruszyłem do akademika. Z każdym krokiem byłem coraz bardziej pobudzony. Byłem pewien, że to ona tego dokonała. Sprawiała, że Lewis mnie od niej odsunął. Wszedłem do swojego pokoju. Eastona nie było. I dobrze.

Usiadłem za biurkiem i uruchomiłem nowego laptopa. Uchyliłem okno, żeby nie włączył się alarm przeciwpożarowy, i sięgnąłem po kolejnego papierosa. Ze słuchawkami na uszach, blokującymi cały świat, pozwoliłem, by barwy poprowadziły mnie przez beaty.

Zamknąłem oczy, pulsujące kolory przybrały kształty. Prowadziły moje palce po klawiaturze, a ja podążałem za wzorem i uderzałem w kontroler bębnow, malując obraz na czarnym płótnie.

Pracowałem, aż skończyły mi się fajki, a palce zaczęły boleć.

Wypiłem ostatnią puszkę piwa, a także dwulitrową butelkę coli. Kiedy zdjąłem słuchawki, zorientowałem się, że za oknem zapadł zmrok, a w moim wnętrzu kompletnie nic się nie zmieniło. Nieważne, że

zmiksowałem kawałki, dzięki którym niejeden klub uznałby mnie za boga.

Wciąż byłem wkurzony, że tak bardzo spieprzyłem. Gniew płynął żyłami, gotowy zapłonąć jak benzyna. Odchyliłem głowę i jęknąłem sfrustrowany.

Porzuciła mnie, bo ją zraniłem.

Tamtego dnia upiłem się po opuszczeniu sali muzycznej. Byłem tak nawalony, że musiałem się czymś zająć. Odczuwałem potrzebę grania.

W jakiś sposób znalazłem się w Spichlerzu. Ciągnąłem whisky łyk za łykiem, by zapomnieć o Bonnie. Żeby nie pobiec do miejsca, w którym ją zostawiłem, by wyznać jej całą prawdę. Coraz bardziej się do mnie zbliżała, a gdy przy niej byłem, coś się ze mną działo. Otwierałem się przed nią.

Nie mogłem dopuścić, by runął mur.

Kacey przyczepiła się do mnie w Spichlerzu jak rzep psiego ogona.

Wiedziałem, że musiałem zająć się jakąś inną laską, ponieważ nie byłem w stanie wyrzucić Bonnie z myśli. Kiedy jednak zastałem ją na moim progu i zobaczyłem ból w jej oczach, wiedziałem, że spieprzyłem.

Strategia odwracania uwagi nie miała zadziałać. Bonnie Farraday na stałe zamieszkała w moich myślach.

O *ósmej w Jefferson Coffee?*, słowa palanta z wczoraj przeleciały przez moją głowę z prędkością światła. Spojrzałem na zegar. Musiała z nim teraz być. Była dziewiąta. Dziura w moim wnętrzu, która powstała na myśl o Bonnie z Bryce'em McCarthym, rosła, aż znalazłem się przy drzwiach i pobiegłem chodnikiem na główną ulicę.

W myślach zobaczyłem jej zachęcające spojrzenie i uśmiech.

Usłyszałem także wymawiane przez nią moje imię. Nadal czułem jej

dłoń na ramieniu, ciepło palców na policzkach. Wyczuwałem jej woń brzoskwini i wanilii.

Posmakowałem w ustach słodczy.

Zatrzymałem się przed kawiarnią. Starłem się nie zwracać na siebie uwagi, wmawiając sobie, że nie powinienem tam wchodzić tylko wrócić do siebie, ale stopy nie posłuchały. Żołądek pozostał ściśnięty. Nie mogłem znieść myśli o tym, że Bonnie siedziała w Jefferson Coffe z Bryce'em.

Zacisnąłem zęby, po czym spojrzałem przez okno do wnętrza lokalu.

Kiedy zobaczyłem ją z innym chłopakiem przy zwyczajowym stoliku, poczułem ucisk w piersi. Rozpuściła i zakręciła włosy, które spływały jej do połowy pleców. Nigdy wcześniej nie widziałem, by miała je rozpuszczone.

I wyglądała tak... Nie mogłem odwrócić wzroku.

Założyła fioletową sukienkę, tę, którą miała w Brighton. Ktoś wyszedł z kawiarni, trzymając kawę w styropianowym kubku, i przytrzymał mi drzwi.

- Wchodzisz?

Wszedłem bez zastanowienia, uderzyła mnie woń ziaren kawy. Gdy zobaczyłem, jak Bryce przysuwa się do Bonnie, a ona się uśmiecha, coś we mnie pękło.

Przemierzyłem kawiarnię i odsunąłem krzesło przy stoliku tuż obok nich. Rozsiadłem się. Bonnie spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami. Rozchyliła usta. Zarumieniła się powoli. Było to niczym tatuaż tonu gis na bladej skórze.

Podszedł Sam, barista, który wcześniej obsługiwał nas kilkakrotnie.

Posłałem mu niezainteresowane spojrzenie. Zmarszczył tylko mocno brwi i przeskoczył wzrokiem pomiędzy mną a Bonnie.

- Czarną - powiedziałem, po czym ponownie popatrzyłem na dziewczynę, która zwiesiła głowę i odwróciła wzrok. Ściągnąłem na siebie uwagę jej towarzysza, którego cała twarz zrobiła się czerwona. I dobrze.

Przysunął się do Bonnie i uśmiechnął. Zaciśnąłem dłonie w pięści, gdy odpowiedziała mu tym samym. Dostałem kawę, więc odwróciłem się od nich. Musiałem oddychać. Pozbierać się, ponieważ widok ich razem doprowadzał mnie do szału.

Przysłuchiwałem się ich rozmowie, dotyczącej szkoły i muzyki, ignorując wszystko inne. Kiedy Bryce opowiadał o tym, co tworzył na zajęcia Lewisa, miałem ochotę mu przywalić, ale wtedy dziewczyna wyznała, że zaczęła pracować sama i zamarłem.

Zaczęła beze mnie.

Jakieś pięć minut później Bryce wstał od stolika i poszedł do kibla.

Bonnie obróciła się i popatrzyła na mnie zmęczonymi oczami.

- Co tu robisz?

Nie spodobał mi się smutek, który usłyszałem w jej głosie. Był granatowy.

- Chciało mi się pić.

Zgarbiła się, bawiąc się uszkiem swojego kubka. Przerzuciła włosy przez ramię, ukazując srebrny kolczyk w kształcie dużego koła. Miała również makijaż, którego wcześniej u niej nie widziałem. Poruszyłem się niespokojnie, gdy pomyślałem, że wyglądała pięknie.

Musiała zauważyć, że się wpatrywałem. Przysunęła się i odezwała cicho:

- Proszę, Cromwell - błagała. - Przestań, cokolwiek robisz. -

Spuściła wzrok. - To ciągle wahadło... Nie mogę już. Masz swoje życie, ja mam swoje. I to w porządku.

- Zrezygnowałaś ze mnie w projekcie - powiedziałem, na co zamrugła, zdumiona.

Spojrzała w kierunku toalet. Kiedy nie zauważyła Bryce'a, wyjaśniła:

- Lewis nie sądził, byśmy mogli stworzyć razem coś dobrego.

Zgodziłam się z tym. Pozwolił, byśmy komponowali na własną rękę. -

Odetchnęła głęboko. - Tak jest lepiej.

*Słyszałaś, chciałem jej powiedzieć. Nikt nigdy nie słyszał, ale ty tak. I odeszłaś. Pozwoliłaś się odepchnąć...*

- Otrzymałeś dar, Cromwell. Piękny dar. Gdy się otwierasz, widać, jaki jesteś niewinny i cudowny... - Na jej twarzy pojawiło się współczucie, pokręciła głową. - Ale tak mocno z tym walczysz. Nikogo do siebie nie dopuszczasz. Uciekasz od swojej muzyki i ode mnie, ponieważ ją usłyszałam. - Upiła łyk napoju.

Bryce otworzył drzwi męskiej łazienki, Bonnie zerknęła na mnie kątem oka.

- Odejdź, proszę. - Zaciśnęła palce na kubku. - Chciałam się dziś dobrze bawić.

Odwróciła się ode mnie, oddychając ciężko. Wpatrywałem się w nią, a serce bolało mnie od jej słów.

Bryce usiadł. Mrużąc oczy, popatrzył na nas.

-Wszystko okej, Bonnie?

- Tak. - Usłyszałem w jej głosie sztuczną wesołość. -Cromwell właśnie wychodzi.

Natychmiast rozpałił się we mnie gniew. Przyglądałem się, jak



siedziała z Bryce'em, i pozwalałem, by trawił mnie ogień.

Od trzech lat żyłem w piekle, a kiedy zobaczyłem, że wybrała jego, a nie mnie, zapłonął w moim wnętrzu tak gorący płomień, że musiałem coś z tym zrobić.

- Nie, chyba nie wyjdę - powiedziałem, rozsiadając się wygodnie.

Bonnie spojrzała na mnie zakłopotana.

Przyszedł Sam i dolał mi kawy. Bryce i Bonnie wszczęli cichą rozmowę. Sięgnąłem po cukierniczkę stojącą na ich stoliku. Umilkli.

Widziałem, że dziewczyna była mocno wkurzona.

- Muszę dosypać cukru - rzuciłem.

Bryce położył ręce na blacie. Przysunąłem się, podsłuchując, co miał

do powiedzenia. Leniwie bawiłem się uszkiem kubka.

- Nasz utwór oparliśmy na podróży imigranta z Irlandii do Ameryki. Zaczynamy solówką irlandzkich skrzypiec, po czym wchodzi flet i kilka instrumentów strunowych.

Parsknąłem śmiechem. Mogłem się założyć, jak świetnie to brzmiało.

Bryce posłał mi nienawistne spojrzenie. Wziął Bonnie za rękę i ponownie skupił na niej uwagę. Próbowwała zabrać dłoń, ale chłopak splótł z nią palce i trzymał mocno, na co wpatrzyła się w ich ręce, marszcząc brwi.

Palant nie zwrócił na to uwagi. Obudziły się we mnie dwie sprzeczne reakcje - głupia ulga, ponieważ najwyraźniej nie lubiła go w ten sposób, ale i wściekłość, bo jej dotykał.

Wypiłem kilka łyków napoju, mając nadzieję, że pomoże mi kofeina z cukrem. Skrzywiłem się. Nie znosiłem słodkiej kawy. Kiedy odsunąłem od siebie pusty kubek, nic się jednak nie zmieniło.

- Będiesz szczęśliwa, mogąc teraz samodzielnie pracować, co?

Nie miał pojęcia, co robił. W innym przypadku wiedziałby, jak niebezpiecznie blisko byłem przywalenia mu w głowę, by go uciszyć.

- Tak - odparła Bonnie. Miała świadomość, że lepiej niczego nie dodawać.

- Niektórzy nie są powołani do muzyki klasycznej, wiesz? -

Przygryzłem wargę, a dupek nawijał dalej: - Potrafią tylko sklecić kilka beatów na komputerze i twierdzą, że to muzyka. Płyną przez życie, chcąc, byśmy myśleli, że są wyjątkowi, podczas gdy nikt nie zauważa prawdziwych artystów.

Parsknąłem śmiechem.

- Artystów? Znaczy ciebie? - Zacisnął usta, a ja pokręciłem głową. -

Ciągle się wkurzasz, że zjawilem się w Jefferson i nalałem do twojego ogniska?

- Co to w ogóle znaczy?

Skrzyżowałem ręce na piersi i rozsiadłem się na krześle.

- Spichlerz. To, że mógłbym wywalić cię z podestu z zamkniętymi oczami. Jesteś zły, że mam stypendium, a ty nie. - Wstałem, by górować nad nim. - I nie podoba ci się, że gdybym szczał do muszli, brzmiałoby to lepiej niż cokolwiek, co skomponujesz. - Uśmiechnąłem się. - Biją od ciebie przeciętność, gorycz i zazdrość.

Usiadłem i machnąłem ręką, prosząc o dolewkę kawy. Za moimi plecami panowała cisza, aż usłyszałem zgrzyt krzesła po podłodze.

Obróciłem głowę i zobaczyłem, że chłopak wstał.

- Przepraszam, Bonn, ale czy możemy umówić się na kiedy indziej?

- Wychodzisz? - zapytała szeptem. Nie spodobał mi się ucisk w żołądku na dźwięk jej drżącego głosu. Nie podobały mi się też jasne szarości, które zobaczyłem, gdy jej słowa trafiły do moich uszu. Serce wciąż mi kołatało, ale kiedy czerwona mgła gniewu opadła sprzed oczu, zobaczyłem bladą twarz Bonnie i zacząłem odczuwać żal.

- Tak. Zadzwonię, dobrze?

Usłyszałem trzask drzwi. W oczach Bonnie widziałem ból.

- Dlaczego? - wyszeptła. - Dlaczego musiałeś tu dziś przyjść? -

Wzięła torebkę, zostawiła na stole kilka banknotów i monet. - Żeby się zemścić za to, że nie jesteśmy już partnerami? - Parsknęła gorzkim śmiechem. - Dobra robota, Cromwell. Zniszczyłeś mi to spotkanie.

Poderwała się z miejsca tak szybko, że straciła równowagę. Sam podbiegłem, by ją chwycić. Rzuciłem się do niej w tym samym czasie.

- W porządku? - zapytał.

Bonnie złapała się za głowę.

- Tak. Za szybko wstałam. - Odsunęła się i ruszyła ku drzwiom.

Spiorunowałem chłopaka wzrokiem, na co on odpowiedział grymasem. Rzuciłem dwudziestkę na stolik.

Kiedy przechodziłem obok, złapał mnie za ramię.

- Zostaw ją.

Zatrzymałem się. Spojrzałem na jego palce, zaciskające się na moim bicepsie.

- Lepiej zabierz tę rękę.

Sam się cofnął, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami.

Ominąłem go i poszedłem do drzwi. Wyszedłem na główną ulicę, ale nigdzie nie widziałem Bonnie. Przeszedłem na drugą stronę i spostrzegłem ją w oddali, gdzie w świetle ulicznej latarni opierała się o ścianę sklepu z antykami. Włożyła jeansową kurtkę, na nogach miała brązowe botki do kostki.

Uniosła głowę, gdy do niej podszedłem. Wyglądała na zmęczoną, wyczerpaną.

- Poszedł sobie. — Spojrzała na ulicę. Kiedy ponownie obróciła ku mnie twarz, w jej oczach lśniły łzy. - Chciałam tego jednego wieczoru -

szeptnęła. - Po tym wszystkim... chciałam mieć tylko ten jeden wieczór.

Dźwięk jej łamiącego się głosu sprawił, że w mojej piersi działy się dziwne rzeczy. Coś tam pękło.

Otarła mokry policzek.

- Nigdy nie pozwalałam sobie na nic takiego. Nie byłam w stanie -

załkała. Wyprostowała się i spojrzała mi prosto w oczy. - Ale pragnęłam wiedzieć, jak to jest. Chciałam móc nie myśleć o tym wszystkim przez jedną cholerną noc...

Wpatrywałam się w nią, nie wiedząc, co powiedzieć. O czym, u diabła, mówiła? O czym chciała zapomnieć?

Przeczesałam palcami włosy. Łzy płynęły po jej policzkach coraz mocniej, aż odepchnęła się od ściany i popatrzyła na mnie. Miała mokrą twarz, ale w jej oczach lśniło coś, co znałem aż za dobrze - gniew.

- Byłeś dziś okrutny. Byłeś zimny, podły i nieuprzejmy. -Zbliżyła się. Jej twarz niemal dotykała mojej. - Zostaw mnie w spokoju. -

Spuściła wzrok. - Proszę. - Odwróciła się i ruszyła do auta.

Gdy usłyszałem ból w jej głosie i obserwowałem, jak odchodzi, coś we mnie pękło. Krew płynęła tak szybko, że zakręciło mi się w głowie.

Nie przemyślałem swojego działania, postąpiłem instynktownie.

Podbiegłem i chwyciłem ją za rękę.

Kiedy się odwróciła, popchnąłem ją do tyłu, aż uderzyła plecami o mur.

- Cromwell, co... - Zanim zdołała dokończyć, przywarłem do jej ust.

W chwili, w której jej posmakowałem, serce o mało mi nie

ekspłodowało. Z gardła Bonnie dobył się jęk zaskoczenia, który stłumiłem. Przyłgnałem do niej, czując jej ciepło.

Odpowiedziała na pocałunek. Rozchyliła wargi, więc wsunąłem pomiędzy nie język. Wtuliła się we mnie, gdy pochłaniałem jej usta.

Spijałem ją. Złapała mnie za ramiona, wbiła paznokcie w nagą skórę.

Oboje płonęliśmy ogniem przy tym murze. Nie potrafiłem się powstrzymać. Wargi dziewczyny były równie chciwe, a im dłużej się całowaliśmy, tym szybciej i mocniej się poruszały. Odsunąłem się wreszcie, oszołomiony. Bonnie uniosła powieki i popatrzyła mi w oczy.

Wpatrywała się we mnie przez całą wieczność, a kiedy do jej oczu znów napłynęły łzy, moje serce pękło na pół. Nie odezwała się. Miała zarumienione policzki, oddychała pospiesznie. Nagle odsunęła się i pobiegła w stronę samochodu. Natychmiast uruchomiła silnik i włączyła się do ruchu. Przyglądałem się, jak w oddali znikają tylne światła jej auta.

Stałem na chodniku, oddychając głęboko do chwili, gdy z zamyślenia wyrwał mnie dźwięk za moimi plecami. Wiatr powiał mi w twarz i natychmiast się przebudziłem.

Zmusiłem nogi do ruchu, wlokąc je jedna za drugą, aż wróciłem do akademika, ale z każdym krokiem rozpamiętywałem nasz pocałunek.

Smakowałem brzoskwini na języku. Spojrzałem na rękę i zobaczyłem na bicepsie ślady po jej silnym uścisku i paznokciach. Pierś nadal była ciepła po tym, jak przywarłem do jej ciała.

- Cholera - mruknąłem, wodząc językiem po wargach. Idąc, nie zauważyłem nikogo wokół siebie. Dopiero kiedy przestąpiłem próg własnego pokoju, zdałem sobie sprawę, że dotarłem do celu.

Gdy tylko zamknąłem drzwi, zobaczyłem siedzącego na stołku Eastona. Jego ubranie pokryte było smugami, płótno przed nim prezentowało ciemne barwy. Zapatrzyłem się w nie. Przywykłem do

jaskrawych kolorów. Nie widywałem u niego szarości, brązów i burgundów.

Easton zerknął przez ramię.

- Cromwell.

Kiwnąłem mu głową, ale nie zamierzałem się odzywać. W głowie miałem mętlik. Kotłowały się tam myśli o jego siostrze, o smaku jej ust.

Opadłem na łóżko i spojrzałem na sufit. Zamknąłem oczy i zobaczyłem ją pod powiekami. Długie brązowe włosy, fioletową sukienkę, wysokie botki. Potarłem oczy, próbując pozbyć się tego obrazu.

*Byłeś dziś okrutny. Byłeś zimny, podły i nieuprzejmy...*

Słowa zakorzeniły się głęboko w mojej piersi, ale rana nie bolała aż tak bardzo, kiedy przypomniałem sobie wyraz jej oczu zaraz po naszym pocałunku oraz nabrzmiałe wargi i zarumienione policzki.

Uniosłem powieki. Easton wciąż siedział na stołku, wpatrując się w kanwę.

- East? - Wydawało mi się, że wyrwałem go z zamyślenia. Ostatnio zachowywał się jakoś dziwnie. Zamknął się w sobie, zamiast ciągle interesować się moim życiem.

Obrócił się.

-Co?

- Mówiłem do ciebie. - Odłożył pędzel i paletę. Otarł twarz.

Spojrzałem na jego dzieło. - Głębokie.

Popatrzył na płótno, po czym szeroko się uśmiechnął. Wzruszył ramionami, wstał i usiadł na moim łóżku.

- Pobrudzisz mi pościel, będziesz musiał ją wyprać.

Poruszył figlarnie brwiami.

- Po tym, jak była tu Kacey, i tak musisz ją uprać.

Kacey... Wspomnienie pozostawiło niesmak w moich ustach. Jak najdłużej chciałem zatrzymać w nich smak Bonnie. Nie byłem pewien, czy kiedykolwiek zdołam odpuścić.

- Nie przeleciałem jej.
- Nie to mówiła mi siostra.
- Myliła się. - Znów spojrzałem na obraz. - Gdzie żywe barwy?

Easton odetchnął głęboko.

- Nie czuję ich w tej chwili. - W jego słowach pobrzmiwała jakaś obca nuta. Nie wiedziałem, o co chodziło, ale ton głosu współlokatora miał dla mnie barwę lasu. - Gdzie byłeś? - Zmienił temat.

Przesunąłem się na łóżku, sięgając po leżącego na stoliku nocnym laptopa. Wcześniej wrzuciłem do sieci więcej miksów. Sprawdziłem ilość pobrań - tysiące.

- Poszedłem na kawę.
- Widziałeś się z Bonnie? Wszystkie weekendy spędza w kawiarni.

Nie lubi Spichlerza.

Pokręciłem głową, unikając jego wzroku.

- Nie, nie widziałem jej.
- Pewnie poszła do domu. Jutro jest wieczór muzyczny - rzucił tak nonszalancko, że niemal to przegapiłem.

-Wieczór muzyczny?



Easton zdjął koszulkę i poszedł do swojego łóżka. Odpalił tablet i włączył kolejny odcinek serialu, który aktualnie oglądał.

- Siostra chodzi tam słuchać? - zapytałem, podgłaśniając muzykę.

- Gra tam. - Easton wziął słuchawki. - Znikam, na razie. -

Skinąłem głową, gdy założył je na uszy i wylogował się ze świata.

Zmarszczyłem brwi, zastanawiając się, co takiego robiła Bonnie na wieczorku muzycznym w zwykłej kawiarni. Sądziłem, że interesowała się jedynie muzyką klasyczną. Zacząłem pracować nad miksami, ale nie miałem dziś do tego weny. Nie potrafiłem przestać myśleć o Bonnie. O

naszym pocałunku. O jej oczach. O tym, jak całkowicie straciłem nad sobą panowanie, gdy poprosiła, bym zostawił ją z Bryce'em. I o tym, jak wyglądała po pocałunku, jak na mnie patrzyła.

Zamknąłem program do miksowania i wszedłem na stronę kawiarni.

Wieczór muzyczny, podczas którego każdy mógł stanąć na scenie, zaczynał się o ósmej.

Wyłączyłem komputer, opuściłem powieki. Widziałem jedynie ładną twarz Bonnie, a napięcie w moim wnętrzu zelżało.

- Cromwell? - Głos Eastona wyrwał mnie z drzemki.

Uchyliłem jedno oko.

- Co?

- Pisziesz się jutro na podest w Spichlerzu?

Otworzyłem usta, by się zgodzić, ale zamiast tego powiedziałem:

- Nie mogę. Jestem zajęty.

- Randka, co?

Wypuściłem powoli powietrze.

- Muszę gdzieś być.

- Super. Znow utknęliśmy z Bryce'em. - Powrócił wzrokiem do ekranu tabletu.

Nie zasnąłem aż do wschodu słońca.

Obwinałem o to smak brzoskwini.

## **ROZDZIAŁ 13**

### *CROMWELL*

Lokal był pełen ludzi.

Na chodniku stali palacze, a przechodnie zmierzali do pubu naprzeciwko. Spojrzałem przez szybę, ale niczego nie dostrzegłem.

Pochyliłem więc głowę i wszedłem do środka, gdzie panował półmrok.

Nie zauważyłem Bonnie, ale znalazłem w kącie wolny stolik. Opadłem na krzesło, nim ktokolwiek zdołałby je zająć. Sam zjawił się dopiero dziesięć minut później. Kiedy mnie zobaczył, na jego twarzy pojawił się chłód.

Zerknął do tyłu, po czym znow na mnie. W jego spojrzeniu dostrzegłem panikę.

-Nie wierzę...

Uniosłem rękę, by go uspokoić.

- Przyszedłem jedynie na kawę.

Jego mina podpowiedziała mi, że wątpił, ale zapytał: -To, co zwykle?

Skinąłem głową, więc odszedł. Nie byłem pewien, czy zdradzi Bonnie, że się pojawiłem. Siedziałem więc i słuchałem trzech wykonawców. Jeden był dobry. Podczas ich występu cały czas patrzyłem na blat, po którym przewijały się barwy. Potarłem pulsujące skronie, miałem wrażenie, że dopadła mnie migrena. Bolała mnie głowa, kark miałem sztywny. Działo się tak dlatego, że próbowałem ignorować te kolory, emocje i smaki, a moje ciało pragnęło, bym w pełni je do siebie dopuścił.

*Nie zdołasz tego powstrzymać, usłyszałem w głowie słowa ojca. To część tego, kim jesteś, synu. Pozwól sobie odczuwać. Uśmiechnął się wtedy. Chciałbym również je widzieć i czuć. Co za dar...*

Zacisnąłem mocno powieki, zamierzałem wyjść, ale manager powiedział do mikrofonu:

- A teraz nasza przyjaciółka, dziewczyna z Jefferson, Bonnie Farraday.

Ze swojego miejsca miałem świetny widok na scenę, więc w tym samym momencie zobaczyłem Sama, który pomagał Bonnie się przygotować. Podał jej gitarę akustyczną. Wyglądała na starą i mocno używaną, ale dziewczyna trzymała ją, jakby była przedłużeniem jej ciała.

Bonnie ani razu nie spojrzała na publikę. Siedząc na stołku, wpatrywała się w instrument. Miała na sobie jeansy rurki i biały sweterek, który zsunął się jej z jednego ramienia, ukazując bladą skórę.

Włosy splotła w skomplikowany warkocz. W uszach miała perły, na

nadgarstku bransoletkę.

- Dobry wieczór wszystkim. Piosenka nosi tytuł *Skrzydła*.

Zamknęła oczy, palce przesunęła na gryf. Wstrzymałem oddech, kiedy zaczęła grać. Gdy powolna melodia spływała ze strun, pod moimi powiekami pojawiła się oliwkowa zieleń. Kiedy Bonnie otworzyła usta, a w mojej głowie niczym petarda wybuchła żywa fioletowa barwa, dech uwiązł mi w gardle. Słowa dotarły do moich uszu i poczułem ból w klatce piersiowej, bo tekst wbił mi się prosto w serce.

*Niektórym nie jest dane przeżyć długie lata , Nieliczni są jak iskry, czy cichy śpiew ptaka.*

*Nazbyt czyste dusze płoną jasnym blaskiem, A ciała nazbyt kruche przegrywają walkę.*

*W nas serca tracą rytm, melodia jest za wolna. Przybywają anioły, czas już się im oddać.*

*Opuścić nasze miejsce, udać się do nieba, Do spokojnego raj, gdzie nikt nie umiera,*

*Nadzieja zostaje przy naszych ukochanych. Porzucamy klatkę, jak ptaki uwalniane,*

*I wznieść się możemy na skrzydłach całych z bieli, Rozpostartych szeroko, pochodzących z piersi.*

*Ze łzami więc w oczach, poświęcając spojrzenie, Mówię: żyłam, kochałam i miałam marzenie...*

Zamarłem. Moje ciało skupiało się wyłącznie na jasnych różach i liliowych purpurach. Fiolet malował każdy takt, w tempie którego trójkąty poruszały się i zmieniały wielkość.

Poczułem ucisk w gardle, kiedy jej głos wypełnił lokal. Żołądek mi się skurczył, serce ścisnęło tak mocno, że aż zabolęło.

Przed oczami stanęła mi roześmiana, dumna twarz ojca... i chwila, w której odszedłem.

Z zamyślenia wyrwał mnie głośny aplauz. Barwy w mojej głowie wyblakły, pozostawiając jedynie cienie koloru, gdy pokrył je mrok.

Odetchnąłem, czując się wyczerpany, jakbym przebiegł wiele kilometrów. Upiłem spory łyk kawy.

Manager ogłosił przerwę. W chwili, w której włączono światła, Bonnie obróciła głowę. Jakby była świadoma tego, że siedziałem w kącie i obserwowałem.

Zamarła, kiedy mnie spostrzegła. Zachwiała się, schodząc ze sceny.

Sam złapał ją, a także gitarę, nim instrument wyrznął o podłogę. Bonnie coś do niego powiedziała, po czym wyszła na zaplecze.

Natychmiast się poderwałem i przepchnąłem pomiędzy zebranymi.

Drogę zagroził mi Sam.

- Wejście wzbronione.

Zacisnąłem usta, przygotowując się do wymierzenia ciosu, gdyby nadal blokował mi przejście. Wyrząłem jednak przez okno i zobaczyłem, że Bonnie, trzymając futerał, przechodzi przez ulicę. Nie zastanawiałem się, co zrobić. Znów przecisnąłem się przez tłum. Światła przygasły, manager zapowiedział kolejny występ.

Bonnie zniknęła w parku. Pobiegnąłem za nią alejką. Stała pod latarnią, zaraz przed stojącym na trawie pawilonem.

Nadepnąłem na jakąś gałązkę, a Bonnie uniosła wzrok. Jej oczy były szeroko otwarte. Na mój widok przygarbiła się i przycisnęła futerał do piersi, jakby mógł ją ochronić. Przede mną.

- Cromwell... - Głos miała zmęczony i spięty. Działo się tak przeze mnie i wczorajszy wieczór. To, co zrobiłem. Co zrobiłem zbyt wiele

razy. Nie podobało mi się, że z mojej winy brzmiała na smutną. -

Dlaczego tu dziś przyszedłeś?

Wpatrywałem się w nią bez słowa. Nie mogłem się odezwać. Teraz, kiedy się tu znalazłem, nie potrafiłem wydusić ani słowa. Przed oczami wciąż wirowały barwy, które zapisała w moim umyśle. Słyszałem w myślach słowa jej piosenki, które nieustannie kłuły mnie w pierś.

Jak miałem sprawić, by zrozumiała? Zamarłem, ponieważ naprawdę chciałem, żeby tak się stało.

Westchnęła głośno. Odwróciła się i ruszyła z miejsca. Moje serce przyspieszyło. Zamierzała odejść.

Myśli pędziły mi w głowie. Otworzyłem usta i krzyknąłem:

- Przejście było słabe!

Zamarła w pół kroku. Obróciła się twarzą do mnie. Podszedłem bliżej.

- Moje przejście było słabe? - zapytała ochryplym, wyczerpanym i...

rozdrażnionym głosem.

- Tak. - Włożyłem ręce w kieszenie.

- Dlaczego, Cromwell? Dlaczego było słabe? - Widziałem, że spodziewała się mojej ucieczki. Myślała, że odmówię odpowiedzi lub odetnę się od tematu.

- Ponieważ było granatowe. - Moje policzki stanęły w ogniu.

- Co? - zapytała. Rozejrzałem się. Nie wierzyłem, że to powiedziałem. - Cromwell, co...

- Było granatowe, a granat oznacza, że melodia jest słaba. - Stała jak wryta, na jej twarzy malowała się mocna dezorientacja.

Odchrząknąłem, walcząc z uciskiem w piersi. - Resztę tworzyła

oliwkowa zieleń i róże... z wyjątkiem przejścia. - Pokręciłem głową, gdy wrócił do mnie ciemny odcień niebieskiego. Postukałem się w skroń. -

Było granatowe. Nie pasowało. W dobrych utworach nie ma granatu.

Opadła jej szczęka, w jej oczach pojawiło się podekscytowanie, które widziałem, kiedy grałem przy niej na pianinie.

- Synestezja - szepnęła z zachwytem. - Jesteś synestetą. - Nie było to pytanie. Przysunęła się, na co ponownie chciałem uciec, ponieważ ode mnie zależało, co się stanie. Ale zwalczyłem tę chęć. Nie zamierzałem już uciekać.

Westchnąłem. Powiedziałem jej. Nie wymusiła na mnie tego wyznania. W jakiś sposób samą grą dostała się pod mój pancerz, a prawda wypłynęła samoistnie.

- Cromwell... - Spojrzała na mnie jak nigdy wcześniej.

Uświadomiłem sobie, że zawsze podchodziła do mnie ostrożnie, a w moim towarzystwie jej postawa nieustannie była zamknięta.

Ale teraz się otworzyła.

Szeroko.

-Jakiego typu? - Stała ledwie kilka kroków przede mną. Była na tyle blisko, że stykały się czubki naszych butów. Do nosa napłynęła mi brzoskwiniowo-waniliowa woń jej perfum, na języku poczułem słodycz.

W jej obecności doznawałem wszystkiego mocniej. Moje zmysły były tak przytłoczone, że niemal nie mogłem oddychać. Widziałem wybuchy kolorów. Czułem jej słodki smak, oddychałem jej istotą. Linie, kształty, tony i kolory, matowe i metaliczne, wszystko to uderzyło we mnie niczym fala powodziowa, na którą się otworzyłem. Wpuściłem ją, runęły przed nią moje mury obronne.

Czułem emocje tak intensywne, że wydałem zduszony krzyk

- Cromwell? - Bonnie złapała mnie za rękę. Zamarłem, patrząc na jej

dłoń. Zabrała ją, ale chwyciłem jej palce.

Znieruchomiała, spojrzała na nasze złączone dłonie. Czekałem, aż mi się wyrwie, ale tego nie zrobiła. Słyszałem, jak pospiesznie oddychała. Widziałem, jak unosiła się jej klatka piersiowa. Zamrugła, długie rzęsy skrywały wielkie, zszokowane oczy.

W końcu się na nią otworzyłem.

- Chromestezję - odparłem. Bonnie uniosła głowę i zmarszczyła brwi, dezorientowana. Odetchnąłem ciężko i pogodziłem się z tym, że będę musiał wyjaśnić. - Mam chromestezję. Głównie.

- Barwne słyszenie. - Uśmiechnęła się. - Widzisz kolory w muzyce.

- Przytaknąłem, na co cicho westchnęła. - Co jeszcze?

- Hmm?

- Powiedziałaś „głównie”. Czego jeszcze doświadczasz? Nie wiedziałam, że można mieć więcej typów.

- Nie za wiele wiem na ten temat - przyznałem. - Po prostu to mam. Prócz tego, co powiedział mi ta... - Przełknąłem ślinę i zmusiłem się, by dokończyć. - Poza tym, co powiedział mi tata, gdy szukał

informacji na ten temat. - Wzruszyłem ramionami. - To dla mnie norma. Żyję z tym każdego dnia.

Bonnie wpatrywała się we mnie, jakby pierwszy raz mnie zobaczyła.

- Tyle o tym czytałam - stwierdziła. - Ale nigdy nie poznałam kogoś takiego. - Ścisnęła moją dłoń. Zapomniałem, że ją trzymałem.

Spojrzałem na nasze splecione palce. Poczułem spokój. Zawsze się tak przy niej działo. Nieustanny gniew nikł. Tylko ona tak na mnie wpływała. - Twoje zmysły są pomieszane, słuch, wzrok, smak. -

Pokręciła głową. - Niewiarygodne.



-Tak.

- A przejście w mojej piosence było granatowe? - Przytaknąłem. -

Dlaczego? - zapytała niemal bez tchu, mówiła tak szybko.-Jak?

- Chodź. - Pociągnąłem ją za sobą przez park. Nie wiedziałem, czy pozwoli mi się prowadzić, przecież nie wybaczyła mi krzywdy, jaką jej wyrządziłem, ale poszła za mną.

- Dokąd idziemy?

- Zobaczysz.

Kiedy została w tyle, zwolniłem. Nie poruszała się za szybko.

Dyszała. Spojrzałem na jej zaróżowione policzki i mokre od potu czoło.

Wziąłem od niej gitarę.

Zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Dobrze się czujesz? - zapytałem. Nie miałem pojęcia, dlaczego była tak zmęczona.

Odsunęła kilka kosmyków z twarzy.

- Nie mam kondycji. - Roześmiała się, ale coś było nie tak. Jej śmiech nie miał różowej barwy. - Muszę zacząć ćwiczyć.

Szedłem więc obok niej wolnym krokiem. Czekałem, by zabrała rękę, ale tego nie zrobiła. Podobało mi się to.

Trzymałem dziewczynę za rękę.

I nie puszczałem.

Gdy przyszliśmy pod wydział muzyczny, poczułem między nami napięcie. Zatrzymałem się przy drzwiach.

- Co się stało? - zapytała Bonnie.

Mocniej przytrzymałem gitarę, po czym wreszcie puściłem jej palce, bym mógł wyjąć swoją legitymację i przeciągnąć ją przez czytnik kart.

Zacisnąłem usta, kiedy się odsunąłem. Bonnie wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami. Wiedziałem, dlaczego się zawahałem.

Nie chciałem jej puszczać.

Wyglądało na to, że w budynku znajdowało się kilka osób. Przed oczami przesuwały mi się szkarłatne wstęgi, gdy z którejś sali dobiegł

dźwięk oboju. Bonnie patrzyła na mnie z rozchyłonymi ustami, jakby zamierzała coś powiedzieć.

- Czerwone pasy.

Zatrzymała się.

- Skąd wiedziałeś, że o to chciałam zapytać?

Spojrzałem jej w twarz. Jej nos i policzki zdobiły piegi, których wcześniej nie zauważyłem. Miała mały nosek, ale jej oczy i usta były duże, a rzęsy najdłuższe, jakie w życiu widziałem.

- Cromwell? - powiedziała ochryłym głosem. Uświadomiłem sobie, że się w nią wgapiałem. Czulem w piersi przyspieszone bicie serca. Jego rytm sprowadził stroboskopowe błyski, pomarańczowe niczym zachód słońca.

- Masz piegi.

Patrzyła na mnie w milczeniu, ale zaraz się zaczerwieniła.

Otworzyłem drzwi do sali ćwiczeń i weszliśmy. Włączyłem światła, odłożyłem gitarę.

W pomieszczeniu panowała całkowita cisza. Wsadziłem ręce do

kieszoni, nie wiedziałem, co ze sobą zrobić.

Bonnie podeszła do mnie. Nie potrafiłem oderwać wzroku od ramienia, z którego zsuwał jej się biały sweterek. Od jej bladej skóry.

- Dlaczego tu jesteście, Cromwell? - Głos jej drżał. Kiedy spojrzałem na nią uważniej, zorientowałem się, jak bardzo była zdenerwowana. Czują się przy mnie nieswojo. Nie cierpiałem za to samego siebie.

Wyjąłem gitarę z futerału, podałem jej i wskazałem na krzesło.

Zawahała się, ale wzięła ode mnie instrument i usiadła. Powiodła palcami po gryfie.

- Zaśpiewaj - poprosiłem, przesuając dłońmi po jeansach.

Usiadłem naprzeciwko niej.

Pokręciła głową.

- Chyba nie dam rady. - Zaciśnęła palce na gryfie i zwilży-językiem wargi. Była bardzo zdenerwowana.

- Zaśpiewaj, zagraj. - Przesunąłem się na krześle, czując się jak palant, ale po raz pierwszy od lat naprawdę chciałem komuś pomóc. W jedyny znany mi sposób.

Bonnie zaczerpnęła tchu i zaczęła grać pierwsze nuty. Zamknąłem oczy. W ten sposób lepiej odczytywałem barwy. Jak wcześniej, pojawiła się oliwkowa zieleń. Widziałem kształty, linie, tony. Gdy znajdowała się tak blisko, były... intensywniejsze.

Jaśniejsze. Żywsze.

Zadrżałem, próbując je zablokować. Robiłem tak od trzech lat.

Znałem schemat na pamięć. Moje ciało potrafiło odciąć kolory, choć nie

do końca. Nigdy przez trzy lata nie byłem w stanie w pełni ich zablokować. Zwykle tylko lekko blakły.

Ale nie teraz. W tej chwili były tak jasne, że niemal nie mogłem ich znieść. Kiedy Bonnie zaczęła śpiewać, wszystko zalał fiolet. Z przodu widziałem postrzępioną wstęgę tego koloru, barwa nie chciała zblednąć.

Serce mi przyspieszyło, gdy pozwoliłem umysłowi na to, do czego zostałem stworzony. Barwy w mojej głowie wybuchły niczym fajerwerki.

Mięśnie rozluźniły się, muzyka wniknęła w ich włókna, dodając każdemu z nich życia. Z każdą opadającą barierą moje ciało się odprężyło. Napięcie, które nosiłem w sobie od tak dawna, niknęło pod wpływem głosu Bonnie.

Kiwałem głową do rytmu, aż melodia się zmieniła i niczym błyskawica pojawiła się granatowa barwa, przecinająca fiolet, zieleń i róż.

- Tutaj. - Otworzyłem oczy.

Przestała grać, palce zamarły na gryfie gitary. Przysunąłem się, w moim umyśle pozostał barwny kadr. Uchwyciłem klatkę, w której jej dzieło zostało zniszczone.

Przyglądała mi się z zapartym tchem, zaciskając ręce na gitarze, jakby nie śmiała drgnąć. Przesunąłem krzesło, postawiłem je bezpośrednio przed nią. Musiałem możliwie jak najbardziej zbliżyć się do instrumentu, więc podsunąłem się jeszcze, przez co kolana Bonnie znalazły się pomiędzy moimi. Spojrzała na mnie. Czułem miętę w jej oddechu, bo jak zwykle żuła gumę.

- Cofnij się o kilka taktów. - Wpatrywałem się w jej oczy. Bonnie poprawiła uchwyt i zagrała. Zamarłem, gdy kolory obmyły mnie niczym woda z prysznica. Klatka piersiowa wypełniła się ciepłem.

Kiedy przez umysł przemknął granat, zatrzymałem jej dłoń, kładąc na niej swoją. Z zamkniętymi oczami przesunąłem jej palce na gryfie.

Wiedziałem, gdzie powinny się znaleźć i jakie tony zagrać.

- Brzdąknij - poleciłem, co też zrobiła. Ponownie poprawiłem jej palce. - Jeszcze raz. - Znów poprawiłem. - I jeszcze raz. - Powtarzałem czynność, śledząc w głowie schemat barw. Patrzyłem na poprzedzające kolory i podążałem za ich przywództwem. Domalowywałem wszystko do tego, co uprzednio stworzyła Bonnie.

Uniosłem dłonie, grała dalej. Czułem przy uchu jej oddech, gdy cichutko śpiewała piosenkę. Przysunąłem się, bo pragnąłem, by pod powiekami zatańczył mi fiolet. Słuchałem, aż wybrzmiała ostatnia nuta, a wraz z nią zniknął gotowy obraz.

Bonnie oddychała płytko, drżała. Otworzyłem powoli oczy. Kiedy to zrobiłem, uświadomiłem sobie, jak blisko siebie byliśmy. Mój policzek był tuż przy niej, dotykałem jej skóry zarostem. Moje ucho znajdowało się obok jej ust.

Przysunąłem się tak blisko, żeby słyszeć jej śpiew.

By słyszeć idealny fiolet.

Bonnie oddychała drżąco. Nie poruszyłem się, nie chcąc się odsuwać, a jednak powoli cofnąłem głowę, aż mogłem na nią spojrzeć, a nasze nosy dzielił centymetr. Patrzyła szeroko otwartymi oczami, było w nich coś, czego jeszcze nie widziałem. I pragnąłem wiedzieć, co to takiego.

- Co... - Przełknąłem ślinę. Dotknąłem kolanem jej uda.

- Co myślisz?

- Cromwell - szepnęła z lekkim drzeniem. - Nie mogłabym... Nie potrafiłabym napisać czegoś takiego. - Zarumieniła się. - Nie bez ciebie.

Serce objało mi się o żebra.

- Ja tylko podążyłem za kolorami. - Wskazałem na nią ruchem głowy. - Barwami, które stworzyłaś.

Bonnie wpatrywała się w moje oczy, jakby potrafiła wejrzeć przez nie w moje wnętrze.

- To dlatego Lewis cię tu ściągnął. Zobaczył to w tobie. Wiedział, że to wciąż żyje w twoim wnętrzu. - Zmarszczyła brwi, na twarzy odmalowało się współczucie. - Dlaczego, Cromwell? Czemu z tym walczysz?

Jej słowa były niczym wylany na moją głowę kubek zimnej wody.

Odsunąłem się, włączył się mechanizm obronny i zamierzałem coś odwarknąć, ale Bonnie przeniosła dłoń z gryfu na mój policzek.

Zamarłem Jej dotyk sprawił, że zostałem na miejscu.

Zwalczyłem chęć ucieczki. Czułem ucisk w gardle i piersi, ale gdy spojrzałem jej w oczy, nie poruszyłem się. Zamiast tego otworzyłem usta i powiedziałem:

- Ponieważ już tego nie chcę.

Jej dłoń była ciepła, palce miękkie.

- Dlaczego?

Kiedy nie odpowiedziałem, do jej oczu napłynęły łzy. Zastanawiałem się, czy zobaczyła coś w wyrazie mojej twarzy, czy usłyszała coś w moim głosie.

Ale nie mogłem jej odpowiedzieć.

Zabrała rękę i poczułem się, jakbym wrócił do Anglii w samym środku zimy. Wszystko stało się nagle zimne i martwe, odarte z ciepła.

Bonnie się uśmiechnęła. Powróciła palcami na gryf. Na jej czole pojawiły się zmarszczki.

- Nie pamiętam tych nowych akordów.

Wstałem i stanąłem za nią.

- Przesuń się.

Spojrzała na mnie przez ramię. Źrenice miała rozszerzone. Spełniła polecenie. Usiadłem. Nie znajdowała się wystarczająco blisko, więc złapałem ją w tali i przysunąłem do tyłu. Sapnęła zaskoczona, gdy plecami oparła się o mój tors.

Objąłem ją. Tatuaze na moich nagich ramionach kontrastowały z tłem jej białego swetra niczym światło z ciemnością. Oparłem podbródek o jej bark. Usłyszałem, jak gwałtownie wciągnęła powietrze.

W moim umyśle pojawił się rdzawy obłoczek.

- Przygotuj ręce - poleciłem. Spojrzałem w dół na nagie ramię tuż pod moimi ustami. Obsypała ją gęsia skórka, wargi się rozchyliły.

Poczułem, jak uniosły mi się kąciki ust. - Graj. Pomogę, kiedy dotrzesz do przejścia. - Zaczęła. Obmyła mnie jej melodia, ale gdy usłyszałem tekst piosenki, znów przeszył mnie ból. Płynął z nich ogromny smutek.

Fioletowe wstęgi jej głosu przepływały przeze mnie, jakby pulsometr wyświetlał obraz jej emocji. Te słowa najbardziej z nią rezonowały.

Kiedy nadeszło przejście, nakryłem jej dłonie swoimi. Poczułem, jak zadrżała, ale nie zabrałem rąk, pozwalając jej palcom przesuwając się po strunach. Swoje położyłem na mostkach, które pasowały do reszty piosenki. Zagraliśmy całość trzykrotnie, aż puściła struny.

- Załapałaś? - zapytałem głosem, który nawet w moich własnych uszach zabrzmiał ochryple. Działo się tak przez tę bliskość. Niewielka sylwetka Bonnie idealnie pasowała do mojej.

-Tak, chyba tak.

Nie ruszyliśmy się jednak. Nie wiedziałem dlaczego, ale siedziałem na jednym krześle z Bonnie Farraday, która się o mnie opierała. Aż...

- Cromwell? - Jej głos zmałował błogą ciszę. - Potrafisz zagrać cokolwiek zechcesz, prawda? Bez lekcji, bez ćwiczeń. Widzisz muzykę, więc możesz zagrać dosłownie wszystko. - Obróciła głowę, jej usta niemal dotknęły moich. Wpatrywała się we mnie uważnie. - Barwy pokazują ci drogę.

Pomyślałem o chwili, kiedy po raz pierwszy wziąłem do rąk instrument. Gra na nim była dla mnie równie naturalna jak oddychanie.

Kolory tańczyły mi przed oczami, układając się w ścieżkę. Aby zagrać, musiałem jedynie nią podążyć.

Skinąłem głową. Bonnie westchnęła.

- Potrafisz... Możesz zagrać moją piosenkę?

-Tak.

Nie odrywając ode mnie wzroku, wzięła mnie za rękę i ułożyła je w odpowiedniej pozycji. Oparła się o mój tors.

- Zagraj dla mnie, proszę.

Wydawała się zmęczona, wtuliła się we mnie i umilkła. Zacisnąłem palce. Gitara nie stanowiła mojego zwyczajowego instrumentu, ale to było bez znaczenia. Miała rację. Mogłem zagrać cokolwiek.

Moje dłonie rozumiały po prostu język muzyki.

Zamknąłem oczy i zacząłem brzdąkać. Tym razem do melodii nie dołączyły słowa. Bonnie milczała, zasłuchana. Nie drgnęła nawet, kiedy spod moich rąk wypływała jej muzyka. Grałem na jej ukochanym instrumencie.

Gdy utwór dobiegł końca, w sali zapanowała cisza. Czuję dziewczynę przy sobie. W nosie miałem woń brzoskwini, widziałem skrawek nagiej skóry. Nie zdawałem sobie sprawy, że moje palce znów się poruszają, aż barwy nie pokazały mi drogi. Podążyłem nią. Nie walczyłem z tym. Nie ukrywałem się przed Bonnie. Pomyślałem o nas w



tej chwili i wykorzystałem jej ukochaną gitarę, by przekazać bez słów, co czułem.

Jakby dzięki pamięci mięśniowej, moje ciało rozluźniło się i zaczęło tworzyć. Miałem w rękach czysty, prawdziwy instrument. Nie żadne klawisze laptopa czy syntetyczne beaty, ale drewno, struny i kolory, które mnie prowadziły. Brzoskwinie, wanilię, mleczną skórę i brązowe włosy, które inspirowały takty.

Nie byłem pewien, jak długo grałem. Mogło to trwać dwie minuty lub dwie godziny. Rozluźniłem palce, uwolnione z kajdan, w które zakułem je trzy lata temu. Z każdą nutą nikł gniew, który powstawał, gdy nie grałem i nie komponowałem. W końcu wyparował całkowicie, zastąpiony chęcią, by nareszcie coś poczuć.

Aby doświadczyć tego uzależniającego, wspaniałego uczucia, które mogła dać jedynie muzyka. Moje ciało zachowywało się, jakby odetchnęło po latach pustki w płucach. Oddychałem. Moje serce biło.

Krew płynęła w żyłach. I komponowałem. Było to częścią mnie, a nie tylko czynnością, którą wykonywałem. Częścią mojej istoty.

Nie byłem pewien, czy zdołam wrócić do muzyki elektronicznej.

Zatrzymałem ręce. Palce zdrętwiały mi od grania, ale było to przyjemne odrętwienie. Cudowne. Zamrugalem, skupilem wzrok i spostrzegłem, że po drugiej stronie sali czekało na mnie pianino.

Skrzypce. Wiolonczela. Bębny. Popłynęła adrenalina, nakłaniając, bym zagrał na wszystkich tych instrumentach. Kiedy wpadłem w rytm, czułem się jak ćpun na haju. Potrzebowałem więcej i więcej...

- Cromwell... - Z zamyślenia wyrwał mnie głos Bonnie. Dziewczyna położyła dłoń na mojej twarzy i obróciła głowę. Po jej policzkach płynęły łzy. Miała zlepione wilgocią rzęsy i zaczerwienione usta. Zawsze miała specyficzny kolor warg. Głęboko czerwony, wyglądający niemal nienaturalnie.

Jej dotyk palił moją skórę. Przytuliłem policzek mocniej, na co krótko sapnęła.

- Piękne - oceniła, gdy zabrała dłoń z mojej twarzy i powiodła nią po moich palcach. - Te ręce - powiedziała. Siedząc za nią, widziałem jedynie, jak poruszały się mięśnie na jej policzku, ale wiedziałem, że się uśmiechała. - I muzyka, którą potrafią stworzyć. - Westchnęła. - Nigdy czegoś takiego nie słyszałam.

Moja klatka piersiowa napęczniała, coś w niej wyraźnie urosło.

Bonnie powiodła palcem po mojej dłoni tam i z powrotem. W końcu go zabrała i ziewnęła. Zauważyłem w jej oczach zmęczenie.

- Jestem wykończona, Cromwell. Muszę iść do domu.

Ja nie musiałem. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie chciałem się ruszyć. Pragnąłem zostać w sali muzycznej, ponieważ nie byłem pewien, co się stanie, kiedy wyjdę, nie wiedziałem, czy wróci gniew i chęć, by od tego uciec.

Zastanawiałem się, czy Bonnie ode mnie odejdzie. Po tym, jak ją potraktowałem, mogło tak być.

- Cromwell? - nalegała. Nie potrafiłem dłużej przeciągnąć tej chwili. Zdjąłem ręce z gitary. Musiałem wstać. Poruszyłem nogami, ale nim się podniosłem, przysunąłem usta do jej ucha.

- Podobają mi się twoja piosenka, Farraday - szepnąłem i usłyszałem, jak westchnęła.

Zamknąłem oczy, odetchnąłem wonią brzoskwini i wanilii. Bonnie wygięła się, przytulając plecami do mojego torsu. Opuściłem głowę, powiodłem nosem wzdłuż jej szyi, aż moje wargi znalazły się w pobliżu nagiego ramienia. Musnąłem ustami miękko, bladą skórę, po czym ją pocałowałem i wstałem.

Wziąłem leżący na podłodze futerał i gitarę z rąk Bonnie.

Dziewczyna się nie poruszyła. Kiedy spakowałem instrument, w końcu na nią spojrzałem.

Przyglądała mi się przez cały ten czas. Poznałem to po zakłopotanym wyrazie jej twarzy.

- Odprowadzę cię - powiedziałem.

Wstała, ale straciła równowagę. Wyciągnęła rękę, więc ją za nią złapałem i przyciągnąłem do siebie, by ją podtrzymać. Brakowało jej tchu, wydawała się rozpalona.

- Dobrze się czujesz?

- Tak — odparła zdenerwowana. Próbowwała się ode mnie odsunąć.

Obejmowałem ją.

- Potrzymam cię, byś nie upadła.

Uśmiechnęła się i wtuliła we mnie. Nie uwolniłem jej przez całą drogę do akademika. Noc była cicha. Nie wiedziałem, która była godzina, zapewne trzecia czy czwarta nad ranem.

Bonnie milczała. W pewnym momencie zatrzymała się i spojrzała na mnie.

- Chciałabym wiedzieć - przyznała napiętym głosem. Musiała trafić do łóżka i się wyspać.

- Co?

- Jak to jest je widzieć. - Wpatrywała się gdzieś przed siebie, zatracona w myślach. - Słyszeć barwy.

- Nie... potrafię tego wyjaśnić - stwierdziłem. - Dla mnie jest to zupełnie normalne. Nie wiem, jak bym się czuł, gdybym nie widział tych kolorów. - Wzruszyłem ramionami. - Byłoby to dziwne.

- Byłoby to mdłe. - Ruszyliśmy. - Wierz mi, Cromwell. Marzę, by choć na chwilę móc wejść do twojego świata, zobaczyć, co słyszysz...

Dotarliśmy pod jej drzwi.

- Mieszkasz sama?

Zwiesiła głowę, ale nią skinęła.

- Tak.

- Szczęściara.

Uśmiechnęła się.

- Nie lubisz mojego bliźniaka?

Drgnęły kąciaki moich ust.

- Jest w porządku.

Wzięła ode mnie gitarę. Stanęła w drzwiach wyraźnie zdenerwowana.

- Dziękuję - powiedziała, patrząc na mnie spod rzęs. - Dziękuję za dziś... - Przytaknąłem. Chciałem się odsunąć, ale moje stopy miały inne plany. - To do zobaczenia w poniedziałek na wykładach. - Odwróciła się, żeby wejść do pokoju, ale nim zdołała to zrobić, pochyliłem się i pocałowałem ją w policzek. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Dobranoc, Farraday.

Odszedłem jedynie kilka kroków, nim usłyszałem:

- Cromwell? - Obróciłem się do niej. - Który kolor jest twoim ulubionym?

Nie musiałem zastanawiać się nad odpowiedzią.

- Fioletowy.

Uśmiechnęła się i weszła do środka. Przyglądałem się, jak zamykała drzwi, osłupiały tym, co powiedziałem.

Fioletowy.

Nie poszedłem do siebie. Chodziłem, aż dotarłem nad jezioro, do miejsca, które pokazał mi Easton. Usiadłem na trawie i zapatrzyłem się na wschodzące słońce.

Śpiew ptaków obudził pomarańczową barwę w mojej głowie.

Mijające samochody słyhać było na czerwono. W oddali zobaczyłem tego samego kajakarza. Odetchnąłem głęboko. Skosztowałem świeżości powietrza, zieleni trawy. Dzięki temu nie wzniosły się moje mury.

Odchyliłem głowę i przeczesałem palcami włosy. Nie podobało mi się, że byłem tak emocjonalnie rozchwiany. Zbyt wiele uczuć, barwy pomieszane tak, że nie byłem w stanie ich rozdzielić...

- *Nie chcę już tego — warknąłem do ojca, który stał przy scenie.*

*Ominąłem go, ciągnąc za muchę. - Przegapiłem dziś mecz. - Chodziłem niespokojnie. - Bo musiałem być tutaj. - Wskazałem na salę wypełnioną ludźmi starszymi ode mnie przynajmniej o dwadzieścia lat.*

- *Cromwell, wiem, że jesteś zły, ale to twoja szansa. Muzyka. Jesteś nad wyraz utalentowany. Nie potrafię znaleźć słów, by wyrazić, jak bardzo.*

- *Wiem, że nie potrafisz! Ale mówisz tylko o tym. Robię tylko to! -*

*Zacisnąłem palce w pięści. - Zaczynam tego nienawidzić. - Uderzyłem się w głowę. - Nie cierpię tych pieprzonych kolorów. Żałuję, że je widzę!*

*Tata uniósł ręce w górę.*

- *Rozumiem, synu. Naprawdę, ale martwię się o twoją przyszłość.*

*Chyba nie zauważasz własnego potencjału...*

- *A Tyler Lewis? Dlaczego tu jest? Czemu chce ze mną pracować?*

- *Ponieważ może ci pomóc. Jestem żołnierzem armii brytyjskiej. Nie mam pojęcia, jak pokierować twoim talentem. W jaki sposób pomóc ci wykorzystać własny potencjał. - Pokręcił głową. - Nie widzę barw. Na fortepianie nie zagram nawet dziecięcej melodyjki. To nie moja działka. -*

*Westchnął. - Lewis pomoże ci być najlepszym. Przysięgam... Kocham cię, synu. Wszystko, co robię, robię dla ciebie...*

Zamrugalem, by odgonić od siebie to wspomnienie, i poczułem, jak bardzo skurczył mi się żołądek. Siedziałem przez dwie godziny, przyglądając się tafli jeziora. Po drodze do domu kupiłem burrito, zatrzymałem się przy budynku wydziału muzycznego. Targały mną emocje. Rozpaczliwie pragnąłem znów to wszystko zaakceptować -

muzykę, miłość do grania, pasję komponowania - ale mrok, który nosiłem w sobie od trzech lat, czaił się w pobliżu, gotowy przynieść ze sobą gniew i rozbić wszystko w drobny mak. W tej samej chwili w mojej głowie pojawiła się twarz Bonnie i odczułem spokój. Wszedłem do budynku, zobaczyłem, że w gabinecie Lewisa świeciło się światło.

Zacisnąłem zęby, unosząc rękę, by zapukać. Zamarłem na chwilę, nabierając powietrza. *Co ty, u diabła, wyprawiasz, Dean?*, pomyślałem.

Ale przypomniałem sobie uśmiech Bonnie i moje knykcie nawiązały kontakt z drewnem.

- Proszę. - Słowo to zabrzmiało jak coś pomiędzy pytaniem a poleceniem. Otworzyłem drzwi. Profesor stał za biurkiem, którego blat zasłany był nutami. Miał na nosie okulary. Nigdy wcześniej ich u niego nie widziałem.

- Cromwell? - powiedział zaskoczony. Jego rzeczy były porozrzucane, a sam wyglądał, jakby w ogóle nie spał.

*Witaj w klubie.*

- Profesorze. - Zająłem miejsce naprzeciw niego. Przyglądał mi się podejrzliwie. Usiadł i zaczął zbierać nuty.

Zerknąłem na nie, gdy to robił. Zatrzymał się i spojrzał mi w twarz.

- Co myślisz? - Po tonie wywnioskowałem, że nie spodziewał się odpowiedzi, ale kiedy zobaczyłem nuty, nie potrafiłem odwrócić wzroku. Miał tam sekcje dla niemal całej orkiestry. Przesunąłem spojrzeniem po stronach, w mojej głowie pojawił się barwny wzór.

Spojrzałem na to wszystko, łącząc w symfonię, która miała dopiero zostać napisana.

- Dobre - odparłem. Było znacznie lepsze. A po minie Lewisa wnosiłem, że o tym wiedział.

-Wciąż jest w powijakach, ale jak do tej pory jestem ukontentowany.

Spojrzałem na zdjęcie, które zrobiono w Royal Albert Hall. Zawsze rzucałem na nie okiem, gdy tu byłem. Z tą salą wiązało się wiele wspomnień.

- Po co to? - Wskazałem na nuty, które profesor układał w schludne stosiki.

- Dla Filharmonii Narodowej, która za kilka miesięcy ma zagrać na ogromnej gali w Charleston, świętując powstanie nowej muzyki.

Poprosili, bym dyrygował. I się zgodziłem.

Zmarszczyłem brwi.

- Sądziłem, że już pan nie dyryguje.

- Bo nie dyryguję. - Parsknął śmiechem i pokręcił głową. - Od kilku lat jest ze mną lepiej... - Nie kończył, ale wiedziałem, że odnosił się do swojego problemu dotyczącego alkoholu i narkotyków. - Pomyślałem, że mogę spróbować. - Przysunął się i położył ręce na blacie. - Jest niedzielny poranek, Cromwell, a ty wyglądasz, jakbyś również w ogóle nie zmrużył oka. Jak mogę ci pomóc?

Wpatrywałem się w dłonie, które trzymałem na kolanach. Krew krążyła mi w żyłach tak szybko, że słyszałem jej szum. Lewis czekał, bym się odezwał. Nie miałem pojęcia, jak to wyjaśnić. Niemal wstałem i wyszedłem, ale przed oczami stanęła mi twarz Bonnie, więc zostałem na miejscu.

Bawiłem się kolczykiem w języku, aż w końcu wypaliłem:

- Cierpię na synestezję.

Lewis uniósł brwi.

Skinął głową. Nie wydawał się zszokowany, więc wiedział już wcześniej.

- Tata... - Pokręciłem głową, parsknąłem cichym śmiechem. -

Powiedział panu, co?

Na twarzy profesora pojawił się wyraz, którego nie rozpoznawałem.

Może żal? A może współczucie?

- Tak, wiedziałem - odparł. - Twój ojciec... - Przyjrzał mi się uważnie. Nie winiłem go. Kiedy ostatnio o nim wspomniał, niemal rozszarpałem mu gardło. Widząc, że się trzymałem, dodał: -

Skontaktował się ze mną, gdy byłem w Anglii na jednym z moich występów.

- W Albert Hall. - Wskazałem zdjęcie na ścianie. - Przywiózł mnie, żebym mógł pana poznać. Wszyscy przyjechaliśmy. Tata, który był na przepustce z wojska, ja i mama.

Lewis uraczył mnie sztywnym uśmiechem.

- Tak. Zaprosiłem cię, ale nie... - Westchnął. - Nie byłem wtedy w najlepszej formie. Brałem od lat. - Spojrzał na zdjęcie i pobrał. -

Tamtego wieczoru niemal umarłem. Przedawkowałem heroinę, agent



znalazł mnie na podłodze w pokoju hotelowym. Minuty dzieliły mnie od śmierci. - Ponownie na mnie spojrział. — Był to dla mnie punkt zwrotny.

- Co to ma ze mną wspólnego?

- Zapamiętałem cię. Mimo pustki w głowie wiem, że spotkałem się wtedy z tobą. Z chłopcem z synestezją i zdolnością grania na wszystkim, co wpadnie mu w ręce. - Wskazał na mnie splecionymi dłońmi. -

Dziesięcioletkiem, który komponuje arcydzieła.

Przeszył mnie dreszcz.

- Zawiodłem twojego tatę, Cromwell. Minęło wiele lat, nim zdołałem się pozbierać na tyle, by móc ci pomóc. Wróciłem do Anglii, ale ty porzuciłeś miłość do komponowania. - Popatrzył mi w oczy. -

Kiedy dowiedziałem się o jego śmierci... chciałem dotrzymać danego wiele lat wcześniej słowa. Pomóc ci. Ukierunkować twój talent.

Serce mi się ścisnęło. Zawsze tak się działo, gdy myślałem o tacie.

- Utrzymywałem kontakt z twoją matką. Rozmawialiśmy, opowiedziałem jej o przyjęciu posady w Jefferson. Wtedy właśnie zaproponowałem ci tu miejsce. — Przeczesał palcami włosy. -

Wiedziałem, że masz synestezję. - Uniósł brwi. - I wiem, że walczysz z muzyką klasyczną. Zastanawiałem się jednak, kiedy ci przejdzie. - Posłał

mi pełen akceptacji uśmiech. - Nie możesz toczyć walki z kolorami, które są z tobą od urodzenia.

Nie byłem jeszcze gotowy, by o tym rozmawiać. Przyszedłem z zupełnie innego powodu.

- Chcę móc to komuś wytłumaczyć. Opowiedzieć o tym, co widzę, kiedy słyszę muzykę. Ale nie mam pojęcia, jak to zrobić.

Lewis zmrużył oczy. Przez chwilę wydawało mi się, że zapyta, o kim mówię, ale wiedział, że lepiej nie wtrącać się do moich spraw.

-Trudno to zrozumieć, gdy się tego nie ma. Trudno wyjaśnić, jeśli się z tym żyje. Jak wytłumaczyć brak czegoś, z czym egzystujesz na co dzień?

Przewróciłem oczami.

- Właśnie dlatego tu jestem. Chciałem wiedzieć, czy miałby pan jakieś sugestie. Mimo wszystko uczy pan muzyki. Z pewnością już pan o tym słyszał. Nie wątpię, że zgłębiał pan temat czy coś.

Uśmiechnął się.

- Czy coś.

Wstał, z wieszaka na ścianie wziął ulotkę. Położył ją przede mną.

Przedstawiała muzeum na przedmieściach.

- Ma pan szczęście, panie Dean.

Przejrzałem folder, który reklamował wystawę synestezji.

- No chyba pan żartuje. Jest taka wystawa?

- Jeszcze nie, ale niemal już ją przygotowano. - Usiadł. - Jest stworzona przez zaprzyjaźnionego artystę i ma działać na wszystkie zmysły. To naprawdę coś.

- Ale nie jest otwarta. - Westchnąłem z frustracją.

- Jeśli chcesz, mogę załatwić ci wcześniejszą wejściówkę. -

Wzruszył ramionami. - Być może autor ucieszy się z wymiany opinii z innym synestetą. Wszyscy mogliby na tym skorzystać.

- Kiedy? - zapytałem z mocno bijącym sercem.

- Chyba pasowałoby mu w następnym tygodniu. Zapytam go.

Wziąłem ulotkę i schowałem sobie do kieszeni. Wstałem.

- Jest pan pewien, że wystawa jest okej? Że za jej pomocą wyjaśnię, co widzę i słyszę?

- Może się różnić od twojego wyobrażenia. Synesteci często widzą to samo w zupełnie inny sposób. Mimo wszystko nie ma w tym zasad.

Wystawa może nie oddawać barw takimi, jak ty je widzisz przy poszczególnych nutach.

- Skąd więc pan wie, że jest dobra?

Uśmiechnął się.

- Ponieważ stworzono ją w oparciu o mnie.

Stałem jak wryty, gdy jego słowa dotarły do mojego pozbawionego snu umysłu. Wytrzeszczyłem oczy i spojrzałem na zdjęcie wiszące nad biurkiem, to z wieloma kolorami.

- Pan też?

Przytaknął.

- Właśnie dlatego chciałem się wtedy z tobą spotkać. Poznałem kilku synestetów, ale żaden nie był aż tak zbliżony typem.

Wpatrywałem się w profesora. Nie wiedziałem, czy to dlatego, że poznałem jego tajemnicę, ale nagle dostrzegłem go w zupełnie innym świetle. Nie jako człowieka, który wtykał nos w nie swoje sprawy czy mało znanego kompozytora, który poddał się narkotykom, ale jako kolegę po fachu. Kogoś, kto również widział barwy. Wpatrywałem się w utwór leżący na jego biurku, zastanawiając się, jakie widział odcienie.

- Eee... dzięki. - Obróciłem się w stronę drzwi. Zanim jednak wyszedłem, zapytałem: - Jakiej barwy jest *re*?

Lewis się uśmiechnął.

- Lazurowe.

Parsknąłem śmiechem.

- Rubinowe.

Skinął głową.

Zamknąłem drzwi i wróciłem do akademika. Wystawa synestezji.

Super. Teraz musiałem jedynie namówić Bonnie, by ze mną poszła.

Chciała wiedzieć, co widziałem, kiedy słyszałem muzykę.

Myśl o otwarciu się na kogoś nadal mi przeszkadzała, moje mury zaczęły ponownie się wznosić, ale przypomniałem sobie jej piosenkę i minę, gdy poznała prawdę o mnie. Skupiając się na obliczu Bonnie, odsunąłem od siebie zbroję.

Zasnąłem, czując zapach brzoskwini i wanilii, a także smakując słodczy w ustach.

## **ROZDZIAŁ 14**

*BONNIE*

Nie wiedziałam, dlaczego patrzyłam w lustro i przejmowałam się

swoim wyglądem. W pełni zdawałam sobie sprawę, że sobotni wieczór już nie powróci. Miałam świadomość, że Cromwell Dean zjawi się dziś w swojej zwykłej postaci.

Mimo to przeglądałam się w lustrze, sprawdzając fryzurę.

Rozpuściłam włosy, przerzuciłam je na jedną stronę. Włożyłam jeansy i różowy sweter. W uszach miałam srebrne kółka. Przewróciłam oczami, bo byłam żałosna. Poczułam, jak skurczył mi się żołądek.

*Nie powinnaś tego robić ani sobie, ani jemu.*

Zamknęłam oczy i policzyłam do dziesięciu. Wyszłam z pokoju.

Niebo było jasne, słońce świeciło, nie przysłaniała go ani jedna chmurka. Studenci relaksowali się na skwerze.

~ Bonn! - Easton podbiegł i objął mnie ramieniem.

- Gdzie się podziewałeś? - zapytałam. - Nie było cię rano na stołówce. - Zatrzymałam się i spojrzałam na brata, wykorzystując nasze spotkanie, by odpocząć. Prawda była taka, że po przejściu kilku kroków brakowało mi tchu.

Easton wzruszył ramionami.

- Nie wróciłem wczoraj na noc. Oszczędzę ci szczegółów.

~ Dziękuję - rzuciłam sarkastycznie, na co się uśmiechnął. - Wydaje mi się, że ostatnio w ogóle cię nie widuję. - Przyjrzałam się bratu, który miał ciemne worki pod oczami. Położyłam dłoń na jego bicepsie. -

Dobrze się czujesz? Puścił do mnie oko.

- Jak zawsze, Bonn. - Ponownie mnie objął i poprowadził,

- Pójdę z tobą pod salę.

Uszłam zaledwie kilka kroków i znów zaczęłam sapać. Musiałam powstrzymać łzy, które nagle napłynęły mi do oczu. Było zbyt wcześnie.

Wszystko działo się za szybko.

Nie spodziewałam się tak gwałtownego postępu. Zadarłam głowę i popatrzyłam na korony drzew, w których siedziały ptaki i szeleściły jesienne liście. Jak lato zmieniało się w jesień, tak ja również traciłam energię. Byłam zdana na oderwanie się i upadek jak ten liść.

Easton zaprowadził mnie do budynku, w którym mieścił się wydział muzyczny.

- Spotkamy się później na stołówce, co?

Uśmiechnęłam się i pocałowałam go w policzek.

- Tak. - Stanowiło to naszą rutynę. Szansę, byśmy się codziennie widywali i rozmawiali. Dzień bez Eastona wydawał się dniem straconym. Brat zmierzwił moje włosy, nad układaniem których spędziłam tak dużo czasu.

- East! - upomniałam i przewróciłam oczami. Odszedł, śmiejąc się.

W wejściu do budynku mijali mnie studenci, ale ja stałam, przyglądając się, jak odchodził. Spotkał jakąś dziewczynę, której nie znałam, uśmiechnął się do niej promiennie i rzucił jakimś tandetnym, oklepanym tekstem.

Czułam się, jakby serce pękło mi na pół. Nie miałam pojęcia, jak mu powiedzieć. W życiu nie znajdę odpowiednich słów, ponieważ każde sprawią, że się załamie. Wstrzymywałam się od miesięcy, wmawiając sobie, że dziś będzie dobry dzień, by wyznać prawdę. Że zbiorę w sobie siły. Ale nigdy tego nie zrobiłam.

Wiedziałam, że możliwość decyzji niedługo zostanie mi odebrana.

I tak się dowie.

Kiedy myślałam o bracie, pochłaniała mnie ciemność. Easton na zewnątrz był pyskаты i śmiały, ale wiedziałam, że to tylko pozory.

Znałam jego delikatność. I jego demony. Mrok, który chciał go pochłonąć.

Wiadomość o moim stanie go zniszczy.

Dotarł do mnie jego śmiech. Na ten dźwięk włoski na karku stanęły mi dęba, ale mimowolnie się uśmiechnęłam. Jego dobra energia była jak światło w ciemności.

Skwer niemal opustoszał, gdy wreszcie weszłam do budynku.

Zajęłam swoje zwyczajowe miejsce, czekając na wykład profesora Lewisa. Już w chwili, kiedy usiadłam, poczułam ekscytację w podbrzuszu i rzuciłam okiem na miejsce, w którym zazwyczaj siedział

Cromwell. Jeszcze nie przyszedł.

Czekając, bawiłam się krawędzią zeszytu. Serce biło mi nierówno w piersi. Potarłam mostek. Odetchnęłam głęboko, skupiając się na tej czynności, by sobie pomóc. Przy czwartym wydechu zerknęłam na drzwi. Wydawało mi się, że go wyczułam.

Cromwell Dean wszedł do sali w podartych jeansach i opiętej białej koszulce. Na umięśnionych ramionach malowały się tatuaże, a kolczyki połyskiwały przy opalanej skórze i zmierzwionych czarnych włosach.

W ręce trzymał zeszyt. Za uchem miał długopis. Próbowałam nie patrzeć na niego, gdy wchodził po schodach, ale nie mogłam się powstrzymać. Obrazy z soboty wróciły do mojej głowy niczym film. Sala muzyczna. Siedział za mną twardy tors przyciskał się do moich pleców.

Usta na moim ramieniu całowały nagą skórę. Kiedy się mocno skupiałam, nadal czułam miękkość jego warg.

Na to wspomnienie rozchyliłam własne. Wiedziałam, że się zarumieniłam. Winiłam za to Cromwella Deana. Było to zarówno błogosławieństwo, jak i przekleństwo.

Jakby słysząc moje myśli, uniósł głowę. Popatrzył wprost na mnie.

Spięłam się, czekając, co zrobi. Gdy kącik jego ust nieznacznie się unióś, a na twarzy pojawił się cień uśmiechu, moje serce puściło się galopem.

Odpowiedziałam w ten sam sposób, ignorując to, że inne dziewczyny w sali patrzyły na niego, jakby był źródłem ciepła w chłodny dzień. Uwagę skupiał jedynie na mnie. Ten wiecznie wkurzony Brytyjczyk patrzył tylko w moją stronę.

Próbowałam nad sobą zapanować, kiedy wchodził po schodach.

Długie nogi bardzo szybko przemierzyły stopnie. Spodziewałam się, że mnie minie, pozostawiając bez tchu. Nie sądziłam natomiast, że usiądzie tuż obok i opadnie na krzesło przeważnie zajmowane przez Bryce'a.

Wpatrywałam się w niego, gdy rozsiadł się wygodnie, jakby nie dbał

o nic i o nikogo.

- Farraday - powiedział. Moje nazwisko ociekało jego akcentem jak stopionym masłem.

- Dean - odparłam szeptem. Widziałam, że inni nam się przyglądali. Wierciłam się nerwowo na krześle. Obróciłam głowę i zobaczyłam, że się we mnie wpatrywał. W jego oczach było nieznanne mi światło. Z odprężonej postawy bił spokój.

Moją uwagę ściągnęły bębniące w blat palce. Czaszka i cyfry tańczyły przez chwilę. Nie potrafiłam oderwać wzroku od jego dłoni, ponieważ wiedziałam, do czego były zdolne. Widziałam, jak grały na pianinie. I na mojej gitarze.

Uniosłam głowę, kiedy ktoś odchrząknął. Obok nas stał gryce.

Wbijał gniewne spojrzenie w Cromwella.

- Ja tu siedzę - powiedział.



Nie rozmawiałam z nim od piątkowego wieczoru. Wstydziłam się przyznać, że myślałam jedynie o Cromwellu.

- Tak? Ale teraz ja tu jestem - brzmiała lekceważąca odpowiedź.

Zamknęłam oczy, nie podobała mi się ta konfrontacja.

- Dlaczego aż taki z ciebie kutas? - warknął Bryce.

Cromwell patrzył przed siebie, całkowicie go zlewając.

Nowo przybyły parsknął gorzkim śmiechem i odszedł.

- Bryce - zawołałam za nim, ale albo mnie zignorował, albo nie usłyszał. Nie byłam pewna. - Cromwell.

Odpowiedział mi hardy wyraz twarzy. Najwidoczniej nigdzie się nie wybierał.

Wszedł profesor. Cromwell rozsiadł się, dotykając nogą mojego uda.

Nie zabrał jej. Lewis rozejrzał się po sali, unosząc brwi, gdy spostrzegł nas razem. Cromwell przesunął się nieznacznie, ale wykładowca zwrócił się do całej grupy i rozpoczął wykład.

\*\*\*

Bryce opuścił salę w chwili, w której profesor ogłosił koniec zajęć.

Westchnęłam, obserwując, jak wychodził. Najwyraźniej nie polubili się z Cromwellem.

Wstałam.

- Cześć.

Cromwell jednak poszedł za mną aż na skwer. Myślałam, że będzie spięty, a jego twarz wykrzywiona grymasem, ale wydawał się odprężony. Nigdy go takim nie widziałam i byłam tym zdezorientowana. Skinął głową, kiedy powiedziałam, że idę na kolejny wykład. Nie dowierzałam, gdy mnie zostawił, zastanawiałam się, o co mu chodziło. Uprzednio, kiedy usiadł przywitał się tylko i nie odzywał, ale przycisnął do mnie nogę, przez co obsypała mnie gęsia skórka.

Przysunął się, kilka razy otarł się o mnie ręką. Moje emocje szalały. Nie miałam pojęcia, co się między nami działo. O co mu chodziło. Już samo to, że nie posyłał mi gniewnych spojrzeń, było dziwne. A to, że był niemal miły i ciepły... Nie potrafiłam w to uwierzyć.

Mimo to nie mogłam zaprzeczyć, że serce mi urosło, gdy się do mnie uśmiechnął.

Po porannych wykładach poszłam na stołówkę. Easton siedział przy naszym zwyczajowym stoliku. Wzięłam sałatkę i podeszłam do niego.

Brat jak zwykle pałaszował jedzenie w ilości wystarczającej dla małej armii.

- Masz dość na talerzu, East? - zażartowałam.

Zmarszczył nos.

- Nie. Zamierzałem iść po dokładkę. - Spojrzał ponad moim ramieniem. - Co jest? - zapytał z uśmiechem. Powiodłam wzrokiem w to samo miejsce i opadła mi szczęka.

W drzwiach stał Cromwell, rozglądając się po sali. Kiedy nas znalazł,

ruszył do naszego stolika. Choć raz moje serce odnalazło rytm... który był zsynchronizowany z jego krokami.

Usiadł obok. Z kieszeni wyjął jakieś batoniki, otworzył jeden i zaczął jeść. Easton spojrział na mnie, po czym wrócił wzrokiem do Cromwella.

- Zgubiłeś się, Dean?

Cromwell skończył jeden batonik i otworzył następny. Popatrzył na Eastona, a potem na mnie.

- Nie.

Brat jadł, zerkając na kumpla jak na jakiś eksperyment naukowy.

- Wiesz, że jesteś w stołówce, tak? - Cromwell uniósł brwi, a Easton się roześmiał i wskazał na batoniki. - I że podają tu jedzenie?

Cromwell się rozsiadł i rozejrzał po pomieszczeniu.

- Wystarczy mi to. - Otworzył ostatni baton.

Przepychałam sałatkę na talerzu.

- Hej - powiedział brat - a jak wasz projekt?

Odpowiedziała mu cisza.

- Nijak - odparłam w końcu. - Nie jesteśmy już partnerami. - Nie byłam nieśmiałą osobą. Nie tak łatwo było mnie wystraszyć, ale wspomnienia z sobotniej nocy sprawiły, że nie potrafiłam wypowiadać się przy Cromwellu.

Dlaczego tu przyszedł? Czemu usiadł obok mnie na wykładzie, a mimo to się nie odezwał?

Easton spiorunował go wzrokiem.

- Co zrobiłeś?

Cromwell spojrzał na mojego brata, który zawsze żartował, zawsze był szczęśliwy, ale miał też w sobie coś, o czym ludzie nie wiedzieli.

Uwydatniało się to zwłaszcza wtedy, gdy chodziło o mnie. Cromwell zacisnął usta. Wzięłam Eastona za rękę.

- Nic się nie stało, East. Lewis zauważył, że nasza wspólna praca nie była dobra i nas rozdzielił, żebyśmy mogli pracować nad własnymi pomysłami. Tyle.

Easton zmrużył oczy, popatrzył najpierw na mnie, potem na współlokatora.

~ Na pewno?

- Tak - odparłam.

Uśmiechnął się szeroko.

- W porządku. - Kiwnął do mnie głową. - Nie czułaś *dance'u*, siostra?

Roześmiałam się.

- Nie za bardzo.

- Nie rozumie go.

Popatrzyłam na Cromwella, który w końcu na mnie spojrzał.

- Po prostu nie lubię tego gatunku.

- A powinnaś - spierał się, choć robił to ze spokojem. - Muszę ci tylko pokazać jego zalety.

Być może nie mówił ze zdenerwowaniem, ale w jego oczach błyszczało światło.

- Słyszałam twoją muzykę - skontrolowałam.

Uniósł się jeden kącik jego ust. Na ten widok zrobiło mi się ciepło.

- Niezupełnie.

Zmarszczyłam brwi, słysząc tę niejasną odpowiedź.

- Zjadłbym ciasta. - Easton wstał. Zerknął na nas jakoś dziwnie, jakby nie rozumiał żartu, który mogliśmy pojąć tylko my. - Nie pozabijajcie się, gdy mnie nie będzie, okej, dzieciaki?

- Postaramy się - obiecałam.

Zapadła cisza. Cromwell wpatrywał się w okno. Spojrzałam na opakowania po batonikach.

- Przyszła paczka od mamy, co?

Skinął głową, po czym podał mi kawałek czekoladowej pychoty, którą pałaszował.

- Nie... nie jem tuczących rzeczy. - Poczułam, że się rumienię.

Wiedziałam, że była to kiepska wymówka.

Cromwell zjadł kawałek.

- Powinnaś nauczyć się korzystać z życia, Farraday.

Posłałam mu słaby uśmiech.

- Próbuję.

Nie mogłam stwierdzić, co wyczytał z mojej twarzy. Pragnęłam go o to zapytać. Chciałam, by ze mną porozmawiał. Aby przynajmniej wspomniał o sobotniej nocy. Ale kiedy wrócił mój brat z ciastem czekoladowym na talerzyku, Cromwell wstał.

- Spadam.

Powiodłam za nim wzrokiem do drzwi, gdzie się zatrzymał i wyjął papierosy. Wchodzące do pomieszczenia dziewczyny oglądały się za nim. Sama ledwie oderwałam od niego spojrzenie.

Easton odchrząknął, czym zwrócił na siebie moją uwagę. Wciąż dziwnie na mnie spoglądał.

- Powinienem o czymś wiedzieć? - zapytał z troską.

-Nie.

Najwyraźniej mi nie uwierzył.

- Odkąd tu przyjechał, pieprzył już przynajmniej z dziesięć dziewczyn, Bonn.

Poczułam ucisk w piersi.

- No i?

Wzruszył ramionami.

- Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć, to wszystko. Cromwell je bzyka i zostawia.

Przerzuciłam włosy przez ramię.

- Naprawdę mnie to nie interesuje - powiedziałam, gdy brat napychał się ciastem. - Wydawało mi się, że go lubisz.

- Lubię - przyznał z pełnymi ustami. Przełknął kęs i popatrzył mi w oczy. - Nie chcę tylko, by się przy tobie kręcił. - Wziął mnie za rękę ściszył głos. - Tak wiele przeszłaś, Bonn. Taki facet może cię przezuć i wypluć. A po tym wszystkim, co się wydarzyło.- Pokręcił głową. -

Zasługujesz na więcej.

Niemal się rozplakałam. Łzy napłynęły mi do oczu, ale nie przez jego słowa czy troskliwość. Gdyby wiedział... Gdyby wiedział, co się ze mną działo...

- Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, Bonn. Nie wiem, co bym bez ciebie poczuła. - Jego uśmiech zniknął. - Jesteś jedyną, która mnie w pełni rozumie. - Westchnął.

Ścisnęłam jego dłoń, nigdy nie chcąc jej puszczać. Przytłoczył mnie żal i strach.

- Kocham cię, East - szepnęłam.

Uśmiechnął się.

- Ja ciebie też, Bonn.

Swoją tajemnicę miałam na końcu języka, ale kiedy spojrzałam w te niebieskie oczy i zobaczyłam malujący się w nich ból, nie odważyłam się o niczym powiedzieć.

Easton puścił moją rękę. Przybrał swój zwyczajowy uśmiech.

- Muszę iść na zajęcia. - Wstał. Podeszło do niego kilka osób, śmiało się i żartował z nimi jak zwykle.

Nigdy nie martwiłam się o nikogo bardziej niż o niego.

Nawet o siebie.

Wzięłam tacę i wyjrzałam przez okno.

Cromwella nie było. Poszłam na wykład, zastanawiając się, jak sytuacja mogła się aż tak pokręcić.

\*\*\*

-...i niech zaniknie mrok...

Skończyłam najnowszą piosenkę, odłożyłam gitarę, zapisałam kilka słów i nut. Zamknęłam oczy, odtwarzając wszystko jeszcze raz w myślach, by mieć pewność, że było idealne, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Spojrzałam na zegar. Była dwudziesta pierwsza.

Popatrzyłam na siebie. Ubrana byłam w czarne legginsy, czarny top i biały kardigan. Włosy związałam w luźny kok. Generalnie nie spodziewałam się towarzystwa w ten piątkowy wieczór.

Nogi mnie bolały, kiedy szłam do drzwi. Kostki napuchły mi od zbyt długiego chodzenia. Rzuciłam okiem na pokój, pudła schowałam w szafie. Nie chciałam, żeby Easton je widział. Poklepałam się po policzkach, by pojawił się na nich jakiś kolor, i w końcu złapałam za klamkę. Uchyliłam drzwi i wyjrzałam na korytarz.

O przeciwległą ścianę opierał się Cromwell Dean, ręce trzymał w kieszeniach czarnych jeansów. Miał na sobie czarny dzianinowy sweter, którego rękawy podwinął aż do łokci.

- Farraday - przywitał się nonszalancko.

- Cromwell?

Odepchnął się od ściany i zbliżył do mnie. Uśmiechnął się.

- Ubrana? - Wskazał na częściowo uchylone drzwi.

Otworzyłam je do końca i otuliłam się kardiganem.

- Tak. - Rozejrzałam się po korytarzu. Był pusty. - Co tu robisz?



Za uchem miał papierosa, przy kieszeni spodni zwisał mu łańcuch.

- Przyszedłem po ciebie.
- Co?
- Zabieram cię gdzieś.

Po godzinach leniuchowania moje serce w końcu się przebudziło.

- Że co?
- Włóż buty, Farraday. Idziesz ze mną.

Dostałam gęziej skórki, rozbudziła się we mnie ekscytacja

- A dokąd mnie zabierasz?

Wydawało mi się, że Cromwell się zarumienił.

- Nałóż te buty i rusz tyłek spod drzwi.
- Nie jestem właściwie ubrana. - Dotknęłam koka. - Nie jestem uczesana i nie mam makijażu.
- Dobrze wyglądasz - stwierdził, na co wstrzymałam oddech.

Musiał to zauważyć, ale nie oderwał wzroku od moich oczu. - Tracimy czas, Farraday. Chodźmy.

Powinłam zostać. Choć wiedziałam, że to nie był mądry pomysł, mimowolnie musiałam z nim iść.

Usiadłam i włożyłam buty. Cromwell opierał się o futrynę, wyciągając ręce nad głowę. Czarny sweter opinał umięśnione ramiona, jego spód uniósł się, ukazując kilka centymetrów brzucha.

Zaczerwieniłam się. Odwróciłam wzrok i skoncentrowałam się na sznurówkach, ale gdy wstałam i dostrzegłam uśmiezek na jego twarzy, wiedziałam, że przyłapał mnie na podglądaniu.

- Chodźmy. - Poprowadził mnie korytarzem. Wyszliśmy na zewnątrz i podeszliśmy do matowocznego, starego forda pickupa.

-Twój? - Powiodłam palcami po lakierze. - Piękny.

-Tak.

- Dopiero kupiłeś?

Przytaknął.

- Musiał sporo kosztować - stwierdziłam, kiedy wyjeżdżaliśmy z kampusu.

W jego lewym policzku pojawił się dołeczek, którego istnienia nawet nie podejrzewałam. Cromwell niemal w pełni się do mnie uśmiechnął.

Niemal.

- Coś tam zarabiam - powiedział tajemniczo.

- Na muzyce?

- Nie miksuje za darmo, Farraday - Wiedziałam, że był jednym z najbardziej rozchwytywanych DJ-ów w Europie, po diabła, może nawet w Stanach. Ale nie myślałam o nim w ten sposób. Zapomniałam, że był

Cromwellem Deanem, wschodzącą gwiazdą elektronicznej muzyki tanecznej. Pomysł wydawał mi się szalony.

Zwłaszcza gdy wiedziałam, że był w stanie komponować muzykę klasyczną.

Cromwell siedział ze mną i Eastonem na każdym lunchu w tym tygodniu. Zajmował miejsce tuż obok mnie na wspólnych wykładach.

Ledwie rozmawialiśmy, ale był przy mnie. Nie wiedziałam, co o tym myśleć.

Teraz było podobnie.

-Jakieś podpowiedzi, dokąd jedziemy?

Pokręcił głową.

- Musisz poczekać, a zobaczysz.

Roześmiałam się mimowolnie.

- Nie wybierasz się dziś do baru lub Spichlerza? Czy twoi wielbiciel, to znaczy dziewczyny, nie będą tęsknić?

- Jestem pewien, że przeżyją - odparł oschle, na co jeszcze szerzej się uśmiechnęłam.

Cromwell wyjechał na drogę szybkiego ruchu. Zmarszczyłam brwi, zastanawiając się, dokąd mnie wiózł.

- Mogę włączyć radio? - zapytałam.

Przytaknął. Kiedy nacisnęłam przycisk, nie zdziwiłam się, słysząc szybkie tempo, walący bas i trzeszczące beaty. EMT. Westchnęłam.

- Chyba powinnam była się tego spodziewać, wsiadając do twojego auta.

- Co masz do *dance*'u? - zapytał. Przeskakiwał wzrokiem pomiędzy mną a drogą.

- Naprawdę nic. Nie rozumiem tylko, dlaczego spośród wszystkich gatunków wybrałaś właśnie ten.

- Ty lubisz *folk*.

- Lubię *folk* akustyczny. Piszę muzykę i słowa.

- A ja miksuję beaty, rytmy i tempo. - Dał głośniej. - To jeden z moich ostatnich kawałków. - Spojrzał na mnie. - Zamknij oczy.

Uniosłam brwi.

- No zamknij je, Farraday.

Spełniłam polecenie.

- Mocno wsłuchaj się w rytm. Usłysz beat i to, jak niesie podstawę utworu. Doświadcz zmiany tempa z każdym dźwiękiem klawiszy.

Usłysz warstwy i to, jak nakładają się z pięć czy sześć razy, a całość brzmi płynnie.

Zrobiłam to, o czym mówił. Spijałam tę muzykę wszystkimi zmysłami, rozkładając ją na części, aż usłyszałam całą kompozycję.

Poruszałam ramionami do rytmu, tempo kontrolowało moje ruchy. I poczułam, że się uśmiecham. Odtworzyłam te warstwy w głowie, aż stały się połączeniem dźwięków, beatów i rytmu.

- Słyszę - powiedziałam tak cicho, że nie wiedziałam, czy mnie usłyszał. Kiedy otworzyłam oczy, Cromwell ściszył radio. Westchnęłam, pokonana. - Słyszałam - powtórzyłam.

Spojrzał na mnie kątem oka.

- Sądzę, że jesteś muzycznym snobem, Farraday.
- Co takiego?

Skinął głową.

- Muzyka klasyczna, *folk*, *country* i inne gatunki. Każdy, tylko nie *dance*. Wszystkie prócz dźwięków wykreowanych przez komputer. -

Pokręcił głową. - Jesteś snobką. - Nie wiedziałam dlaczego, ale to określenie wypowiedziane z angielskim akcentem sprawiło, że odebrałam je dużo gorzej.

- Wcale nie... nie...

- Nie, co? - zapytał. Słyszałam uśmiech w jego głosie.
- Czasami w ogóle cię nie lubię - powiedziałam, zdając sobie sprawę z tego, że zabrzmiałam jak dwulatka.
- Wiem, że tak jest - stwierdził, ale bez przekonania. Zaczynałam go lubić. Nie, to kłamstwo. To już się stało.

I to mnie przeraziło.

Cromwell wjechał na drogę prowadzącą do muzeum. Siedziałam zdezorientowana, gdy zatrzymał się na prawie pustym parkingu.

- Chyba zamknięte - powiedziałam, kiedy Cromwell wysiadał.

Otworzył mi drzwi i podał rękę.

- Chodź.

Zrobiłam to, starając się zapanować nad drżeniem mojej dłoni.

Myślałam, że mnie puści, gdy przemierzaliśmy prowadzący do wejścia chodnik, ale nie. Wciąż mocno trzymał. Próbowałam za nim nadążyć, nie dawałam jednak rady. Cromwell przystanął.

- Dobrze się czujesz? Kulejesz.
- Skręciłam kostkę - powiedziałam, odczuwając to kłamstwo na języku.
- Możesz iść?

Prawda była taka, że stawało się to coraz trudniejsze, ale nie zamierzałam się poddać.

Byłam zdeterminowana do walki.

- Mogę, ale powoli.

Cromwell zrównał ze mną krok.

- Dostanę jakąś wskazówkę na temat tego, co robimy w muzeum po jego zamknięciu? - Pociągnęłam go za rękę. - Włamiemy się, prawda?

Ponownie ukazał się pojedynczy dołeczek w jego lewym pończuku.

Uwielbiałam ten widok.

- To przez te tatuaże, co? - zapytał.

Walczyłam ze śmiechem.

- Tak naprawdę chodzi o kolczyki, - Jak na zawołanie, Cromwell obrócił językiem i wystawił z ust ćwieka, którego tam miał.

Zaczerwieniłam się, kiedy przypomniałam sobie, jak blisko mnie się znalazł. Nie całowaliśmy się jednak na tyle głęboko, by go w pełni poczuć.

I nie mogłam dopuścić, żeby do tego doszło.

- Nie martw się, mam pozwolenie, by tu być.

Ochroniarz musiał być uprzedzony o wizycie, bo od razu nas przepuścił.

- Na piętrze - powiedział.

- Byłem tu już w tym tygodniu. - Cromwell poprowadził mnie na schody. Zerknął w moją stronę, po czym skierował się do windy. Nieco urosło mi serce.

Gdy zasunęły się drzwi, stanął u mojego boku.

- Jakież wskazówki? - zapytałam, kiedy cisza i bliskość stały się nie do zniesienia.

- Cierpliwości, Faraday.

Wysiedliśmy z windy i zatrzymaliśmy się przed zamkniętymi drzwiami. Cromwell przeczesał palcami włosy.

- Chciałaś wiedzieć, jak to jest. - Wprowadził mnie do ciemnego pomieszczenia i pociągnął za rękę na środek, po czym przeszedł na bok.

Zmrużyłam oczy, próbując dostrzec, co robił, ale niczego nie widziałam.

Z ukrytych gdzieś w ścianach głośników dobiegło *Requiem d-moll* Mozarta. Uśmiechnęłam się, gdy salę wypełnił dźwięk.

Następnie gwałtownie wciągnęłam powietrze. Po **czarnych** ścianach zaczęły tańczyć kolory. Czerwienie, róże, błękity, zielenie. Stałam zahipnotyzowana, gdy wraz z każdą nutą na ścianie pojawiała się jakaś nowa barwa. Uformowały się figury: trójkąty, koła, kwadraty.

Pozwoliłam, by wszystko to mnie obmyło. Kiedy muzyka wlewała się do moich uszu, barwy rozpały się przed oczami.

Spijałam je. Tym właśnie musiała być synestezja. Cromwell przywiózł mnie tu, żeby pokazać mi, co widział. Gdy utwór dobiegł

końca, a ściany na powrót stały się czarne, podszedł do mnie.

Obróciłam się, spojrzałam na niego z tak wielkim podziwem, że czułam się nim przytłoczona.

- Cromwell - powiedziałam, a na ścianie pojawiła się żółta linia.

Zatkałam ręką usta i roześmiałam się, kiedy się to powtórzyło. Mój towarzysz ustawił na środku pomieszczenia pufy. Umieścił je obok siebie i polecił:

- Siadaj.

Gdy się odezwał, na ścianie zatańczył błękit. Z wdzięcznością spełniłam jego polecenie. Spojrzałam na sufit, który również pomalowano na czarno. Wróciłam wzrokiem do Cromwella. Przyglądał

mi się. Znajdował się tak blisko, że stykały się nasze ramiona.

-To właśnie widzisz, prawda?

Spojrzał na wstęgi koloru, które podskakiwały wraz z każdym naszym słowem.

- Coś podobnego. - Wpatrywał się w niebieską linię, która Pokazała się, kiedy się odezwał. - To jest dostrojone do kogoś innego.

Moje barwy są inne. - Postukał się w ucho. - Słyszę *Requiem* w innych odcieniach.

Przechyliłam głowę na bok.

- Słyszysz je więc zupełnie odmiennie?

-Mhm.

Rozsiadł się wygodnie na pufie. Wstawiono je tu chyba właśnie po to, żeby można się było rozłożyć i obserwować zderzające się z muzyką barwy, odczuwać dźwięki wieloma zmysłami. Przyglądałam się Cromwellowi. Obserwowałam, jak wpatrywał się w gasnące iskry kolorowych linii. Tak właśnie wyglądało jego życie. To była jego normalność.

- Mówiłeś wcześniej, że gdy gra muzyka, nie tylko widzisz barwy...

- Nie dokończyłam tego zdania.

Cromwell założył ręce za głowę. Obrócił się do mnie.

- Nie. - Zamyślił się. - Mogę je również posmakować. Wrażenie nie jest silne. Pewne dźwięki lub zapachy pozostawiają po sobie smak. Nie jakiś konkretny, ale słodki lub kwaśny. Gorzki. Metaliczny. - Położył



sobie rękę na piersi. - Muzyka sprawia... że czuję. Pewne dźwięki potrafią podbić moje emocje. - Głos zadrżał mu przy ostatnim zdaniu, nie miałam więc wątpliwości, że nie mówił mi wszystkiego.

Zastanowiłam się, czy czuł się tak dzięki muzyce klasycznej. Może przy niej jego uczucia były tak wyraźne, że nie mógł sobie z nimi poradzić? A może przypominała mu ona o czymś bolesnym? Możliwe, że właśnie dlatego przed nią uciekał.

Cromwell znów na mnie spojrzał. Dech uwiązał mi w gardle, gdy uważnie mi się przyglądał. Otworzyłam usta, by zapytać, o czym myślał, kiedy powiedział:

- Zaśpiewaj.

- Co? - Moje serce zgubiło rytm.

- Zaśpiewaj. - Wskazał na sufit, na czarne ściany i na umieszczone w nich niewielkie mikrofony - To, co śpiewałaś w kawiarni.

Zaczerwieniłam się, ponieważ gdy ostatni raz przy nim śpiewałam, Cromwell siedział za mną, tuląc mnie do piersi.

- Zaśpiewaj - powtórzył.

- Nie mam gitary.

- Nie potrzebujesz jej.

Błagał mnie o to wzrokiem. Nie wiedziałam, dlaczego chciał, bym zaśpiewała. Ostatnio robiłam to tak często, jak tylko mogłam. Było mi coraz trudniej, mój płytki oddech ograbiał mnie z największej radości.

Mój głos słabł, a mimo to nie straciłam pasji do śpiewu.

- Zrób to - nalegał. Na jego twarzy malowała się desperacja.

Roztopił mnie. W tej chwili wyglądał pięknie.

Chociaż się bałam, pokonałam lęk. Właśnie tak żyłam. Zawsze próbowałam stawić czoła strachowi. Zamknęłam oczy, chcąc uciec od spojrzenia Cromwella, otworzyłam usta i dałam słowom popłynąć.

Usłyszałam, jak mój słaby i napięty głos poniósł się po sali. Słyszałam oddech Deana. Poczułam go na skórze, gdy się do mnie przysunął.

- Otwórz oczy - szepnął mi do ucha. - Zobacz swoją piosenkę.

Oduściłam. Uniosłam powieki i straciłam rytm, kiedy skąpały mnie róże i fiolety. Cromwell splótł ze mną palce.

- Nie przerywaj.

Śpiewałam, wpatrując się w sufit. Do oczu napłynęły mi łzy, gdy słowa stworzyły barwy tak piękne, że poczułam je w duszy. Kiedy wyśpiewywałam ostatnie wersy, zamrugałam, by rozgonić wilgoć.

Przyglądałam się, jak róż wyblakł, aż nic po nim nie pozostało.

Cisza była ciężka. Oddychałam pospiesznie, gdy poczułam na sobie wzrok Cromwella. Wzięłam trzy głębokie oddechy i się do niego odwróciłam.

Nie miałam jednak czasu, by popatrzeć mu w twarz, by dostrzec dołeczek w lewym policzku. Ani chwili, żeby zapytać, czy widział w moim głosie fiolety i róże, ponieważ w momencie, w którym obróciłam głowę, objął moją twarz i przywarł do moich ust. Z mojego gardła dobył

się jęk zdziwienia. Jego dłonie były ciepłe. Jego klatka piersiowa przyciskała się do mojej, a kiedy wargi zaczęły się poruszać, wtopiłam się w niego. Cromwell smakował miętą, czekoladą i tytoniem.

Wyciągnęłam ręce i złapałam go za sweter. Poczułam jego piżmową woń i współpracowałam z jego miękkimi ustami.

Cromwell mnie całował. Robił to delikatnie, powoli, aż wsunął mi język w usta. Jęknął, gdy napotkał mój. Czułam go wszędzie, a ciało i zmysły porwał huragan o nazwie Cromwell Dean.

Poruszałam językiem, poczułam chłodny metal i mocniej do niego przywarłam. Cromwell całował tak, jak grał - z całkowitą pasją, oddając temu każdą cząstkę duszy.

Całował i całował, aż nie miałam czym oddychać. Odsunęłam się, zdyszana, ale on nie skończył. Kiedy sapałam, próbując w jakikolwiek sposób wtłoczyć do płuc powietrze i uspokoić galopujące serce, przeniósł się na moją szyję. Zatrzepotałam powiekami, trzymając się jego swetra, jakby zależało od tego moje życie, jakbym w ten sposób mogła oprzeć się porywowi wszystkiego, co Cromwell sobą reprezentował. Ciepły oddech owionął mój kark i sprawił, że cała obsypałam się gęsią skórka.

Spojrzałam w górę i zobaczyłam, że wokół nas tańczyły fiolety i jasna zieleń - barwy naszego pocałunku.

Tego było zbyt wiele. Klatka piersiowa ścisnęła mi się z powodu wysiłku, pocałunek okazał się zbyt wymagający. Opuściłam głowę, by powiedzieć, aby się odsunął, ale w chwili, gdy to zrobiłam, jego usta powróciły do moich. Oddałam się mu. Siedząc na miękkim pufie, pozwoliłam, by próbował moich ust. Jego język znów spotkał się z moim. Chłopak przysunął się, niemal układając się na mnie. Położyłam ręce na jego plecach. Jego sweter podjechał do góry. Moje palce dotknęły cieplej skóry, doznanie to rozbudziło moje zmysły.

- Cromwell - szepnęłam. Na suficie pojawiła się pomarańczowa wstęga. - Cromwell - powtórzyłam, uśmiechając się, kiedy barwa powróciła, ale mój uśmiech zniknął, gdy uświadomiłam sobie, co takiego robiliśmy. Nie powinnam do tego dopuścić. Nie mogłam pozwolić, żeby mnie całował. Powinnam była odejść, kiedy wciąż miałam na to szansę.

Zacisnęłam powieki i przywarłam do niego, jakbym nigdy nie miała go puścić. Pogłębiłam pocałunek. Całowałam go tak, żeby już tego nie zapomnieć. Całowałam, aż pozostawił głęboki ślad w mojej duszy.

W końcu się odsunęłam, powiodłam dłońmi po jego ciele i objęłam

jego twarz. Jego wargi nabrzmiały od pocałunków, policzki były ciepłe.

- Nie mogę. - Serce mi pękło przy tym wyznaniu. - Nie możemy.

Wpatrywał się w moje oczy.

- Dlaczego?

- Muszę wracać do domu.

Zdezorientowany, zmarszczył brwi.

- Bonn...

- Proszę.

- Okej.

Wstał z pufa i bez słowa przemierzył salę, by włączyć światło.

Wzdrygnęłam się, gdy w pomieszczeniu zrobiło się jasno. Teraz ściany były po prostu czarne. Magia zniknęła.

Przyglądałam się, jak Cromwell chodził po pomieszczeniu, wyłączając wszystkie urządzenia. Podszedł, a kiedy na mnie spojrzał, nie mogłam uwierzyć, że był aż tak przystojny. Gdy się zatrzymał, jego buty zetknęły się z moimi. Pocałował mnie w czoło.

Sala rozmyła się, poczułam, jak łyzy wymknęły się z moich oczu.

Odsunął się, ale złapałam go za rękę, rozkoszując się nim dodatkową chwilę. Spojrzał na mnie z powagą. Nie odrywałam od niego wzroku.

Wpatrywałam się w jego twarz, stając na palcach. Nie zastanawiałam się nad tym, co robię, po prostu poszłam za głosem serca i przywarłam do jego ust. Był to pierwszy raz, gdy zainicjowałam pocałunek. Nie uwierzyłabym, gdyby ktoś powiedział mi, że stanie się to z Cromwellem Deanem, ale teraz, kiedy byliśmy zawieszani w idealnym momencie, wiedziałam, że nigdy nie będzie nikogo innego.

Gdy przerwałam pocałunek, oparłam swoje czoło o jego.

Zaciągnęłam się wonią, zapisując w pamięci każdą sekundę. Uniosłam głowę i popatrzyłam mu w oczy. W głowie kołatało mi się jedno pytanie.

-Jak dla ciebie wyglądała? - dociekałam. - Moja piosenka. Jej barwy.

Cromwell odetchnął i powiedział:

- Rozświetliła pomieszczenie.

Wtuliłam się w niego, opierając twarz na jego torsie i obejmując go w pasie.  
*Rozświetliła pomieszczenie.*

Wyprowadził mnie z muzeum do swojego pickupa. W drodze do domu głośniki milczały. Nie rozmawialiśmy, ale cisza była komfortowa.

Nie mogłam mówić. Miałam milion pytań, ale nie zadałam żadnego z nich. Musiałam zostawić ten wieczór tam, gdzie jego miejsce. W przeszłości. Miał być wspomnieniem, którego będę się trzymać w nadchodzącej podróży.

*Rozświetliła pomieszczenie...*

Zaparkował pod moim akademikiem. Z lękiem spojrzałam na wejście. Wszystko skończy się, gdy przejdę przez próg. Wciąż nie byłam pewna, czym było to „wszystko”.

Cromwell siedział za kierownicą, wpatrując się we mnie. Czułam na sobie jego wzrok. Nie chciałam na niego spojrzeć, ponieważ wiedziałam, że kiedy to zrobię, będę musiała to zakończyć.

- Cromwell - szepnęłam, trzymając ręce na kolanach.

- Farraday. - Chciałabym, by tego nie powiedział. Podobało mi się, gdy tak się do mnie zwracał. Tym razem jednak brakło mi tchu.

Zupełnie jakbym słuchała jego muzyki.

- Nie mogę. - W kabinie starego samochodu mój głos rozbrzmiał

zbyt mocno. Cromwell nie pytał, o co chodziło. Wiedział, co miałam na myśli. Kiedy w końcu na niego popatrzyłam, wyglądał przez szybę, zaciskając usta. W tamtej chwili był tym, którego znałam z pierwszych dni nauki.

Zacisnęłam mocno powieki, nie znosząc tego widoku. Nie chciałam go skrzywdzić. Nie miałam pojęcia, co o mnie myślał, ale sposób, w jaki zachowywał się w tym tygodniu, to, co zrobił dla mnie po występie w kawiarni i co mi dziś pokazał... Wiedziałam, że musiało to być coś prawdziwego. A ten pocałunek...

- Nie... nie mogę wyjaśnić.

- Lubię cię - wyznał.

Gdy te słodkie słowa dotarły do moich uszu, miałam ochotę przysunąć się do niego i objąć mocno. Nie znałam go za dobrze, ale zdawałam sobie sprawę, że wypowiedzenie tego nie przyszło mu łatwo.

Żył za murem, ale przy mnie zaczynał się otwierać.

Nie chciałam sprawić, by znów się odizolował. Pragnęłam być tą, która go uwolni, ale nie mogłam tego zrobić. Nie było to fair.

Nagle rozpalił się we mnie gniew na tę niesprawiedliwość. Nie mogłam żyć chwilą, cieszyć się życiem i wpaść w jego objęcia.

- Bonnie? - Kiedy moje imię opuściło jego usta, chciało mi się płakać. Nigdy wcześniej się tak do mnie nie zwrócił.

- Ja też cię lubię. - Spojrzałam w jego oczy. Byłam mu winna przynajmniej tyle. - Ale to bardzo skomplikowane. Nie powinnam ci na aż tyle pozwalać. To nie fair. Przepraszam...

Ucichłam, gdy wziął mnie za rękę.

- Pojedź ze mną jutro do Charleston.
- Co?
- Gram w klubie. - Ścisnął moje palce. - Chcę, byś tam była.
- Dlaczego?
- Abyś zobaczyła... - Westchnął. - Abyś zobaczyła, jak gram nowe miksy. Żebyś stanęła obok i poczuła, jak to jest Abyś zrozumiała. To zaledwie godzina drogi.
- Cromwell...
- East też jedzie. - Biło od niego rozczarowanie. - Nie musi być to nic, czego nie chcesz.

Nie byłam pewna, czy zdołałabym przetrwać w towarzystwie brata.

Będę musiała mu powiedzieć przed nadejściem niedzieli. I bez wątpienia Cromwell też się o wszystkim dowie.

Pomyślałam o tym wieczorze. Będzie ostatnim, gdy będę wolna.

Mogłam go spędzić otoczona muzyką Cromwella, śmiejąc się z bliźniakiem.

- Dobrze - zgodziłam się. - Pojadę, ale zaraz później muszę tu wrócić.

Cromwell zacisnął usta, żeby się nie uśmiechnąć.

- Okej - potwierdził. - No to idź spać, Farraday.

Wysiadł i otworzył mi drzwi. I podobnie jak wcześniej, podał mi rękę. Trzymał mnie aż do progu akademika. Moje serce fiknęło koziołka, kiedy stanął przede mną, objął moją twarz i pocałował czule w usta.

- Dobranoc.

Odsunął się i odszedł. Nie byłam pewna, czy zdołam się ruszyć.

Zanim wsiadł do auta, powiedziałam:

- Cromwell? - Spojrzał na mnie. Czułam, że mocno się zarumieniłam. - Jakiego koloru jest mój głos?

Patrzył na mnie z wyrazem oczu, którego nie potrafiłam odczytać.

Jego usta ponownie rozciągnęły się w niewielkim uśmiechu i wyznał:

- Fioletowego.

Usiłowałam oddychać. Naprawdę. Próbowałam się poruszyć.

*Fioletowego.*

Wsiadł do samochodu i odjechał, a w mojej głowie odtworzyło się wspomnienie z zeszłego tygodnia.

- *Cromwell? — zapytałam, więc się odwrócił. - Który kolor jest twoim ulubionym?*

- *Fioletowy - odparł bez namysłu.*

Fiolet. Jego ulubiony... a także barwa mojego głosu.

Jeśli moje słabiutkie serce wcześniej mu się opierało, teraz całe otworzyło się na niego.

## **ROZDZIAŁ 15**

*CROMWELL*



- Będzie zajebicie! - Easton kołysał się na siedzeniu mojego pickupa. Zerknąłem na niego, zastanawiając się, co takiego dziś w niego wstąpiło.

- Easton. - Bonnie położyła rękę na ramieniu brata. -Uspokój się.

- Uspokoić się? Mój chłoptaş ma zagrać w Chandelier, a ty mi mówisz, że mam być spokojny? Nie ma mowy, Bonn. Spichlerz to jedno, ale Cromwell będzie dziś miksował w prawdziwym klubie. To szaleństwo. Wiesz, ilu ludzi przyjdzie, żeby go zobaczyć? Przynajmniej kilka tysięcy!

Prowadziłem do Charleston, słuchając jazgotu współlokatora.

Easton nawet nie zapytał, dlaczego jechała z nami jego siostra.

Myślałem, że będzie marudził. Przez ostatni tydzień wypytywał o naszą relację. Wydawało mi się, że coś podejrzewał, ale od samego rana był

pobudzony. Gnojek obudził mnie nawet o czwartej, pytając, czy ma iść po jedzenie. Zasnąłem zaledwie pół godziny wcześniej, bo tworzyłem kawałki na dzisiejszy wieczór.

Nie mogłem się doczekać, by je zagrać.

Dotarcie do celu zajęło niecałą godzinę. Ochrona poleciła, bym zaparkował na tyłach. Kilku chłopaków próbowało wziąć mojego nowego laptopa. Bezskutecznie. Nie ma mowy, by ktokolwiek dotknął

mojego sprzętu. Easton szedł tuż obok, a Bonnie z drugiej strony.

Musiałem stracić rozum, ponieważ miałem wielką ochotę trzymać ją za rękę.

I nie potrafiłem wyrzucić z głowy myśli o ostatnim wieczorze. Nie mogłem pozbyć się smaku jej ust. Ale, co gorsza, nie rozumiałem,

dlatego powiedziała, że nie mogliśmy się do siebie zbliżyć.

Nie miałem dziewczyny. Nigdy. Wykorzystywałem laski i je porzucałem. Bonnie Farraday poruszyła mnie jednak już od pierwszego dnia. Zadziałało oczywiście prawo Murphy'ego, ponieważ jedyna dziewczyna, od której chciałem czegoś więcej niż szybkiego bzykanka, nie była mi przychylna.

I nie miałem pojęcia dlaczego. Wczoraj obojgu nam się podobało.

Była tak blisko. Nie odrywała ode mnie rąk. Później przyłgnęła do mnie, jakby nie chciała mnie puścić.

Nauczyłem się jednak, że Bonnie Farraday to skomplikowana dziewczyna.

Chociaż mnie odpychała, nie mogłem pozwolić jej odejść. Chciałem, by tu dziś była. Potrzebowałem jej, choć nie wiedziałem dlaczego.

Pragnąłem, żeby zobaczyła mnie w naturalnym środowisku. Chciałem, by posłuchała nowych mikсів.

Jeden przygotowałem specjalnie dla niej.

Kiedy tylko wszedłem, dopadł mnie manager. Stwierdził, że bilety wyprzedano. Miałem wejść na podest o północy. Nie musiałem długo czekać.

- Idę po kieliszki - powiedział Easton, pokazując siostrze i mnie swój fałszywy dokument. Zostawił nas samych w nedorzecznie dużej garderobie. Kanapy, telewizor... w kącie stało nawet łóżko.

Pomieszczenie wyglądało super. Nie denerwowałem się występem, nigdy nie odczuwałem tremy. Byłem jednak spięty, bo na podeście miała znajdować się również Bonnie.

Denerwowałem się, zastanawiając, co pomyśli o kawałku, który dla niej przygotowałem.

Usiadła na kanapie, przetarła twarz. Była blada, ale wyglądała dobrze. Miała na sobie spodnie z wysokim stanem, uszyte z czarnego materiału w kwiaty, i białą bluzkę z długim rękawem, która podkreślała jej sylwetkę. Włosy związała w kucyk, za który miałem ochotę złapać, by przyciągnąć ją do swoich ust.

Upewniłem się, że ustawiłem na laptopie wszystko jak należy. Z

zewnątrz dobiegały dźwięki DJ-a, który otwierał wieczór. Jak zawsze przed oczami tańczyły mi barwy, ale blokowałem je, skupiając się na własnym zestawie melodii.

- Gotowy? - zapytała w końcu Bonnie. Odkąd wsiedliśmy do auta, nie mieliśmy okazji, żeby spędzić trochę czasu sam na sam.

- Zawsze. - Popatrzyłem na nią. Bawiła się trzymanymi na kolanach palcami. Wyglądała cholernie uroczo. - Farraday. - Uniosła głowę. - Chodź tu.

Wyglądała, jakby zamierzała odmówić, ale wstała z kanapy i podeszła do miejsca, w którym siedziałem. Zrobiłem jej miejsce.

Zawahała się. Jęknąłem i pociągnąłem ją za rękę.

- Na miłość boską, Farraday, dwadzieścia cztery godziny temu wkładałem ci język do gardła. Chyba możesz usiąść obok mnie. Przecież się zmieścisz. Ważysz pewnie tyle, co worek ziemniaków.

- Co? - zapytała, marszcząc brwi. - Worek ziemniaków?

Objąłem ją w talii, na co pisnęła.

- To znaczy, że jesteś chuda. A teraz... - Przysunąłem się na tyle, żeby jej ciało dociskało się do mojego i bym nadal mógł pracować na laptopie.

- Cromwell. — Westchnęła. - To nie jest mądre.

- Nikt nie twierdził, że jest. - Wskazałem na komputer. -jyloje

miksy - oznajmiłem.

Miłość dziewczyny do muzyki przewyższała niewygodę siedzenia obok mnie. Wpatrywała się w program.

- To twoje kawałki? - Przytaknąłem. - Jak je miksujesz?

Wzruszyłem ramionami.

- Oceniam publikę, po czym decyduję, co grać. Muszę zobaczyć, na ile mi pozwolą. - Próbowałem wyobrazić sobie zatłoczony parkiet. -

Robię to, co wydaje się właściwe.

- Podążasz za emocjami — stwierdziła. - Powiedziałeś mi o tym wczoraj.

- Tak. - Zamknąłem laptopa i spojrzałem na Bonnie, która już na mnie patrzyła. Jej wzrok opadł na moje usta. - Farraday.

- Przysunąłem się i oparłem czoło o jej czoło. - Jeśli nie chcesz, bym cię teraz pocałował, musisz przestać tak na mnie patrzeć.

- Jak? - szepnęła zarumieniona.

- Jakbyś chciała ponownie poczuć kolczyk, który mam w ustach.

Roześmiała się. Dźwięk ten stworzył fioletowe koło, które pulsowało do rytmu z jasnym różem.

- Prawdziwy z ciebie Romeo - zażartowała. - Ponownie poczuć twój kolczyk?

Mój puls przyspieszył, uniósł się kącik ust. Przyciągnąłem ją do siebie i przesunąłem nosem po jej policzku. Jej oddech był płytki i nierówny. Skubnąłem wargami płatek jej ucha.

- Nigdy nie twierdziłem, że nim jestem - powiedziałem.

Odsunąłem się, wiodąc wargami w kierunku jej ust. Nie zamykałem oczu, miałem je szeroko otwarte, gdy na mnie spojrzała. Oddychała pospiesznie.

Przywarłem do niej, zapominając o zapewnieniu, że nigdy do tego nie dojdzie. Kiedy ją pocałowałem, rozległo się pukanie do drzwi.

- Cromwell? - zapytał ktoś. - Pięć minut.

Westchnąłem i zwiesiłem głowę. Bonnie wsunęła mi palce we włosy.

- Lepiej już chodźmy.

Usiadłem prosto, po czym, nim miała szansę się spierać, pocałowałem ją. Westchnęła w moje usta, ale szybko się odsunąłem i porwałem laptopa. Wyciągnąłem do niej dłoń. Tym razem, w towarzystwie Eastona czy też nie, zamierzałem ją za nią trzymać.

Bonnie nie stawiała oporu.

Przeszliśmy korytarzem, kierując się na główną scenę. Przywitała się ze mną obsługa. Kiwałem głową, a z każdym krokiem coraz bardziej czułem się jak w domu. Gdy dotarliśmy pod podest, usłyszałem tłum, jego krzyki i nawoływanie. Bonnie ścisnęła moją rękę. Patrzyła szeroko otwartymi oczami. Pocałowałem grzbiet jej dłoni i się przysunąłem.

- Usiądź z boku sceny. Poprosiłem, by przynieśli ci jakieś krzesło.

W jej oczach pojawiła się ulga. Nie wiedziałem dlaczego. Puściłem jej rękę i założyłem słuchawki. Pomachał mi manager. Po raz ostatni spojrzałem na Bonnie i wszedłem na podest. Ogarnęła mnie fala okrzyków i pisków.

Położyłem laptopa i uniosłem pokrywę. Jak zawsze zaryzykowałem spojrzenie na publikę, spijając ten widok. Odbierałem go jak w zwolnionym tempie. Tłum czekał, aż zacznę-Przebiegłem wzrokiem po tysiącach twarzy. Wszyscy patrzyli na mnie, jakbym był ich młodym bożkiem. Zerknąłem w bok.

Bonnie wciąż stała pod sceną. Wskazałem na czekające na nią krzesło. Przełknęła ślinę, wytrzeszczając oczy. Była cholernie urocza, gdy weszła na schodki prowadzące na podest. Podałem jej rękę, bo wyglądała niepewnie.

Usiadła i spojrzała na publikę. Już wcześniej miała wielkie oczy, a teraz zajmowały niemal całą jej twarz. Dałem jej drugie słuchawki, pokazując, by je założyła. Chciałem, żeby usłyszała każdy możliwy beat, by zanurzyła się w rytmie, spijała takty, żyła basem.

Kiedy na mnie spojrzała, wstrzymałem oddech, ustawiłem pierwszy kawałek, uniosłem rękę... po czym wcisnąłem klawisz, rozwalając całe to miejsce.

Tłum jadł mi z ręki, zatracił się w rytmie. Podeszedłem do miksera i kontrolera bębnow, gdzie dałem poprowadzić się barwom. Minęła dłuższa chwila, nim spojrzałem na Bonnie, która przyglądała mi się uważnie, wpatrywała w moje tworzące ścieżki dłonie. Nie musiałem patrzeć na ekran czy suwaki miksera. Zamiast tego spoglądałem w jej oczy. Kiedy miałem na sobie jej pełną uwagę, zacząłem wymawiać nazwy kolorów. Brzoskwiniowy, turkusowy, czarny, szary, bursztynowy, szkarłatny. Nuta za nutą mówiłem jej, co widziałem, a ona mnie rozumiała. Nie odrywała ode mnie wzroku, uśmiechała się, gdy dałem jej usłyszeć barwy.

Pozwoliłem, żeby zobaczyła mnie.

- Fioletowy - powiedziałem bezgłośnie. Bonnie wytrzeszczyła oczy.

Spojrzałem na ekran i ustawiłem kawałek, który chciałem, by usłyszała.

Ten, którego nie potrafiłem wyrzucić wczoraj z głowy. Ten, który słyszałem tak głośno w moich myślach, że musiałem go zagrać.

Bonnie nie wiedziała, że nagrałem słowa.

*Niektórym nie jest dane przeżyć długie lata.* Puściłem wprowadzający wers piosenki ponad beatami. Ton był cichy, ale z każdą chwilą

budowało się crescendo. *Nieliczni są jak iskry, czy cichy śpiew ptaka.* W

tle grały cicho skrzypce, a bębny przyspieszały. Następnie wzmocniły dwukrotnie tempo, a miękki głos Bonnie popłynął najgłośniej.

Fioletowe słowa unosiły się w każdym kącie sali.

*Niektórym nie jest dane przeżyć długie lata,  
Nieliczni są jak iskry czy cichy śpiew ptaka.*

*Nazbyt czyste dusze płoną jasnym blaskiem,  
A ciała nazbyt kruche przegrywają walkę.*

*W nas serca tracą rytm, melodia jest za wolna.*

*Przybywają anioły, czas już się im oddać.*

*Opuścić nasze miejsce, udać się do nieba, Do spokojnego rajy,  
gdzie nikł nie umiera, Nadzieja zostaje przy naszych ukochanych.*

*Porzucamy klatkę, jak ptaki uwalniane,  
I wznieść się możemy na skrzydłach całych z bieli, Rozpostartych szeroko,  
pochodzących z piersi.*

*Ze łzami więc w oczach, poświęcając spojrzenie,  
Mówię: żyłam, kochałam i miałam marzenie...*

Dodałem wielowarstwowe akordy gitarowe, które przechowywałem w komputerze przez lata, ale nigdy nie używałem. Bonnie śpiewała czysto i wyraźnie. Zmiksowałem to trzy razy, aż w tle podłożyłem inny kawałek, zastępując fiolet limonkową zielenią.

Kiedy z głośników popłynął następny miks, spojrzałem na dziewczynę, która zatykała ręką usta. Po jej policzkach płynęły łzy.

Skurczył mi się żołądek. Popatrzyła mi w oczy i opuściła dłoń. Na jej twarzy prezentował się najszerszy uśmiech, jaki u niej widziałem.

Wstała i podeszła do mnie. Przesunąłem ją w tył, by publika nas nie

widziała, i pocałowałem na tle złotej, różowej i czekoladowej barwy.

Bonnie smakowała łzami i miętą.

Muzyka kontrolowała tłum, ludzie kołysali się, podskakiwali i tańczyli, a Bonnie tuliła się do mnie. Gdy się odsunęła, nie byłem na to gotowy. Objąłem jej twarz i ponownie pocałowałem. Nie chciałem jej puścić. Kolor zmienił się w niebieski i podążył w stronę granatu.

Podszedłem do konsoly. Publika szalała. Spojrzałem w dół i zobaczyłem Eastona, który stał z zamkniętymi oczami. Na jego ramieniu uwiesiła się jakaś laska. Trzymał dwie butelki piwa, wczuwał się w beat.

Zwolniłem tempo. Operator oświetlenia odczytał moje przesłanie i zmienił lasery na biały miękki blask, zmniejszając nieco jasność. W

powietrzu unosił się pompowany przez cały wieczór dym, otulając światło. Wyciągnąłem rękę, zebrani czekali na mój znak. Powolne tony ukoili ich galopujące serca, długie nuty wyrównały ich puls. Słyszałem echo własnego oddechu. Czułem żar ciał, jak i ich gotowość do powrotu na szczyt, na który tylko ja mogłem zabrać tych ludzi.

Palce czekały, gość od światła również. Zerknąłem na Bonnie, która niecierpliwie siedziała na skraju krzesła. Uśmiechnąłem się do siebie, muzyka dawała mi szczęście. Kiedy wszyscy byli gotowi, gdy nie mogli czekać ani chwili dłużej, opuściłem dłoń i sprowadziłem na nich deszcz.

Rozbłysły światła, lasery i stroboskopy skąpały wszystko w zieleni.

Beaty odurzyły ludzi, którzy stali się moimi niewolnikami. Ich ciała poruszały się rytmicznie do dźwięku ciężkiego basu. Usłyszałem obok siebie śmiech, obróciłem się i zobaczyłem, że Bonnie przyglądała się skaczącemu tłumowi.

Wyszczrzyłem się, dając więcej i im, i jej, na co uniosła ręce i zamknęła oczy. Zamarłem, po prostu się w nią wpatrując.



W mojej piersi rozbudziło się coś, czego nie czułem od lat. Coś, czego nie spodziewałem się tu już nigdy zastać. Srebro. Zakrzusiałem się na ten widok.

Szczęście.

Dłoń zsunęła mi się z klawiatury i to mnie przebudziło. Ponownie skupiłem się na muzyce, ale srebro mnie nie opuściło. Zakorzeniło się w moim umyśle. Barwa była tak silna, jakby zostało nią inkrustowane wnętrze mojej głowy.

Przez cały czas, gdy grałem, Bonnie siedziała wpatrzona we mnie z uśmiechem. I przez cały ten czas przed moimi oczami dominowały fiolet i srebro. Przesunąłem palcami po klawiaturze, z głośników poniósł się ostatni beat, aż zniknął w tłumie z tyłu sali.

Prowadzenie przejął lokalny DJ. Wziąłem laptopa i wyciągnąłem rękę do wrzeszczącego tłumu. Pot perlił się na moim czole, ale w żyłach nadal płynęła adrenalina. Obróciłem się do Bonnie. Miała zarumienione policzki, a jej oczy nadal były jasne, choć było już późno. Wsadziłem komputer pod pachę, po czym zdjąłem jej słuchawki i poderwałem ją z krzesła. Gdy przyciągnąłem ją do siebie, złapała mnie za bicepsy.

Stała na podłodze, a ja wziąłem ją za rękę i poprowadziłem przez podest i dalej korytarzem. Nie przejmowałem się nikim innym. Miałem w dupie to, czy ktoś nas zobaczy. Przyszpiliłem Bonnie do ściany. W

chwili, w której oparła się plecami o mur, przywarłem do jej ust. Była równie gorliwa. Wsunęła palce w moje włosy, szarpiąc, bym jeszcze bardziej się zbliżył. Krew wciąż płynęła szybciej dzięki muzyce, którą przez ostatnie trzy godziny wlewałem do ciała.

Bonnie sapnęła przy moich ustach, ale musiałem zakosztować słodczy, która rodziła się na moim języku, ilekroć się całowaliśmy.

Powiodłem ustami po jej szyi.

- Cromwell - szepnęła. Moje imię na jej wargach tylko mnie

pobudziło.

Złapała mnie za głowę i naprowadziła z powrotem na swoje usta.

Nie byłem pewien, jak długo się całowaliśmy, ale po jakimś czasie odsunęła się, walcząc o oddech. Oparłem ręce o ścianę, jej dłonie spoczywały na mojej piersi. Sapała, pozwoliłem jej więc złapać trochę tlenu. Kiedy się uspokoiła, wypowiedziała tylko dwa słowa:

- Moja piosenka.

-Twoja. - Nigdy wcześniej nie wrzucałem do miksów słów. Nigdy nie czułem takiej potrzeby... aż do teraz.

Dźwięk otwieranych drzwi rozbrzmiał niczym grzmot. Odsunąłem się od Bonnie, gdy wpadł przez nie Easton.

- Cholerny Cromwell Dean! - Szła za nim jakaś dziewczyna. Easton rzucił się na mnie, obejmując. - Co za muza!

Spojrzał na siostrę. - Bonn... twoja piosenka...

Uśmiechnęła się do niego.

- Było niesamowicie.

Poklepałem kumpla po plecach.

-Jedźmy.

Pokręcił głową i objął stojącą za nim laskę.

- Idę z Emmą. Studiuje tu.

- Jak wrócisz? - zapytała Bonnie.

- Bonn, do domu jest jakaś godzina. Jutro przyjadę autobusem. -

Spojrzał na obejmowaną blondynkę. - A może w poniedziałek. -

Wzruszył ramionami. - Zobaczą, jak będzie.

Easton wyszedł, wracając do klubu. Bonnie patrzyła za nim z troską.

- Nic mu się nie stanie - zapewniłem, biorąc ją za rękę.

Posłała mi sztywny uśmiech, ale poszła za mną do garderoby.

Pozbieraliśmy nasze rzeczy i udaliśmy się do samochodu. Kiedy wsiedliśmy, dało się wyczuć między nami napięcie.

- No i? - Obróciłem się do Bonnie, która przyglądała mi się z nieczytelnym wyrazem twarzy. - Co?

-Już rozumiem. - Objęła się rękami.

- Zimno ci?

- Troszkę. - Sięgnąłem po czarny sweter i go jej podałem.

Uśmiechnęła się i włożyła go. Pochłonał jej niewielką sylwetkę.

Zamknęła oczy i zaciągnęła się jego wonią. - Pachnie jak ty. - Otworzyła oczy. Czekałem, by coś dodała. Uruchomiłem silnik i ustawiłem grzanie.

- Jak? - Głos Bonnie wciął się w biały szum, gdy wyjechałem na drogę. Spojrzałem na nią, unosząc brwi. - Jak zdobyłeś moją piosenkę?

- W muzeum - odparłem. - Nagrałem telefonem, kiedy śpiewałaś.

Zmarszczyła brwi.

- Wczoraj? - Przytaknąłem. - Ale jakim cudem zmieniłeś ją w ten utwór?

- Całą noc nad tym pracowałem.

Westchnęła.

- Wszystko mi komplikujesz, Cromwell. Nigdy nie miałeś tego

zrobić.

Parsknąłem krótkim śmiechem.

-Jestem skomplikowany. Powiedziano mi to wystarczająco wiele razy.

Bonnie się nie śmiała. Zamiast tego przysunęła się i położyła głowę na moim ramieniu. Nie byłem pewny, czy zasnęła, ale gdy popatrzyłem na nią w lusterku wstecznym, wpatrywała się przed siebie. Zmrużyłem oczy, zastanawiając się, co było nie tak, a ona objęła moją rękę i trzymała.

Chciałem, żeby do mnie mówiła. Pragnąłem, by coś powiedziała, ale tak się nie stało. Przypomniałem sobie jej wcześniejsze słowa o tym, jak wszystko komplikuję. Wiedziałem, że byłem popieprzony, że byłem kapryśnym gnojkiem, który miał wahania nastrojów. Miałem jednak przeczucie, że nie o to jej chodziło.

Godzinę później wjechałem na kampus, udałem się w kierunku jej akademika. Ledwie ujechałem kilkanaście metrów, nim rzuciła: -Nie.

-Co?

Zamarła, ale stwierdziła:

- Jedź do swojego.

Zdezorientowany spojrzałem na nią w lusterku. Brązowe oczy już się we mnie wpatrywały.

- Jedź do swojego akademika - poprosiła drżącym głosem.

Zaczerwieniła się i mocniej ścisnęła moją rękę. - Jeśli... jeśli chcesz.

Chwilę zajęło mi, nim zrozumiałem.

— Bonnie — powiedziałem i poczułem, że wstrzymała oddech.

Spojrzałem na nią i dostrzegłem strach w jej oczach. Nie był to lęk

przed tym, o co prosiła. Obawiała się, że odmówię.

Ale to się nie miało stać.

-Jesteś pewna? - zapytałem.

- Pragnę tego - szepnęła. - Ciebie.

Przez całą drogę na parking przy moim akademiku ścisnąłem kierownicę. Kiedy zgasłem silnik, Bonnie się nie ruszyła. Złapałem ją za podbródek i zmusiłem, by na mnie spojrzała. Objąłem jej twarz.

- Nie musisz tego robić - stwierdziłem.

Uśmiechnęła się skromnie. Do oczu napłynęły jej łzy.

- Chcę tego, Cromwell. Chcę. - Roześmiała się. - Pragnę, by ta noc nigdy się nie skończyła. - Spuściła wzrok. - Proszę, nie każ mi błagać.

- Nie musisz tego robić. - Pokręciłem głową. - Ja też tego chcę.

Bardzo.

Wysiadłem. Obszedłem auto i otworzyłem drzwi. Podałem jej rękę i, jak zwykle, trzymała mocno, gdy ją prowadziłem. Szliśmy powoli.

Bonnie poruszała się wolniej niż normalnie.

- Dobrze się czujesz? - zapytałem, sprawdzając, czy wszystko było w porządku i czy nadal tego chciała.

Uśmiechnęła się do mnie, ściskając moje palce.

- Lepiej niż dobrze.

W akademiku panowała cisza. Kiedy zamknąłem za nami drzwi pokoju, wyczułem napięcie. Bonnie stała przede mną, mój sweter sięgał jej prawie do kolan. Zbliżyłem się i objąłem jej twarz. Spojrzała na mnie

szeroko otwartymi oczami.

Pochyliłem się i pocałowałem ją. Westchnęła i poczułem, jak się odprężyła. Całowałem i całowałem, aż wreszcie się odsunąłem.

- Bonnie...

- Chcę tego - powtórzyła. Podeszła do ściany i wyłączyła światło.

Pokój spowiła ciemność, świecił jedynie ekran moje-go komputera. Jej twarz ukryta była w cieniu, ale gdy się do mnie odwróciła, w niebieskawym blasku widziałem jej oczy.

Pozwoliłem, by przejęła prowadzenie. Wzięła mnie za rękę i pociągnęła w stronę łóżka. Usiadła na jego skraju, następnie przesunęła się, aż ułożyła głowę na poduszce. Zamarłem, wpatrując się w nią.

Poruszył mnie jej widok - takiej małej i zdenerwowanej. Rozchyliła wargi, włosy leżały na pościeli.

Powoli uniosła dłoń. Drżały jej palce. Wziąłem ją za nią i położyłem się obok. Odsunąłem jej włosy z twarzy. W ciemności trudno było coś dostrzec, ale widziałem jej oczy. Tylko tego potrzebowałem.

Pochyliłem się i zacząłem ją całować. Wciąż trzymałem ją za rękę, nie puściła mnie. Po prostu mnie trzymała. Całowałem jej usta.

Całowałem, aż musiała złapać dech. Przeniosłem się na jej szyję i ramię, z którego zsunął się mój sweter.

Kiedy wycalałem całą odsłoniętą skórę, uniosłem głowę i spojrzałem jej w oczy.

- Nigdy... tego nie robiłam - wyznała.

Przełknąłem ślinę.

- Nigdy?

Pokręciła głową.

- Nigdy... - Uniosła wzrok. - Nigdy nie robiłam nic więcej poza całowaniem.

Wciągnąłem powietrze, patrząc na nią. Obserwowała mnie, czekając na moją reakcję.

- Bonnie, nie jestem pewien, czy jestem tym...

~ Jesteś. - Drżąca dłoń spoczęła na mojej twarzy. - Jesteś jedynym, który może to mieć. - Do jej oczu napłynęły łzy, które zaraz spłynęły na policzki. - Próbowałam z tym walczyć, ale nie odszedłeś, a moje serce nie pozwoliło mi się od ciebie odwrócić. - Powiodła palcami po moim torsie, zatrzymując je przy mostku. Zamknęła na chwilę oczy, jakby liczyła uderzenia mojego serca. Gdy uniosła powieki, usiadła, więc uklęknałem przy niej. Zdjęła sweter i upuściła go na podłogę. Złapała za moją koszulkę z zamiarem zrobienia tego samego.

Pomogłem jej, dorzucając bluzkę do leżącego na podłodze swetra.

Bonnie przełknęła ślinę, kiedy uniosła palce i prześledziła nimi moje tatuaże. Dotykała zakręcanych kolorowych wzorów na mojej klatce piersiowej, dwóch mieczy, lwa i korony, które stanowiły herb armii brytyjskiej. Odchyliła głowę i popatrzyła mi w oczy.

Pociągnąłem za gumkę na jej włosach. Kosmyki opadły na plecy.

Przeczesałem palcami długie pasma, na co Bonnie przysunęła się, całując moją skórę. Zacisnąłem usta, czując dotyk miękkich warg na brzuchu. Ponownie mnie pocałowała, tym razem w tatuaż, który zrobiłem, by uhonorować tatę. Patrzenie, jak całuje herb, który znaczył

tak wiele dla mężczyzny będącego moim przyjacielem, wywołał dziwną reakcję.

Zacisnąłem dłonie na jej włosach. Przyciągnąłem ją do swoich ust i pocałowałem. Miałem wrażenie, że nie znudziłoby mi się to, nawet

gdybym robił to cały dzień.

- Cromwell - szepnęła przy moich wargach. Odsunąłem się na tyle, żeby mogła mówić. - Potrzebuję cię - powiedziała, rozdzierając mi serce. - Bardzo.

- Czego chcesz? - zapytałem i powiodłem ustami po jej policzku.

Nie byłem w stanie się od niej oderwać. Musiałem jej dotykać.

- Kochaj się ze mną - poprosiła z zamkniętymi oczami.~ Pokaż, jak mogłoby być.

Na tę prośbę moje serce podwoiło swój rytm. Położyłem Bonnie i ponownie pocałowałem, a gdy to robiłem, rozpiąłem jej spodnie.

Oderwałem się od jej warg i zsunąłem materiał z jej nóg. Usiadłem i spojrzałem na nią. Jej sylwetkę w większości spowijała ciemność, ale potrafiłem sporo dostrzec. Była idealna. Każdy centymetr jej ciała był

perfekcyjny. Uświadomiłem sobie, jak bardzo sam tego pragnąłem. Jak jej potrzebowałem. Powoli powiodłem palcami po jej nogach. Bonnie oddychała pospiesznie i zaczęła wyginać plecy.

Dźwięk jej oddechu dotarł do moich uszu, a przed oczami zatańczyły mi karminowe kwadraty. Dotknąłem skóry pod jej bluzką.

Była blada i ciepła. Już nigdy nie chciałem zabrać stamtąd ręki.

Uniosłem materiał i odsłoniłem delikatną koszulkę na ramiączkach, którą miała pod spodem. Jej oddech był w moich uszach niczym melodia, struny pobudzające do ruchu. Mówiące, bym jej dotknął, poczuł, posmakował...

Zarumieniła się, a jej oczy stały się ciemniejsze, gdy zdejmowałem jej bluzkę przez głowę, jednocześnie obserwując. Zastanawiałem się, o czym myślała, ale kiedy na mnie popatrzyła, nie potrzebowałem słów.

Jej twarz podpowiedziała mi, że Bonnie też tego pragnęła. Złapałem za



haleczkę, uniosłem ją nieco, odsłaniając brzuch. Zamarłem, wpatrując się w kontrast, jaki tworzyły moje tatuaże na tle jej bladej skóry.

Nigdy nie widziałem niczego tak idealnego.

- Zostaw ją, proszę - powiedziała, przez co uniosłem wzrok.

Obciągnęła materiał. Pochyliłem głowę i pocałowałem ją w usta, by przegonić zmartwienie, które zagościło na chwilę w jej oczach. Nie wiedziałem, z czego wynikało, ale jeśli nie chciała się rozbierać, nie musiała. I tak była równie piękna.

Całowałem ją, lizałem jej wargi, czułem na skórze twarzy jej oddech, w nosie miałem waniliową woń jej szamponu. Powiodłem palcami po jej miękkim ramieniu. Poruszyła się, pokazując, jak bardzo jej się to podobało. Serce mi urosło. Nigdy wcześniej nie odczuwałem czegoś takiego w łóżku. Nigdy nie czułem tyle, co przy tej dziewczynie.

Wszystkie wcześniejsze nic dla mnie nie znaczyły. Ich twarze zlały się ze sobą. Nawet mój pierwszy raz, po pijanemu, był beznadziejny. Z

Bonnie było inaczej.

Spojrzała na mnie i pozostaliśmy wpatrzeni w siebie przez dłuższą chwilę. Wydawało mi się, że minęła cała wieczność, nim przesunęła palce do mojego rozporka. Na jej obliczu pojawiło się zdenerwowanie, brązowe oczy się rozszerzyły. Położyłem rękę na jej dłoni i przejąłem prowadzenie. Pochyliłem się, pocałowałem ją w policzek, czoło i w końcu w usta, kiedy zdejmowała mi jeansy.

Naciągnąłem kołdrę. Pomyślałem, że poczuje się pod nią lepiej.

Bonnie uśmiechnęła się do mnie, gdy położyłem się na niej, nakrywając jej ciało własnym. Popatrzyłem jej w oczy i pogłaskałem po policzku.

- Jesteś piękna. - Naprawdę taka była. Cholernie piękna.

Uroniła łzę.

- Ty też - powiedziała z uśmiechem. Przywarłem do jej warg. Kiedy to zrobiłem, przesunąłem ręką po jej talii, brzuchu i nogach. - Dotknij mnie - szepnęła.

Zamknąłem oczy, próbując złapać dech.

Za każdym razem, gdy się odzywała, w moim umyśle pojawiały się fioletowe wstęgi, dając mi poczucie spokoju, którego nie byłem w stanie opisać. W tle malowało się srebro. Barwa nie blakła, pozostawała tak jasna, jak w klubie.

Bonnie wyginała plecy, reagując na mój dotyk. Jęknęła, walcząc o oddech. Przyglądałem się jej twarzy w błękitnym świetle ekranu, próbując zapamiętać każdy jej dźwięk i ruch. pocałowałem ją w ramię, to samo, które smakowałem w sali muzycznej. Poczulem w ustach słodycz, do nosa dotarła brzoskwiniowo-waniliowa woń.

- Cromwell - szepnęła.

Sięgnąłem do szuflady po prezerwatywę. Zaraz byłem gotowy, a odziana jedynie w cieką koszulkę na ramiączkach Bonnie wyciągnęła do mnie rękę.

Umościłem się nad nią, odsunąłem włosy z jej twarzy.

- Jesteś pewna?

- Bardziej niż pewna.

Nie odrywałem od niej wzroku. Jej dłonie znajdowały się na moich plecach, trzymała się mnie mocno. Byłem tak delikatny, jak tylko umiałem. Nie chciałem jej skrzywdzić. Słyszałem echo własnego oddechu. Bonnie patrzyła mi w oczy. Nie opuściła powiek. Kiedy przyspieszyłem, jej oddech stał się płytki i pospieszny, ale ani na chwilę nie odwróciła wzroku.

A sposób, w jaki na mnie patrzyła...

Powoli i miękko przeczesła palcami moje włosy. Opuściłem głowę i

pocałowałem ją. Ucałowałem jej usta i policzki. Pocałowałem każdy centymetr jej twarzy. Gdy uniosłem głowę, zobaczyłem, że z jej oczu płynęły łzy. Zmartwiłem się, że sprawiłem jej ból, ale Bonnie położyła mi rękę na policzku.

- Nie przestawaj, proszę - wychrypiała przez ściśnięte gardło.

Poruszałem się więc dalej, zaciskając zęby, ponieważ było to cudowne. Nie chodziło jednak o sam seks, ale o to, że to ona leżała pode mną i patrzyła na mnie z drżącymi wargami i wilgocią w tych jej brązowych oczach.

Pragnąc mnie.

Potrzebując.

Była moim srebrem.

- Cromwell - mruknęła, mocniej ściskając mnie rękami.

Przyspieszyłem, dotykając jej ciepłego ciała. Widziałem, że otworzyła usta. Nie mogłem oderwać od niej wzroku, kiedy odchyliła głowę i zamknęła oczy.

Mocno mnie trzymała. Gdy odzyskała dech, obróciła głowę i pocałowała mnie w przedramię. Znieruchomiałem, kiedy dołączyłem do niej, a pod moimi powiekami wybuchły wielokolorowe fajerwerki. Było to niczym oprawa świetlna w punkcie kulminacyjnym symfonii, a moja dusza, która zaznała spokoju, cicho nucila ze szczęścia. Zwalniając, wtuliłem się w szyję Bonnie i wziąłem głęboki wdech.

Leżąc w ciemności, wdychałem zapach brzoskwini i wanilii. Moja klatka piersiowa nie była tak mocno ściśnięta, jak zazwyczaj. Gniew, który zwykle wrzał we mnie niczym lawa w wulkanie, przygasł tak bardzo, że ledwie potrafiłem go wyczuć.

Oddychało mi się o wiele łatwiej.

Bonnie wodziła leniwie palcami po moich plecach. Jej ciało mnie

ogrzewało, a oddech, który wciąż łapała dość szybko, owiewał ucho.

W końcu uniosłem głowę i popatrzyłem jej w oczy. Jej tęczy błyśzczały, łzy nadal płynęły po policzkach. Otarłem je kciukami, po czym pocałowałem wilgotną skórę. Pogłaskała mnie delikatnie po twarzy. Jej dolna warga drżała, gdy szepnęła: - Dziękuję.

W odpowiedzi pocałowałem ją wolno i czule.

Objąłem ją i przyciągnąłem do siebie. Również mnie tuliła, poczułem łzy na ramieniu, ale nie zapytałem, dlaczego płakała. Nie była smutna.

Była poruszona.

Przekręciłem się na bok i ułożyłem twarzą do niej na poduszce.

- Masz najładniejsze oczy na świecie - powiedziała, wodząc palcem wokół mojego prawego oka. Uśmiechnęła się, rozsadzając tym moje serce. - Jesteś przystojny, Cromwell. Tak bardzo przystojny.

Wziąłem ją za rękę i pocałowałem każdy z palców. Przyglądała mi się. Wyczuwałem w niej smutek, którego nie potrafiłem wytłumaczyć.

Kiedy popłynęła kolejna łza, zapytałem:

- Dobrze się czujesz?

Uśmiechnęła się do mnie szczerze.

- Bardzo dobrze. - Zaczęła bawić się moimi palcami. - Nie sądziłam, że doczekam takiej chwili. - Uśmiechnęła się smętnie. - I to z kimś, kto zrozumie.

- Co takiego?

- Jak to jest urodzić się z melodią w sercu. - Przełknąłem ślinę, żołądek skurczył mi się na te słowa. Ścisnęła moją dłoń, na jej twarzy odmalował się niepokój.

- Że co?

Spojrzała na mnie, po czym wyznała tak cicho, że ledwie to usłyszałem:

- Widziałam cię. Kiedy byłeś młodszy.

Zmarszczyłem brwi.

- Nie rozumiem.

Pocałowała mój palec.

- Nauczycielka muzyki pokazała mi nagranie z twojego koncertu.

Dyrygowałeś orkiestrą, która grała twój utwór. Na gali BBC. -

Przełknąłem ślinę, serce ścisnęło się z zaskoczenia. - Później już o tobie nie zapomniałam. Wsłuchiwałam się w ciebie. - Podniosła się na łokciu i przeczesła mi włosy. - Ale zamilkłeś i zastanawiałam się, co się z tobą stało. Aż znów cię usłyszałam, ale klasyczne symfonie zniknęły, a pojawił się syntetyczny *dance*.

Chciałem jej odpowiedzieć, ale byłem zbyt zaskoczony tym, że widziała mnie, gdy występowałem jako dziecko.

- Z tego powodu przyszłaś mnie zobaczyć, kiedy byłaś w Anglii.

Przytaknęła.

- Chciałam zobaczyć cię na żywo.

Coś zakłuło w moim wnętrzu.

- Właśnie dlatego stwierdziłaś, że moja muzyka nie ma duszy.

Jej uśmiech zniknął.

-Wierzę, że muzyka powinna opowiadać jakąś historię, że nuty i

melodie mają nieść przesłanie. Ma zabrać cię w podróż do serca twórcy.

- Pocałowała mnie w usta. - Twoje dźwięki tamtej nocy... nie niosły dla mnie żadnej opowieści. Nie miały znaczenia. - Poczulem ucisk w klatce piersiowej, który zelżał, gdy powiedziała: - Ale już tak nie uważam.

Widziałam, jak tworzysz. Słyszałam to, co skomponowałeś. Ma duszę, Cromwell. Rzeczy, które grałeś na pianinie, były bardzo znaczące. Serce łąkało mi od ich przesłania. - Oczy znów zaczęły jej błyszczeć. - Nigdy nie wątp w swój talent. Wyraźnie go widać.

- To dzięki tobie - przyznałem, na co znieruchomiała. - Miałaś rację. Zagubiłem się. Moja muzyka... nie miała celu.

Nie było w niej historii. Były tylko barwy, które sprawiały, że niewiele czułem. - Chciałem wyznać dlaczego, ale wciąż nie potrafiłem tego z siebie wydusić. Potarłem palcami kosmyk jej włosów - Odkąd cię poznałem... czuję się inaczej. Moja muzyka jest inna. To ty wywołujesz tę różnicę, Farraday. -Parsknąłem śmiechem. Zamierzałem polecieć kiepskim, choć prawdziwym tekstem: - Zainspirowałaś mnie.

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Cromwell. - Pokręciła głową. - Nie mogę cię inspirować.

- Możesz i to robisz. - Położyłem sobie jej rękę na sercu. - Odkąd cię poznałem, muzyka, od której próbowałem się odciąć, nieustannie wypełnia moją głowę. Zagrałem, choć przez lata nie dotknąłem żadnego instrumentu.

Oparła głowę na mojej piersi i została w tej pozycji. Nie odezwała się więcej. Usłyszałem, jak wyrównał się jej oddech i wiedziałem, że zasnęła.

Nie spałem, aż słońce zaczęło wschodzić. Głaskałem ją po włosach i tuliłem. Znów poczułem skurcz w żołądku. Palce mrowiły, by tworzyć.

Zawsze tak było, gdy w moim życiu działo się coś przełomowego.

Zdawałem sobie sprawę, że właśnie taki był ten moment. Bonnie Farraday wdarła się do mojego życia niczym huragan.

Po raz pierwszy od lat zasnąłem z uśmiechem na ustach.

\*\*\*

Obudziłem się, słysząc krzątanie na korytarzu. Zamrugalem, przeganiając sen z oczu. Było chłodno. Spojrzałem w prawo, spodziewając się zastać tam Bonnie, ale jej nie było.

- Bonnie? — zawołałem.

Odpowiedziała mi cisza.

Usiadłem. Nie było jej ubrań. Serce mi się ścisnęło. Odrzuciłem kołdrę, zgarnąłem z podłogi jeansy i sweter, który nadal nią pachniał.

Gdzie się, u licha, podziała?

Natychmiast włożyłem buty i ruszyłem do drzwi. Owiął mnie chłodny wiatr, gdy zmierzałem do drugiego akademika. Nie miałem pojęcia, która była godzina, ale musiał być późny ranek lub wczesne przedpołudnie. Studenci już wstali, niektórzy jedli na skwerze, inni śmiali się i rozmawiali.

Kiedy dotarłem na miejsce, ktoś wychodził z budynku. Złapałem drzwi i przemierzyłem korytarz, aż znalazłem się pod jej pokojem. Gdy miałem zapukać, spostrzegłem, że drzwi nie były zamknięte do końca.

Otworzyłem je.

Podłoga usłana była pudłami. Wszystko spakowano. Łóżko pozbawiono pościeli, ściany dekoracji. Wszedłem i zobaczyłem Bonnie siedzącą na krześle przy biurku, wpatrzoną w stojące tuż obok pudełko.

Miała na sobie legginsy i długi sweter, wszystko czarne. Włosy upięła w kok. W dłoni trzymała notatnik.

Uniosła głowę, z jej twarzy odpłynął cały kolor. Milczała, patrząc mi w oczy.

Zdezorientowany zmarszczyłem brwi.

- Wyprowadzam się - przyznała, najwyraźniej czytając mi w myślach.

Stałem jak posąg, przymurowany do podłogi. Bonnie próbowała się uśmiechnąć, ale jej warga zaczęła drżeć, a do oczu napłynęły łzy.

- Nie miałam się w tobie zakochać - powiedziała cicho, łamiącym się głosem. Parsknęła śmiechem, ale nie było w tym wesołości. - Nie zgadzamy się w wielu aspektach i tak właśnie powinno pozostać. -

Założyła kosmyk za ucho. Serce galopowało mi szaleńczo, biło jakieś milion razy na minutę. - Ale usłyszałam, jak grałeś wtedy w sali muzycznej. Zobaczyłam, jak to na ciebie wpłynęło, jak cię zraniło. -

Pokręciła głową. - I coś się we mnie zmieniło... Coś, od czego nie zdołałam uciec.

Po jej policzku popłynęła łza. Przyglądałem się, jak wędrowała po jej skórze, aż skapnęła na pudło przy jej stopach.

- Próbowałam ci powiedzieć. Starłam się wyznać, że nie możemy być razem. To niesprawiedliwe. Nic w tej sytuacji nie jest fair.

- Nie rozumiem - stwierdziłem, odczuwając strach.

Patrzyła na mnie przez dłuższą, pełną napięcia chwilę.

- Mam popsute serce.



Byłem zdezorientowany i wkurzony. Lubiała kogoś innego? Przecież mnie całowała. Przespała się ze mną, a przez cały ten czas darzyła uczuciem innego?

- Ty i... Bryce? - zapytałem ostro i szorstko.

Pokręciła głową ze smutkiem. Podeszła i stanęła przede mną. Wzięła mnie za rękę, położyła ją sobie na mostku.

- Cromwell, mówię dosłownie. - Mokra od łez rzęsy pozostawiły ślady na jej policzkach, kiedy zamknęła oczy. - Cierpię na niewydolność mięśnia sercowego. - Posłała mi smutny, udręczony uśmiech. - Moje serce umiera.

Wydawało mi się, że w pokoju powiał silny wiatr. Uderzył w moją klatkę piersiową tak mocno, że poczułem się, jakby łamał mi żebra.

*Moje serce umiera.*

~ Nie - powiedziałem ochryple. - Nie... - Złapałem ją za dłoń i przyciągnąłem do siebie.

- Próbowałam wszystkiego. Przeszłam kilka operacji.

Wszczepienie zastawki. - Westchnęła, wypuszczając miarowo powietrze. Zastanawiałem się, czy to trochę ją uspokoiło. - W czasie wakacji byłam w Londynie i spotkałam się ze światowej sławy specjalistami, by dowiedzieć się, czy można coś jeszcze zrobić.

Zrozumiałem nagle, po co była latem w Wielkiej Brytanii.

- Bonnie...

- Ale nic już mi nie pomoże. Moje serce jest zbyt słabe, by sobie poradziło. - Pociągnęła nosem i wolną ręką otarła mokre policzki. - Nie planowałam się do ciebie zbliżyć. - Położyła zimną, drżącą dłoń na mojej twarzy. - Wiedziałam, że nie powinnam tego robić. To nie byłoby w porządku wobec żadnego z nas. - Uśmiechnęła się smutnym, pełnym goryczy uśmiechem. - Ale zobaczyłam cię dzięki twojej muzyce. To ona

mnie do siebie ściągnęła. Do chłopaka, który słyszy barwy.

Przytuliła twarz do mojej piersi.

- Przepraszam. Powinnam mieć siłę, by odejść. Ale od ciebie... po prostu nie mogłam.

Nagle się zachwiała. Złapałem ją i zaprowadziłem do fotela.

- Dobrze się czujesz? - zapytałem głupio. Oczywiście, że nie czuła się dobrze.

Umierało jej serce.

- Mój stan szybko się pogarsza. - Spojrzała na pudła na podłodze.

Studenckie życie spakowane do kartonu. - Wiedzieliśmy o takiej możliwości, ale nie sądziłam, że choroba będzie tak szybko postępować.

Coraz trudniej mi oddychać. Kończyny są coraz słabsze. - Kiedy popatrzyła na mnie, zobaczyłem ból w jej oczach. - Wkrótce nie zdołam już grać czy śpiewać. - Skrzywiła się.

Padłem na kolana i przytuliłem się do niej.

- Nie będę mogła śpiewać, Cromwell. - Odsunęła się i powiedziała:  
- Muszę przenieść się do domu. Nie będę w stanie mieszkać tu samodzielnie. - Wciągnęła powietrze. - A potem czeka mnie szpital.

- Nie. - Pokręciłem głową. - Musi być jakieś wyjście.

Pogłaskała mnie po włosach. Stało się to moją ulubioną pieszczotą.

- Jestem na liście kandydatów do przeszczepu. Tylko to pozostaje.

W tej chwili nie jestem jednak na jej szczycie. -W jej oczach pojawiła się mocna determinacja. - Ale jestem przekonana, że dostanę nowe serce.

Walczę od lat i nie zamierzam się teraz poddać. - Wzięła mnie za rękę i

ścisnęła. Drżała jej dolna warga. — Nie chcę umierać, Cromwell. Mam jeszcze po co żyć.

Nie mogłem oddychać, gdy te słowa wymknęły się z jej ust.

Poczułem napływającą do oczu wilgoć, więc opuściłem powieki, próbując pozbyć się łez. Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że Bonnie wpatrywała się we mnie uważnie.

- Przez całe swoje istnienie nie osiągnęłabym nawet ułamka tego, co masz ty dzięki swojemu talentowi. Właśnie dlatego byłem dla ciebie niemila. Ponieważ masz wielki dar. - Spuściła wzrok. - I mogłabym całe życie czekać na chłopaka, który traktowałby mnie tak, jak ty ostatnio. -

Przełknęła ślinę. - Ostatnia noc... była dla mnie spełnieniem wszystkich marzeń.

- Bonnie - szepnąłem.

- Ale nie możesz ze mną być.

Pokręciłem głową.

- Ciii... - powiedziała. - Nie powinnam była dopuścić, by zabrnęło to aż tak daleko, ale moje słabe serce połączyło się z twoim i przekonałam się, jak to jest. Jak to jest być z tobą - Ponownie pociągnęła nosem, z oczu popłynęły łzy. - Sprawileś, że poczułam się wielbiona.

Musiałem wstać. Zabrać ją ze sobą i pozostawić to wszystko za nami.

Ale nie mogliśmy uciec od problemu, który sprawiał, że Bonnie umierała.

- Przykro mi. - Objęła moją twarz i pocałowała. - Bardzo mi przykro, Cromwell.

- Nie - spierałem się, kręcąc głową. — Nie.

- Przepraszam. Ale nie mogę ci tego zrobić. - Wstała, podpierając się o fotel. Zakręciło mi się w głowie, gdy pomyślałem o tym, jak się ostatnio zachowywała. O wolnych krokach, zadyszce, cieniach pod oczami i zmęczeniu. O koszulce, której nie chciała wczoraj zdjąć. Jeśli miała już operacje... Jej dekolt musiał być w bliznach.

- Nigdzie się nie wybieram - stwierdziłem.

- Cromwell, proszę. Odpuść. - Zaciśnęła palce na oparciu fotela. -

Muszę walczyć. Ale jeśli przegram... Jeśli walka dobiegnie końca, nim będę miała szansę spróbować... - Pokręciła głową. - Nie mogłabym ci tego zrobić. Nie potrafiłabym cię tak skrzywdzić.

- Bonnie...

Przerwały mi czyjeś kroki. Do pokoju weszła kobieta o brązowych włosach i oczach jak Bonnie. Zaskoczył ją mój widok.

- O, przepraszam. Nie wiedziałam, że masz towarzystwo.

- Cromwell właśnie wychodzi, mamó. - Głos Bonnie nadal był pełen smutku.

-Bonnie...

Przysunęła się i pocałowała mnie w policzek.

- Dziękuję - powiedziała i usiadła w fotelu.

W głowie miałem chaos.

- Nie - kłóciłem się.

- Proszę - nalegała, niemal szlochając. Chciałem się do niej zbliżyć, ale powstrzymała mnie położona na plecach dłoń. Obróciłem się do jej mamy.

- Proszę, chłopcze - powiedziała. Jej akcent był silny jak u córki.

Nie chciałem zostawiać Bonnie ani wychodzić. Ale nie mogłem również oglądać jej łez. Wyszedłem z kobietą na korytarz. Sfrustrowany przeczesalem palcami włosy. W mojej głowie jedna myśl goniła drugą.

Bonnie... umierała. Miała niewydolność mięśnia sercowego... mogła mieć przeszczep...

Nie potrafiłem tego zrozumieć. Nie chciałem...

Mama Bonnie przyglądała mi się uważnie. Jej oczy również błyszczały.

- Daj jej szansę powrotu do domu. Pozwól, by miała czas na przystosowanie się do nowej sytuacji. To wszystko wywiera na nią mocny wpływ.

Wpatrywałem się w nią, zastanawiając, jak, u diabła, mogła być tak spokojna, ale kiedy zobaczyłem, jak drżał jej podbródek, uświadomiłem sobie, że taka nie była. Po prostu dobrze się z tym kryła.

- Proszę - powiedziała. - Chcemy, żeby było to dla niej jak najmniej stresujące. - Na jej twarzy pojawił się grymas. - Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by pomóc jej walczyć.

Spojrzałem na drzwi. Odwróciłem się i skierowałem do wyjścia z budynku. W głowie mi huczało, umysł próbował przetworzyć informacje. Przecież to nie mogła być prawda.

Nie teraz, gdy była moja.

Nie teraz, kiedy się na nią otworzyłem.

Wypadłem na zewnątrz, a chłód owiał moją twarz. Zatrzymałem się gwałtownie i zacisnąłem powieki. Nie potrafiłem pojąć, co się właśnie stało.

Otworzyłem oczy i spojrzałem na skwer. Na roześmianych, żartujących, beztroskich studentów.

Miałem ochotę wrzeszczeć.

Spojrzałem na budynek, w którym znajdowała się Bonnie. Musiałem coś zrobić. Złapałem się za włosy. Podobnie jak zawsze, gdy o niej myślałem, w mojej głowie pojawiła się muzyka. Tańczyły nuty, a wszystko to na widok jej ślicznej twarzy.

Puściłem się biegiem.

Nie wiedziałem, co począć.

Chciała, bym odszedł...

...ale nie byłem pewien, czy zdołam ją zostawić.

## **ROZDZIAŁ 16**

### *BONNIE*

- Bonnie? - Mama otworzyła drzwi do mojego pokoju. W chwili, w której ją zobaczyłam, załamalam się. Łzy pociekły strumieniami.

Drżałam, przypominając sobie wyraz twarzy Cromwella, gdy wyznałam mu prawdę o sobie. Jego czystą rozpacz.

I to, że nie chciał wyjść... że chciał przy mnie zostać...

Mama mnie objęła. Wtuliłam się w nią i płakałam jak nigdy wcześniej. Głaskała mnie po plecach, pozwalając na ten smutek.

Pomagając przegnać ból. Szlochałam, aż skończyły mi się łzy. Gardło się ścisnęło, pierś bolała. Mama uniosła moją głowę i popatrzyła mi w oczy.

Płakała wraz ze mną.

- Kochanie - szepnęła. Pogłaskała mnie po policzku. - Nie wiedziałam, że go lubisz. - Skinęłam głową, spoglądając przez okno. Za szybą studenci beztrąsko żyli rutyną, nie odczuwając bólu z powodu zranienia osoby, na której zaczęło im zależeć. Po wyjściu Cromwella w moim pokoju zapanowała pustka.

- To niesprawiedliwe. - Westchnęłam, czując trzepotanie w piersi.

To zjawisko już mnie nie dziwiło. Stało się częścią mojej egzystencji. -

Dlaczego Bóg postawił go na mojej drodze teraz, gdy jest za późno?

Kiedy mogę nie dać rady? - Spojrzałam na mamę. - Dlaczego miałyby być tak okrutny?

Mama usiadła na skraju łóżka.

- Może pojawił się w twoim życiu, by ci pomóc. Myślałaś o tym w ten sposób? Może został ci zesłany w momencie, w którym najbardziej potrzebujesz wsparcia.

Gdyby moje serce mogło galopować, zrobiłoby to właśnie teraz.

Pokręciłam jednak głową.

- Mamo... - Czułam pustkę. - Co, jeśli nie znajdą dla mnie serca? -

Widziałam, że wzdrygnęła się na tę myśl. Najgorzej było obserwować reakcje bliskich na moją chorobę. Widok ich załamania był torturą.

Teraz do tego grona dołączył Cromwell. - Co, jeśli dopuszczę go do siebie całkowicie, a potem mi się nie uda? Jak mogłabym mu zrobić coś takiego? Jak mogłabym go tak skrzywdzić?

Mama trzymała mnie za rękę.

- Nie uważasz, że to powinien być jego wybór, kochanie? I tak masz ciężko. Nie obarczaj się kolejną decyzją.

Wyobraziłam sobie, jak się przed nim otwieram. Pomyślałam o czekających mnie tygodniach, miesiącach i walce - nie w samotności, a z nim u boku.

Światło rozgoniło dławiący mnie strach.

- Zaraz będzie tu tata, kochanie. Pozbierajmy twoje rzeczy i jedźmy do domu.

Odoczywałam na łóżku, gdy rodzice nosili pudła. Mama czekała w samochodzie, kiedy zamykałam pokój. Tata już pojechał moim autem.

- Zadzwoń do Eastona - powiedziała. Westchnęłam. Ścisnęła moją dłoń. - Musimy mu powiedzieć, Bonnie. Nie możemy dłużej tego ukrywać.

Potałam mostek.

- Chyba nie dam rady... Złamię mu serce.

Mama milczała, ponieważ też o tym wiedziała, ale brat musiał się dowiedzieć, dlaczego wyjechała z kampusu.

Gdy zatrzymałyśmy się na naszym podejździe, spojrzałam na biały budynek i ganek. Mama ponownie ścisnęła moją rękę.

- Dobrze się czujesz, Bonnie?

-Tak. - Wysiadłam i podeszłam do drzwi. Zamierzałam wejść na górę, ale mama położyła mi dłoń na ramieniu. - Przerobiliśmy dla ciebie gabinet, kochanie. - Pokręciłam głową, ale przypominałam sobie o co chodziło. Schody stanowiły coraz większy problem. Kiedy mi się pogorszy, w domu będzie musiał znaleźć się specjalistyczny sprzęt.



Musiał być do mnie łatwy dostęp.

Mama poprowadziła mnie do pomieszczenia, które niegdyś było biurem ojca. Uśmiechnęłam się na widok stojącego w kącie pianina elektronicznego. Zauważyłam również fioletowe ściany i chodniczek w tym samym odcieniu przy łóżku. Natychmiast podeszłam do instrumentu i zajęłam przed nim miejsce.

Uniosłam pokrywę klawiszy i zaczęłam grać. Gdy tylko muzyka wypełniła pokój, zeszło ze mnie całe napięcie. Zagrałam to, co dyktowało mi serce, początkowo nie zdając sobie nawet sprawy, jaki to utwór. Moje palce były niezdarne, stały się coraz mniej zwinne, ale nie przestawałam grać. Nie zamierzałam się poddać, aż nie będę miała wyboru.

Uśmiechnęłam się, kiedy wybrzmiała ostatnia nuta. Otworzyłam oczy i zauważyłam stojącą w drzwiach mamę.

- Co to było? Piękne.

Poczułam, że się zarumieniłam.

- To coś, co napisał Cromwell. - Zapamiętałam kilka taktów, które zapisał w kawiarni. Stały się moim nowym ulubionym utworem.

- Cromwell to skomponował?

- Jest geniuszem, mamó. I nie przesadzam. Potrafi zagrać na każdym instrumencie. Właśnie dlatego znalazł się w Jefferson. Lewis go zaprosił i przyznał stypendium. Cromwell jest cudownym dzieckiem.

Niektórzy uważają go nawet za współczesnego Mozarta.

- Teraz rozumiem. - Usiadła obok mnie.

- Co?

- Dlaczego się w nim zakochałaś. - Wzięła mnie pod rękę. -

Kochasz muzykę. Zawsze wiedziałam, że znajdziesz sobie kogoś, kto podziela twoje uwielbienie.

Uśmiechnęłam się na krótką chwilę.

- Jest też załamany, mamo. Ma tak wielki talent, ale nie chce już grać ani komponować. Coś go przed tym powstrzymuje.

- Może powinnaś więc pomóc mu odnaleźć tę straconą miłość.

Westchnęłam.

- Nie wierzę, że mnie ku niemu popychasz. - Pomyślałam o jego tatuażach, kolczykach oraz stale ponurej postawie. - Nie jest typowym chłopakiem z sąsiedztwa, którego chciałaby matka dla swojej córki.

- Nie, nie jest. - Szturchnęła mnie ramieniem. - Ale sposób, w jaki o ciebie walczył, powiedział mi wszystko, co musiałam wiedzieć.

Przeszkody sprawiają czasem, że patrzysz na życie z innej perspektywy.

- I co z tego wywnioskowałaś?

- Ze również się w tobie zakochał.

Patrząc na mamę, pokręciłam głową.

- Nie jestem pewna, czy to prawda. Potrafi być zimny i chamski, czasami wręcz okrutny... — Ale przypominałam sobie jak tulił mnie w nocy. Jaki był czuły. Jak dopytywał si o moje samopoczucie. I zaczęłam się zastanawiać...

- A pomimo to zakochałaś się w nim. - Mama wstała, pocałowała mnie w czoło i zostawiła przy pianinie. - Tata przyniesie tu twoje rzeczy.

- Dobrze - odparłam mechanicznie.

- Bonnie? - zawołała, więc uniosłam wzrok. - Chcesz, żebym powiedziała Eastonowi?

Sparaliżował mnie strach, ale pokręciłam głową, wiedząc, że musiało to wyjść z moich ust.

- Ja mu powiem - odparłam, pozwalając, by przygniótł mnie ciężar tej decyzji. Reakcji brata obawiałam się bardziej niż niewydolności własnego serca.

\*\*\*

- Bonn? - Easton wszedł do gabinetu, który stał się moim pokojem.

Na jego twarzy malowała się dezorientacja. Zobaczył przy łóżku moje pianino, pomalowane na fioletowo ściany, dywanik. Zamarł. Wciąż miał na sobie to, w czym wyszedł wczoraj do klubu. Musiał przyjechać tu prosto z Charleston.

- Co się dzieje?

Po jego minie wnioskowałam, że zaczął się domyślać.

- Chodź i usiądź. - Poklepałam łóżko.

- Nie - rzucił ostrym głosem. Zaczął głębiej oddychać. -Po prostu mi powiedz, Bonn. Proszę... - Strach w jego głosie niemal mnie zniszczył.

Wpatrywałam się w niego. Patrzyłam na jego długie jasne włosy i jasnoniebieskie oczy.

- Nie pojechałam w wakacje do Anglii na seminarium muzyczne, East. - Słuchał, stojąc nieruchomo. - Byłam tam, żeby spotkać się ze

specjalistami z zakresu kardiologii. - Oddychał szybko. Musiałam natychmiast wszystko mu wyznać. - Nie można już niczego zrobić. -

Odetchnęłam, pilnując, by się nie załamać. - Mam niewydolność mięśnia sercowego.

Mijała sekunda za sekundą, a twarz Eastona zaczęła wykrzywiać się z bólu.

- Nie - powiedział.

- Jestem kandydatką do przeszczepu, ale musiałam wrócić do domu. Czuję się coraz słabsza. Szybko mi się pogarsza, więc logiczne jest, bym przeprowadziła się tutaj, gdzie będę bezpieczna. - Nie dodałam, że grozi mi masa powikłań. Brat wiedział o nich równie dobrze jak ja. Oboje byliśmy zbyt przerażeni, żeby o nich mówić.

- Jak długo? - zapytał ochryplym, pełnym emocji głosem.

- Nie wiem. Lekarze nie są w stanie określić precyzyjnie, ale...

- Jak długo? - powtórzył. Zaczął panikować.

- Może trzy miesiące. Co najmniej dwa, a cztery, jeśli będę miała szczęście. Chociaż może się to stać szybciej. - Wstałam. Easton został

na miejscu, nieruchomy jak posąg. Podeszłam do bliźniaka, który był

również moim najlepszym przyjacielem, i złapałam go za ramiona. - Ale mogą znaleźć dla mnie serce, East. Musimy się modlić, by jakieś się znalazło.

Brat wpatrywał się we mnie pustym wzrokiem.

- East. - Próbowałam objąć jego twarz, ale się cofnął, aż wyszedł z mojego pokoju. Próbowałam go dogonić, był jednak za szybki. Wypadł przez drzwi wejściowe i wskoczył za kierownicę swojego pickupa.

- East - próbowałam go zawołać, gdy wyjeżdżał z podjazdu, a opony zachręściły na żwirze, ale byłam za bardzo zmęczona. Stanęła

za mną mama. Na twarzy miała wypisane zmartwienie, ale nic do niej nie powiedziałam. Byłam wykończona.

Bez względu na to, ile ostatnio spałam, moje ciało nie potrafiło się zregenerować. A po wczorajszym wieczorze, aktywności z Cromwellem i wyznaniu prawdy dwóm osobom, byłam wyczerpana.

Wróciłam do siebie, nakryłam się kołdrą i położyłam głowę na poduszce. Zamknęłam oczy, blokując świat zewnętrzny, pragnąc zasnąć.

Nie zdziwiłam się, kiedy w myślach zobaczyłam twarz Cromwella.

Usłyszałam też, jak mówił, że nie chciał mnie zostawić.

Uśmiechnęłam się, bo choć modliłam się o siłę na nadchodzące zmagania, wiedziałam, że z nim u boku nie byłabym tym wszystkim przytłoczona aż do tego stopnia.

Gdy trzymał mnie za rękę, czułam się jak we śnie. Tak samo było, kiedy jego miękkie usta dotykały moich i gdy słyszałam perfekcyjną muzykę wygrywaną na pianinie. W tak krótkim czasie wspomnienia z jego udziałem stały się najdroższe mojemu słabemu sercu.

I to właśnie one, a także ulotne wrażenie jego warg na moich, miały pobudzić mnie do zacieklejszej walki.

## **ROZDZIAŁ 17**

*CROMWELL*

Dobijałem się do drzwi gabinetu Lewisa, kołysząc się na piętach.

Przez moje ciało przepływała adrenalina. W ogóle nie spałem. Miałem ochotę napisać do Bonnie lub zadzwonić do niej, by usłyszeć jej głos, ale dałem sobie spokój. Pragnąłem jej i wiedziałem, że ona to odwzajemniała, ale musiałem sprawić, żeby poczuła, że mnie chce. Gdy leżałem, gapiąc się w sufit, zrozumiałem, że jej nie zostawię.

Od zawsze byłem samolubnym gnojkiem. Tym razem jednak nie chodziło już tylko o mnie. Bonnie mnie potrzebowała. Wiedziałem o tym. Słyszałem to w jej głosie, widziałem na twarzy.

Dobijałem się jeszcze głośniej.

- Profesorze!

Byłem strasznie niewyspany. Easton nie wrócił na noc. Przez cały czas naszej znajomości słówkiem nie pisał na temat zdrowia siostry, ale ostrzegł mnie kilka tygodni wcześniej, bym jej nie skrzywdził, co teraz miało sens. Założyłem, że pojechał do domu, by ją wspierać. Przez rozbudzoną tym zazdrość nie mogłem jasno myśleć.

Też powinienem przy niej być.

Musiałem. Powiedziały mi o tym wbijające się w serce szpony.

Nie mogłem pozwolić, żeby przechodziła przez coś takiego sama, ponieważ musiała przetrwać. Nie było innej możliwości.

- Profesorze! - Kopnąłem ze złością w drzwi.

- Nie sprawi to, że wcześniej się zjawię, panie Dean. - Odwróciłem się i zobaczyłem nadchodzącego z aktówką Lewisa.

- Muszę z panem porozmawiać. - Odsunąłem się na bok, kiedy otwierał drzwi, ale zaraz potem przepchnąłem się obok niego, by wejść.

Lewis wszedł za mną i zamknął je, gdy chodziłem w kółko po jego gabinecie. Usiadł na skraju biurka, położył obok siebie aktówkę. - Musi

mnie pan ponownie zapisać do pary z Bonnie.

Lewis uniósł brwi.

- Nie jestem pewien, czy coś z tego będzie, Cromwell.

- Proszę przestać! - warknąłem. - Proszę mi oszczędzić tej profesorskiej gadaniny. - Stałem przed nim. Gniew i desperacja, które we mnie pulsowały, zbladły. - Jest chora. - Lewis się nie odezwał, ale na jego twarzy pojawiło się współczucie. I zrozumienie. - Wiedział pan - syknąłem przez zęby. Przytaknął. - Od jak dawna?

- Dowiedziałem się kilka tygodni temu.

Opadłem na krzesło naprzeciw jego biurka.

- To dlatego nie chciała ze mną pracować?

- To już musi ci powiedzieć sama Bonnie.

Krew odpłynęła mi z twarzy.

- Ponieważ źle ją traktowałem. Nie pomagałem przy komponowaniu. .. Miała świadomość, że kończy jej się czas, a ja... ja... -

Pokręciłem głową i wcisnąłem dłonie w oczy. - Nie - jęknąłem.

Lewis podszedł do stojącego w kącie ekspresu do kawy.

- Chcesz? - zapytał.

Patrzyłem na niego i niemal zaprzeczyłem, ale uświadomiłem sobie, że nie musiałem nigdzie iść i nie miałem z kim porozmawiać.

- Tak. Poproszę czarną, bez cukru.

Lewis zajął się przygotowaniem napoju, a ja wpatrywałem się w zdjęcia i obrazy. Spojrzałem na ten, który kojarzył mi się z synestezją.

- Podobała jej się wystawa - stwierdziłem.

Profesor obrócił się do mnie z uśmiechem.

-Tak?

- Wszystko ją fascynowało. - Przypomniałem sobie, jak siedziała ze mną na krześle i śpiewała, kiedy grałem na jej gitarze. - Kocha muzykę, kropka. Myśli tylko o tym, by być najlepszą.

- A ty? - zapytał, stawiając przede mną kawę. Zajął swoje miejsce za biurkiem.

Wpatrywałem się w zdjęcie, które za każdym razem przyciągało moją uwagę. To, na którym Lewis stał w Royal Albert Hall.

- Nie miałem świadomości, że ja również ją kochałem. - Pokręciłem głową. - Nie kochałem. To kłamstwo. - Nie zamierzałem tego wyjaśniać.

Nie byłem gotowy, żeby myśleć o powodach, dla których porzuciłem muzykę klasyczną. Ledwie mogłem wytrzymać ciężar tego, co wyznała mi Bonnie.

Lewis się przysunął, położył ręce na biurku.

- Wybacz wścibstwo, ale wydaje mi się, że ostatnio zbliżyliście się z panną Farraday.

Wpatrywałem się w swoją kawę.

-Tak.

Lewis westchnął.

- Przykro mi, Cromwell. Musi ci być ciężko. Zbliżyć się z kimś, a potem... coś takiego...

- Nie tak ciężko jak jej.



- Nie - odparł. - Masz rację.

- Zależy jej na tym, by zaliczyć pańskie zajęcia. - Spojrzałem na niego. - Bardzo chce pod koniec roku przedstawić gotowy utwór.

Profesor skinął głową. Zdałem sobie sprawę z pełnej powagi sytuacji, w jakiej znalazła się Bonnie. Uderzyło to we mnie tak mocno, że niemal spadłem z krzesła.

- Nie uda jej się, prawda? - Poczułem ucisk w gardle, wydawało mi się, że coś mnie dusi. Wpatrywałem się w swoje dłonie. - Sprawdzałem to. Wszyscy mówią, by nie szukać informacji w sieci, ale ja to zrobiłem.

- Przełknąłem wielką gulę. - Będzie miała problemy z chodzeniem, aż zostanie przykuta do łóżka. Używanie kończyn stanie się bolesne, bo będą opuchnięte. - Potarłem tors, a gdy się odezwałem, mój głos był ochrypły. - Będzie jej trudno oddychać, jej płuca będą coraz słabsze.

Wątroba i nerki przestaną działać. - Zacisnąłem powieki, oddychając pospiesznie, walcząc o zachowanie spokoju. Próbowałem wyobrazić sobie Bonnie w takim stanie, leżącą w szpitalnym łóżku. Jej duch nadal byłby silny, ale ciało słabłoby z dnia na dzień, z czym nie mógłbym się z tym, kurwa, pogodzić.

- I chcesz jej pomóc?

Popatrzyłem profesorowi w oczy.

- Chcę dać jej muzykę. Muszę to zrobić. - Postukałem się w skroń.

- Już się tu tworzy, jakby serce wiedziało, co musi dla niej zrobić. Chcę dać jej to, czego potrzebuje do walki -nadzieję. - Byłem zdenerwowany, nie potrafiłem usiedzieć na miejscu. Zacząłem chodzić tam i z powrotem przed biurkiem. - Ciągłe słyszę melodię. Słyszę różne sekcje -

smyczkową, dętą, blaszaną - grające tę samą muzykę, wytyczające barwne ścieżki, naciskające na mój umysł. Muszę wyrzucić je z głowy.

Lewis przyglądał mi się, kawa stała zapomniana na blacie.

- Wiem, jak to jest.

- Naprawdę?

Wskazał na zdjęcie, na którym dyrygował.

- Mój najbardziej rozślawiony utwór zrodził się, kiedy straciłem kogoś bliskiego. Zostałem okradziony z życia, które powinno być moje.

- Podeszedł do zdjęcia i zapatrzył się na siebie samego. - Przez moją głupotę odeszła najukochańsza osoba. Została mi tylko niecichnąca muzyka. Musiałem pisać. Nuty i melodie nawiedzały mnie, póki tego nie zrobiłem. - Parsknął śmiechem. - A gdy ukończyłem utwór i przedstawiłem go światu, symfonia ta prześladowała mnie przez resztę życia. Wciąż to robi. - Przeczesał włosy palcami. - Nawet teraz, po tylu latach, nie potrafię jej zagrać. Przypomina mi o tym, co mogłem mieć, kogo mogłem kochać i jaki żywot mogłem wieść, gdybym wszystkiego nie spieprzył. - Stał obok mnie i ostrożnie położył mi rękę na ramieniu. - Jeśli ona aż tyle dla ciebie znaczy, nie odsuwaj się od niej, Cromwell. Bonnie potrzebuje cię teraz bardziej niż kiedykolwiek. -

Spojrzał pustym wzrokiem na ścianę. - To może być coś wyjątkowego, co tylko ty będziesz jej w stanie dać. Muzyka potrafi leczyć i nieść ukojenie. Jeżeli zależy ci na tej dziewczynie tak bardzo, jak podejrzewam, dzięki swojemu talentowi możesz sprawić, by ten czas był dla niej wspólny. I nie mogę tego powiedzieć o nikim innym. -

Spojrzał na zegar. - Mamy zajęcia, panie Dean.

Wstałem i udałem się do drzwi.

- Dzięki.

Profesor posłał mi sztywny uśmiech.

- Jestem, gdybyś mnie potrzebował.

Poszedłem do sali, ale zatrzymałem się w drzwiach do niej. Bonnie siedziała na swoim miejscu, trzymając zeszyt. Wpatrywałem się w nią, spijając ten widok. Nie przejmowałem się tym, kto mógł mnie zobaczyć.

Jak zawsze miała na sobie jeansy, ale tym razem założyła różowy sweter, a włosy upięła w luźny kok. W tej chwili nie sądziłem, bym widział w życiu piękniejszą osobę.

Z zamyślenia wyrwało mnie chrząknięcie profesora, który stał za mną. Odetchnąłem głęboko i wszedłem do sali. Bonnie uniosła głowę i pobladła. Przyglądała mi się, kiedy przemierzałem schody. Jej oczy błyszczały. Wiedziałem, że martwiła się moim zachowaniem. Na jej obliczu widziałem wyrzuty sumienia, a w sylwetce napięcie.

Zatrzymałem się przy niej. Nie przejmując się innymi studentami, pochyliłem się i pocałowałem ją w usta. Bonnie nie próbowała nawet się odsunąć. Przywarła do mnie, jakby wiedziała, gdzie było jej miejsce.

Przerwałem pocałunek i zająłem miejsce obok, po czym położyłem sobie jej dłoń na kolanie. Siedziałem zwrócony twarzą do Lewisa, na przodzie sali. Nim profesor odwrócił się i zapisał coś na tablicy, na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech. Spojrzałem na Bonnie, na jej czerwone policzki. Wszyscy wokół szeptali i zerkali na nas.

Mogli się gapić do woli.

Bonnie pochyliła głowę, zerkając na mnie kątem oka.

- Farraday - powiedziałem.

Łzy napłynęły jej do oczu. Widok ten stał się łomem dla mojego serca, które rozbiła, szepcząc:

- Dean.

Chwyciłem ją mocno za rękę, gdy Lewis rozpoczął wykład. Nie puściłem jej przez całe zajęcia. Nie notowałem, miałem to gdzieś.

Tulenie Bonnie było w tej chwili o wiele ważniejsze.

\*\*\*

Po zajęciach puściłem Bonnie tylko na tyle, by pozbierała swoje rzeczy. Wziąłem ją ponownie za rękę i poprowadziłem powoli po schodach i na korytarz. Poszła za mną na zewnątrz i do budynku wydziału muzycznego.

Zachwiała się, więc przytrzymałem ją mocniej. Ponieważ wiedziałem już, co jej dolega, zacząłem zauważać rzeczy, na które wcześniej nie zwracałem uwagi. Poruszała się z trudem, jej kroki brzmiały w moich uszach niczym bębny. Oddychała szybko i nieregularnie, co nie współgrało z tym, jak promieniała.

Dźwięki te tworzyły w mojej głowie ciemne barwy. Nie chciałem oglądać tych kolorów, zwłaszcza w jej przypadku.

Wszedłem do sali muzycznej, posadziłem Bonnie na krześle i pocałowałem w usta. Przyciągnąłem sobie ławeczkę od pianina i usiadłem naprzeciw niej.

Wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami. Denerwowała się. Widziałem to, ponieważ bawiła się palcami.

Nie potrafiłem oderwać od niej wzroku. Było tak, odkąd dowiedziałem się o jej chorobie. Nie mogłem napatrzeć się na jej piękno. Musiałem wpatrywać się w nią dłużej, niż mi się zdawało, ponieważ założyła luźny kosmyk włosów za ucho i szepnęła: - Cromwell.

Zamrugalem, wyrwany z zamyślenia. Na twarzy Bonnie gościło zmartwienie. Wziąłem ją za rękę. Spojrzała na nasze splecione palce.

- Będziemy razem pracować - powiedziałem, na co uniosła głowę. -

Nad utworem dla Lewisa.

- Cromwell. — Pokręciła ze smutkiem głową.

Wolną ręką potarłem udo.

- Znów chcę grać. - Zamknąłem oczy, a pod powiekami zobaczyłem wybuchające życiem barwy, które stawały się coraz jaśniejsze, kiedy pozwoliłem sobie zrozumieć, że była to prawda.

Bonnie ścisnęła moją dłoń. Otworzyłem oczy. - To dzięki tobie.

- Mnie?

Uklęknąłem na podłodze, by być z nią na równi. Objąłem jej twarz i uśmiechnąłem się nieco.

- Swoimi pytaniami i wytrwałością sprawiłaś, że stawiałem czoła rzeczom, z którymi nie chciałem się mierzyć. Naciskałaś na mnie i nie byłem w stanie dłużej od nich uciekać. Naciskałaś, aż znalazłem się tutaj, w tej sali, i wziąłem do rąk instrumenty, których nie tykałem od trzech lat. - Pocałowałem ją w czoło. - Walczyłem z tym. Z tobą. Kiedy jednak wtedy w kawiarni usłyszałem, jak śpiewasz, gdy byłaś tylko ty, twój głos i gitara akustyczna, w końcu zrozumiałem, jak jesteśmy do siebie podobni. Kochasz muzykę tak bardzo jak ja, ale, w przeciwieństwie do mnie, nie bałaś się pokazać tego światu. - Żołądek mi się skurczył. - Teraz, gdy wiem o... wszystkim... moja potrzeba gry jest... większa.

Bonnie pokręciła głową, gotowa się spierać. Przerwałem jej, nim wydobyła z siebie głos.

- Sprawiałaś, że ponownie zapragnąłem tworzyć muzykę, Farraday.

Pozwól mi robić to z tobą.

Spuściła wzrok.

- Cromwell - powiedziała cicho - pogorszy mi się. - Wstrzymałem oddech. - Bardzo. Masz życie. Samodzielnie możesz stworzyć coś wspaniałego. - Przełknęła ślinę i spojrzała mi prosto w oczy. - Będę ci tylko przeszkadzać. Nie musisz się dla mnie poświęcać. - Uśmiechnęła się zawstydzona. - Nie zdołam skomponować niczego, co będzie godne twojego czasu. Nie mogę się z tobą równać.

Wiedziałem, że mówiła o czymś więcej, niż tylko komponowanie.

Mówiła o sobie. I o mnie. O nas.

- Masz więc szczęście, że jestem muzycznym geniuszem, który może przejąć prowadzenie. - Uśmiechnąłem się, Bonnie też.

Pocałowałem ją w nos, ponieważ mogłem to zrobić. - Nigdzie się nie wybieram. Jeśli jeszcze nie zauważyłaś, jestem uparty i robię, co chcę. -

Podszedłem do pianina, zabierając ze sobą ławeczkę. Ruchem głowy wskazałem, by podeszła. - Przytaszcz tu tyłek, Farraday.

Widziałem, że się wahała. Nie spuszczałem jej z oka. Odetchnęła głęboko i wstała. Krew szybciej popłynęła w moich żyłach, kiedy zajęła miejsce tuż obok.

- Lepiej, żebyś był tak dobry, jak mówisz, Dean - zażartowała, na co głośno się roześmiałem. Bonnie zamarła, na jej twarzy pojawiło się mocne zdziwienie.

Natychmiast spowaźniałem.

- Co się stało?

- Zaśmiałeś się. - Uśmiechnęła się szeroko. - Maruda roku w końcu się zaśmiała. - Zamknęła oczy, przez co serce mi urosło. - I było to jasnożółte. Jak słońce.

- Masz teraz synestezję?

- Nie, ale nie potrzebuję jej. Gdy się śmiejesz... - Szturchnęła mnie

w ramię. - Twój śmiech rozświetla pokój.

Wyszczrzyłem zęby i położyłem ręce na klawiszach. W chwili, w której poczułem pod palcami kość słoniową, znalazłem się w domu.

Zagrałem gamę, rozgrzewając się przed melodią, którą dopiero mieliśmy stworzyć.

- Potrzeba nam motywu przewodniego.
- Wiem, od wieków próbuję cię do jakiegoś przekonać.

Skinąłem głową, odczuwając wyrzuty sumienia.

-Jestem.

Oparła głowę na moim ramieniu.

- Jesteś. - Wciąż brzmiała, jakby w to nie wierzyła. Jakby nie była pewna, czy powinienem tu być. Wiedziała jednak, że byłem uparty.

W sali panowała cisza, kiedy Bonnie się zastanawiała.

- Powinno być to coś osobistego.

Przytaknąłem. Czekałem, aż dokończy myśl.

- A może moja podróż? - Spojrzała zdenerwowana przez rzęsy i położyła sobie dłoń na mostku. - Opowiedź o moim sercu? - Posłała mi nikły uśmiech. - I o tym, co mogę przeżyć. O walce. O niepewności. O

radości... lub... - Nie dokończyła zdania. Nie musiała.

- Tak - wychrypiałem. - Dobrze. - W mojej głowie przewijały się już pomysły, formowały się nuty. W tle grały skrzypce, a trąbki i flety nadrabiały melodię.

- A z twojej strony?

Spojrzałem na nią.

- Co masz na myśli?

- Co możemy włożyć w ten utwór od ciebie? Żeby i ciebie reprezentował.

Zacisnąłem dłonie w pięści.

- Nic. - Emocje w moim wnętrzu groziły eksplozją. Na twarzy Bonnie zagościło rozczarowanie, chociaż tym razem nie naciskała. Po jej milczeniu poznałem, że zasmuciła ją moja odpowiedź, ale, jak zwykle, zacząłem wycofywać się w głąb siebie.



- Podobał mi się ten utwór, który wtedy grałeś. Ten, którego nie dokończyłeś.

Zacisnąłem powieki.

- Nie. - Znów zachowywałem się jak palant. Wiedziałem o tym, ale po prostu... Nie mogłem inaczej.

Bonnie ponownie położyła głowę na moim ramieniu. Zabawne.

Zachowywała się dokładnie tak samo, jak poprzednio, ale w tej chwili widziałem jej ogromne zmęczenie. A może tym razem zwyczajnie go przede mną nie ukrywała. Nie musiała już udawać.

W przeciwieństwie do mnie.

Palce zaczęły się poruszać, gdy jej słowa krążyły w mojej głowie niczym sępy. *Podobał mi się ten utwór, który wtedy grałeś...*

Pocałowałem ją miękko w skroń, ale moje dłonie podążały już za muzyką, która pochodziła z wewnątrz. Krótka rytmiczna nuta. Bicie serca. Ludzie. Wiele osób i ich serca. Coraz więcej bijących jednym rytmem serc, aż...

- Moje - powiedziała Bonnie z zamkniętymi oczami, rozumiejąc historię, którą opowiadałem za pomocą melodii.

Pojedyncza delikatna nuta, niezsynchronizowana, samotna. Bonnie uśmiechnęła się, gdy dalej melodia popłynęła lekko i zwiewnie.

W mojej głowie była fioletowa.

Bonnie słuchała, trzymając się mojego ramienia, kiedy grałem, a pomysły wylewały się na klawisze.

- Tu - mówiła. - Nie przerywaj. - Spełniłem polecenie. - I smyczki - dodawała. - Skrzypce przejmujące górne partie.

Grałem, Bonnie spisywała nasze lepsze pomysły na papierze nutowym. Mijały godziny. Spojrzałem na dziewczynę wtuloną w moje ramię i zauważyłem, że zasnęła. Zabrałem ręce z klawiszy i przyglądałem się jej spokojnej twarzy.

Poczułem ucisk w żołądku. Gniew zdawał się palić kości w moim ciele. Bonnie Farraday była idealna.

Doskonała z niedoskonałym sercem.

Wpatrywałem się w pianino. Nieruchome klawisze wywołały znajome uczucie straty, przez które dech uwiązł mi w gardle. Tłumione przez lata emocje dawały o sobie znać. Ale nie mogłem teraz stawić im czoła. Zaciągnąłem się zapachem Bonnie, próbując jakoś się trzymać.

Musiałem myśleć o niej i o niczym innym.

Rozmawialiśmy wcześniej. Przekazała mi podstawowe informacje od lekarzy. Pragnęła chodzić do szkoły tak długo, jak będzie to możliwe.

Widziałem w jej oczach determinację, ale wiedziałem, że była zmęczona, ponieważ nawet najprostsze czynności sprawiały jej kłopot, więc wnioskowałem, że nie pochodzi za długo na studia.

Objąłem ją i przytuliłem. Pozwalając jej spać, wpatrywałem się w ścianę przede mną. Było to dziwne. Wcześniej nie szukałem sympatii i bliskości, ale kiedy Bonnie Farraday spała w moich ramionach, odzyskując siły, które starały się ją na zawsze opuścić, czułem się najbardziej naturalnie na świecie.

Przeogłem dziś. Zapamiętałem, by od tej pory nie pracować tak intensywnie. Bonnie obudziła się pół godziny później. Zamrugła zaspana, spojrzała na mnie z dezorientacją, po czym się zarumieniła.

- Cromwell... Przepraszam.

Złapałem ją za podbródek.

- Popatrz na mnie, Bonn. - Jej wzrok był wszędzie, tylko nie na

mojej twarzy. W końcu spojrzała mi w oczy. - Musisz spać. Nic się nie stało.

- Przepraszam. - Słyszałem, jaka była zawstydzona i widziałem, jak zaczęły błyszczeć jej oczy.

Serce mi pękło. Przysunąłem się i pocałowałem ją. Odpowiedziała tym samym. Oparłem swoje czoło o jej.

- Zawrzyjmy umowę. Przyjdiesz do mnie, gdy zechcesz odpocząć w szkole. Pojawisz się, jeśli czeokolwiek będziesz potrzebowała. I nie będziesz się tego wstydzić, okej?

Bonnie zawahała się, ale w końcu powiedziała: - Okej.

- Zabiorę cię do domu. - Pomogłem jej wstać i wsiąść do mojego samochodu. W chwili, w której usiadłem za kierownicą, oparła głowę na moim ramieniu i zasnęła. Kiedy wyjeżdżałem z kampusu, odczuwałem jednocześnie zbyt wiele emocji. Byłem szczęśliwy, że Bonnie czuła się przy mnie na tyle dobrze, że potrafiła zasnąć, ale przerażało mnie to, jak potwornie była zmęczona. Kilka godzin w sali muzycznej po paru wykładach, a jej ciało było wyczerpane.

Usłyszałem wstępne akordy utworu, który zaczęliśmy komponować.

Wiele serc bijących jednocześnie, z wyjątkiem jednego. Nic nie mogło być bardziej prawdziwe. Od mojego przyjazdu do Jefferson wszyscy byli tacy sami poza jedną osobą - dziewczyną o imieniu Bonnie.

Stanowiła wyjątek od reguły.

Zatrzymałem się przy jej domu. Wciąż spała. Rzuciłem okiem na jej twarz, nim wziąłem ją na ręce i zaniósłem na ganek. Drzwi otworzyły się, zanim zdołałem zapukać. Jej mama pokazała mi drogę do pokoju córki. Położyłem Bonnie na łóżku, przy czym nawet się nie obudziła.

Pocałowałem ją w czoło i szepnąłem do ucha:

- Do zobaczenia, Farraday. - Wyprostowałem się, chcąc odejść, ale nie pozwoliły mi na to nogi. Nim odwróciłem się i wyszedłem, upłynęło

kolejne pięć minut. Mama Bonnie stała na progu i przyglądała się mi.

Zamknęła za mną drzwi. Przeczesiałem włosy palcami.

- Zasnęła w sali muzycznej, gdy ćwiczyliśmy, i później w moim aucie.

Nie byłem pewien, czy wcześniej widziałem taki ból w czyichś oczach, ale kiedy spojrzałem na panią Farraday, dostrzegłem go wyraźnie. Traciła córkę. Jej dziecko umierało. Musiała stać i patrzeć na to, nie mogąc nic z tym zrobić.

Myśl ta skradła mi dech.

- Staje się coraz słabsza - powiedziała z siłą, której się nie spodziewałem. Żołądek mi się skurczył na jej słowa. Położyła rękę na moim ramieniu. - Chce jeszcze przez jakiś czas chodzić do szkoły, ale nie jestem pewna, czy to będzie możliwe. Wydaje mi się, że za trzy tygodnie będzie na to za słaba. Głównie chodzi o układ oddechowy. Jej płuca.

Popatrzyłem na zamknięte drzwi, jakbym mógł dostrzec przez nie Bonnie.

- Tak szybko? - Ochryple pytanie wydostało się spornię-dzy moich ust.

- Nie jest w dobrym stanie, chłopcze. - Głos jej zadrżał jakby na chwilę straciła odwagę. Poprawiła fryzurę i się uśmiechnęła. - Ale jest silna. Jest zdeterminowana, by doczekać przeszczepu. Codziennie modlimy się o cud. Wydarzy się. Wiem, że tak będzie.

- Chcę przy niej być - powiedziałem, gdy ścisnęło mi się serce. -

Kiedy nie będzie mogła chodzić na wykłady, chcę móc się z nią widywać.

- Znam moją córkę, Cromwell, i wiem, że ona również pragnie, byś przy niej był. - Wzięła mnie za rękę. - Może jesteś aniołem stróżem, który przybył, by jej pomóc.

Uderzyły we mnie emocje, przytłoczyły tak bardzo, że nie zdołałem wydusić ani słowa.

- Na kilka dni musimy pojechać do Charleston - powiedziała. - Na wizyty u specjalistów. Jestem pewna, że po powrocie Bonnie się do ciebie odezwie.

Niemal zażądałem, żeby pozwoliła mi jechać z nimi. Prawie zacząłem się upierać, ale wystarczyło jedno spojrzenie na przygarbioną postać mamy Bonnie, bym z tego zrezygnował. Skinąłem głową i wyszedłem z jej domu. Kiedy znalazłem się na podjeździe, pani Farraday powiedziała:

- Jeśli zobaczysz Eastona, powiedz mu, proszę, by wrócił do domu.

- Zwiesiła głowę. - Jego siostra potrzebuje swojego najlepszego przyjaciela.

Przytaknąłem i wszedłem do auta. Gdy wróciłem, zastałem Eastona w pokoju. Trzasnąłem drzwiami z zamiarem skonfrontowania się z nim, ale podbiegł do mnie i popchnął mnie na nie.

- Co, do diabła, robisz z moją siostrą? - warknął. Jego twarz była czerwona jak cegła. Odepchnąłem go, ale pozostał niewzruszony.

Oderwałem od siebie jego ręce i popchnąłem go na ścianę, ale on jeszcze nie skończył.

- Nie jest jedną z twoich łatwiutkich panienek do łóżka! - syknął.

Zamachnął się i uderzył mnie pięścią w twarz.

Poczułem krew na wardze. Złapałem go mocno za koszulkę i przytrzymałem. Moje następne słowa napędzał gniew:

- Wiem, że nie jest, kutasie. - Próbował mi się wyrwać, żeby znów na mnie napaść. Przycisnąłem przedramię do jego szyi, by się nie ruszał.

- Wiem, że nie jest! - Nacisnąłem mocniej, odcinając mu dopływ tlenu. -

Myślisz, że o tym nie wiem? Jest... - Prawda sprawiła, że urwałem, ale kiedy popatrzyłem współlokatorowi w oczy, dokończyłem: - Jest wszystkim, East. Cholera, wszystkim!

Zamarł. Puściłem go i się odsunąłem. Oddychał ciężko, klatka piersiowa unosiła się i opadała. Policzki pozostały czerwone, ale reszta jego skóry była blada. Miał podpuchnięte, zaczerwienione oczy.

Krew kapała mi z wargi na podbródek.

Easton oparł się o ścianę. Przyjrzałem mu się uważnie. Otaczające go niegdyś jasne, neonowe barwy w tej chwili były jedynie szarościami, granatami i czernią.

- Umrze - powiedział cicho, jego twarz wykrzywiła się w smutku.

Czułem pulsujący z jego ciała strach. Spojrzał na mnie, lecz wiedziałem, że tak naprawdę mnie nie widział. -Walczy od tak dawna, ale w końcu zrezygnuje. Jej serce się podda. - Popatrzył mi w oczy. - I Bonnie umrze.

- Mogą znaleźć dla niej serce.

Easton parsknął gorzkim śmiechem.

- Wiesz, jak rzadko jakieś się pojawia? A takie, które będzie zgodne? - Zacisnąłem usta, uświadamiając sobie, że nie wiedziałem.

Szukałem tylko pobieżnie w sieci, prócz tego byłem zielony w temacie.

Easton osunął się po ścianie, całkowicie pokonany. - To się niemal nigdy nie zdarza. - Również usiadłem na podłodze, opierając się o łóżko. Przesunąłem językiem po wardze i posmakowałem krwi. - Jej ciało niedługo się podda - szepnął. Jego spojrzenie pełne było agonii, tylko tak można to było opisać. Oparł się o ścianę. - Przez lata przeszła wiele operacji. - Pokręcił głową. - Sądziłem, że jest lepiej. Myślałem...

- Zastawka zaczyna puszczać - powiedziałem, choć zapewne już o tym wiedział.

- Czym, do cholery, byłby świat bez Bonnie? - Poczułem ucisk w żołądku na jego słowa, ponieważ nie chciałem nawet o tym myśleć.

Świat bez Farraday byłby...

Pokręciłem głową.

- Jest silna. - Easton przytaknął, ale widziałem, że mi nie uwierzył.

- Jest.

- Bonnie tak, ale jej serce nie bardzo. - Jego oczy się zamgliły.

Otoczające go barwy pociemniały jeszcze bardziej. Przyszły mi na myśl jego ostatnie obrazy. - Może być silna, jeśli pozwoli jej na to organizm. -

Westchnął i otarł twarz. -Wiedziałem, że coś było nie tak.

Spojrzałem na jego niedokończone dzieło na sztaludze.

- Czułem, że kłamała. Ukrywała prawdę. - Postukał się po czole. -

Bliźnięta.

- Chciała posmakować normalności.

Zmrużył oczy.

- Nie znosiliście się.

- Nie. Nie tak naprawdę.

Pokręcił głową.

- Jest taka delikatna. - Iskra gniewu, zawsze gotowa rozpaść się w moim wnętrzu, obudziła się na jego słowa, ponieważ wiedziałem, że mnie ostrzegał. Było jednak za późno. Nie rozumiał mnie i z pewnością nie pojmował tego, co łączyło mnie i Bonnie. Tego, co z nią dzieliłem. -

Nie ma wystarczająco siły, żeby zмагаć się z twoimi fochami.

- Potrzebuje mnie. Chce mnie.

Easton zamknął oczy i odetchnął.

- I ciebie również - powiedziałem, na co zeszywniał. Spiał się każdy mięsień w jego ciele. - Teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

-Wiem - przyznał po chwili. Ponownie oparłem się o łóżko.

Wydawało mi się, że na moim sercu spoczywał ogromny kamień.

Easton siedział w ciszy tak długo, że sądziłem, że skończył naszą rozmowę. W końcu szepnął: - Nie może umrzeć.

Spojrzałem na niego i na jego policzkach dostrzegłem łzy. Skurczył

mi się żołądek, do gardła powrócił znajomy ucisk. Na twarzy współlokatora odmalował się grymas. Po raz pierwszy widziałem, by był aż tak poważny.

- To moja siostra. Bliźniaczka. - Pokręcił głową. - Nie mogę, Crom.

Nie mogę żyć bez niej.

Obraz przysłoniły łzy, ale wstałem i usiadłem obok niego. Easton pochylił się, płacząc. Zacisnąłem zęby, nie wiedząc, co zrobić. Gdy dotarły do mnie jego słowa, poczułem, jak rozdzierają mi serce. *Nie może umrzeć...*

Przycisnąłem język do zębów, by również nie zacząć płakać. Easton szlochał coraz głośniej, rozpadał się, siedząc przy ścianie. Uniosłem rękę, objąłem go ramionami i przyciągnąłem do siebie. Pozwolił mi na to. Spojrzałem na niedokończony obraz. Na czarne mazie i mocne pociągnięcia pędzla.



Malowidło przedstawiało jego uczucia w tej chwili. Wiedział. Zdawał

sobie sprawę, że coś działo się z Bonnie, ale nie śmiał spytać. Kiedy wpatrywałem się w jego płótno, a Easton płakał z powodu swojej bliźniaczki, w moich myślach pojawiła się jej twarz. Ciemne oczy i włosy. Ładne rysy. Siedziała na scenie z gitarą, a z jej ust wydobywały się fioletowe wstęgi. Sapnąłem, gdy czysty strach skradł mi dech. Bałem się, że ją stracę, zanim tak naprawdę ją poznam. Moja ulubiona barwa zostanie mi odebrana. Bonnie zniknie, nim zdąży zostawić odcisk dłoni na oknie świata.

Pokręciłem głową, ignorując cholerną łzę, spływającą mi z kącika oka.

- Nie umrze - powiedziałem, mocniej ściskając Eastona.-Nie umrze.

W myślach pojawiła się twarz ojca i wspomnienie pustki, którą zrodziła jego nieobecność i która nigdy nie została zmniejszona.

Dopiero wkraczająca do mojego życia na plaży w Brighton Bonnie Farraday zaczęła dawać mi coś, czego braku nawet nie byłem świadomy - srebro.

Szczęście.

Tylko ona to potrafiła.

- Nie umrze - powtórzyłem po raz ostatni, dopuszczając do siebie znaczenie tych słów.

Easton uniósł głowę dopiero dziesięć minut później. Otarł oczy i spojrział na swój obraz.

- Muszę do niej jechać. - Przytaknąłem, więc wstał.

Odsunąłem się od drzwi, usiadłem na łóżku. Easton zakołysał się na piętach, jakby czuł się niezręcznie. Podrapał się po potylicy.

- Jeśli chcesz jej pomóc, to lepiej, żebyś był tego pewny. -Odetchnął

głęboko. - Będzie ciężko, a Bonnie będzie potrzebowała tych, którzy ją kochają. - Popatrzył mi wyzywająco w oczy, po czym jego spojrzenie zmiażdżyło. - Zachowuje się jak twardzielka. Dzielnie walczy, ale w głębi duszy jest przerażona. - Przełknął ślinę, a ja ponownie poczułem ucisk w gardle. - Nie chce umierać, Crom. Ma w sobie za wiele życia, by zostać zabrana... — Kiedy znów na mnie spojrział, na jego twarzy gościła determinacja. - Jest z naszej dwójki tą lepszą. Zawsze o tym wiedziałem.

- Wyglądał, jakby zamierzał coś dodać, ale wyszedł, pozostawiając za sobą cień czerni i granatu. Nie byłem pewien, czy cokolwiek zmieni barwy tego pokoju, dopóki Bonnie nie dostanie nowego serca.

Przez jakąś godzinę leżałem, patrząc w sufit, nim podniosłem się i wziąłem prysznic. Woda lała mi się na głowę, spływała po ciele i skapywała na płytki pod stopami, a w myślach nieustannie wirowało pytanie, które zadała mi Bonnie. To o niedokończony utwór, który niegdyś zagrałem. O kompozycję, której nie tykałem przez trzy lata.

Opadem czoło o ścianę i zamknąłem oczy, ale woda, niczym deszcz na szybie i łyzy, które płynęły tamtej nocy, sprowadziła tę melodię do mojej głowy.

Ciemne kolory Eastona tańczyły przed moimi oczami, gdy dźwięk stawał się coraz głośniejszy. I nie potrafiłem go uciszyć. Był niczym powódź napierająca na tamę, krusząca jej ściany.

Wspólna łazienka była cicha, znajdowałem się w niej sam.

Cieszyłem się z tego faktu, kiedy uderzyłem dłońmi o płytki, bo nogi się pode mną ugięły, a początkowe takty utworu zmiażdżyły mi serce.

Różnica polegała na tym, że prócz twarzy ojca widziałem teraz również Bonnie. Potrząsnąłem głową, próbując się ich pozbyć. Nie mogłem mierzyć się ze związanymi z nimi emocjami. Uczucia były zbyt silne, bym sobie z nimi poradził.

Kolory wybuchły w mojej głowie jak fajerwerki. Żołądek mi się skurczył, serce ścisnęło, nogi ugięły. Upadłem, ciepła woda stała się

zimna, gdy uderzała rytmicznie w moje ciało. I popłynęły łyzy Mieszały się z wodą, spływając na płytki. Nie odczuwałem tego jednak jako oczyszczenia.

Nic prócz mojego „daru” nie miało stłumić tych emocji. Siedziałem na piętach, wgapiając się w swoje drżące dłonie. Zacisnąłem je w pięści z pomysłem, by uderzyć w płytki, ale tego nie zrobiłem. Decyzje dyktowała teraz potrzeba tworzenia. Ręce stanowiły narzędzie, tylko za ich sprawą mogłem przegnać te uczucia.

Niektórzy postrzegali synestezję jako dar boży. Nie mogłem zaprzeczyć, że w pewnej części rzeczywiście tak było, ale istniała też druga jej strona - stanowiła przekleństwo, ponieważ potęgowała emocje, aż stawały się niemożliwe do zniesienia. Widziałem je. Czułem.

Smakowałem. I nie mogłem ich znieść. Myślałem o Bonnie, przypomniałem sobie ostatni raz, gdy widziałem ojca... Skuliłem się, bo ból stał się nie do wytrzymania. Czułem się, jakby ktoś bił mnie kijem po żebrach, dając tym samym smutek, którego nie potrafiłem znieść.

Odetchnąłem głęboko i wstałem. Wciąż byłem mokry, ale włożyłem na siebie ubrania i pobiegłem. Przemierzyłem skwer do wydziału muzycznego, wpadłem do środka i znalazłem się w najbliższej sali. Nie trudziłem się zapalaniem światła. Usiadłem przy pianinie i uniosłem pokrywę. Przez wysokie okno przezierał księżyc, spowijając kremowe i czarne klawisze srebrem.

Srebro.

Poczułem się, jakby tata się mną opiekował, pokazywał mi drogę powrotną do szczęścia. To - muzyka - było moją największą utraconą miłością, odnalezioną ponownie dzięki dziewczynie w fioletowej sukience.

Bonnie była moim darem bożym. Dziewczyną, która przywróciła mnie do życia.

Położyłem ręce na klawiszach, zamknąłem oczy i pozwoliłem

popłynąć melodii. Utwór, który sprawił, że zacząłem grać tylko *dance*, był niczym zamknięty przez wiele lat więzień, którego wreszcie uwolniono. Zatraciłem się w nutach. Zgubiłem się, kiedy przypomniałem sobie, jak mama weszła do pokoju, mówiąc, że tata nie żyje. I oficera, który zjawił się pewnego dnia, trzymając w dłoni nieśmiertelnik ojca. Noc, kiedy dowiedziałem się, że tata zaginął, a w moim sercu zrodził się żal i ból. Muzyka wypełniała każdy centymetr sali, oddychałem tym utworem. Ręce mnie bolały, gdy znów go grałem.

Wylewały się ze mnie nowe takty. Palce nie zadrżały, choć serce gubiło rytm. Wspomnienia były jak rzucone pod nogi granaty, ale dłonie pozostawały przygotowane i walczyły na tym polu minowym.

Kiedy utwór dobiegł końca, w mojej głowie rozbrzmiał dźwięk wystrzału, jak pożegnanie pokonanego żołnierza, bohatera wojennego...

mojego bohatera. Moje ręce znieruchomiały. Otworzyłem oczy, czując się pobity, skopany, ale mogłem wreszcie oddychać.

Kolorowy wzór wrył mi się w pamięć. Hołd dla mojego ojca, Petera Deana.

- Tato - szepnąłem, a słowo to odbiło się echem w pustej sali.

Oparłem głowę o pianino, wiedząc bez cienia wątpliwości, że to najlepsze, co w życiu skomponowałem. Z serca spadła mi połowa ciężaru. Gdy uniosłem głowę, otarłem łzy z twarzy. Wiedziałem, kto musiał to usłyszeć.

Musiałem zagrać ten utwór jeszcze jeden raz.

Kiedy wróci, usłyszy go.

Potrzebowałem, by go usłyszała.

Potrzebowałem jej.

## **ROZDZIAŁ 18**

## BONNIE

Leżałam na łóżku, słuchając muzyki, gdy do mojego pokoju wszedł

Easton. Usiadłam, tłumiąc smutek, który poczułam, kiedy spojrzałam mu w twarz.

Zsunęłam słuchawki i wyciągnęłam do niego rękę.

- East - szepnęłam ochryple. Próbowałam oddychać, wciągając do płuc jak największą ilość powietrza, ale ciało na to nie pozwalało.

Przesunęłam się, zaciskając zęby, ponieważ musiałam włożyć w ten ruch sporo wysiłku.

Easton podał mi jednak dłoń, więc czerpałam z tego siłę. Usiadł na krawędzi łóżka. Był blady, miał zaczerwienione oczy.

- Czuję się dobrze - powiedziałam, próbując mocniej uścisnąć jego rękę.

Posłał mi słaby uśmiech.

- Nigdy mnie nie okłamywałaś, Bonn. Nie zaczynaj.

Tym razem to ja się uśmiechnęłam.

-Jestem zdeterminowana, by dobrze się czuć.

- Wiem. - Przysunął się do mnie i usiedliśmy, opierając się o zagłówek. Nie puściłam jego dłoni. Odkąd byliśmy dziećmi, trzymanie go za nią dodawało mi sił.

- Minęło dziesięć lat - powiedział ochryplym głosem. Skinęłam głową. Dekada, odkąd mnie zdiagnozowano. W oczach Eastona błyszczała... duma? - Dzielnie walczyłaś, Bonn.

Nie potrafiłam powstrzymać łez.

- Ty też.

Parsknął kpiącym śmiechem, choć mówiłam poważnie.

- Nie tak jak ty - odparł. Westchnął i postukał się w głowę. - Jestem przekonany, że moje problemy tutaj wynikają z twojego serca. -

Skurczył mi się żołądek. - Wydaje mi się, że gdy nas stworzono, w jakiś sposób zostaliśmy połączeni. Kiedy zawodzi twoje serce, u mnie to samo dzieje się z głową.

Usiadłam naprzeciw niego. Objęłam jego twarz.

- Nic nie jest połączone. Radzisz sobie. - Opuściłam rękę do skórzanej bransolety, której nigdy nie zdejmował. Przesunęłam ją, ujawniając bliznę. Easton zacisnął usta, gdy jej dotknęłam.

Poczułam ból w piersi.

- Musisz mi coś obiecać, East. - Spojrzałam w jego niebieskie oczy.

- Obiecuj, że pozostaniesz silny. Ze bez względu na wszystko nie poddasz się demonom, które chcą cię dopaść. - Pociągnęłam go za rękę, gdy odwrócił wzrok. - Obiecuj, że porozmawiasz z terapeutą. Z mamą, tatą, Cromwellem. Z kimkolwiek.

- Cromwell nic nie wie. Tylko wy.

- Więc porozmawiaj z nami. - Wpatrywałam się w brata ze zmartwieniem. - Jak się teraz czujesz?

- Jestem smutny - powiedział, całkowicie niszcząc to, co zostało z mojego pogruchotanego serca. - Przez ciebie. Nie z powodu mojej

głowy.

Ulga była balsamem na ból w piersi, który nigdy nie odpuszczał.

- Przyrzekasz?

Uśmiechnął się, co mnie ogrzało, i wyprostował mały paluszek.

Zahaczyłam o niego swoim.

- Przyrzekam.

Uśmiechnęłam się i położyłam na łóżku. Powieki zaczęły mi ciążyć.

- Będzie jak ostatnio. — Obróciłam głowę na poduszce, by spojrzeć na Eastona. Uniósł brwi. - Nadchodząca operacja. - Nie wspomniałam, że może nigdy do niej nie dojść. Ani że mogłoby nie znaleźć się dla mnie serce. Nie pozwalałam sobie werbalizować tych myśli. Nie chciałam wypuszczać ich w świat. Przyglądałam się, jak na twarzy brata pojawiła się nadzieja, przeganiając ból. Nadal się uśmiechając, powiedziałam:

- Obudzę się i będziecie przy mnie. Ty, mama, tata i...

- I Cromwell - dokończył Easton.

Patrzyłam mu w oczy, zbierając w sobie odwagę, której istnienia nie podejrzewałam, i powtórzyłam:

- I Cromwell.

Coś zmieniło się w wyrazie jego twarzy.

- Wydaje mi się, że on cię kocha - stwierdził, przez co sapnęłam.

Serce obijało mi się w piersi jak powoli kozłowana piłka. Słyszałam jego głucho i nieregularne bicie. Nie potrafiłam niczego z siebie wydusić.

Easton pokazał mi swoje zaczerwienione knykcie. - Przywaliłem mu dziś.

- Nie - szepnęłam. Nie miałam siły, by powiedzieć coś więcej.

- W Charleston widziałem, jak cię całował. - Zaczerwieniłam się. -

Jak na niego patrzyłaś. - Westchnął pokonany. - I to, jak on patrzył na ciebie.

- Jak?

- Jakbyś była jego powietrzem. Jakbyś była wodą na trawiący jego wnętrze pożar.

- East. - Westchnęłam. Czułam ciepło i szczęście, słysząc jego słowa.

- Musiałem dopilnować, by cię nie skrzywdził. - Opuścił

bransoletę, ponownie zasłaniając bliznę. — Upewnić się, że nie zamierza cię wykorzystać - urwał, po czym dodał ze smutkiem: -

Zwłaszcza teraz.

Uśmiechnęłam się, choć moje usta drżały.

- Zawsze o mnie dbasz.

- Tak, Bonn. I nigdy nie przestanę. - Uśmiechnął się, co wyglądało jak przedzierające się przez chmury promienie słońca. - Jestem twoim starszym bratem, pamiętasz?

Przewróciłam oczami.

- Jesteś starszy o całe cztery minuty.

Spowaźniał.

- Nieważne. Jestem starszym bratem. Muszę pilnować, by cię nie skrzywdził.

- Nie zrobi tego - odparłam bez namysłu. Poczulałam spływający na



mnie spokój, ponieważ była to prawda. Wiedziałam, że Cromwell nie zrobi mi krzywdy. Pomyślałam o jego niebieskich, ciemnych jak noc oczach. O zmierzwiionych czarnych włosach i opalanej skórze. I o tatuażach na niej oraz kolczykach, które połyskiwały w świetle. Moje leniwe serce powróciło do stałego rytmu.

Cromwell Dean zainspirował je, by spróbowało.

- Również bardzo go lubisz, co? - zapytał Easton. Kiedy popatrzyłam mu w oczy, moje policzki stanęły w ogniu. Brat przyglądał mi się, gdy myślałam o Cromwellu.

- Nie jest taki, za jakiego wszyscy go mają. - Śledziłam palcem wzór różyczek na pościeli. - Jest kapryśny i ponury. Kiedy się poznaliśmy, był okropny. - Usłyszałam w głowie echo jego muzyki i moje ciało wypełniło światło. - Ale teraz już tak się przy mnie nie zachowuje.

- Nie?

Pokręciłam głową.

- Jest... Na wiele sposobów udowadnia, jak mu na mnie zależy.

Trzyma mnie za rękę i nie chce puścić. Pragnie być ze mną, nawet jeśli tylko siedzimy w ciszy. A co najlepsze, pokazuje, że się troszczy w jedyny znany sobie sposób. - Spojrzałam na pianino, oczami wyobraźni widziałam, jak przy nim siedzi, trzymając dłonie na klawiszach. -

Sprowadził muzykę do mojego cichego świata, East. - Uśmiechnęłam się, gdy poczułam ciepło w piersi. - Gra melodie, które znaczą dla mnie więcej niż słowa. - Chciałam mu to wytłumaczyć. Nie byłam pewna, czy zdołam przekazać, co oznaczało dla mnie bycie z tym chłopakiem. -

Cromwell nie mówi za wiele za pomocą głosu, ale wykrzykuje swoje emocje i przekazuje je melodią i nutami. - Wzięłam wdech. Powietrze ledwie musnęło leniwe płuca, ale dało mi siłę, by powiedzieć: - Wiem,

że jestem samolubna, ale nie wydaje mi się, bym zdołała go od siebie odsunąć.

Popatrzyłam bratu w oczy, w których gościły łzy.

- Wiem, co mnie czeka. I mam świadomość, że będzie ciężko. -

Zebrałam siły i powiedziałam: - A przy nim czuję się silniejsza. -

Wyobraziłam sobie, że siedzę obok niego na ławeczce przed pianinem, opierając głowę na muskularnym bicepsie. Grając, opowiadał historię ósemkami i czystymi kwintami. - Może dziwnie to zabrzmie, może wydawać się pospieszne i niemożliwe... ale Cromwell przemawia do mojej duszy. Jest mroczny i wiele przeszedł. Wiem o tym. I dopiero się przede mną otwiera. Ale od chwili, w której się poznaliśmy, jego muzyka nie pozwala nam być osobno. - Pokręciłam głową z niedowierzaniem. - Mówi, że inspiruję go do grania. Że jestem tą, która obudziła jego wnętrze.

- Tak więc - powiedział brat, kładąc się obok - lepiej, bym go więcej nie bił.

Mimowolnie parsknęłam śmiechem. Easton uśmiechnął się, pokazując przeblysłk wesołości, którą tak u niego kochałam.

- To dobry człowiek. Okazało się, że i dobry przyjaciel. -Easton spuścił wzrok. - Straciłem dziś nad sobą panowanie, Bonn. Z twojego powodu.

- East... - powiedziałam cicho, smutek skradł inne słowa, którymi mogłabym go ukoić.

- Ale Cromwell mnie pocieszył. Usiadł obok i pozwolił to z siebie wyrzucić. Nie ruszył się, zamiast tego siedział przy mnie i mówił, jak jesteś silna i że wszystko będzie dobrze.

- Tak?

Skinął głową.

- Naprawdę tak uważał, Bonn. Widziałem to w jego twarzy. -  
Spojrzał na mnie, choć nie potrafiłam odczytać jego miny. - Kocha cię. -

Po raz drugi użył tych konkretnych słów, a moje serce odpowiedziało tak samo jak za pierwszym razem - cudownie przyspieszyło. - Zawsze się o ciebie martwiłem, siostra. Nie zawierałaś przyjaźni, nie miałaś chłopaka. Chryste, nie sądziłem, byś się kiedykolwiek całowała. Byłaś zbyt zajęta próbami pozostania przy życiu. - Zarumieniłam się. -Ale cieszę się, że go teraz masz. - Wziął mnie za rękę i ścisnął. - Kiedy będzie najtrudniej, on pomoże ci przez to przejść.

- I ty też - dodałam. - Ty, mama, tata i Cromwell. - Odgarnęłam włosy z twarzy. - Czuję, że dam radę. Dotrwam do chwili, w której znajdą dla mnie serce. - Nie pozwoliłam sobie na rozważanie odrzutu przeszczepu czy miliona innych komplikacji, które mogą nastąpić nawet wtedy, jeśli to serce się znajdzie. Gdybym o tym myślała, opuściłaby mnie chęć walki.

Zmęczenie opłynęło mnie niczym rozkołysana fala.

- Pojedziesz ze mną jutro do szpitala?

- Oczywiście - odparł. Powieki zaczęły mi opadać, ale wciąż czułam obecność siedzącego obok bliźniaka. Nie opuścił mnie.

Zasypiając, odczuwałam nadzieję. Brzmiała jak wiolonczela i skrzypce.

Zastanawiałam się, co widziałby Cromwell.

Liczyłam na to, że mnie. Modliłam się, by chłopak, myśląc o nadziei, widział moją twarz.

Ponieważ ja miałam w głowie jego. Cromwell Dean przynosił mi nadzieję. W tej chwili była to najważniejsza rzecz w moim życiu.

\*\*\*

- Przyspieszona niewydolność... - Głos lekarza umilkł, mężczyzna umieścił na podświetlanej tablicy wczorajsze zdjęcia rentgenowskie, aby zobrazować rodzicom mój stan.

Spojrzałam przez okno na ptaki na niebie. Rozmyślałam nad tym, dokąd leciały. Zastanawiałam się, jak to jest wzbić się w powietrze, szybować na skrzydłach.

- Bonnie? - Z zamyślenia wyrwał mnie głos doktora Bren-nana.

Obróciłam głowę na poduszce, by na niego spojrzeć. Na twarzach rodziców gościł smutek. Easton z rękami skrzyżowanymi na piersi opierał się o ścianę, wgapiając w podłogę. -Bonnie? - powtórzył lekarz. -

Masz jakieś pytania?

- Ile upłynie czasu do chwili, gdy nie będę już mogła grać?

Usłyszałam cichy szloch mamy, ale patrzyłam na lekarza.

Tylko on mógł mi odpowiedzieć.

- Niewiele, Bonnie. Twoja motoryka już teraz jest zagrożona. -

Spojrzałam na palce i dostrzegłam opuchliznę, która zaczęła się tworzyć już kilka tygodni temu, a teraz ograniczała zdolność gry. Odetchnęłam.

Usłyszałam, jak doktor Brennan mówił:

- Jakiś miesiąc, góra sześć tygodni.

Dziwnie tak żyć z datą ważności. Nie liczyć już lat, ale tygodnie, dni, a nawet godziny.

- Kochanie? - Spojrzałam na mamę, która pogłaskała mnie po głowie. - W domu zostaną zainstalowane sprzęty, które pomogą ci w oddychaniu i poprawią komfort życia.

- Możemy już wracać? - zapytałam, nie dopuszczając do siebie jej słów. Nie chciałam tego wiedzieć.

- Tak. - Mama poszła do garderoby po moje rzeczy. Ubrałam się i usiadłam na wózku, wywieziono mnie z budynku szpitala. Zamknęłam oczy, kiedy słońce skupiło się na mojej twarzy. Poczułam na skórze ciepło jego promieni.

Nie minęło wiele czasu, nim jechaliśmy do domu. W samochodzie panowała cisza, gdy wyjeżdżaliśmy z Charleston, zmierzając do Jefferson. Popatrzyłam na tatę, na dłonie, którymi mocno trzymał

kierownicę. Spojrzałam na mamę, wyglądającą przez szybę.

Easton siedział obok. Zwiesił głowę, wszystkie jego mięśnie były napięte. Westchnęłam i zamknęłam oczy. Nie podobało mi się, jak mój stan wpływał na rodzinę.

*Przyspieszona niewydolność...*

Słowa jak kule krążyły w moich myślach, ale byłam zbyt odrętwiała, by się nad nimi zastanawiać. Położyłam dłoń na mostku, czułam pod palcami bicie serca. Jak zawsze miało własny rytm, było zmęczone i wyczerpane. Próbowало się trzymać, choć tak naprawdę pragnęło odpuścić.

Ale ja nie mogłam tego zrobić...

Kiedy podjechaliśmy pod dom, tata pomógł mi wysiąść z auta i poprowadził powoli na ganek. Gdy spojrzałam na podjazd z kostki, na ścieżkę, którą przemierzałam, odkąd byłam dzieckiem, nagle

spozstrzegalam ją jako zieloną miłę. Odetchnęłam, gotowa ją przemierzyć, kiedy znalazł się przy mnie brat.

Spojrzałam na niego i zobaczyłam, że tracił nad sobą kontrolę.

- Eastonie - powiedziałam cicho.

- Muszę wracać do akademika. - Pocałował mnie w policzek i odszedł do swojego samochodu, który zaparkował nieopodal.

- East? - Odwrócił się. Przełknęłam ślinę. - Dobrze się czujesz?

Posłał mi uśmiech, który chyba nie był prawdziwy.

- Tak, Bonn. Przyrzekam. Muszę wrócić do szkoły. Muszę...

- Rozumiem. - Potrzebował pobyć sam. Uśmiechnął się i wsiadł do auta. Przyglądałam się, jak odjeżdżał. Zarzekał się, że brał leki.

Wymogłam na nim przyrzeczenie, że przyzna się, gdyby moja choroba go przerastała. - Myślisz, że wszystko z nim dobrze? - zapytałam tatę, który prowadził mnie wolno ścieżką.

- Kilka razy dziennie sprawdzam, co u niego, Bonn. Radzi sobie, jak może. Terapeuta jest zadowolony z jego postępów. ~ Głos ojca stał się ochrypły. - Chodzi o ciebie, wiesz? Chce cię uleczyć, ale nie może. -

Tata przytulił mnie do siebie. - Nam obu trudno jest sobie poradzić z tym, że nie możemy cię chronić, nie potrafimy nic zrobić...

- Tato... - szepnęłam, a gardło ścisnął mi smutek.

- Położę cię do łóżka, kochanie. To był długi dzień. - Poprowadził mnie na ganek, moje szybko męczące się nogi odczuwały każdy krok jak maraton. Wiedziałam, że tata nie mógł ze mną w tej chwili rozmawiać.

I tak nie wiedziałabym co mu odpowiedzieć.

Spałam wiele godzin. Gdy się obudziłam, na zewnątrz było ciemno, deszcz uderzał o szyby. Dochodziła północ. Uświadomiłam sobie, że nie napisałam po powrocie do Cromwella, więc posłałam mu krótką wiadomość, że zobaczymy się jutro, i wróciłam do spania.

Wydawało mi się, że dopiero co opuściłam powieki, kiedy rozległo się pukanie do okna. Zmrużyłam oczy w ciemności, próbując zorientować się w sytuacji. Gdy dźwięk poniósł się ponownie, wstałam, przytrzymując się ramy łóżka. Zegarek stojący na stoliku nocnym wskazywał wpół do trzeciej.

Rozsunęłam zasłony. Za szybą, w przemoczonych czarnych ubraniach, które przylgnęły mu do ciała, stał Cromwell. Na sam jego widok serce próbowało wyrwać mi się z piersi, jakby było w stanie się uwolnić. Uniosłam ręce, odblokowałam zasuwkę. Zanim miałam szansę unieść panel, zrobił to Cromwell. Wszedł do środka.

Odsunęłam się, kiedy znalazł się w moim pokoju. Brakowało mi tchu, gdy na niego popatrzyłam. Spojrzenie intensywnie niebieskich oczu wbite było we mnie, czarne włosy miał zmierzwione, kosmyki przyklepione do twarzy. Chciałam się odezwać, ale nim zdołałam coś wydusić, Cromwell podszedł i wziął mnie w ramiona.

Kiedy przywarł do moich ust, wymknęło mi się westchnienie. Był przemoknięty do suchej nitki, ale nie przejmowałam się tym, gdy odczuwałam jego miękkie i wymagające usta na swoich. Całował mocno, choć tak czule, że zachciało mi się płakać. Wiedział, że walczyłam ostatnio o oddech, więc się odsunął, lecz nadal obejmował moją twarz.

- Tęskniłem.

Słowo to rozgrzało mnie, wypędzając chłód, którego istnienia nawet nie podejrzewałam. Cromwell patrzył mi intensywnie w oczy.

- Ja też tęskniłam - szepnęłam, przyglądając się, jak rozluźnił spięte ramiona. Omiótł wzrokiem moją piżamę.

- Zmęczona?

Zaśmiałam się, ale wyszło słabo.

-Jak zawsze.

Przełknął ślinę, po czym wziął mnie na odziane w czarny sweter ręce. Ciuch, który miałam kiedyś na sobie, był mokry, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało. Postanowiłam znieść zimno, jeśli oznaczało to, że będę znajdować się w ramionach Cromwella.

Położył mnie na łóżku i usiadł na jego krawędzi. Wytatuowaną ręką odsunął włosy z mojej twarzy, po czym dotknął mojego policzka.

Nakryłam ją dłonią, nim zdołał ją zabrać. Przycisnęłam ją do siebie i zamknęłam oczy. Czułam woń deszczu. I zapach chłopaka.

Gdy uniosłam powieki, przyjrzałam się uważnie jego twarzy.

- Cromwell? — zapytałam z troską. - Coś się stało?

W jego oczach gościł smutek, zazwyczaj ciemniejsza skóra była blada. Miał podkrążone oczy. Wyglądał... żałośnie.

Zanim zdołałam jednak zapytać o coś więcej, wstał i podszedł do pianina. Przez chwilę nie śmiałam się ruszyć, przyglądając się, jak przysunął sobie krzesło i powoli na nim usiadł. Wyprostował plecy, ale zwiesił głowę.

Słyszałam własny płytki oddech, a także zgrzyt pokrywy klawiszy i ciche klikanie ściszanego do minimum instrumentu. Usiadłam, zastanawiając się, co robił. Objęłam poduszkę, bo zrobiło mi się chłodno od wilgoci, która wsiąkła w moją piżamę.

Cromwell zaczął grać.



Zamarłam zszokowana, kiedy po pokoju poniósł się utwór który słyszałam w noc, gdy położyłam rękę na jego ramieniu i pomogłam mu tworzyć. Patrzyłam szeroko otwartymi oczami i z drżącą dolną wargą, a moje uszy zaszczyciała najpiękniejsza kompozycja, jaką kiedykolwiek słyszałam. Nuty wsiąkały we mnie i rozchodziły się po całym ciele.

Wypełniały każdą jego cząstkę, aż dotarły do serca, napełniając je życiem.

Siedziałam zahipnotyzowana, gdy dane mi było usłyszeć resztę utworu. Popłynęły piękne i idealnie zgrane takty, a jego ciało poruszało się do rytmu, jakby było częścią tej melodii. Cromwell stanowił muzykę, którą tworzył. Byłam pewna, że pokazywał mi to, co wcześniej ukrywał

przed światem. Dostrzegłam mrok, który w końcu wydostał się ze swojego więzienia.

Uniosłam drżącą dłoń do ust. Zapomniałam, jak się oddycha, kiedy przygniótł mnie ciężar tej kompozycji, opowiadającej o smutku i stracie, o gniewie i żalu.

I o miłości.

Rozpoznałam każde z tych uczuć, ponieważ dobrze je znałam.

Odczuwałam je w tej chwili. Ręce Cromwella tańczyły na klawiszach z gracją i takim pięknem, że gdyby moje serce poddało się w tej chwili, byłam pewna, że poczułabym jedynie spokój.

Muzyka była tak niebiańska, że niemal nie wydawała się prawdziwa.

Wiedziałam, że pociekły mi łzy. Czułam na twarzy wilgoć. Nie szlochałam jednak, nie rwał mi się oddech. Poczułam spokój i szczęście.

Byłam tak głęboko poruszona, że coś się we mnie zmieniło. Coś, co umożliwiło mi doświadczenie prawdziwej perfekcji.

Gdy Cromwell kończył grać, wstałam z łóżka. Nie wiedziałam nawet dlaczego, po prostu oddałam prowadzenie swojemu uszkodzonemu

sercu. I, oczywiście, zaprowadziło mnie ono do muzyka. Wydawało mi się, że kierowało mnie do Cromwella już od spotkania na plaży w Brighton.

Mój gość nadal siedział z rękami na klawiszach, wygrywając ostatnie akordy. Stałam obok, więc na mnie spojrzał. Policzki miał mokre, bez pytania wiedziałam, że coś w nim pękło.

I pozwolił, bym to zobaczyła.

Otworzył się.

Był wrażliwy.

Pokazał mi swoją prawdziwą postać.

Patrzyłam na jego piękną twarz, na geniusza, który był tak udręczony, że odepchnął od siebie wszystkich, próbował odsunąć i mnie... ale jego muzyka przemówiła do mojej duszy. A jego przyciągnął do mnie mój głos.

Cromwell zacisnął mocno powieki i oparł o mnie głowę. Objęłam ją, tuląc go. Nie wiedziałam, o czym mówił ten utwór i nie znałam ogromu bólu jego twórcy, ale miałam świadomość, że mogłam być dla niego tu i teraz.

Pomyślałam o czekającej mnie przyszłości i o dniach - tygodniach, jeśli będę miała szczęście - po których zdolność do poruszania się i oddychania zostanie mi odebrana. I wiedziałam. Wiedziałam, równie mocno jak to, że Cromwell był najcudowniejszym muzykiem, jakiego słyszałam, że pragnęłam go.

Póki jeszcze mogłam.

Dla nas obojga.

Odchyliłam jego głowę i objęłam twarz. Spojrzał na mnie.

Poświęciłam chwilę, by się nim rozkoszować. Wyryć w duszy ten moment, w którym opuścił swoją tarczę i, chwytając za rękę, splatając ze mną palce, poprowadził w głąb swojego serca.

Gdzie chciałam zostać już na zawsze.

Pochyliłam się i przywarłam do jego ust. Posmakowałam jego słonych łez i chłodu pozostawionego przez deszcz. Wzięłam go za rękę, pociągnęłam z krzesła w stronę łóżka.

Nie potrzeba było żadnych słów. Nie śmiałybym zakłócać przepięknej melodii, która nadal wybrzmiewała w powietrzu. W tej chwili byłam tylko ja, on i cisza. W tym momencie jedynie leczyliśmy się nawzajem.

Ręce mi się trzęsły, gdy stanęłam przed nim i uniosłam jego sweter.

Podciągnęłam brzeg ponad brzuch, odsłaniając piękne tatuaże. Byłam wdzięczna, że mi pomógł i zdjął go do końca, po czym rzucił na podłogę. Jego pierś unosiła się i opadała, kiedy wodziłam palcami po chłodnej, opalanej skórze. Nogi miałam jak z waty, gdy spojrzałam mu w oczy.

Było w nich uwielbienie.

Przysunęłam się i pocałowałam jego skórę, słysząc, jak wciągnął powietrze. Oddał mi prowadzenie. Mój Brytyjczyk, który odsłonił przede mną swoje nieprzeniknione serce.

Zaczęłam rozpinać własną piżamę, ale palce miałam już zbyt słabe.

Cromwell zbliżył się i delikatnie wziął moje dłonie w swoje. Uniósł je sobie do ust i pocałował każdy palec. Na ten widok zaczęła mi drzeć dolna warga. Na ten gest. Położył sobie moje ręce w pasie, pochylił się i pocałował w usta. Całował delikatnie, tak delikatnie, że ledwie czułam jego wargi.

Zaczął rozpinać guziki. Trzymałam go w talii, czując, jak chłodna skóra rozgrzewała się za sprawą mojego dotyku, prześledziłam palcem ćwierćnuty wypisane na zakręconej pięciolinii. I herb, który widniał na jego piersi. Na czerwonej wstędze pod spodem widniało słowo „tata”.

Serce ścisnęło mi się na ten widok. Koszula zsunęła mi się do łokci i odetchnęłam głęboko, wiedząc, co widział Cromwell. Nie miałam nic pod spodem, prócz gołej skóry, blizny i swojej prawdziwej postaci.

Wstrzymałam oddech, kiedy zobaczył rezultat ostatnich lat walki.

Martwiłam się, że poczuje odrazę. Gnębiło mnie to, że będę dla niego zbyt brzydka. Przejmowałam się...

Wymknął mi się cichy szloch, gdy Cromwell się pochylił i przywarł

ustami do nierównej skóry. Pocałował tę bliznę od góry aż do dołu.

Każdy centymetr, który mówił, że miałam otwieraną klatkę piersiową.

Zadrzałam.

Objął moją twarz. Koszula należąca do mnie znalazła się na podłodze, pozostawiając nas oboje w pół nagimi.

- Jesteś piękna - szepnął, a jego słowa i ton głosu były dla moich uszu jak symfonia.

Uśmiechnęłam się. Mogłam dać mu tylko taką odpowiedź. Słów nie było, zostały odebrane przez delikatny dotyk i miękkie pocałunki.

Cromwell całował mnie, kiedy opadła reszta naszych ubrań. Robił to, gdy układaliśmy się na łóżku i kiedy się na mnie położył.

Całował i całował, wielbiąc mnie i sprawiając, że nie chciałam, by ta noc kiedykolwiek dobiegła końca. A kiedy się kochaliśmy, patrzył mi w oczy i całował tak słodko, że poczułam, jakby zesłało mi go niebo.

Pojawił się w moim życiu, gdy najbardziej go potrzebowałam. Kiedy

zaczynała się prawdziwa walka, gdy potrzebowalam sprzymierzeńca.

Odsunęłam mu ciemne włosy z twarzy, nasze oddechy się mieszały.

Powiodłam palcami po jego policzku, złapał je i ponownie pocałował.

Jakby mnie czcił. Jakby mi dziękował. Za co? Nie wiedziałam, ale chciałam, żeby również czuł się doceniony.

Nie byliśmy razem długo, ale kiedy twój czas dobiega końca, miłość odczuwa się znacznie silniej, szybciej i głębiej. Wytrzeszczyłam oczy, gdy naszła mnie ta myśl, ponieważ...

- Zakochuję się w tobie - szepnęłam, pozwalając duszy przejąć prowadzenie i odsłonić nagą prawdę. Cromwell znieruchomiał, wpatrzony we mnie. Położyłam dłoń na jego policzku i przełknęłam ślinę. - Zakochuję się w tobie, Cromwellu Deanie. Bardzo mocno.

Przywarł z pasją do moich ust, więc zamknęłam oczy, gdy przekazał

mi niewerbalnie, jak bardzo potrzebował tych słów. Uśmiechnęłam się, czując bicie jego serca tuż przy moim. Rytm był silny, moje własne serce desperacko próbowało nadążyć.

Cromwell oparł czoło na moim.

- Ja też się w tobie zakochuję - wyznał głębokim, ochrypłym, łamiącym się głosem. Smutne czy nie, moje serce zaabsorbowało te słowa niczym kwiat wchłaniający promienie słoneczne. Urosło po nich i zabiło z dziką rozkoszą.

- Cromwell... - Ponownie go pocałowałam. Robiłam to bez ustanku, kiedy poruszaliśmy się coraz szybciej, aż rozpadliśmy się na miliony cząstek.

Mój ukochany ułożył się na boku i przytulił do mnie. Przyglądałam mu się z poduszki, zastanawiając się, w jaki sposób tak idealnie wkomponował się w moje życie. Jakim cudem miałam tak wielkie szczęście. I czy Bóg wysłuchał moich modlitw.

Cromwell wziął mnie za rękę, a gdy zacisnął palce i zamknął oczy, wiedziałam, że miał mi coś do powiedzenia.

- Chciał jedynie, bym grał. Wiedział, że kochałem muzykę.

Potrzebowałem jej... ale go zawiodłem. - Na jego twarzy zagościł

grymas. - I złamałem mu serce. - Przysunęłam się, tuląc go mocniej.

Spojrzał na mnie. - A on nigdy już nie wrócił do domu.

## **ROZDZIAŁ 19**

### *CROMWELL*

Mój głos zawisł w powietrzu. Trzymałem się Bonnie, jakby była moją liną ratunkową, pilnującą, bym się nie załamał.

Przełknąłem ślinę.

- Mój... tata. - Na samo wspomnienie tego słowa przeszył mnie lodowaty dreszcz i skurczył mi się żołądek.

Bonnie milczała, pozwoliła, by ukoїła mnie cisza. Patrzyłem ponad jej ramieniem na stojące w kącie pianino. Wspomniałem stary drewniany instrument, który dostałem od ojca na dwunaste urodziny.

- *Zamknij oczy, Crom - powiedział, prowadząc mnie korytarzem.*

- Co to? - Podekscytowanie przepłynęło przeze mnie jak prąd w słupach przed naszym domem.

Tata zakrył mi oczy. Kiedy się zatrzymaliśmy, odsunął się i zabrał rękę.

- Dobra, synu. Możesz spojrzeć.

Sapnąłem, gdy zobaczyłem drewniane pianino stojące naprzeciwko stołu w naszej jadalni. Podbiegłem i zatrzymałem się przed instrumentem. Przełknąłem ślinę i powiodłem palcami po drewnie. Było chropowate i porysowane, ale się tym nie przejąłem.

- To niewiele, Cromwell. Wiem o tym. - Spojrzałem na tatę i zobaczyłem, że się zaczerwienił. W drzwiach stanęła mama, miała łzy w oczach. Wróciłem uwagę do pianina. - Jest stare i używane, ale w dobrym stanie. Poprosiłem o przegląd.

Nie wiedziałem, o czym mówił, ponieważ dla mnie była to najładniejsza rzecz na świecie. Znów spojrzałem na tatę, który skinął głową, dostrzegając w moich oczach nieme pytanie.

- Zagraj, synu. Zobacz, jak leży pod palcami.

Kiedy usiadłem na starym, skrzypiącym stołku, serce biło mi w dziwnym rytmie, kołacząc i podskakując. Spojrzałem na klawisze, z których mogłem czytać jak z otwartej księgi. Barwy układały się w nuty, a ja musiałem tylko podążyć za ich przewodnictwem.

Położyłem palce na instrumencie i zacząłem grać. Pod powiekami zatańczyły kolory tak jasne, że niemal paliły mnie w oczy. Tęczowe barwy przejęły kontrolę nad moim umysłem. Czerwienie, błękity, zielenie rozpościerały się przede mną, zachęcając, bym za nimi podążył.

Uśmiechnąłem się, gdy muzyka wypełniła pomieszczenie. W mojej piersi działało się coś, czego nie potrafiłem wyjaśnić. Kiedy barwna ścieżka zaprowadziła mnie do końca utworu, zabrałem rękę. Uniosłem głowę i

*spostrzegłem, że rodzice mi się przyglądali. Mama zakrywała ręką usta, łzy płynęły po jej policzkach, a na twarzy taty malowała się duma.*

*Żołądek mi się ścisnął. Tata był... ze mnie dumny.*

*- I jak, synu?- zapytał.*

*Spojrzałem na klawisze, zastanawiając się, jak ubrać myśli w słowa.*

*Zabawne. Potrafiłem spojrzeć na muzykę i zagrać to, co czułem. Barwy wskazywały mi drogę. Emocje pokazywały, co grać. Potrafiłem przemawiać za pomocą muzyki.*

*Ale nie za dobrze radziłem sobie ze słowami.*

*Próbowałem wymyślić coś podobnego do melodii. Wpadłem na to, gdy spojrzałem na ścianę, na której mama przez lata wieszała zdjęcia.*

*Spojrzałem na tatę.*

*—Jak wtedy, kiedy wracasz do domu.*

*Wydawało mi się, że przestał oddychać. Podążył za moim wzrokiem do zdjęcia, do którego pozował w mundurze.*

*- Cromwell - wychrypiał i położył rękę na moim ramieniu.*

*- Jak wtedy, gdy wracasz do domu...*

*Głos mi zadrżał, kiedy spojrzałem na Bonnie i powiedziałem:*

*- Od tamtego dnia wszędzie mnie zabierał. Chciał, by poznały mnie właściwe osoby. Ludzie, którzy, jak ja, potrafili tworzyć. -*

*Zaśmiałem się. - Raz spróbował nawet zagrać. Chciałem go nauczyć.*

*- Jak ty, u licha, to robisz?- Pokręcił głową. — Mój synek, muzyczny geniusz, i jego ojciec, głuchy młotek.*

*- Grałem. Pod swoje skrzydła wzięli mnie kompozytorzy z*



Brighton. Gdy tata wyjeżdżał co rusz na jakąś misję, ćwiczyłem do jego powrotu. Wciąż wylewały się ze mnie utwory i całe symfonie. I za każdym razem, kiedy wracał do domu, starał się jeszcze bardziej.

Próbował pomóc mi spełnić marzenie... - Zamknąłem oczy.

- Co się stało, Cromwell? - Bonnie przysunęła się i pocałowała mnie w policzek.

Odetchnąłem głęboko i ciągnąłem opowieść:

- Byłem młody. Z perspektywy czasu wiem, że nie miałem za bardzo dzieciństwa. Podróżowałem po kraju, komponowałem i dyrygowałem orkiestrami, które grały moje utwory. Kiedy miałem dwanaście, piętnaście, a w końcu szesnaście lat. -Patrzyłem przed siebie, wspominając tamten dzień. - Miałem serdecznie dosyć. -

Pokręciłem głową. - W wieku szesnastu lat większość dni spędzałem na komponowaniu zamiast iść gdzieś z kumplami. Grałem na wszystkich znanych ludzkości instrumentach, a nie umawiałem się z dziewczynami. Pewnego wieczoru nie wytrzymałem. - Poczułem ucisk w gardle. - Nazajutrz tata miał lecieć na kolejną misję do Afganistanu.

Armia Brytyjska wycofywała się z tego terytorium, miało zostać tylko kilka kompanii, by wszystkiego dopilnować.

Zamilkłem, niepewny, czy mogłem zdradzić coś więcej, ale kiedy spojrzałem Bonnie w oczy, które zaczynały blaknąć w świetle, wiedziałem, że musiałem mówić. Musiała się o tym dowiedzieć, a ja potrzebowałem to z siebie wyrzucić. Toczyło mnie to jak rak, pożerając żywcem, aż nie zostałyby zupełnie nic.

Nie chciałem już być mroczny.

Nie chciałem już czuć gniewu ani pustki.

Pragnąłem żyć.

- Pojechałem na kolejny koncert - powiedziałem, wspominając

tamto wydarzenie. - Zszedłem ze sceny i... coś we mnie pękło.

- *Synu! Wspaniale! — Tata wyszedł z za rogu za kulisami. Publika wciąż klaskała, ale czułem jedynie złość. Moimi żyłami płynął rozgrzany do czerwoności gniew. Szarpnięciem rozwiązałem muszkę i cisnąłem ją na podłogę. W kieszeni zawibrowała komórka.*

Nick: NIE WIERZĘ, ŻE ZNOWU NAS WYSTAWIŁEŚ. OMINĄŁ CIĘ NIE

- *Synu? -powiedział tata.*

*Zamknąłem oczy i policzyłem do dziesięciu.*

- *Dosyć — zdecydowałem, gdy wcale się nie uspokoilem.*

-*Co?*

*Ominąłem go, zmierzając do garderoby. Trzasnąłem drzwiami i sięgnąłem po torbę. Musiałem pozbyć się tego fraka, nim mnie udusi.*

- *Cromwell - Tata zamknął za sobą drzwi, odcinając nas od świata, ponieważ zawsze tak robił. Trzymał mnie w zamknięciu, bym mógł*

*tworzyć muzykę. Nie miałem dzieciństwa, ledwo kilku kumpli i żadnego pieprzonego życia.*

- *Skończyłem. - Rzuciłem marynarkę na podłogę, włożyłem T-shirt i jeansy. Tata przyglądał mi się z dezorientacją na twarzy.*

- *Nie... nie rozumiem. - Głos mu drżał, co niemal mnie zatrzymało.*

*Nie mogłem jednak odpuścić. Wiedziałem, że na widowni siedział Lewis, kompozytor, którego tata chciał przekonać, by wziął mnie pod swoje skrzydła. Ale miałem dosyć. Skończyłem z tym.*

*Rozłożyłem ręce.*

- *Nie mam życia, tato! - wykrzyknąłem. —Nie mam przyjaciół, nie mam hobby poza muzyką i nie robię nic, prócz pisania symfonii. Igrania*

muzyki klasycznej. - Pokręciłem głową, wiedziałem, że zacząłem i nie będę mógł przestać. — Wystawiałeś mnie w tylu salach koncertowych, w ilu tylko mogłeś. Zapisaleś mnie do większej ilości orkiestr, niż byłem w stanie zliczyć, i podrzucałeś mnie każdemu kompozytorowi, który według ciebie mógł mnie czegoś nauczyć. Ale żadnemu się nie udało. — Roześmiałem się i niemal urwałem, gdy zobaczyłem, jak tata pobladał. —

To dla mnie tak proste. Muzyka, którą tworzę, dosłownie się ze mnie wylewa. Kiedyś to kochałem. Żyłem tym. Ale teraz? - Wsunąłem palce we włosy. - Teraz tego nienawidzę. - Wskazałem na niego palcem. -

Sprawileś, że nie lubię już grać. Nieustannie na mnie naciskałeś. -

Śmiałem się. - Nie jestem jakimś cholernym żołnierzem, tato. Nie jestem twoim podwładnym, któremu możesz wydawać rozkazy, abym je zaraz wypełnił. - Pokręciłem głową. — Odebrałeś mi moją jedyną miłość, zabijając w niej całą zabawę. Pasję. Zniszczyłeś mnie. Zniszczyłeś!

W pokoju panowało napięcie. Próbowałem się uspokoić. Uniosłem w końcu głowę i zobaczyłem, że tata mi się przyglądał. Był dotknięty. Miał

łzy w oczach. Serce mi pękło, ponieważ zraniłem tatę, mojego bohatera, ale nie mogłem cofnąć słów. Wciąż wrzał we mnie gniew.

- Próbowałem... ci pomóc, Cromwell - stwierdził łamiącym się głosem. Spojrzał na ciśnięty na podłogę frak. - Dostrzegłem twój potencjał i chciałem cię wesprzeć. - Pokręcił głową i rozluźnił krawat.

Zawsze elegancko się ubierał. Nic nie było nie na miejscu. - Nie mam talentu, synu. Nie rozumiem, co w tobie żyje. Te kolory, muzyka... -

Przełknął ślinę. - Chciałem pomóc.

- Ale ci nie wyszło. - Zarzuciłem torbę na ramię. - Wszystko zniszczyłeś. Wszyściuteńko. — Ominąłem go w drodze do drzwi.

Wyszedłem na korytarz, gdy powiedział:

- *Kocham cię, Cromwell. I przepraszam. - Szedłem jednak dalej, nie odpowiadając mu. Nie dotarłem tamtej nocy do domu. Upiłem się i zostałem z kumplami...*

- Następnego dnia już go nie było. Wyjechał na kolejną misję, która miała trwać przynajmniej dziewięć miesięcy. -Miałem wrażenie, jakby ktoś wbił mi nóż w brzuch.

- Cromwell. Nie musisz...

- Uprowadzono go zaledwie cztery dni później - wypaliłem. Kiedy zacząłem mówić, nie umiałem przestać. - Razem z całym oddziałem. -

Przypomniałem sobie, jak mama przyszła do mnie, by mi o tym powiedzieć. Serce kołatało mi wtedy w piersi tak głośno, że je słyszałem.

Nogi trzęsły mi się do tego stopnia, że nie byłem w stanie iść. I pamiętałem również, jak ścisnęły mi się płuca, uniemożliwiając oddychanie. Widziałem jedynie twarz ojca w tamtej garderobie, gdzie zraniłem go słowami. - Znalezione ich wiele miesięcy później.

Bonnie przysunęła się i przyciągnęła moją głowę do swojej klatki piersiowej. Objąłem ją w talii. Tuliłem, słuchając jedynie odległego dźwięku bicia jej serca.

- Pewnego dnia ktoś zapukał do drzwi. Otworzyła mama, na progu stał mężczyzna w mundurze. Odesłała mnie do pokoju, ale wiedziałem, gdy tylko go wpuściła. Zrozumiałem to w chwili, w której zobaczyłem nieśmiertelnik taty w jego dłoni.

- Cromwell - powiedziała Bonnie. Słyszałem smutek w jej głosie. -

Zabito go. Wszystkich zabito. I zostawiono, by zgnili. Tata... -

Zakrztusiłem się. - Mój bohater... został zabity jak zwierzę i porzucony w ten okrutny sposób. - Pokręciłem głową, mocniej tuląc Bonnie. - I umarł, myśląc, że go nienawidziłem za to, że starał się pomóc w spełnieniu moich marzeń.

- Wiedział, że go kochałeś - stwierdziła. Zatraciłem się w jej ramionach. - Wiedział - szepnęła w moje włosy, nim pocałowała mnie w głowę. Załamałem się. Bonnie została ze mną przez cały czas.

Kiedy odzyskałem oddech, powiedziałem cicho:

- Zagrałem, gdy przekazano nam informację o jego śmierci.

Grałem ten utwór... który słyszałaś. - Ból wciąż był tak żywy, jak trzy lata temu, barwy równie intensywne. - I nigdy już do niego nie wróciłem. W ogóle nie wróciłem do muzyki klasycznej.

Bonnie głaskała mnie po głowie.

- *A dance?*

Westchnąłem, odczuwając wszystko mocniej po tym wyznaniu.

- Musiałem grać. - Parsknąłem gorzkim śmiechem. - miałem wyjścia. Ojciec miał rację, potrzebowałem muzyki jak powietrza, ale po tym, co się z nim stało... nie tknąłem żadnego instrumentu. Nie potrafiłem słuchać muzyki klasycznej, nie chciałem jej tworzyć.

Komponować. Zwróciłem się więc w kierunku elektronicznej muzyki tanecznej.

Uniosłem głowę, popatrzyłem w jej oczy pełne łez. Bonnie pogłaskała mnie po policzku.

- Lubię syntetyczne beaty, bo kolory są tak jasne. - Próbowałem jej to wytłumaczyć. - Dały mi to, czego potrzebowałem, szansę na istnienie w muzyce. Ale emocje nie są aż tak silne. - Wziąłem jej rękę i położyłem sobie na sercu. - Muzyka klasyczna sprawia, że moje uczucia są niemal zbyt intensywne. Pochłaniają mnie, ale też napędzają. Po śmierci ojca stałem się odrętwiały i nie chciałem niczego czuć. Przy elektronicznych dźwiękach wszystko jest... spokojniejsze. Właśnie dlatego je uwielbiam.

Przecież to mimo wszystko muzyka. - Uśmiechnąłem się. - Tego lata jedną szykaną przedarłaś się przez moje odrętwienie. Powiedziałaś, że

moja muzyka nie ma duszy.

Bonnie się skrzywiła.

- Przepraszam. Gdybym wiedziała, nigdy bym tak nie powiedziała.

Pokręciłem głową.

- Nie. Była to szpila, której potrzebowałem. Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale stało się to początkiem.

- Czego?

- Mojego powrotu do muzyki. - Pomyślałem o matce. - Mama w tym roku wyszła ponownie za mąż i to mnie zniszczyło. Zatraciłem się w klubach, dziewczynach, piciu. - Poczułem, jak się spięła, ale taka właśnie była prawda. - Lewis objął tu posadę i ponownie się ze mną skontaktował.

- Twój tata nawiązał z nim kontakt?

Przytaknąłem.

- Kochał cię. - Uśmiechnęła się i pocałowała moją dłoń. -Bardzo cię kochał.

Łzy napłynęły mi do oczu.

- Tak.

Bonnie znów się przysunęła, aż leżeliśmy na tej samej poduszce.

- Oddasz mu honor, będąc tutaj, Cromwell. Dokańczając ten utwór. Grając na instrumentach, które porzuciłeś.

- Ale to, jak się rozstaliśmy... - Wtuliłem twarz w jej szyję.

-Widzi cię teraz. - Zamarłem. Na jej twarzy malowało się mocne przekonanie. - Wierzę w to całą swoją istotą, Cromwell.

Ponownie ją pocałowałem. Jej usta zaczęły zmieniać barwę.

Czerwień zastępował fiolet, ale nie były przez to mniej piękne.

- Co się stało w szpitalu? - zapytałem. Posmutniała, na co skurczył mi się żołądek. - Bonnie?

- Przyspieszona niewydolność. - Jej słowa były niczym kule wbijające się w moją pierś. Otworzyłem usta, by poprosić o wyjaśnienie, ale nie dopuściła mnie do głosu. - Oznacza to, że pozostało niewiele czasu do chwili, w której moje serce się podda. - Zamarłem, niezdolny do ruchu, gdy spojrzałem w jej oczy. Te, które miały w sobie więcej siły niż u kogokolwiek innego. - Nie będę mogła już studiować. Wkrótce stanę się za słaba, by wyjść z pokoju. - Słyszałem, co mówiła, ale mój puls rozsadzał żyły na szyi, krew pędziła przez całe ciało.

- Oddałaś mi muzykę - powiedziałem. Zamrugła, zdziwiona nagłą zmianą tematu. Wyraz jej twarzy zmienił się na bardziej zrelaksowany.

Odetchnąłem głęboko. — To dzięki tobie, Farraday. Oddałaś mi to, co utraciłem. - Powiodłem kciukiem po jej dolnej wardze, jej oczy zaczęły błyszczeć. - To ty znów sprowadziłaś muzykę do mojego serca -

urwałem, próbując znaleźć właściwe słowa. Musiałem zadowolić się tymi:

- Pomogłaś muzyce na powrót odkryć moją duszę.

- Cromwell - szepnęła i pocałowała mnie w usta. Czułem drżenie jej warg. Zamknęła oczy i wyznała: - Boję się. - Żołądek mi się ścisnął, serce pękło na pół. - Boję się, Cromwell. Sądziłam, że mam więcej czasu.

- Łzy skapnęły z jej oczu i popłynęły po policzkach.

Położyłem dłoń na jej mostku, tuż nad sercem, które zdawało się bić bardzo nieregularnie i słabo. To odczucie i dźwięk malowały w moim umyśle pulsujący kasztanowy krąg. Bonnie znieruchomiła, gdy jej dotknąłem. Nakryła moją dłoń swoją.

- Jak to możliwe, Cromwell? - Odetchnęła płytko. - Jak serce tak uszkodzone może jednocześnie być tak pełne? Jak może zawodzić, gdy przepełnia je życie?

- Nie wiem - szepnąłem. Gorycz rozrastała się we mnie, aż czułem tylko ją.

- Jak mam żyć, wiedząc, że nie zdołam z tobą komponować? Ze nie dokończę tego, co zaczęliśmy?

- Uda nam się. - Objąłem ją mocniej. - Będziemy nad tym pracować, nawet jeśli będziesz leżeć w łóżku. Dokończymy utwór.

Zamknęła oczy.

- Obiecujesz?

- Przyrzekam - stwierdziłem z powagą. - A kiedy dostaniesz nowe serce, pod koniec roku wysłuchamy kompozycji w wykonaniu szkolnej orkiestry.

- Nie zdołam zagrać niczego, co skomponujemy - powiedziała zażenowana.

- Zatem ja będę grał.

- I nie będę też mogła pisać.

- Zapiszę więc wszystko za nas oboje.

- Nas. - Uśmiechnęła się. Tym razem w jej oczach nie było już smutku. - Nas - powtórzyła. - Podoba mi się, jak to brzmi. - Zamknęła oczy. - Jak piosenka.

- Jesteś autorką tekstów.

Przytaknęła.

- Marzyłam o tym, aby ubrać muzykę w słowa. Ożywić. Daleko mi



do wykonawcy.

Miałem ochotę się nie zgodzić. Gdy zobaczyłem jej występ w kawiarni, wszystko się zmieniło.

- Moim marzeniem jest pisanie dla innych. - Spojrzała na mnie. - A twoim?

- Tworzenie muzyki. - Westchnąłem. - Takiej, która miałaby znaczenie.

- Byłoby to coś, gdybyśmy razem spełnili nasze marzenia, prawda?

- zapytała. Uśmiechnąłem się, wyobrażając to sobie. Zobaczyłem Bonnie u mojego boku, piszącą słowa do skomponowanej przeze mnie melodii, dodającą życia moim nutom.

- Byłoby - powtórzyłem. Bonnie ziewnęła. Kiedy zaczęły ciążyć jej powieki, usłyszałem w myślach jej piosenkę *Skrzydła*, nałożoną na moje miksy. Uśmiechnąłem się.

Razem.

- Cromwell? - Bonnie usiadła i włożyła piżamę. Przyglądałem się jej. Nie mogłem oderwać od niej wzroku. Położyła się i zamknęła oczy. -

Ubierz się. Zanim rano tata tu przyjdzie i cię zastrzeli.

Roześmiałem się, pomimo bólu serca i ogromnego strachu z powodu tego, że Bonnie wkrótce się podda. Uśmiechnęła się, wciąż mając zamknięte oczy. Ubrałem się, ale wróciłem do łóżka, nie przejmując się mokrą garderobą czy tym, że jej rodzice mogli mnie tu rano znaleźć. Przyciągnąłem ją do siebie. Ślubowałem już nigdy jej nie puścić.

- Crom? - powiedziała zasnana. Uśmiechnąłem się, słysząc z jej ust to zdrobienie.

- Mmm?

- Kocham cię - szepnęła, sprawiając, że moje serce urosło.

- Też cię kocham.

Gdy pomyślałem o jej walce, moją głowę wypełniła muzyka.

Słuchałem świszczącego oddechu obok mnie, widziałem też zsiniałe wargi. Jej serce nie nadążało pompować krwi. Odtwarzana w moich myślach melodia była tylko dla Bonnie. Miała dodać jej siłę, zainspirować ją do walki.

Wiedziałem, że nagram ją zaraz po powrocie do akademika.

Ponieważ Bonnie musiała przetrwać.

Nie zniósłbym kolejnej straty. Ta perspektywa przerażała mnie, bo byłem pewien, że mogło być między nami coś wyjątkowego.

Bonnie musiała przeżyć.

## **ROZDZIAŁ 20**

### *CROMWELL*

*Dwa tygodnie później...*

Wszedłem do ciemnego pokoju w akademiku. Podeszedłem do okna, rozsunąłem zasłony. Easton znów leżał w łóżku. Zarzucił sobie kołdrę na głowę.

- Co, u diabła, Crom?

Stanąłem przy nim i zdjąłem z niego nakrycie. Obrócił się.

Śmierdział alkoholem. Wróciłem właśnie, bo spałem u Bonnie, ale wiedziałem, że współlokator również niedawno się tu zjawił.

- Wstawaj. Potrzebuję twojej pomocy - powiedziałem, krzyżując ręce na piersi. Spojrzałem na obraz na sztaludze. Kolejne mroczne, pokręcone dzieło. Rozumiałem. Bóg jeden wiedział, że to pojnowałem.

Widziałem ból, z jakim każdego dnia żył, jaki go pochłaniał.

Widował się z siostrą. Tylko przy niej się uśmiechał, chociaż jej stan się pogarszał. Coraz rzadziej pojawiała się na wykładach. Kończyny słabły, zmuszona była poruszać się na wózku inwalidzkim, a oddychanie było tak utrudnione, że codziennie wymagała podawania denu. Umierałem odrobinę za każdym razem, gdy poddawało się jej ciało. Miałem ochotę wrzeszczeć, kiedy widziałem ducha walki w jej oczach, gdy trzymała mnie za rękę, ściskając tak mocno, jak tylko mogła... choć w tej chwili uścisk ten był lekki jak piórko.

Z Eastonem też było coraz gorzej, ale Bonnie go potrzebowała. Do diabła, ja również. Był jedynym, który w pełni rozumiał całą tę sytuację.

Kiedy jednak wracał tutaj, bazgrał czarną farbą po płótnie lub pił do nieprzytomności.

- Musisz mi pomóc załadować pickupa. - Uchylił jedno oko.

Potałem kark, czując napięcie w piersi. Nieustannie czułem się o krok od załamania. - Chcę zabrać do niej instrumenty.

Easton się skrzywił, usłyszałem, jak głośno westchnął. Wiedział, o co mi chodziło. Bonnie nie była zdolna pojawiać się na uczelni. Nie była już w stanie robić właściwie niczego.

- Proszę, East. - Wiedziałem, że zdołał usłyszeć emocje w moim zachrypniętym głosie. Wstał, ubrał się i poszedł za mną do budynku

wydziału muzycznego. Dostałem od Lewisa pozwolenie na pracę z Bonnie w jej domu. Zabrnęliśmy całkiem daleko, ale w tej chwili mogła jedynie leżeć w łóżku i słuchać. Nie potrafiła już nawet utrzymać w rękach skrzypiec. Nie dawała rady grać na pianinie, ponieważ palce miała zbyt zdrętwiałe, by nimi ruszać. A, co gorsza, gdy próbowała grać na ukochanej gitarze, nie miała siły, by dociskać struny do mostków.

I jej fioletowy głos. Jej pasja. Jej słowa... były w tej chwili jedynie szeptem. Płytki oddech uniemożliwiał śpiewanie. To właśnie było najgorsze. Śpiewała każdego dnia. Leżałem przy niej na łóżku, a ona to robiła. Z każdym dniem fiolet blaknął, aż pozostał jedynie lilaróż. Aż w ogóle nie było żadnego odcienia.

Zapakowaliśmy samochód i pojechaliśmy do Bonnie. Easton milczał.

Rzadko się uśmiechał. Spojrzałem na niego. Wyglądał przez szybę. Ja również nie miałem nic do powiedzenia. No bo o czym miałem gadać?

Każdego dnia czekaliśmy na telefon. Na informację, że znaleziono dla niej serce.

*Stadium paliatywne*, wyjaśniła mi ostatnio jej mama. Bonnie była w tej chwili objęta opieką paliatywną. Codziennie przychodziła do niej pielęgniarka. Widziałem w oczach dziewczyny upokorzenie, gdy kobieta się nią zajmowała. Była tam również tęsknota za tym, by wstać z łóżka i pochodzić. Aby śpiewać i grać.

By dobrze się czuć.

Gdy zatrzymałem się pod domem Farradayów, Easton nie oderwał spojrzenia od okna.

- Dobrze się czujesz? - zapytałem.

Obrócił się do mnie i spojrzał pustym wzrokiem.

- Zabierzmy te instrumenty do mojej siostry. - Wysiadł i zaczął je rozpakowywać. Poszedłem w jego ślady, zaniósłem do środka skrzypce,

flet i klarnet. Wewnątrz poczułem woń środków antyseptycznych. Cały dom śmierdzał szpitalem.

Kiedy wszedłem do pokoju Bonnie, nie miało znaczenia, że leżała z plastikową rurką w nosie, dostarczającą tlen do jej ciała. Wciąż była najcudowniejszą istotą, jaką w życiu widziałem. Obok niej siedziała pani Farraday. Easton odłożył bęben, który niósł, i zbliżył się, by pocałować siostrę w czoło.

Bonnie uśmiechnęła się, na widok czego pękło mi serce. W jej ramieniu tkwił wenflon. Ponieważ nie potrafiła samodzielnie jeść czy pić, kroplówką podawano płyny wzmacniające. Schudła. Zawsze była szczupła, ale teraz znikła na moich oczach.

Nagle brakło mi tchu, a do oczu napłynęły łzy. Odwróciłem się i poszedłem do samochodu po więcej instrumentów.

W chwili, w której owiało mnie chłodne powietrze, zatrzymałem się, by odetchnąć. Wyszedł za mną Easton, również przystanął.

Milczeliśmy, ale słyszałem jego urywany oddech. Równie dobrze mógł krzyczeć, stojąc na dachu.

Bonnie umierała, gównem mogliśmy z tym zrobić.

Pozbierałem się, wziąłem wiolonczelę oraz saksofon i zaniósłem do jej pokoju. Tym razem Bonnie czekała na mnie, wpatrzona w drzwi. Na mój widok jej zapadnięta twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- Crom... well... - zająknęła się, ledwo mogąc oddychać.

Wszedłem od niej zaledwie kilka godzin temu, ale czas był

ograniczony i każda minuta, którą spędzałem bez niej, ciągnęła się w nieskończoność.

- Farraday - powiedziałem, podchodząc do niej. Jej mama wyszła z pokoju, a w drodze tutaj widziałem pielęgniarkę, Clare, w kuchni.

Odsunąłem Bonnie włosy z twarzy. Rozejrzała się po pokoju, do jej oczu napłynęły łzy. Rozchyliła fioletowe wargi, a pomiędzy nich wydostał się świszczący oddech. Próbowwała coś powiedzieć. Zamknęła oczy, walcząc o powietrze.

- Muzyka. - Jej klatka piersiowa unosiła się i opadała z podwójną szybkością, choć zdołała wydusić z siebie to jedno słowo.

- Dokończymy. - Pochyliłem się, by ją pocałować. - Obiecałem.

Po drugiej stronie łóżka pojawił się Easton. Usiadł i wziął siostrę za rękę. Dostrzegłem udrękę w jego oczach. Widziałem cień, który spowijał go niczym płaszcz. Granatowy i grafitowy dowód na to, że widok bliźniaczki przykutej do łóżka był dla niego istnym piekłem.

- Zostawię was samych z muzyką. - Spojrzał na mnie. - Cromwell będzie teraz z tobą, okej? - Pocałował ją w dłoń.

- Do zobaczenia, Bonn. - Urwał. Z każdym dniem ucisk w moim gardle powiększał się, nie byłem w stanie przełykać śliny. W tej chwili, gdy Bonnie uroniła łzę, a słona kropla spłynęła po jej policzku, gardło ścisnęło mi się tak mocno, że nie mogłem oddychać.

Próbowwała go przytrzymać, ale widziałem, z jak wielkim trudem poruszała palcami. Easton wstał, pocałował ją w czoło. Spojrzał na mnie.

- Cromwell.

- Na razie, East - odparłem, a on wyszedł.

Bonnie załkała, a ja w dwie sekundy znalazłem się na jej łóżku, tuląc ją w objęciach. Czułem na szyi wilgoć jej łez. Była lekka jak piórko.

- Nie chcę... - szepnęła. Nie ruszałem się, póki nie dokończyła.

-...zasmucać.

Zacisnąłem powieki i zęby. Przytuliłem ją jeszcze mocniej.

Przysunąłem usta do jej ucha.

- Napisałem coś dla ciebie - powiedziałem, kiedy przypominałem sobie o jej pianinie, na którym najczęściej ostatnio grałem.

Ułożyłem ją na łóżku, otarłem kciukiem łzy.

-Tak?-zapytała.

Przytaknąłem i pocałowałem ją pospiesznie. Ostatnio nasze pocałunki były tylko szybkie, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Nie odbierało to im wyjątkowości. Przeczesałem jej włosy palcami.

- Jesteś najdzielniejszą osobą, jaką znam - przyznałem. Bonnie zamrugła, powieki pozostały zamknięte nieco zbyt długo, gdy rozważała moje słowa. Miała lepką skórę, więc odsunąłem jej z twarzy brązowy kosmyk włosów. - Wygrasz, Bonnie. Chciałem stworzyć coś, co przypomni ci o walce, którą zamierzasz stoczyć. Nie porzucę nadziei.

Napisałem to, żeby zagrać, kiedy stracisz swoją.

W jej oczach pokazała się ekscytacja. Zawsze się tak działo, gdy grałem. W tych chwilach przypominała mi tatę. Bliską osobę, która tak bardzo we mnie wierzyła, a jej największą życiową radością było słuchanie mojej gry. Strata, jaką odczuwałem w takich momentach, była nie do zniesienia, ponieważ gdyby tata poznał Bonnie... pokochałby ją.

A ona pokochałaby jego.

- Gotowa? - zapytałem ochryple, ponieważ myśli te sprawiły, że głos uwiązał mi w gardle.

Przytaknęła. Puściła moją rękę dopiero wtedy, gdy podniosłem się z łóżka. Przemierzyłem pokój, usiadłem do pianina i zamknąłem oczy.

Palce podążały za kolorami wyrytymi w mojej pamięci. Wzór z mojej duszy wypełnił pokój muzyką. Przywołałem obrazy, które zainspirowały ten utwór, a na moich ustach zagościł niewielki uśmiech.

Pomyślałem o idącej przede mną Bonnie, trzymającej mnie za rękę. O uśmiechu jej różowych ust. O rumieńcu na jasnej skórze, powstałym pod wpływem mocnego południowokarolińskiego słońca. I o tym, że siedziałyby ze mną na trawie, patrząc na jezioro, po którym sunęłyby wolno kajaki i łodzie, w ogóle się nie spiesząc. O wietrze, który rozwiewałby jej włosy, i piegach, które zauważyłbym na jej policzkach i nosie.

Przysunęłyby się i pocałowała mnie. Trzymałbym ją w talii, odczuwając pod palcami materiał jej letniej sukienki. I oddychałaby przy tym z łatwością. Jej ciało byłoby silne. A gdybym położył dłoń na jej sercu, biłoby stabilnym, normalnym rytmem.

Do jej płuc docierałoby świeże powietrze.

Śmiałyby się i biegała jak wszyscy inni.

Siedzielibyśmy później przy fortepianie w sali muzycznej. Grałbym, a ona wypełniałaby pomieszczenie najbardziej intensywnie fioletowym głosem, jaki w życiu widziałem.

Tuliłbym ją w nocy w łóżku i zasnęłaby z głową na moim ramieniu...

szczęśliwa.

Uniosłem palce z klawiszy. Nim się odwróciłem, wziąłem trzy głębokie wdechy. Bonnie przyglądała mi się z oszołomieniem.

- Idealne - szepnęła, przez co pękło mi serce. Usiadłem na skraju łóżka. Wziąłem jej komórkę, która leżała na stoliku nocnym, i wgrałem na nią ten utwór.

- Kiedy będziesz samotna lub smutna, gdy stracisz nadzieję, odtwórz go, a wróci ci siła, którą pokazałaś, kiedy spotkaliśmy się w Brighton.

Skinęła głową. Zdrętwiałymi palcami uruchomiła odtwarzanie. W



powietrzu popłynęły nuty, które niedawno zagrałem. Bonnie zamknęła oczy i się uśmiechnęła.

- To jak... - Walczyła o oddech. - ...bycie nad jeziorem.

- Lubisz siedzieć nad wodą?

Otworzyła oczy i się uśmiechnęła.

- Tak... zwłaszcza latem. - Przytaknąłem. -I w... łodzi.

Wziąłem ją za rękę.

- Popływamy, gdy ci się poprawi.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

-Tak.

Zamknęła oczy i zasnęła przy dźwiękach mojego utworu. Zostałem przy niej, aż zapadła noc. Kiedy nadal się nie obudziła, pocałowałem ją w policzek.

- Niedługo wrócę. — Podniosłem się i podszedłem do drzwi, przy których stała jej mama.

Kobieta uśmiechnęła się do mnie.

- To było piękne, Cromwell. Muzyka, którą dla niej zagrałeś.

Podrapałem się po potylicy.

- Dziękuję. - Nie chciałem wiedzieć. Nie poradziłbym sobie, gdyby było źle, ale i tak zapytałem: - Ile jej zostało?

Pani Farraday spojrzała na córkę słuchającą muzyki, którą dla niej skomponowałem.

- Rozmawiałam właśnie o tym z Clarą. Myśli, że za kilka tygodni,

może miesiąc, Bonnie będzie musiała trafić do szpitala. - W jej oczach pojawiły się łzy. - A potem... - Nie dokończyła zdania. Nie musiała.

Wiedziałem, że wtedy będziemy mieć tyle czasu, ile wytrzyma serce Bonnie.

- Dostanie je - powiedziałem, na co pani Farraday skinęła głową.
- Dostanie.

Zamierzałem jechać do akademika, ale zorientowałem się, że podążałem na polanę, którą pokazał mi Easton. Często na nią jeździłem. Czasami mój współlokator również się na niej zjawiał.

Zaparkowałem i usiadłem na trawie nad jeziorem. Po tafli sunął ten sam kajakarz, którego tu widywałem. Ten, który również musiał mieć problemy ze spaniem. Potrzebował się zmęczyć fizycznie, by przegnać swoje demony. Przy pomoście po prawej zacumowano niewielką łódkę.

To jak bycie nad jeziorem. .. w łodzi.

Patrzyłem na księżyc i jego odbicie w wodzie. Stwierdziłem, że zrobię coś, czego jeszcze nigdy nie doświadczyłem. Zacząłem się modlić. Modliłem się do Boga, do którego nigdy w życiu się nie odezwałem, a który jednak z jakiegoś powodu zesłał mi Bonnie.

Musiałem wierzyć, że nie stracę dziewczyny, która pomogła mi przezwyciężyć wstręt do muzyki i zawładnęła moim sercem tak, jak choroba zawładnęła jej. Całkowicie i nieodwracalnie.

Przyglądałem się sunącemu w oddali kajakarzowi. Wstałem i pojechałem do akademika. W pokoju było cicho i ciemno. Zaświeciłem światło i zamarłem, gdy poczułem woń farby.

Ściany zostały zbryzgane czernią i szarością. Zdarto plakaty Eastona, ich strzępy leżały na łóżku. Wszedłem głębiej. Co tu się, do cholery, stało?

Zobaczyłem stopy wystające zza szafy. Zbliżyłem się, a serce zaczęło

walić mi jak młotem.

Dostrzegłem krew.

Rzuciłem się w kąt. Poczułem, jakby ktoś uderzył mnie w pierś.

Easton siedział na podłodze, oparty o ścianę. Poblądłem na widok krwi sączącej się z ran na jego nadgarstkach.

- Kurwa! - Opadłem na podłogę i złapałem go za nie. Na palcach poczułem ciepłą posokę. Rozejrzałem się, nie wiedząc, co zrobić.

Podbiegłem do łóżka, szarpnąłem prześcieradło. Podarłem je na paski i zawiązałem rany współlokatora.

Odnalazłem komórkę, zadzwoniłem na numer alarmowy.

- Potrzebna karetka - powiedziałem spanikowany. - Przyjaciół podciął sobie żyły.

- Oddycha? - Zobaczyłem, że nie był do końca nieprzytomny. Jego klatka piersiowa się poruszała, a oczy wywracały.

Przyłożyłem palce do jego szyi.

- Puls jest słaby. - Podałem adres i rzuciłem telefon. Trzymałem chłopaka, unosząc jego nadgarstki. - Easton, coś ty, kurwa, zrobił? - szepnąłem mu ochryple do ucha.

Stracił przytomność, kiedy pod budynkiem rozległo się wycie syreny.

Do pokoju wbiegli sanitariusze, kazali mi się odsunąć. Stałem i patrzyłem, ale wydawało mi się, jakbym całą tę scenę oglądał spoza własnego ciała. Nieprzytomnego współlokatora położono na nosze i wywieziono na korytarz. Bez namysłu pobiegłem za ratownikami.

Jechałem z Eastonem karetką, gdy się nim opiekowano. A kiedy dotarliśmy do szpitala i nie wpuszczono mnie dalej, stałem w

poczekalni, w której wpatrywały się we mnie dziesiątki oczu.

Ręce mi się trzęsły. Spojrzałem w dół - miałem je całe zakrwawione, tak jak i koszulkę. Wyszedłem w noc. Dłonie nadal mi drżały, gdy wyjmowałem komórkę z kieszeni, trzęsły się jeszcze bardziej, kiedy zadzwoniłem do pani Farraday.

- Cromwell? - powitała mnie zaskoczona. Pewnie ją obudziłem.

Było późno.

- Easton - wydusiłem. Jego mama milczała. - Jest w szpitalu. -

Zacisnąłem powieki. - Nie wiem, czy z tego wyjdzie. Było tyle krwi...

Nie miałem pojęcia, co mógłbym dodać. Ze mocno zbladł w karetce? Że nie byli go w stanie ocucić?

- Już jedziemy - poinformowała mnie cichym głosem spanikowana kobieta. Telefon umilkł.

Wróciłem do poczekalni. Nie pamiętałem, co się dalej działo, aż wpadła do niej pani Farraday. Rzuciła się do recepcji, po czym spojrzała na mnie. Wstałem. Byłem odrętwiały ale wiedziałem, co się stanie.

Przyjdą dławiące emocje, przez które nie będę w stanie oddychać.

Mama Eastona porwała mnie w objęcia. Miała szeroko otwarte, zaczerwienione oczy.

- Gdzie on jest, Cromwell?

Przełknąłem ślinę i spojrzałem na zamknięte drzwi.

- Tam go zawieźli. - Popatrzyła na moje zakrwawione ręce.

- Otworzył sobie żyły na nadgarstkach - przyznałem bezwiednie. -

Znalazłem go w naszym pokoju. Rozciął je nożem.

Pani Farraday zaczęła szlochać. Gdy uniosłem głowę, zobaczyłem również jej męża... i wózek inwalidzki, na którym siedziała podłączona do kroplówki i tlenu Bonnie. Serce mocniej mi zabiło, odrętwienie zelżało, kiedy spojrzałem jej w twarz. Po policzkach płynęły łzy, oczy miała szeroko otwarte, wyglądały niemal tak, jakby były dla niej za duże. Delikatne dłonie trzęsły się na jej kolanach.

- Bonnie. - Zbliżyłem się. Z każdym moim krokiem z jej oczu płynęło coraz więcej łez. Zatrzymałem się i spojrzałem po sobie. Krew.

Krew jej bliźniaka. - Bonnie - szepnąłem.

Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Czy są tu rodzice pana Eastona Farradaya? - zapytał głos za naszymi plecami.

Farradayowie pobiegli do lekarza, który wpuścił ich za drzwi, przez które ja nie mogłem przejść. Obserwowałem, jak się zamykały, uniemożliwiając mi dostęp. Dźwięk, który przy tym wydały, obudził w moim umyśle pomarańczową barwę. Słyszałem też skrzypienie ołówków na papierze i trzask z głośników. Pociąganie nosem przyjaciół

i rodzin siedzących w poczekalni.

Zacząłem chodzić w kółko, próbując zablokować te odgłosy.

Odrętwienie, z którego zacząłem się budzić, gdy zobaczyłem Bonnie, rzucało na podłogę wstęgi szkarłatnej czerwieni. Usiadłem i złapałem się za głowę, kiedy emocje uderzyły we mnie z siłą pociągu towarowego.

W moim umyśle pojawił się widok Eastona, leżącego na podłodze, całego we krwi. Czuję woń posoki, miałem metaliczny posmak na języku. Ból rozgorzał w piersi, kłuł na skórze. Oczy Eastona. Krew na podłodze. Czarna farba. Oczy Eastona. Głos pani Farraday... I...

- Bonnie - szepnąłem. Wspomniałem wyraz jej twarzy, kiedy mnie zobaczyła. Kuliła się, jakby chciała się odsunąć. Zmiażdżyło mi to serce.

Wierciłem się na krześle, nie wiedząc, dokąd się udać i co ze sobą zrobić. Nie miałem pojęcia, ile czasu minęło do chwili, gdy ktoś usiadł

obok. Spojrzałem, przeczesując włosy palcami, i dostrzegłem, że był to pan Farraday.

Czekałem na jego słowa. Położył rękę na moim ramieniu.

- Uratowałeś życie mojemu synowi. - Poczułem ulgę tak wielką, jak nigdy wcześniej, ale sprawiło to jedynie, że zacząłem odczuwać jeszcze mocniej. Chciałem wyjść. Musiałem... Musiałem grać. Potrzebowałem pozbyć się uczuć w jedyny znany mi sposób. - Ocaliłeś go, chłopcze - powtórzył.

Zakrztusiłem się, gardło mi się ścisnęło. Skinąłem głową i spojrzałem na niego. Wyglądał na zdruzgotanego. Miał dwoje dzieci. Jedno umierało z powodu niewydolności serca, a drugie właśnie próbowało odebrać sobie życie.

Nie mogłem tu zostać. Wydawało mi się, że moje własne serce próbowało wyskoczyć mi z piersi. Skóra mnie mrowiła. Musiałem wyjść, ale...

- Bonnie zostanie jeszcze trochę. - W oczach pana Farradaya prócz bólu gościło zrozumienie.

- Nie mogę jej zostawić - powiedziałem cicho. Chociaż czułem się, jakbym wychodził ze skóry, chciałem się z nią zobaczyć. Upewnić się, że nie winiła mnie za tę sytuację. Pragnąłem potrzymać ją za rękę, która nieustannie była teraz zimna. Ogrzewała się jedynie, gdy trzymałem ją w swoich dłoniach.

- Idź się przebrać. Umyć. Niedługo się z nią zobaczysz.

Miałem ochotę przedrzeć się przez oddzielające mnie od Bonnie drzwi. Chciałem olać wszystkie zasady i biec do niej. Upewnić się, czy wszystko z nią porządku, po tym jak jej bliźniak próbował popełnić

samobójstwo, podczas gdy sama walczyła o życie. Jak niby miała to pojąć?

- Proszę, Cromwell - powiedział pan Farraday. Spojrzałem na niego. Był załamany. W myślach pojawiła się twarz mojego własnego taty. Jak wyglądała, kiedy widziałem go po raz ostatni. Gdy uderzyłem w niego słowami i rozdarłem jego duszę.

Poderwałem się z miejsca i pobiegłem do drzwi. Pojechałem do najbliższego monopolowego i kupiłem butelkę mojego starego przyjaciela Jacka Daniela. Nie piłem od tygodni.

Miałem w dupie spojrzenie, jakie posłała mi kasjerka, kiedy rzuciłem na ladę fałszywy dokument, a palce miałem całe we krwi.

Przejechałem główną ulicą, walcząc z groźącymi pochłonięciem mnie emocjami. W głowie mi huczało, wzrastało w niej ciśnienie.

Włączyłem miks, który uderzał beatem w rytmie mojego serca. Głośny bas walił w kabinie pickupa. To zazwyczaj pomagało mi wszystko zablokować, ale dziś zdało się na nic. Nie zdusiło uczuć, które wzrastały we mnie tak mocno, że musiałem przytępić je alkoholem. Nie sprawiło, że przestałem myśleć o Eastonie.

Zaparkowałem. Z Jackiem w dłoni, ignorując szepty studentów, ruszyłem ścieżką do budynku wydziału muzycznego. Odkręciłem butelkę, upiłem spory łyk, nim poczułem palenie, które miało zagłuszyć emocje. Stępić je, bym znów mógł oddychać.

Popchnąłem ramieniem drzwi, przemierzyłem korytarz, aż znalazłem się w sali, z której najczęściej korzystałem. Stałem przed instrumentami, które ze mnie drwiły. Krzyczały, bym ich użył, ale opanował mnie gniew. Czuję wściekłość i frustrację. Miałem tego wszystkiego serdecznie dość. Upiłem kolejny łyk whisky, po czym rzuciłem się na perkusję, kopiąc zapamiętałe, by ją wywrócić.

Nie pomogło. Talerze leżały na podłodze, ale uczucia wciąż we mnie płonęły, jasne i żywe. Neonowe barwy niemal mnie oślepiały, w ustach

poczułem metaliczny posmak bólu, a cierpienie i bezradność były jak kwas palący moje gardło.

Wybiegłem z sali, kierując się do gabinetu Lewisa. Zrobiłem to bez namysłu, ponieważ wszystko się we mnie gotowało. Gdy waliłem w drzwi, w kącikach moich oczu pojawiły się gorące łzy, parząc skórę.

Uderzałem pięścią w drewno, robiąc to coraz szybciej i głośniej. Moją głowę wypełniła pulsująca żółć. Słyszałem własny oddech -

oliwkowozielony. Serce kołatało w piersi jak oszalałe - brązowe.

Jeszcze mocniej waliłem w drzwi, każdy dźwięk, każda emocja, każdy smak atakował moje zmysły. Nie, nie atakował: demolował, zacierając wszystko na swojej drodze.

Drzwi otworzyły się, wpadłem do pomieszczenia. Lewis znalazł się przede mną, wytrzeszczając z przerażeniem oczy.

- Chryste, Cromwell! Co się stało? - Odepchnąłem go i zacząłem chodzić po pokoju. Wypiłem jeszcze trochę jacka. Pozostało już tylko pół butelki, jednak tym razem uczucia były zbyt silne, bym zgasił je alkoholem.

Rzuciłem butelką o ścianę, wsłuchując się w dźwięk tłuczonego szkła. W moim umyśle pojawiła się rozmazana złota plama. Złapałem się za włosy, zacząłem ciągnąć. Uderzałem się w głowę, aż Lewis złapał

mnie za rękę. Trzymał mocno, zmuszając, bym popatrzył mu w oczy.

- Cromwell - powiedział ostro, surowo. - Uspokój się.- Agresja puściła, pozostawiając fluorescencyjny odcień na wszystkim, z czym walczyłem. Obróciłem ćwiekiem w ustach, próbując pozbyć się posmaku goryczy.



- Cromwell! - Profesor potrząsnął mną.

Zgarbiłem się.

- Nie mogę ich znieść - przyznałem łamiącym się głosem. W oczach Lewisa pojawił się smutek. Wpatrywałem się w krew Eastona na moich rękach. Nie zmyłem jej z siebie. - Próbował się zabić, a ona umiera. - Potarłem oczy, usiłując pozbyć się granatowego pigmentu, który przysłał każdą inną barwę w mojej głowie. Kurewsko nienawidziłem granatu. - Czeka na serce, ale nie wydaje mi się, by miała je dostać.

Lewis rozluźnił nieco uchwyt, ale nie puścił. Patrzyłem na jasne kolory na obrazie wiszącym na ścianie.

- Z każdym dniem jest coraz słabsza. - Pokręciłem głową, gdy w moim umyśle pojawił się widok Bonnie w szpitalu. Kiedy siedziała na wózku, patrząc tymi ogromnymi oczami, wyglądała tak krucho, jakby przegrywała walkę. - Umrze - wyszeptalem. Ogromny ból i ciemnoniebieski kolor wdarły się do każdej komórki mojego ciała, pozbawiając mnie tchu. - Sprawiała, że znów chcę grać. - Uderzyłem się pięścią w pierś, w miejsce nad pracującym poprawnie sercem. - To dzięki niej znów zacząłem słuchać muzyki, która żyje w moim wnętrzu.

Zainspirowała mnie. Sprawiała... że znów jestem sobą. - Przełknąłem ślinę przez ściśnięte gardło. - Nie może umrzeć. - Cała agresja opuściła moje ciało. - Kocham ją. Jest moim srebrem.

Ponownie wzrosły emocje, niczym tsunami gotowe zniszczyć spokojny brzeg. Lewis poprowadził mnie, trzymając rękę na moim ramieniu. Nie wiedziałem nawet, dokąd szliśmy, aż zamrugałem i zobaczyłem, że znajdowaliśmy się w studiu. Było lepsze niż każde, które widziałem od przyjazdu tutaj. Rozejrzałem się po eleganckim pomieszczeniu, w którym instrumenty tylko czekały, by na nich grać.

Wszystkie były nowe i z górnej półki. Mój wzrok spoczął na fortepianie

w rogu. Błyszcząca czarna obudowa przyciągała mnie jak magnes.

Przemierzyłem jasną, drewnianą podłogę. Miałem wrażenie, jakbym się ślizgał, gdy zmierzałem w stronę instrumentu, na którym koncertowałem niezliczoną ilość razy jako dziecko. Widzowie na pełnych salach przysłuchiwali się mojej grze... a za kulisami stał tata, który przyglądał się swojemu synowi z synestezją, dzielącemu się barwami swojej duszy.

- Musisz grać - powiedział Lewis. Stał pośrodku pomieszczenia i patrzył na mnie. W tamtej chwili wyglądał jak kompozytor, którego widziałem wiele lat temu w Albert Hall.

Tyler Lewis.

Skrzywiłem się, kiedy powróciły emocje. Miałem wrażenie, że moja głowa znajdowała się w imadle - bolała, pulsowała.

- Uwolnij je - polecił. Pozwoliłem, by jego głos dotarł do moich uszu.

Był bordowy.

Lubiłem ten odcień.

Położyłem palce na klawiszach. Gdy tylko dotknąłem chłodnej kości słoniowej, wszystko się uspokoilo. Zamknąłem oczy, a dzisiejsze wydarzenia zmieniły się w barwne kształty, które tańczyły i błyszczały, dżgając i się rozciągając.

Podążyłem za nimi, jak polecilo mi serce. Z każdą nutą, każdym akordem, emocje stawały się słabsze. Grałem i grałem, aż przestałem myśleć. Pozwoliłem, żeby muzyka poprowadziła mnie w ciemność.

Odetchnąłem, kiedy rozluźniła się moja pierś. Mięśnie stały się jednością z instrumentem, napięcie przechodziło z włókien w melodię.

Dzięki sonacie, która materializowała się w studiu, emocje zostały ułagodzone. Ból głowy zniknął, gdy ostatnie nuty tańczyły i rozpraszały się w powietrzu, zabierając ze sobą ciężar z mojego serca.

W końcu muzyka postanowiła zamilknąć, a ja czułem się jej pełen.

Odetchnąłem. Wciągałem powietrze i je wypuszczałem, opuściłem ręce wzdłuż boków. Otworzyłem oczy i spojrzałem na czarne i białe klawisze. Pomimo dzisiejszych wydarzeń, pomimo bólu i smutku, który miał się nasilić, uśmiechnąłem się.

Bonnie spodobałby się ten uśmiech.

Kiedy uniosłem głowę, Lewis wciąż stał w miejscu, które zajął, gdy zacząłem grać, choć na jego twarzy malował się zupełnie inny wyraz.

Profesor miał wilgotne oczy.

- To właśnie dlatego, Cromwell - powiedział ochryple - chciałem, byś tu był, żebyś studiował na tej uczelni. - Zbliżył się o krok. - Nigdy czegoś takiego nie słyszałem, synu. W całej swojej karierze kompozytora i dyrygenta nie miałem okazji posłuchać czegoś tak surowego, tak prawdziwego, jak to, czego właśnie doświadczyłem.

Podszedł do fortepianu, oparł się o niego. Milczał. Patrzyłem na instrument, wodząc palcami po błyszczącym czarnym drewnie.

- Pragnę tego - szepnąłem i poczułem, że więzy, które pętały moją pasję do melodii, rapsodii i symfonii, puściły. Zniknął ucisk w gardle.

Odetchnąłem i poczułem, jakbym po raz pierwszy od lat - może nawet od momentu zaginięcia taty - napełnił płuca powietrzem, ponieważ podjąłem decyzję. Muzyka domagała się komponowania od chwili, w której się urodziłem... a w tym momencie wreszcie byłem gotowy słuchać. - Pragnę tego - powtórzyłem głośniejszym głosem, z przekonaniem, którego nie miałem wcześniej. Spojrzałem na profesora. - Potrzebuję tego. -

Musiałem tworzyć, komponować. Pomyślałem o historii, którą opowiedział dziś ten Steinway. Poczuję smutek, próbujący wydostać się na powierzchnię. Opuściłem palec na pojedynczy klawisz i wcisnąłem „E”. Zawsze lubiłem ten dźwięk. Był miętowozielony.

- Podciął sobie żyły. - Wcisnąłem „G”. - Easton. Brat Bonnie.

Próbował dziś się zabić. - Nacisnąłem kolejne klawisze. - Znalazłem go. - Mój głos brzmiał jak brzytwa.

- Czy...?

- Jego stan jest stabilny. Tak mówił jego tata. - Przeszedłem przez resztę oktaw. Wolną rękę położyłem sobie na piersi. - Te uczucia... -

Pokręciłem głową, nie wiedząc, jak mam to wyjaśnić.

- Pochłonęły cię - skwitował Lewis. - Złamały.

Zatrzymałem dłoń na klawiszach. Popatrzyłem mu w oczy.

- Tak. - Byłem zdezorientowany. Profesor mnie rozumiał.

Lewis przysunął sobie krzesło i usiadł obok. Również położył palce na instrumencie. Przyglądałem się, jak jego ręce poruszały się, jakby robiły to z własnej woli. Zobaczyłem w myślach barwy. Zacząłem grać podobne, te, które się zazębiały. Usta Lewisa rozciągnęły się w uśmiechu. Podążyłem za jego melodią. W mojej głowie odbijało się spektrum kolorów. I ścigałem je, aż Lewis zabrał ręce i opuścił je na kolana.

Westchnął.

- Właśnie w ten sposób zacząłem pić. I ćpać. - Postukał się w głowę, a później w mostek. - Uczucia. Kolory, które widziałem, gdy wszystko było nie tak. - Pokręcił głową. - Nie potrafiłem sobie z nimi poradzić. Próbowałem stępić ból alkoholem. Moje życie stało się wtedy pasmem nieszczęść.

- Pana emocje również się wzmacniają? - Wpatrywałem się w niego.

Przytaknął.

- Widzę barwy i czuję też smak.

- Nie spodziewałem się, że synesteci mogą mieć tak zbliżone objawy.

Lewis pokiwał głową. Czuję lekkość, której nawet nie umiałem opisać, ponieważ ktoś wiedział, jak to jest. Ktoś rozumiał to, co wywoływało we mnie tyle odczuć, że nie mogłem ich znieść, czego skutkiem było otoczenie siebie i tego, kim naprawdę byłem, wysokim murem.

Lewis zamknął oczy, odetchnął, po czym wyjął coś z wewnętrznej kieszeni marynarki. Na pokrywie fortepianu położył srebrną piersiówkę.

- To whisky - powiedział, wpatrując się w przedmiot. - Jestem trzeźwy od trzech lat. Kiedy kilka miesięcy temu poproszono mnie, bym stworzył coś na galę, sądziłem, że podołam. Myślałem, że zapanowałem nad swoimi demonami. - Ruchem głowy wskazał na piersiówkę. -

Wydawało mi się, że potrafiłem zapanować nad emocjami, które powstawały we mnie, gdy grałem. Kiedy przychodziły do mnie barwy. -

Parsknął gorzkim śmiechem. - Gdy otwierałem swoją duszę. - Opuścił

wzrok na klawisze. Wcisnął „F”, na co w powietrzu zawibrował różowy sześciokąt. - Ale mam w sobie zbyt wiele żalu, Cromwell. Zbyt wiele duchów przeszłości, od których się nie uwolniłem. Odnajdą mnie za każdym razem, gdy zabiorę się do komponowania, ponieważ żyją we mnie. Moja muzyka nie byłaby prawdziwa, gdybym nie przelał na papier nutowy całego siebie. - Powiódł palcem po wzorze na piersiówce.

- Ale nie potrafię poradzić sobie ze wszystkimi emocjami właśnie przez synestezję. Byłem głupi, myśląc, że będzie inaczej.

- Wypił pan coś?

- Jeszcze nie. - Ponownie się roześmiał, ale brzmiało to bardziej, jakby się krztusił. - Noszę to tylko ze sobą. Aby udowodnić samemu

sobie, że zdołam się oprzeć. - Zanim udało mi się coś powiedzieć, dodał:  
- Nie skomponuję niczego na galę Filharmonii Narodowej. -

Zmarszczyłem brwi, a profesor spojrział na mnie. - Powiedziałem im, że znam kogoś, kto mógłby zadebiutować.

Byłem wyczerpany psychicznie, więc potrzebowałem dłuższej chwili, by zrozumieć, do czego zmierzał. Krew zaczęła krążyć szybciej, kiedy doszło do mnie znaczenie jego słów. Obsypała mnie gęsia skórka, a serce gwałtownie przyspieszyło.

- Sposób, w jaki właśnie zagrałeś... - Pokręcił głową. -Wszystko w twoich rękach, Cromwell, ale jeśli zechcesz, miejsce jest twoje.

Kierownik muzyczny pamięta cię z młodości. Zapewne chętniej przyjmą ciebie niż mnie. Muzyczny geniusz, który pewnego dnia przestał grać, a teraz wraca z hukiem.

Serce obijało mi się o żebra.

- Nie ma wystarczająco dużo czasu. Gala jest niedługo. I musiałbym skomponować całą symfonię...

- Pomogę ci.

Spojrzałem na niego podejrzliwie.

- Dlaczego tak bardzo chce mi pan pomagać? Nie może chodzić wyłącznie o przysługę dla taty.

Lewis odwrócił wzrok, po czym ponownie na mnie spojrział i powiedział:

- Powiedzmy, że mam do naprawienia sporo błędów. To jeden z moich dwunastu kroków - umilkł. Zastanawiałem się, nad czym rozmyślał. - Ale również dlatego, że po prostu chcę ci pomóc w komponowaniu.

Adrenalina pulsowała w moich żyłach, gdy pomyślałem o powrocie

na scenę w otoczeniu orkiestry, która zagra moje utwory, ale ekscytacja zaraz zgasła.

- Bonnie... Nie wiem, co będzie. Nie... - Zaciśnięciem ust, kiedy wyobraziłem ją sobie w łóżku, na wózku inwalidzkim. W głowie pojawiło się wspomnienie tego, jak wyglądała, gdy zobaczyła na mnie krew Eastona. - Nie wiem, czy dam radę.

Lewis położył rękę na moim ramieniu.

- Nie musisz podejmować decyzji w tej chwili. - Pokręcił głową i zabrał dłoń. - Nie powinienem cię teraz o to prosić. Zrobiłem to bez grama taktu.

- Nie - spierałem się. - Nie o to chodzi... Po prostu...

- Nie spiesz się. Miejsce to pozostanie jeszcze jakiś czas wolne.

Skinąłem głową, po czym popatrzyłem po sobie. Cały byłem we krwi. Moje ręce...

- Klawisze - powiedziałem, nie wiedząc, co dodać. Pobrudziłem na czerwono klawisze fortepianu. Złapałem za rąbek koszulki i zacząłem je wycierać, ale krew, która była na materiale, tylko wszystko pogorszyła.

Lewis zatrzymał mnie, łapiąc za ramię.

Znów się trząsnę. Zamknąłem oczy, odetchnąłem głęboko i wzięłem się w garść.

- Wyczyszczę to, Cromwell. Wracaj do siebie, by się umyć.

Otworzyłem oczy i podszedłem do drzwi. Miałem wyjść, gdy odwróciłem się do Lewisa, który wpatrywał się w piersiówkę.

- Dobrze było - przyznałem ochryple - porozmawiać z kimś, kto rozumie.

Uśmiechnął się.

- Lub po prostu z kimkolwiek. - Skinąłem głową, a Lewis znów spojrzał na piersiówkę. - Taką osobą zawsze była dla mnie twoja matka.

Zmarszczyłem brwi.

- Mama?

- Tak. Nie mówiła ci, że się znamy? - Poblądł lekko. Podzielił się właśnie czymś, czym nie powinien. Pokręciłem głową. Nie miałem pojęcia, o czym mówił. - Studiowaliśmy razem. Właśnie tak się poznaliśmy. Stąd twój ojciec wiedział, jak się ze mną skontaktować.

- Nigdy nic nie mówiła. - Zastanawiałem się dlaczego. Chociaż też nigdy jej o to nie pytałem. Założyłem tylko, że słyszała o nim w świątku, w którym się obracałem. Dziś jednak nie było w mojej głowie miejsca na takie rozważania.

- Dobranoc, profesorze. - Zostawiłem Lewisa z kuszącymi go demonami. Wracając do akademika, nogi miałem jak z ołowiu. Kiedy dotarłem do pokoju, zobaczyłem, że został posprzątany. Na drewnianej podłodze pozostały jedynie wyblakłe ślady krwi Eastona. Resztki porwanych plakatów również usunięto. Wziąłem prysznic, usiadłem na skraju łóżka i spojrzałem na czarną farbę na ścianach. Na wiele par świdrujących oczu, które namalował współlokator. Oczu, które obserwowały każdy mój ruch.

Dopadło mnie wyczerpanie, więc się położyłem. Wyjąłem komórkę i wysłałem Bonnie krótką wiadomość: KOCHAM CIĘ.

Proste, a mimo to dla mnie znaczyło dosłownie wszystko.

Obudziłem się, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Przetarłem oczy i odrzuciłem kołdrę na bok. Spomiędzy zasłon sączyło się jasne światło.

Za oknem śpiewały ptaki.

Otworzyłem drzwi i znieruchomiałem. Na korytarzu znajdowała się Bonnie na wózku inwalidzkim.



Przełknąłem ślinę.

- Farraday - wychrypiałem. Jej ojciec odchodził korytarzem.

Uśmiechnął się do mnie lekko.

Bonnie wzięła mnie za rękę, patrząc zmęczonymi oczami. Drżały jej wargi.

- Bonnie - szepnąłem i mocno ją uściskałem. Puściłem tylko po to, bym mógł ją obejść i wprowadzić wózek do pokoju. Kiedy zamknąłem drzwi, usłyszałem, że wciągnęła gwałtownie powietrze.

Żołądek podszedł mi do gardła. Zakryła ręką usta, wpatrując się w pokryte czarną farbą ściany. Próbowałem obrócić wózek, by nie patrzyła na to, ale nie zdążyłem. Ciche łzy popłynęły po jej policzkach, gdy na podłodze zobaczyła ślady krwi.

Zdjąłem z łóżka koc i nakryłem nim to miejsce. Kucnąłem przed Bonnie i złapałem ją za podbródek, by unieść głowę. W końcu oderwała wzrok od tamtego kąta.

- Nie musisz tego oglądać.

Przytaknęła, ale kiedy się przysunęła i wtuliła w moją szyję, dała wyraz swoim uczuciom i bólowi. Szlochała.

Trzymałem ją mocno, czując narastające emocje, z którymi nie potrafiłem walczyć. Płakała tak mocno, że nagle zaczęła się dusić.

Objąłem jej twarz i się odsunąłem. Policzki miała mokre, jej skóra siniała z braku powietrza.

- Oddychaj, kochanie - powiedziałem. Pochłaniała mnie panika, ale starałem się nad sobą zapanować, gdy Bonnie próbowała wtłoczyć powietrze do płuc.

Potrzebowała dłuższej chwili, by jej oddech wrócił do tego, który uchodził za normalny.

- W porządku? - zapytałem. Przytaknęła. Jej oczy straciły blask z wyczerpania. - Chodź do łóżka. - Przypilnowałem, żeby wózek stał na tyle blisko, by jej kroplówka i tlen mogły sięgać, po czym wziąłem ją na ręce. Złapała mnie za szyję. Zamarłem, spijając wyraz jej twarzy. To, jak była ładna. Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się nikle. Tym jednym uśmiechem coś we mnie zmieniła.

Pochyliłem głowę i pocałowałem ją, robiąc to tak długo, aż musiałem się odsunąć, żeby mogła złapać oddech. Zobaczyłem wtedy, że drżały jej wargi.

- Mam cię - powiedziałem z nadzieją, że zrozumie, że nie chodziło mi tylko o tę chwilę.

Położyłem ją na łóżku i wyciągnąłem się obok. Miała na sobie legginsy i sweter, włosy spływały warkoczem po plecach. Nie mogłaby wyglądać pięknie, nawet gdyby się starała.

Chciałem coś powiedzieć, kiedy patrzyła mi w oczy, ale nie wiedziałem co. Moje serce biło milion razy na minutę.

Szepnęła:

- Dziękuję. Położyła słabą rękę na mojej piersi i przysunęła się odrobinę. - Ocaliłeś go.

Zamknąłem oczy.

- Nie - powiedziała bardziej stanowczo niż od jakiegoś czasu.

Uniosłem powieki. Dotknęła dłonią mojego policzka - Kocham twoje oczy.

- Bonnie. - Pokręciłem głową. - Co z nim?

Zmienił się wyraz jej twarzy. Zerknęła ponad moim ramieniem.

- East cierpi na chorobę afektywną dwubiegunową. - Przestałem oddychać, wszystko znieruchomiało. Rozchyliłem usta, ale Bonnie kontynuowała: - Od zawsze uważał życie za... trudne, ale ostatnio było

lepiej.

- Choroba dwubiegunowa. - Przypomniałem sobie jasne obrazy, które malowałem, gdy przyjechałem na uczelnię. Krzyki do mikrofonu w Spichlerzu. Zarwane noce. Picie. Szalone zachowanie... i mrok. Zmianę w otaczających go barwach -z fioletów i zieleni na czerń i szarość. I jego obrazy. To, że nie był w stanie podnieść się z łóżka.

- Dobrze udaje, że nic mu nie jest. - Ponownie spojrzałem na Bonnie i pomyślałem o tym, jak brat szeroko się przy niej uśmiechał, ale był rozdrażniony, kiedy tu wracał. Bonnie spuściła wzrok. Splotłem z nią palce. Popatrzyła na nasze złączone dłonie. - Próbował już wcześniej.

Zamarłem. Trzymała się, pokazując swoją wewnętrzną siłę, choć z jej oczu bił ból.

-Jego skórzane bransolety - dodała.

Zrozumiałem.

-Już wcześniej podciął sobie żyły?

Przytaknęła.

- Miewa chwile niezwykłych uniesień, ale ma też koszmarne zjazdy. Gdy dzieje się to drugie, jest okropnie. Od lat przechodzi tę huśtawkę, ale ostatnio dobrze sobie radził. - Oddychała płytko. -

Przyznał się, że odstawił leki. Powiedział, że osłabiały jego twórczość, ale już do nich wrócił. Musi je brać, by zapanować nad nastrojami.

Milczeliśmy przez bardzo długą chwilę, gdy Bonnie odpoczywała.

Mocniej walczyła o oddech. Cały czas ją tuliłem, zapamiętując ten moment. To, jak się czułem z nią w ramionach. Tutaj, teraz.

Wszystko, co jej dotyczyło.

- Jest w stanie stabilnym. - Odprężyłem się, słysząc te słowa.

Spojrzała mi w oczy. Jej wargi nadal drżały, na rzęsach pojawiła się wilgoć. - Zostałeś mi zesłany. - Uśmiechnęła się szeroko fioletowymi ustami. - Aby pomóc mi przez to przejść. - Do oczu napłynęły mi łzy. -

Albo żeby mi pokazać... - Znieruchomiałem. - Miłość... nim będzie za późno.

- Nie. - Przyciągnąłem ją bliżej. Chciałem trzymać ją tak blisko, by siła mojego serca mogła tchnąć życie w jej narząd. - Dostaniesz serce, Bonnie. Nie chcę nawet myśleć o alternatywie.

Jej słaby uśmiech rozerwał mnie na pół.

- Jest... coraz trudniej. - Zamknęła oczy i odetchnęła. Jej klatka piersiowa poruszała się nieregularnie. Kiedy ponownie na mnie spojrzała, powiedziała: - Walczę. I nie przestanę... ale jeśli będę musiała, mogę odejść... wiedząc, jak to jest. - Pogłaskała mnie po twarzy, powiodła palcem po moich ustach. - Jak to jest cię kochać... Znać cię.

Słyszeć w muzyce twoją duszę.

Pokręciłem głową, nie chcąc tego słuchać.

- Nie stracę cię. - Pocałowałem ją w czoło. Odetchnąłem brzoskwinia i wanilią. Posmakowałem uzależniającej słodczy. - Nie mogę bez ciebie żyć.

- Cromwell... - Popatrzyłem jej w oczy. Przełknęła ślinę. - Nawet jeśli dostanę serce... Nie zawsze stanowi to odpowiedź.

- Co masz na myśli?

- Moje ciało może je odrzucić. - Pokręciłem głową, nie chcąc w to wierzyć. - I jest też kwestia długości mojego życia po operacji. Niektórzy dostają rok... niektórzy żyją pięć czy dziesięć lat. - Uniosła głowę, po chwili znów ją spuściła. - A jeszcze inni żyją dłużej, nawet ponad dwadzieścia pięć lat. Nigdy nie wiadomo.

- Będziesz się zaliczać do tej ostatniej grupy. Poradzisz sobie, Bonnie. Znów będziesz śpiewać. Będziesz oddychać, biegać, grać na gitarze...

Oparła twarz o moją i załkała cicho. Tuliłem ją mocno. Po chwili cichy szum pompy podającej tlen i nierówne oddechy Bonnie były jedynymi dźwiękami w pokoju. Zasnęła w moich ramionach i jej oddech stał się niemal niesłyszalny.

Ale sam nie spałem.

W mojej głowie zaczęła grać sonata, nie dając mi zasnąć.

Zamknąłem oczy i wsłuchiwałem się w muzykę, opowiadającą naszą historię. Przyglądałem się kolorom wybuchającym niczym fajerwerki.

Oddychając wonią Bonnie, smakując jej słodczy, pozwoliłem, by ta symfonia mnie obmyła. Ogrzała.

Nie zmieniliśmy pozycji przez kilka godzin, aż i ja zasnąłem.

Gdy się obudziłem, Bonnie nadal znajdowała się w moich objęciach... dokładnie tam, gdzie być powinna.

## **ROZDZIAŁ 21**

*BONNIE*

*Dwa tygodnie później...*

- Podoba mi się - powiedziałam, gdy Cromwell zagrał na skrzypcach, stojąc przy nogach łóżka. Przyglądałam się, jak poruszał smyczkiem, zadziwiona, że ktoś potrafił aż tak dobrze grać na tak wielu instrumentach.

Żołądek mi się ścisnął, kiedy próbowałam odetchnąć, ale powietrze nie trafiło do płuc. Cromwell zamknął oczy i zagrał fragment, który przepisaliliśmy. Tak naprawdę zrobił to sam. Przecież nie mogłam się oszukiwać, jeśli chodziło o takiego kompozytora jak on. Przejął

prowadzenie. Jakżeby miało być inaczej, skoro wystarczyło, by podążał ścieżką wyznaczoną przez serce?

Byłam zmęczona. Bardzo. Przez ostatnie dziesięć dni w ogóle nie wstałam z łóżka. Spojrzałam na swoje nogi. Były za chude. Nie mogłam się na nich poruszać. Mimo to Cromwell przychodził codziennie.

Całował mnie tyle razy, ile zdołał, tulił mnie, gdy było mi zimno.

Czasami zastanawiałam się, czy moje serce również czuło to, co odczuwała moja dusza, kiedy Cromwell szeptał mi do ucha, jak bardzo mnie kocha. Że mnie uwielbia. I że uda mi to przetrwać.

Bardzo chciałam w to uwierzyć. Nie spodziewałam się jednak, że będę aż do tego stopnia zmęczona. Nie miałam również świadomości, że będzie mnie czekał tak wielki ból. Ale gdy patrzyłam w oczy Cromwellowi i rodzicom, gdy myślałam o Eastonie, wiedziałam, że musiałam się trzymać.

Nie mogłam stracić wszystkich tych osób.

Z zewnątrz dobiegł dźwięk zamykanych drzwi od samochodu.

Cromwell przerwał pisanie na papierze nutowym. Zacisnęłam dłonie, wiedząc, kto to mógł być. Easton miał wrócić dziś do domu. Przebywał

do tej pory w poleconym przez terapeutę ośrodka odwykowym na obrzeżach Charleston. Miało to sprawić, że poczuje się lepiej, i wyposażyć go w narzędzia niezbędne do walki z mrocznymi myślami.

Tęskniłam za nim. Nie widziałam go poza tą pierwszą nocą w szpitalu.

Cromwell podniósł się, kiedy otworzyły się drzwi frontowe.

Wydawało mi się, że serce mocniej mi zabiło, choć wiedziałam, że nie miało w sobie tyle siły.

Ukochany usiadł przy mnie na łóżku i wziął za rękę, gdy otworzyły się drzwi pokoju. Easton stanął w nich ze zwieszoną głową i zabandażowanymi nadgarstkami, ale był moim bliźniakiem. Dla mnie zawsze wyglądał tak samo.

Po policzkach popłynęły mi łzy, kiedy tak niezręcznie stał na progu.

Nie uniósł głowy. Cromwell puścił moją rękę i przeszedł przez pokój.

Easton przeniósł na niego wzrok, a ten go uściskał. Nie potrafiłam nad sobą zapanować. Zaczęłam szlochać na widok ofiary i osoby, która ją uratowała. Easton trząsał się, gdy Cromwell go ściskał.

Chłopcy zostali w tej pozycji przez dłuższą chwilę, aż brat uniósł głowę i popatrzył na mnie.

- Bonn - szepnął. Skrzywił się, kiedy zobaczył, że leżę w łóżku.

Wydawało mi się, że nie potrafił wykonać żadnego ruchu. Uniosłam więc do niego rękę. Wahał się, aż Cromwell położył dłoń na jego ramieniu.

- Tęskniła za tobą, East - powiedział. Bardzo kochałam tego chłopaka. Niemożliwie mocno.

Podszedł powoli, a gdy usiadł na skraju łóżka i wziął mnie za rękę, pociągnęłam go do siebie. Objął mnie, więc go przytuliłam. Cieszyłam

się, mając go ponownie w objęciach. Tuż przy mnie.

- Kocham cię, East.
- Kocham cię, Bonn.

Tuliłam go tak długo, jak zdołałam. Zapiszczała aparatura, do pokoju weszła Clara. Uśmiechnęła się do Eastona i zmieniła kroplówkę.

Musiałam dostawać płyny, ale prócz nich miałam również wklucie centralne. Tylko w ten sposób można mnie było odżywiać. Easton się przyglądał, w jego oczach wciąż gościł smutek. Po wyjściu pielęgniarki usiadł na krześle, a Cromwell, jak co dzień, ułożył się obok mnie na łóżku i wziął mnie za rękę.

- Jak się czujesz? - wydusiłam przez ściśnięte gardło.

Oczy Eastona błyszczały, zwiesił głowę.

- Przepraszam. - Spojrzał na mojego towarzysza. - Przepraszam, Crom. - Chciałam coś powiedzieć, ale nie dopuścił mnie do głosu. - Nie potrafiłem dłużej tego znieść. - Wciągał powietrze. Gdybym mogła, zrobiłabym to samo. - Odrzuciłem leki i wszystko się skumulowało...

Uniosłam drugą rękę, więc mnie za nią wziął.

- Po... potrzebuję cię - szepnęłam.

Easton popatrzył mi w oczy i w końcu skinął głową.

- Wiem, Bonn. - Uśmiechnął się słabo. - Będę tu. Obiecuję.

Odetchnęłam i próbowałam wyczytać coś z jego twarzy.

Wyglądał na zmęczonego, wycofanego, ale tu był.

Przysunął się.

- A jak ty się czujesz? - Rozejrzał się po maszynach, które



rozstawiono po pokoju.

- Trzymam się - odparłam, na co posmutniał. Cromwell pocałował mnie w ramię, uściskał moją dłoń.

Wyrzałam przez okno.

- Jak tam jest? - Nie sądziłam, że można było aż tak tęsknić za słońcem, za wiatrem, nawet za deszczem.

- Ładnie - odparł Easton. Uśmiechnęłam się na tę jednowyrazową odpowiedź. Nigdy bym nie opisała tak pogody. Chciałam wiedzieć, jakiego koloru były liście na drzewach, czy było chłodniej niż dziesięć dni temu, jak wyglądało wieczorami jezioro, gdy coraz szybciej zapadał zmrok.

- Ładnie - powtórzyłam, na co bliźniak się uśmiechnął.

- To co tam komponujecie? - zapytał z nutką wesołości. Nie sądziłam, żeby naprawdę był tym zainteresowany, ale kochałam go za to, że się starał.

Cromwell wyjął z kieszeni dyktafon. Zawsze nagrywał to, co udało nam się stworzyć, po czym zrzucał mi to na komórkę, bym mogła później posłuchać. Grał części, które skomponowaliśmy, a nawet próbki tego, jak mogły współgrać przeróżne sekcje instrumentów.

Eastonowi opadła szczęka.

- To ty grałeś na tym wszystkim? - zapytał Cromwella.

Chłopak się zarumienił.

- Tak - odparłam za niego.

Brat zmarszczył brwi.

- Kto napisał muzykę?

- Oboje...

- Cromwell - przerwałam. Mój partner spojrział na mnie, mrużąc oczy Mimowolnie się uśmiechnęłam. - To prawda... - To była wyłącznie jego zasługa.

Easton rozsiadł się i pokręcił głową.

- Gwiazda *dance'u* lubi więc muzykę klasyczną.

Cromwell się skrzywił.

- Nie jest zła.

Easton się zaśmiał, na co i jego kumpel zaczął rechotać. Ten dźwięk rozświetlił mój świat.

Zasnęłam niedługo później. Kiedy się obudziłam, Clara sprawdzała stetoskopem rytm mojego serca.

- Wciąż bije? - zapytałam, jak zwykle żartując.

Pielęgniarka się uśmiechnęła.

- Nadal się trzyma.

Chłopcy siedzieli po drugiej stronie pokoju. Rozmawiali cicho, pochylając ku sobie głowy. Cromwell obrócił się, jakby wyczuł, że się obudziłam.

Podszedł i pocałował mnie. Usiadł na krawędzi łóżka. Clara z uśmiechem na twarzy wyszła z pokoju.

- Jak się czujesz, kochanie?

Kochanie. Niedawno zaczął mnie tak nazywać. Kochałam to tak bardzo, jak jego.

~ W porządku. - Potarłam mostek.

Wziął do rąk leżący na stoliku nocnym stetoskop.

- Mogę posłuchać?

Przytaknęłam.

Przysunął zimny przyrząd do mojej klatki piersiowej i zamknął oczy.

Przyglądałam się, jak gałki oczne poruszały mu się pod powiekami.

Zastanawiałam się, co widział. Jakie barwy i kształty. Włożył rękę do kieszeni, wyjął niewielki mikrofon, podłączył go do dyktafonu i umieścił

drugi koniec pod stetoskopem. Nie ruszał się przez chwilę, po czym otworzył oczy i odchylił głowę. Włączył nagranie. Oddychałam przez nos, próbując nabierać sporo powietrza, gdy w pokoju słychać było echo mojego słabego, bijącego nierówno serca.

Śpiewało o tym, że się poddaje.

- Zrób to samo z Eastonem - poleciłam. Cromwell wyglądał na zdezorientowanego, ale spełnił prośbę. Rytm był mocny. Wiedziałam, że taki będzie.

- A teraz twoje. Chcę posłuchać też twojego.

Chłopak przyłożył stetoskop do własnego serca, ale tym razem podał mi słuchawki. Usłyszałam bicie i się uśmiechnęłam.

Muzyka jego ciała.

- Piękne - powiedziałam.

Mogłabym słuchać jej cały dzień.

\*\*\*

*Trzy dni później...*

- Dokąd jedziemy? - zapytałam Cromwella, gdy pomógł mi zająć miejsce na wózku inwalidzkim. Jakąś godzinę wcześniej przyszła Clara i odpięła torebkę z płynem odżywczym oraz przyczepiła niewielką butlę z tlenem do przewodów i pomogła mi się ubrać.

Cromwell wywiózł mnie przez drzwi. Poczułam podekscytowanie, gdy minęliśmy rodziców.

- Niezbyt długo, dobrze? - poprosiła Cromwella mama.

-Wiem. Nie będę przeginał.

- Co się dzieje?

Pochylił się nade mną i delikatnie położył dłoń na moim policzku.

- Przewietrzymy cię.

Opadła mi szczeka, kiedy otworzył drzwi. Był słoneczny dzień.

Miałam na sobie jego czarny gruby sweter, kurtkę i koc, ale nie przejmowałam się tym, że wyglądałam śmiesznie. Miałam znaleźć się poza domem. Nieważne gdzie.

Byłam na zewnątrz.

Cromwell powiózł mnie wąską ścieżką, ale się zatrzymał.

Zastanawiałam się, czy wiedział, jak bardzo chciałam poczuć na twarzy

wiatr i usłyszeć śpiewające w koronach drzew ptaki.

Przysunął usta do mojego ucha.

- Gotowa?

- Mhm.

Zawiózł mnie do swojego samochodu i posadził na miejscu pasażera.

Gdy jego twarz znalazła się przed moją, zatrzymał się i pocałował mnie krótko w usta.

Wargi mrowiły, kiedy zamknął drzwi i wsiadł do samochodu. Wziął mnie za rękę. Nie puścił, jadąc powoli moją ulicą i przemierzając wąskie dróżki miasteczka.

Wyglądałam przez szybę na mijany świat. Uwielbiałam go.

Kochałam życie. Nie sądziłam, by wielu codziennie się nim zachwycalo, ale ja tak, i to często.

Chciałam żyć. Pragnęłam doświadczyć tego, co czekało mnie w przyszłości. Chciałam odwiedzić różne kraje, jeździć na wycieczki, o których jedynie marzyłam. Cromwell ścisnął moją dłoń. Zamknęłam oczy i odetchnęłam. Pragnęłam posłuchać stworzonej przez niego muzyki, być przy nim i zobaczyć, jak powołuje do życia swoje dzieło.

Cromwell skręcił w prawo, w stronę jeziora. Wjechał na parking.

Zobaczyłam czekającą na końcu pomostu małą drewnianą łódkę z dwoma wiosłami.

Poczułam ciepło. Popatrzyłam na mojego towarzysza.

- Łódź...?

Przytaknął, włożył na czarny sweter skórzaną kurtkę z kapturem.

Wyglądał przystojnie.

- Mówiłaś, że chciałabyś popływać. - Roztopiłam się z powodu słodyczy tego gestu, ale i znieruchomiałam. Cromwell mówił, że zrobimy to dopiero po mojej operacji. Gdy mój stan się poprawi.

Nie byłam głupia. On też nie.

Dni mijały. Słabłam z każdą mijającą chwilą.

Nowe serce się nie pojawiło, co oznaczało, że nasze plany mogły się nigdy nie ziścić. Kiedy na mnie spojrzał, drżała mi dolna warga.

Wystraszyłam się.

Pochylił się szybko i oparł swoje czoło o moje.

- Nadal wierzę, że dostaniesz serce, kochanie. Chciałem jedynie ci to teraz dać. Wyciągnąć cię z domu. Nie oznacza to, że się poddam.

Napięcie ze mnie zeszło, ponieważ wiedziałam, że mówił szczerze.

- Dobrze - odszepnęłam.

Znow mnie pocałował i wysiadł z samochodu. Nigdy nie miałam mieć dosyć jego pocałunków. Gdy otworzył drzwi, owiał mnie chłodny wiatr, a ja zamknęłam oczy i odetchnęłam. Czułam woń trawy i liści.

Jeziora.

I, oczywiście, Cromwella. Jego skórzanej kurtki, perfum i dymu papierosowego.

- Gotowa?

Przytaknęłam z uśmiechem. Wyciągnął mnie z auta, wziął też moją butlę z tlenem. Kiedy zmierzaliśmy w stronę pomostu, nie patrzyłam na tafnię wody, a na Cromwella. Jego opaloną cerę, zarost na policzkach, niebieskie oczy i długie rzęsy okalające tęczę o tej nietypowej

barwie.

Moje serce biło mocno, pomimo słabości. Byłam pewna, że gdyby wejrzeć w jego wnętrze, widać byłoby tam Cromwella.

Musiał wyczuć, że mu się przyglądałam, bo na mnie spojrzał. Nie zawstydziałam się, że dałam się na tym przyłapać.

- Jesteś taki przystojny... - powiedziałam. Mój głos poniósł się na wietrze.

Cromwell się zatrzymał. Zamknął na chwilę oczy. Pochylił głowę i ponownie mnie pocałował. Poczułam w piersi trzepot motyli skrzydeł. Kiedy się odsunął, zsunęłam dłoń z jego karku i umieściłam ją na policzku. Bezgłośnie przekazałam mu swoje uczucia.

W końcu nie potrzeba słów, by wyrazić miłość.

Cromwell wszedł do łódki, która zakołysała się, gdy posadził mnie na ławeczce. Odchyliłam się i wzięłam głęboki wdech. Owinął mnie kocem, po czym złapał za wiosła.

- Wiesz... co robisz? - zapytałam.

Jego szeroki uśmiech skradł niewielką ilość tlenu, jaka znajdowała się w moich płucach.

- Pomyślałem, że nimi pomacham.

Wypłynęliśmy. Uśmiechałam się, kiedy sunęliśmy po spokojnej tafli.

Wiosła burzyły ją tylko trochę po obu stronach łódki. Cromwell szybko opanował ich użycie. Spojrzał na mnie i puścił oko. Mimowolnie się roześmiałam. Dźwięk ten wyszedł jak świst, ale nawet to nie zburzyło radości tej chwili.

Stwierdziłam, że najbardziej podobała mi się właśnie ta strona Cromwella. Był beztroski, zabawny i nie strzegł tak pilnie swojego serca.

Spojrzał na brzeg jeziora, gdzie drzewa rosły gęściej, jakby chciały

zapewnić nam osłonę przed spojrzeniami innych. Poraziło mnie to, że ten chłopak z Anglii, księżę elektronicznej muzyki tanecznej, był tu teraz ze mną. Człowiek, który urodził się z melodią w sercu i symfonią w duszy, pomagał mi przemierzyć moje ulubione jezioro, wiosłując, jakby była to dla niego najbardziej naturalna rzecz na świecie. Nie zbliżałam się do nikogo w obawie, że przegram bitwę, ale oto byłam tutaj, z Cromwellem, który mnie wspierał w walce, i wiedziałam, że nigdy nie mogłoby być inaczej.

Poruszaliśmy się w milczeniu. Jedyнным dźwiękiem był śpiew ptaków nad nami i szelest liści w tle. Kiedy usłyszałam trele, spojrzałam na Cromwella.

- Musztardowożółte - powiedział. Uśmiechnęłam się, po czym spojrzałam na liście szeleszczące na niemal dotykających wody konarach. - Brązowe.

Gdy zmarzły mi nogi, opatuliłam się mocniej kocem. Zamknęłam oczy, słuchając żółtych i brązowych nut.

Otworzyłam oczy, słysząc *Czwartą symfonię* Mozarta. Cromwell przestał wiosłować, obok siebie położył komórkę.

Przeniosłam się pamięcią do naszego pierwszego spotkania, kiedy to opuściłam klub i poszłam na plażę w Brighton. Zawsze uwielbiałam wodę, a w falach uderzających o brzegi Wielkiej Brytanii było coś majestatycznego. Nawet w lecie woda była wzburzona i zimna.

Spokój *Koncertu klarnetowego A-dur* Mozarta kontrastował z tym, co widziałam. Potem na plaży pojawił się Cromwell Dean z butelką jacka danielsa w dłoni, równie wzburzony jak fale. Gdy usłyszał dźwięk płynący z mojego telefonu, spojrzał na mnie udręczonym wzrokiem

- Mozart? - zapytałam z uśmiechem.

Cromwell również musiał wspominać nasze spotkanie.

- Osiągnęliśmy z Amadeuszem porozumienie.



-Tak?

Skinął głową.

- Znów się przyjaźnimy.

- To dobrze - odparłam krótko, ale chodziło o coś więcej.

Cromwell znów kochał muzykę klasyczną. Ponownie ją grał.

Przechyliłam głowę na bok. Czekałam, aż symfonia przycichnie, nim zapytałam: - Co chcesz zrobić ze swoim życiem, Crom?

Przesunął się i wziął mnie za rękę. Wydawało mi się, że chciał, bym dodała mu siły. Obok nas przepływał właśnie człowiek w starym kajaku.

Cromwell zapatrzył się na niego.

- Zawsze go tu widuję - powiedział, jakby jego umysł był gdzie indziej. Wzruszył ramionami. - Chcę wszystkiego. - Mocniej ścisnął

moją dłoń. - Pragnę tworzyć muzykę. Tylko to od zawsze chciałem robić. - Uśmiechnął się. - Nie mam innych talentów.

Gdybym mogła wydusić więcej niż kilka cichych słów, powiedziałabym mu, że nie potrzebował innych umiejętności. To, jak tworzył, nie było porównywalne do niczego innego. Wykraczało ponad talent. Było boskim darem. I właśnie to powinien robić.

- Lubię *dance*, ale muszę również komponować muzykę klasyczną. -

Potań o siebie wargami. - Chcę grać, tworzyć cokolwiek i gdziekolwiek.

Muzyka musi być obecna w moim życiu. Kocham syntetyczne beaty, ale nic nie pozwala mi **czuć** tak jak muzyka klasyczna. - Wskazał na mnie ruchem głowy. - Poprzez nią można opowiedzieć historię, nie używając słów. Poruszyć ludzi. Zainspirować ich. Miałas rację. - Westchnął, jakby znalazł przebłysk spokoju w swojej udęczonej duszy. - To, co gram, co komponuję... jest znaczące. Nadaje mojemu życiu sens. - Spojrzał na

mnie, milcząc, jakby się powstrzymywał, by nie powiedzieć za dużo.

- No co? - Pociągnęłam go za rękę.

Popatrzył mi w oczy, po czym wyznał:

- Lewis zaproponował mi miejsce na gali w Charleston. Chce, żebym coś stworzył i zaprezentował. - Wytrzeszczyłam oczy. Gdyby moje serce potrafiło galopować, z pewnością właśnie to by zrobiło.

Cromwell zwiesił jednak głowę, jakby był zażenowany. - Symfonię. -

Odetchnął i zobaczyłam w nim wagę tego, co nosił w sobie od trzech lat. - Nie miałbym za wiele czasu, żeby pisać, ale... - Mógł to zrobić.

Byłam pewna, że miał już w sercu gotową symfonię.

- Musisz to zrobić. - Przypomniałam sobie o filmiku przedstawiającym Cromwella dyrygującego orkiestrą, gdy był

dzieckiem. Muzyka wychodziła mu tak naturalnie jak oddychanie. W

tej chwili potrzeba tworzenia była nawet silniejsza. - Musisz to zrobić. -

Wykorzystałam niewielką ilość energii, która mi jeszcze została, by się przysunąć i objąć jego twarz.

Spojrzał na mnie.

- Nie chcę cię zostawiać. - W razie, gdybyśmy mieli tylko tę odrobinę czasu. Widziałam te słowa w jego głosie tak wyraźnie, jak on widział kolory, gdy słyszał jakiś dźwięk. Pomyślałam o gali, dla mnie tak bardzo odległej. Wiedziałam, że jeśli nie znajdzie się dla mnie serce, nie przyjadę, by go obejrzeć.

Zabawne. Moje serce umierało, ale nie bolało. Byłam jednak pewna, że płakało, bo nie miałam zobaczyć Cromwella Deana w swoim żywiole, na scenie, która była mu przeznaczona.

- Musisz... to zrobić. - Ponieważ jeśli mi się nie uda, będę razem z jego tatą przyglądać się z nieba, jak porywa serca i umysły każdego na widowni. Obserwować chłopca, którego tak kochaliśmy.

Cromwell znów spojrzął na kajakarza. Mężczyzna lekko skinął mu głową i odpłynął. Mój towarzysz długo się w niego wpatrywał.

- A ty? - zapytał. - Co chcesz zrobić ze swoim życiem?

Odsunął mi włosy z twarzy. Pomyślałam, że to wymówka, by mnie dotknąć, przez co poczułam w swoim chłodnym wnętrzu ciepło.

- Moją pasją jest pisanie... Zawsze myślałam, że może zrobię coś w tym kierunku. - Odetchnęłam z trudem. - Chciałabym usłyszeć moje słowa w czyjejs piosence. - To nie było nierealne marzenie. I się spełniło. Mocniej ścisnęłam jego dłoń. - Już mi to dałeś.

Miałam też jeszcze większe marzenie, lecz dopiero teraz zrozumiałam, jak było nieosiągalne. Można by pomyśleć, że było proste lub nieważne, ale dla mnie znaczyło dosłownie wszystko.

- Bonnie?

- Wyjść... za mąż - odparłam. - Mieć dzieci. - Zaczęła drzeć mi dolna warga, ponieważ nawet jeśli znajdzie się nowe serce, będzie mi trudno założyć rodzinę. Cięża po przeszczepie niosła za sobą ogromne ryzyko, ale wiedziałam, że i tak bym zaryzykowała. Poczułam, że miałam mokre rzęsy. - Zakochać się na zawsze... i zawsze być kochaną. -

Posłałam mu słaby uśmiech. - To jest teraz moim marzeniem. - Kiedy śmierć wisi ci nad głową, uświadamiasz sobie, że twoje pragnienia wcale nie są tak wielkie. I wszystko sprowadza się do jednej rzeczy - miłości.

Rzeczy materialne i idealistyczne dążenia znikają jak umierająca gwiazda. Pozostaje tylko miłość, która jest celem naszego życia.

Cromwell posadził mnie sobie na kolanach. Wtuliłam się w jego tors, przez chwilę dryfowaliśmy.

- Crom?

-Tak?

- Musisz wystąpić na tej gali.

Spiął się. Minęła dłuższa chwila, nim powiedział:

- Zrobię to, jeśli w zamian coś mi obiecasz. - Spojrzałam mu w oczy. Czekał na mnie. - Jeśli przysięgniesz, że będziesz oglądać mnie na miejscu.

Nie chciałam czegoś takiego przyrzekać, ponieważ zdawałam sobie sprawę z tego, jak nikłe były na to szanse, i przerażała mnie sama myśl o tym. Kiedy jednak pomyślałam o Cromwellu, który wiele tygodni temu płakał nad pianinem, udręczony wyrzutami sumienia z powodu ojca, z głębi serca pragnąc grać, ale odcinając się od muzyki, która sprawiała mu ból, wiedziałam, że nie mogłam odmówić.

- Obiecuję - powiedziałam drżącym głosem. Cromwell odetchnął, choć nie wiedziałam, że wstrzymywał powietrze. - Obiecuję. -

Pocałował każdy z moich palców. Przywarł wargami do moich ust, policzków, czoła, nosa. Tulił mnie, jakbym mogła wymknąć mu się z rąk i odpłynąć, gdyby tego nie zrobił.

- Cromwell? - zapytałam, gdy ponownie odezwał się ptak. - Kto w twojej rodzinie miał synestezję? Tata czy mama?

Cromwell zmarszczył ciemne brwi.

- To znaczy?

- Jest genetyczna... prawda?

Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie. Pokręcił głową.

- Nie może być. - Spojrzał na wodę. - Mama nie ma czegoś takiego, a tata z pewnością na nią nie cierpiał.

Zmarszczyłam brwi, zdezorientowana.

- Musiałam coś pokręcić. - Byłam pewna, że tego nie zrobiłam. Nie wiedziałam, po kim w takim razie Cromwell odziedziczył tę przypadłość.

Milczał. Wydawał się pogrążony w głębokim zamyśleniu. Zostałam w jego objęciach, słuchając Mozarta, wyobrażając sobie Cromwella przed orkiestrą. Potarłam mostek, kiedy poczułam wzrastający ból. W

końcu mój towarzysz posadził mnie na ławeczce i zaczął płynąć do brzegu, ale z każdym ruchem wiosła czułam się coraz gorzej.

Odczułam panikę, gdy coraz bardziej drętwiała mi lewa ręka.

- Bonnie? - zapytał, gdy dotarliśmy do pomostu. Zarzucił linę na słupek, a we mnie uderzył ogromny ból, dosłownie odcinając lewą stronę ciała. Sięgnęłam prawą ręką, by podtrzymać tę drugą, ale nagle nie mogłam złapać tchu.

- Bonnie! — Usłyszałam głos Cromwella, kiedy cały świat zaczął się chwiać. Otworzyłam oczy i przez szczeliny w koronach drzew dostrzegłam słońce. Dźwięk szeleszczących liści stawał się coraz wyraźniejszy, ptaki śpiewały głośno jak w operze. Zobaczyłam nad sobą twarz Cromwella, w jego wytrzeszczonych niebieskich oczach gościł

paniczny strach. -Bonnie, kochanie!

- Cromwell - próbowałam powiedzieć, ale energia uciekła z mojego ciała. Świat wyblakł i spowiła mnie szarość. Najgorsze, że wszystko ucichło - głos chłopaka i dźwięki otoczenia. Chciałam się odezwać, wyznać, że go kocham, ale zanim zdołałam to zrobić, zostałam porwana przez mrok.

A potem otoczyła mnie głucha cisza.

## **ROZDZIAŁ 22**

## CROMWELL

- Bonnie! Bonnie! - krzychałem, gdy osunęła się z ławki. Złapała się za lewe ramię i zamknęła oczy. Panika uderzyła we mnie jak rwąca rzeka.

Bonnie spojrzała na mnie, w jej oczach zobaczyłem strach. Powieki jej opadły.

- Nie. Nie! - krzyżąc, rzuciłem się do niej. Szukałem pulsu, którego nie było. Działalem bez namysłu, zdając się na instynkt.

Wziąłem ją na ręce i jak najszybciej wyskoczyłem na pomost. Położyłem ją i zacząłem reanimację, zasad której wiele lat temu nauczył mnie tata.

- No dalej, Bonnie - szeptałem. Moje żyły skuł lód, kiedy wciąż nie wyczuwałem pulsu.

Nie ustawałem w wysiłkach, wdmuchując jej powietrze do ust, naciskając klatkę piersiową, gdy nagle ktoś przy mnie stanął.

Spojrzałem w bok - kajakarz.

- Zadzwoń na pogotowie! - wykrzyknąłem, nie odrywając rąk od Bonnie, ponieważ musiała żyć. Nie mogła umrzeć. -Powiedz, że ma niewydolność serca. I każ im się spieszyć!

Resztę spowiała mgła. Prowadziłem reanimację do momentu, aż ktoś odciągnął mnie na bok. Walczyłem, żeby wrócić do Bonnie, ale ręce przytrzymały mnie w miejscu, uniemożliwiając mi to. Uniosłem

głowę, dostrzegłem sanitariuszy.

- Ma niewydolność serca - poinformowałem, przyglądając się, jak przenoszono ją na nosze, by zabrać z pomostu. Pobiegnęłam za nimi, wskoczyłem do karetki i siedziałem nieruchomo u boku ukochanej, kiedy sanitariusze walczyli o jej powrót.

Jej dłoń osunęła się z noszy. Tylko na to mogłem patrzeć. Luźna ręka, która tak niedawno trzymała moją. Zaczęły zamykać się drzwi karetki. Uniosłem głowę, kajaka już nie było.

Pojazd ruszył, a ja cały czas wpatrywałem się w dłoń Bonnie.

Zadzwoniłem do jej rodziców. Nie pamiętałem potem tej rozmowy.

Pobiegnęłam za noszami do szpitala, gdy lekarze i pielęgniarki otoczyli ją jak pszczoły. Słyszałem pikanie i brzęczenie maszyn utrzymujących ją przy życiu oraz własny puls. Kolory cięły mnie jak sztylety, za każdym razem zadając cierpienie. Emocje pogrzebały mnie, aż nie mogłem oddychać. Oparłem się o ścianę, przyglądając się ręce Bonnie, która nadal zwisała z noszy. Chciałem ją za nią potrzymać. Pragnąłem dać znać, że przy niej byłem, czekając, aż się obudzi.

- Nie! - Przeszył mnie głos matki Bonnie. Obróciłem się i zobaczyłem, że wpadła do środka, a za nią mąż i syn. Kobieta próbowała podbiec do noszy, ale przytrzymał ją pan Farraday. W drzwiach stanął Easton, wpatrywał się w siostrę, a na jego twarzy gościł przerażający spokój. Chłopak wydawał się nieobecny. Jakby nie patrzył właśnie na walkę bliźniaczki o życie.

Przez rurki, przewody i rękawy ledwie widziałem ciemne włosy i smukłą sylwetkę Bonnie. Zapadałem się coraz głębiej w barwy, dźwięki, kształty, uczucia. Emocje, których nie chciałem.

Stałem, przyglądając się jak dziewczyna, która przywróciła mi serce, walczyła o własne. Nie ruszyłem się, aż zostałem odprowadzony przez

panią Farraday do jakiejś sali. Zamrugalem, dźwięki ustały i znów spowiała mnie cisza.

Przyszedł lekarz. Uniosłem głowę. Easton znajdował się tuż obok, ale jego spojrzenie było nieobecne, a twarz blada.

Wszystko zdawało się poruszać w zwolnionym tempie. Lekarz otworzył usta, ale do mojego umysłu trafiło tylko kilka słów.

*Zatrzymanie akcji serca... Stan terminalny... Nie więcej niż kilka tygodni... Pobyt w szpitalu... Szczyt listy transplantacyjnej... Pomoc medyczna... Maszyny...*

Doktor wyszedł. Matka Bonnie wtuliła się w męża. Moją głowę wypełnił szkarłat, gdy zaczęła łkać. Pan Farraday podszedł do syna.

Easton przytulił się do rodziców, ale ich nie objął. Po prostu stał przy nich, patrząc pustym wzrokiem, a jego ciało było niesamowicie sztywne.

Bonnie umierała.

Umierała.

Chwiejnym krokiem podszedłem do ściany, w końcu moje nogi się poddały. Upadłem i poczułem, jak odrętwienie uchodzi... a emocje atakują, bombardując obrazami Bonnie, która osunęła się na łódkę, trzymając się za lewą rękę, wołając mnie...

Opuściłem głowę, wylały się wstrzymywane dotąd łzy. Rozpadałem się na tej pieprzonej podłodze, aż ktoś wziął mnie w ramiona.

Wiedziałem, że to pani Farraday, ale nie umiałem nad sobą zapanować.

To jej matka. Właśnie powiedziano jej, że córce pozostało tylko kilka tygodni życia... a ja nic nie mogłem na to poradzić.

Bonnie była dla mnie stworzona. Była jedyną osobą, która mnie rozumiała.



Kochałem ją.

I miałem ją stracić.

- Wyjdzie z tego - szeptała mi pani Farraday do ucha, ale jej słowa były granatowe.

Granatowe. Kurewsko granatowe.

- Wyjdzie z tego.

Granatowe.

\*\*\*

Wszedłem do sali, nogi miałem jak z ołowiu. Rytmiczny dźwięk podtrzymujących życie maszyn był ogłuszający. Pani Farraday ścisnęła moje ramię, przeszła obok i wyszła, zamykając za sobą drzwi, zostawiając nas samych. Pomieszczenie śmierdziało chemikaliami.

Zamknąłem oczy, odetchnąłem głęboko i ponownie uniosłem powieki. Zbliżyłem się do łóżka i niemal upadłem na widok Bonnie.

Była otoczona rurkami i przewodami, miała zamknięte oczy, pozbawiając mnie swojego światła. Obok stało krzesło, ale odsunąłem je i ostrożnie usiadłem na skraju łóżka. Wziąłem ją za rękę.

Była zimna.

Odsunąłem jej włosy z twarzy. Wiedziałem, że lubiła, gdy to robiłem.

- Cześć, Farraday - powiedziałem. Mój głos rozbrzmiał niczym krzyk w cichej sali. Ścisnąłem jej dłoń, pochyliłem się nad nią i ostrożnie pocałowałem w czoło. Jej skóra była chłodna. Do oczu nabiegły mi łzy. Przysunąłem usta do jej ucha i szepnąłem: - Złożyłaś obietnicę, Farraday, i nie mam zamiaru cię z niej zwalniać. - Zacisnąłem mocno powieki. - Kocham cię. - Głos załamał mi się na ostatnim słowie.

- Kocham cię i nie pozwolę, byś mnie tu zostawiła samego. -

Przełknąłem ślinę. - Walcz, kochanie. Wiem, że twoje serduszko jest zmęczone i że ty też jesteś wyczerpana, ale nie możesz się poddać -

urwałem, próbując wziąć się w garść. - Lekarz mówi, że jesteś na szczycie listy transplantacyjnej. Dostaniesz serce. - Miałem oczywiście świadomość, że nic jeszcze nie było przesądzone, ale musiałem to powiedzieć. Bardziej dla siebie niż dla niej.

Spojrzałem na jej klatkę piersiową. Maszyny sprawiały, że unosiła się i opadała w idealnie równym rytmie. Pocałowałem Bonnie w policzek i usiadłem na krześle obok. Trzymałem ją za rękę. Nie puściłem, nawet kiedy zamknąłem oczy.

\*\*\*

- Chłopcze? - Obudziłem się, gdy ktoś złapał mnie za ramię.

Zamrugąłem, widząc nad sobą światło. Byłem zdezorientowany, aż mgła snu opadła. Zobaczyłem Bonnie na szpitalnym łóżku. Miała zamknięte oczy, do jej ciała podłączono głośne maszyny. Spojrzałem na nasze wciąż splecione palce.

- Już późno, Cromwell. - Pan Farraday pokiwał głową. - Bonnie jest w śpiączce farmakologicznej. Nie obudzi się przez dłuższą chwilę.

Będzie spała przynajmniej kilka dni. Jej ciało potrzebuje czasu, by się wzmocnić. - Spojrzałem na jej ładną twarz, która była teraz blada i otoczona rurkami. Chciałem je odsunąć, ale wiedziałem, że podtrzymywały ją przy życiu.

- Idź do domu, chłopcze. Prześpij się. Zjedz coś. Jesteś tu od wielu godzin.

- Nie... - Odchrząknąłem. - Nie chcę iść.

- Wiem, że nie chcesz, ale nie możesz nic w tej chwili zrobić.

Wszystko w rękach Boga. - Kiwnął na mnie, bym za nim poszedł.

Wstałem i pocałowałem Bonnie w policzek.

- Kocham cię - szepnąłem jej do ucha. - Niedługo wrócę. -

Wyszedłem za panem Farradayem na korytarz. - Wrócę rano. - Nie pytałem tym razem o pozwolenie. Nikt nie miał mnie trzymać z dala od Bonnie.

Mężczyzna przytaknął.

- Cromwell, utrzymywałeś moje dziecko przy życiu aż do przyjazdu sanitariuszy. Nie zamierzam cię wyganiać.

- Tata był wojskowym. Nauczył mnie tego. - Nie wiedziałem, dlaczego to powiedziałem. Po prostu wyszło to z moich ust.

W oczach pana Farradaya dostrzegłem współczucie. Wiedział o moim ojcu.

- Był dobrym człowiekiem. - Ponownie ścisnął moje ramię.

- Idź spać i wróc jutro.

Obróciłem się i skierowałem do drzwi. Dałem się ponieść stopom.

Kiedy przemierzałem chłodną noc, zobaczyłem kogoś siedzącego na ławce w niewielkim ogrodzie po drugiej stronie ulicy. Dostrzegłszy jasne włosy, wiedziałem, kto to.

Usiadłem obok Eastona. Chłopak milczał, wpatrując się w posąg anioła, stojący pośrodku ogrodu. Minęła dłuższa chwila, nim wychrypiął:

- Ma kilka tygodni, Crom. Tylko tyle.

Żołądek mi się skurczył, aż zrobiło mi się niedobrze.

- Wyjdzie z tego - powiedziałem, ale nie przekonałem nawet samego siebie. - Jest teraz na szczycie listy. Dostanie serce. - Easton milczał. Popatrzyłem na niego. - Jak się czujesz?

Parsknął pełnym gorzkiego śmiechem.

- Wciąż tu jestem.

- Ona cię potrzebuje - rzuciłem, zmartwiony jego słowami. - Gdy się ocknie, kiedy wybudzą ją ze śpiączki, będzie cię potrzebowała.

Przytaknął.

- Wiem. - Wstał. - Wracam.

- Do jutra.

Obserwowałem, jak poszedł do szpitala. Zostałem, wpatrując się w anioła. Myśli w mojej głowie pędziły z prędkością miliona kilometrów na godzinę. Jedna z nich nieustannie wracała. Kto miał synestezję?

Wyjąłem telefon i wpisałem to hasło w wyszukiwarke. Żołądek mi się skurczył, gdy potwierdziły się słowa Bonnie. Wmawiałem sobie, że musiałem być wyjątkiem, ale podświadomość nie chciała zamilknąć.

*Nie jesteś podobny do ojca... Matka jest blondynką. Ty masz czarne*

włosy... Jesteś wysoki. Tata był niski, tak jak i mama...

Serce waliło mi jak młotem. Adrenalina popędziła żyłami, wspomnienia zbombardowały umysł. Podszedłem do postoju taksówek i pojechałem nad jezioro. Nie patrząc nawet na pomost, przy którym Bonnie straciła przytomność, wsiadłem do swojego samochodu i odjechałem. Jeździłem, aż poczułem się do cna wyczerpany, ale umysł

nie chciał się wyłączyć. Bonnie umierała. Potrzebowała serca. Psychika Eastona się rozpadała, a mimo to pytanie... to przekłete pytanie nadal kołatało mi się w głowie.

Zatrzymałem się pod akademikiem i spojrzałem w lusterko wsteczne.

Miałem oczy po mamie. Usta też.

Ale włosy...

- *Dlaczego tak bardzo naciskasz, bym z nim pracował?* - zapytałem tatę.

- *Ponieważ on cię zrozumie, synu. Wie, jak to jest być w twojej skórze.* - Westchnął. — *Daj mu szansę. Wydaje mi się, że go polubisz.*

*Powinieneś go znać, synu.*

Nie. To nie mogła być prawda. Nie była. Nie mogła być.

Dłonie mi się trzęsły, ale wyjąłem komórkę z kieszeni. Czuję się przytłoczony. Wszystko w moim życiu się rozpadało. Wcisnąłem numer i czekałem.

- *Cromwell! Wszystko w porządku, kochanie?* - zapytała mama z lekkim akcentem z Karoliny Południowej.

- *Czy tata był moim biologicznym ojcem?* - wypaliłem prosto z mostu.

Umilkła. Słyszałem, jak próbowała znaleźć słowa.

- Cromwell... co...?

- Czy tata był moim biologicznym ojcem? Po prostu mi odpowiedz!

Ale tego nie zrobiła. Milczała.

Cisza powiedziała za nią wszystko.

Uderzyłem palcem w ekran, kończąc połączenie. Puls wariował.

Wysiadłem, zanim zorientowałem się, co robię. Puściłem się biegiem, zatrzymałem się dopiero pod jego domem na kampusie.

Dobijałem się do drzwi, aż otworzył. Stał na progu w piżamie, przecierając zaspane oczy.

- Cromwell? - zapytał ochryple Lewis. - Co...?

- Kto w pana rodzinie miał synestezję? Tata czy mama?

Potrzebował chwili, by zrozumieć pytanie.

- Eee... mama. - Spojrzał na mnie i zobaczył, jak intensywnie się w niego wpatrywałem. Dupek pobladł.

- Jak dobrze znał pan moją matkę? - zapytałem ostro.

Nie sądziłem, że mi odpowie, ale usłyszałem:

- Dobrze. - Przełknął ślinę. - Bardzo dobrze.

Zamknąłem oczy. Kiedy ponownie je otworzyłem, przyjrzałem się czarnym włosom Lewisa i jego sylwetce. Zauważyłem, jak był wysoki. I wiedziałem. Odsunąłem się od drzwi.

Ból i szok połączył się z sytuacją Bonnie i wszystko wymieszało się jak w jakimś pieprzonym garncu.

- Cromwell... - Lewis zbliżył się o krok.

To on był moim ojcem. W mojej kieszeni dzwoniła komórka.

Wyjąłem ją, spojrzałem na ekran i dostrzegłem, że to mama. Lewis również musiał to zobaczyć.

- Proszę, Cromwell, wyjaśnię. Możemy ci to wytłumaczyć.

- Odwal się ode mnie - powiedziałem, przemierzając jego ogródek.

Szedł za mną, więc stanąłem. - Odwal się - ostrzegłem ponownie.

Poczułem ogromny ból w piersi, gdy pomyślałem o tacie. O tym, jak próbował mnie zrozumieć. Muzykę. Barwy...

A nie byłem nawet jego synem.

Lewis podchodził. Zbliżał się, aż znalazł się tuż przede mną.

- Cromwell, proszę...

Ale nim zdołał cokolwiek więcej powiedzieć, zamachnąłem się i uderzyłem go pięścią w twarz. Jego głowa odskoczyła w tył. Kiedy odzyskał równowagę, miał pękniętą wargę.

- Jesteś niczym - warknąłem. - W porównaniu z nim jesteś niczym. -

Przebiegłem przez ogród, nim zdołał się odezwać. Gnałem, aż znalazłem się nad jeziorem, ale w chwili, w której stanąłem, zobaczyłem Bonnie i wszystko, co zostało z mojego serca, rozbiło się na kawałeczki.

Usiadłem na pomoście, spuściłem z niego nogi. Zwiesiłem głowę i wyrzuciłem wszystko z siebie. Nie potrafiłem się dłużej trzymać.

Bonnie.

Tata.

Lewis...

Odchyliłem głowę do tyłu i spojrzałem na gwiazdy. Nigdy wcześniej nie czułem się tak nieistotny. Nie mogłem tu zostać, ale nie miałem dokąd pójść.

Nie. To kłamstwo.

Wróciłem do szpitala. Gdy znalazłem się w poczekalni, Farradayowie popatrzyli na mnie. Nie wyszli.

- Nie zostawię jej - rzekłem łamiącym się głosem. Zdawałem sobie sprawę z tego, jak musiałem wyglądać. Wiedziałem, ponieważ pani Farraday wstała, wzięła mnie za rękę i zaprowadziła, bym usiadł obok niej. Easton zajął miejsce przy mnie. Okno po drugiej stronie pomieszczenia ukazywało leżącą na łóżku Bonnie. Skupiłem się na niej, mocno pragnąc, żeby przetrwała.

Potrzebowałem jej. Nie wiedziałem, co bym począł, gdyby mi jej zabrakło. Czekałem więc. Czekałem, by się obudziła.

I modliłem się o serce dla niej.

Byłem pewny, że jeśli go nie dostanie, moje również przestanie bić.

## **ROZDZIAŁ 23**

*BONNIE*

*Pięć dni później...*



Moją głowę wypełniało nieustające pikanie. Niezmienny rytm.

Chciałam spać, ale kiedy próbowałam się obrócić, wszystko mnie bolało. Skrzywiłam się i poczułam, że coś łaskocze mnie w nos.

Chciałam podnieść rękę, by się podrapać, ale coś w niej było. Czułam ciepło, którego nie chciałam stracić. Próbowałam się więc go trzymać.

- Bonnie? - zapytał głos z mocnym akcentem. Sprawił, że pomyślałam o Mozarcie. Gdy spróbowałam unieść powieki, wydawało mi się, że miałam pod nimi piasek. Wzdrygnęłam się, kiedy poraziło mnie jasne światło. Mrugałam, aż oczy przywykły do oświetlenia.

Otoczenie zaczęło nabierać kształtów. Biały sufit. Lampa pośrodku pokoju. Spojrzałam w dół. Leżałam w łóżku, moje nogi okrywał różowy koc. Zobaczyłam swoją dłoń i to, co na niej było.

Zdezorientowana uniosłam głowę, w tej samej chwili spojrzałam w niebieskie oczy i dech natychmiast uwiązł mi w gardle.

- Cromwell - powiedziałam, chociaż żaden dźwięk nie opuścił moich ust. Próbowałam odchrząknąć, ale gardło bolało, kiedy przełykałam ślinę. Chciałam unieść wolną rękę do szyi, ale była tak słaba, że ledwie drgnęła.

Ogarnął mnie strach. Cromwell usiadł na skraju łóżka. Jak zawsze zamarłam, urzeczona nim, gdy uniósł sobie moją dłoń do ust. Moją twarz objął drugą. Chciałam nakryć ją swoją, ale nie mogłam tego zrobić i nie wiedziałam dlaczego.

- Faraday - powiedział cicho, z wyraźną ulgą. Serce zatrzepotało mi w piersi.

- Cromwell. - Rozejrzałam się po sali. Zobaczyłam własną rękę leżącą na łóżku. Podłączono do niej jakieś rurki i przewody. Znów zaczęłam panikować.

- Ciii... - Pocałował mnie w czoło. Natychmiast znieruchomiałam,

robiąc, co w mojej mocy, by się uspokoić. Kiedy się odsunął, przyglądałam się jego twarzy. Z jakiegoś powodu czułam się, jakbym go od dawna nie widziała. Przeszukiwałam umysł, próbując przypomnieć sobie, kiedy to ostatni raz się spotkaliśmy, ale wszystko było zasnuwane mgłą.

Przyglądając mu się, stwierdziłam, że jego oczy były wtedy jaśniejsze. Wiedziałam, że nie miał tyle ciemnego zarostu na policzkach, a choć jego włosy ciągle były w nieładzie, wcześniej nie były aż tak potargane. Miał teraz cienie pod oczami i wydawał się bledszy.

Jak zwykle ubrany był w czarny dzianinowy sweter i jeansy z dziurami.

Nie widziałam jego stóp, ale wiedziałam, że miał na nich czarne ciężkie buty.

Tatuaże i kolczyki były bardzo wyraźne. Zdawałam sobie sprawę z jednej rzeczy: kochałam go. Miałam świadomość, że mogłabym zapomnieć wszystko, co go dotyczyło, prócz tej ostatniej kwestii.

Kochałam go z całego serca.

Pogłaskał mnie po włosach. Uśmiechnęłam się, ponieważ znałam ten gest. Cromwell przełknął ślinę.

- Pływaliśmy łódką, kochanie. Pamiętasz? - Szukałam w głowie tych wspomnień. Wróciły do mnie niejasne obrazy jeziora.

Śpiew ptaków, szelest liści. Cromwell mocniej ścisnął moją dłoń.

- Wydarzył się incydent. - Spojrzał przez ramię. - Może powinienem iść po lekarza. Lepiej to wyjaśni. Twoi rodzice...

Chciał się odsunąć, ale go przytrzymałam.

- Ty - szepnęłam.

Westchnął i położył dłoń na moim mostku. Zacisnął usta, po czym przyznał:

- Miałaś zawał serca, kochanie. - Zbolały głos zaczął odtwarzać się

w kółko w mojej głowie. *Zawał serca... zawał serca. .. zawał serca...*

Uderzyły we mnie strach i szok, zaczęłam się dusić pod ich ciężarem. Miałam ochotę wstać z łóżka i uciec przed ogromem mroku, który chciał mnie pochłonąć, ale nie mogłam się ruszyć, więc przywarłam do Cromwella, szukając u niego pomocy. Głaskał mnie po policzku. Pieszczota była niczym woda na ogień, który we mnie rozgorzał.

- Przetrwałaś, kochanie. Lekarze ci pomagają. - Wskazał na syczące i pikające maszyny. - Wprowadzono cię w śpiączkę farmakologiczną. Spałaś przez pięć dni. - Wargę mu drżała. -

Czekaliśmy, byś się obudziła.

Zamknęłam oczy, próbując zapanować nad strachem, który próbował mnie porwać. Odetchnęłam, czując, jak tlen z rurki wchodzi przez nos. Gdy ponownie uniosłam powieki, zobaczyłam zmęczenie na twarzy Cromwella i zapytałam:

- Byłeś... tutaj?

Widziałam, że jego oczy zaczęły błyszczeć. Przysunął się, aż widziałam tylko jego. Wpatrywał się we mnie, samym spojrzeniem pokazując, jak bardzo się troszczył.

- A gdzie miałem być? - Uśmiechnął się słabo. - W tamtej chwili postanowiłem, że zawsze będę przy tobie.

Pocałował mnie w usta, a napierający na mnie mrok zniknął.

Przegnało go jego światło. Uroniłam łzę. Cromwell natychmiast otarł ją kciukiem.

- Lepiej pójde powiedzieć lekarzowi i twoim rodzicom, że się obudziłaś.

Ponownie pocałował mnie w dłoń i wyszedł. W tej samej chwili poczułam chłód, który nie istniał, kiedy chłopak był u mojego boku.

Cromwell Dean stanowił moje ciepło. Był płomienną duszą, która trzymała mnie przy życiu.

Rozejrzałam się. Serce mi zakołatało, gdy w kącie dostrzegłam gitarę. Pod ścianą stał syntezator, a na sofie leżały skrzypce. Tym razem po policzku nie popłynęła pojedyncza łza, a cały ich strumień.

- Grał dla ciebie każdego dnia. — Przeniosłam wzrok na drzwi.

Żołądek mi się skurczył, kiedy zobaczyłam brata. Włosy miał w nieładzie, na twarzy wyraźny niepokój.

- Easton - szepnęłam. Emocje zatkały mi gardło, które udało mi się udrożnić po przebudzeniu.

Bliźniak podszedł i z błyszczącymi oczami dotknął klawiszy.

- Nie chodził na zajęcia. Przyniósł to dzień po tym, jak tu trafiłaś. I grał każdego dnia. Tata zmuszał go do jedzenia i spania. Gdy już to zrobił, wracał i grał dla ciebie. - Pokręcił głową. - Nigdy czegoś takiego nie widziałem, Bonn. - Otarł twarz. Wyglądał na zmęczonego.

Wyczerpanego. Odezwały się we mnie wyrzuty sumienia. - Jest utalentowany, siostra. Muszę mu to przyznać. - Zamyślony wpatrywał się w instrumenty. - Był taki utwór, który grał na syntezatorze... -

Parsknął śmiechem. - Ciągłe doprowadzał mamę do łez.

Melodia dodająca mi sił do walki.

Wiedziałam, że była to ona. Choć byłam nieprzytomna, moje serce musiało ją usłyszeć.

Easton podszedł do mnie. Spuścił wzrok, a po chwili wziął mnie za rękę. Bolało mnie patrzenie na to, jak był przygnębiony. Nadgarstki wciąż miał zabandażowane. Pragnęłam wstać z łóżka i ogłosić, że wyzdrowiałam.

- Hej, siostra - szepnął łamiącym się głosem.

- Hej, brat.

Moja dłoń drżała, tak samo jak i jego. East usiadł na łóżku.

Skrzywiłam się, gdy zobaczyłam wilgoć na policzkach bliźniaka.

- Myślałem, że cię straciłem, Bonn - wychrypiał. Trzymałam go tak mocno, jak tylko zdołałam.

- Jeszcze nie... - powiedziałam, posyłając mu słaby uśmiech. Brat zapatrzył się w okno. - Dam radę - wydusiłam. Przytaknął. Dotknęłam jego bandaża. - Będę żyła dla nas obojga...

Pochylił głowę, długie jasne włosy zakryły mu twarz. Przytuliłam go mocno. Na korytarzu rozbrzmiały pospieszne kroki, do sali wpadła mama, a za nią tata. Oboje uściskali mnie, jak tylko mogli. Kiedy się odsunęli, zobaczyłam w drzwiach Cromwella. Choć mówili do mnie rodzice, widziałam tylko jego.

Był moim fioletem.

Moją ulubioną nutą.

Przyszedł również lekarz. Serce nieco zabolęło, gdy poinformował, że będę musiała zostać w szpitalu. Że już nie wrócę do domu. I że jestem teraz na szczycie listy kandydatów do przeszczepu. Poczułam jednocześnie przerażenie oraz nadzieję na dostanie nowego serca.

Bałam się, że rozpoczęło się odliczanie do końca moich dni, a piasek w klepsydrze przesypywał się bardzo szybko. Nie zapytałam jednak lekarza, ile mi zostało. Nie chciałam o tym słyszeć z jego wykwalifikowanych ust.

Potrzebowałam usłyszeć to od kogoś, kogo kochałam.

Cały czas walczyłam ze zmęczeniem i pozostałościami po śpiączce farmakologicznej. Wydawało mi się, że śniłam. Zamknęłam oczy i

słyszałam przepiękną muzykę. Właściwie mogłabym dać się oszukać, że byłam w niebie. Kiedy jednak uniosłam powieki, zobaczyłam źródło tej muzyki. Cromwell siedział przy syntezatorze, hipnotyzując mnie ruchami dłoni, tworząc piękne takty, które spowijały mnie niczym kokon. Słuchałam aż do ostatniego.

A gdy się odwrócił, wyciągnęłam po prostu dłoń. Cromwell uśmiechnął się, a ja roztopiłam się na łóżku. Podwinął rękawy swetra, dziś białego, ukazując tatuaże. Wyglądał pięknie.

Usiadł na krześle obok mnie, ale pokręciłam głową. Wziął mnie za rękę, siadając na skraju łóżka, ale to również mi nie wystarczyło.

Przesunęłam się, zaciskając zęby, gdy rozgorzał ból.

- Kochanie, nie - powiedział Cromwell. Uśmiechnęłam się, kiedy spostrzegłam, że było teraz na tyle miejsca, by mógł się położyć.

Pokręcił głową, ale widziałam na jego twarzy cień uśmiechu.

- Połóż się... proszę. - Spełnił polecenie. Drzwi sali były zamknięte, ale nawet gdyby tak nie było, nie przejęłabym się.

Jego wielka sylwetka idealnie pasowała do mojej. Po raz pierwszy, odkąd się obudziłam, było mi ciepło. Czułam się bezpieczna. Obok Cromwella byłam kompletna.

- Moja piosenka - wydusiłam szeptem, gardło wciąż bolało od rurki intubacyjnej.

Cromwell położył głowę obok mnie na poduszce.

- Twoja. - Przez chwilę czułam całkowity spokój, aż musiałam walczyć o oddech i uświadomiłam sobie, że ten stan nie potrwa długo.

Przysunęłam się do Cromwella, zaciągając się dla odwagi jego wonią. Gdy popatrzyłam mu w oczy, zorientowałam się, że mi się przyglądał. Przełknęłam ślinę.

- Jak długo? - Kiedy tylko wypowiedziałam to pytanie, poczułam, jak zakołatało mi serce.

Cromwell poblądł, gdy mnie usłyszał.

- Kochanie. - Pokręcił głową. Mocniej ścisnęłam jego dłoń.
- Proszę... Muszę wiedzieć.

Zamknął oczy

- Nie dłużej niż tydzień - szepnął. Sądziłam, że jego słowa mnie zranią. Myślałam, że jeśli powie, że zostało mi mało czasu, poczuję ból.

Zamiast tego odczułam spokój. Tydzień...

Przytaknęłam. Tym razem to Cromwell zacisnął palce. To on potrzebował wsparcia. Nie ja.

- Zdobędą serce. - Zamknął oczy i pocałował moją dłoń. -Jestem o tym przekonany.

Ale ja miałam inne zdanie.

Zabawne. Po latach modlitw o przeszczep i marzeń o zdrowiu, znalazłam się w punkcie kulminacyjnym. Kończyło się moje życie.

Wkrótce miał nastąpić dzień, w którym zmęczony organ nie zdoła pracować, a akceptacja zdawała się wyzwalająca. Nie musiałam się już modlić ani marzyć. Musiałam jedynie spędzić pozostały czas z ukochanymi bliskimi.

Zaczerpnęłam tchu.

- Musisz zaopiekować się Eastonem.

Cromwell znieruchomiał. Pokręcił głową, nie chcąc rozmawiać na ten temat.

- Przestań, kochanie. Nie mów tak.

- Obiecuj... - Brakowało mi powietrza, kilka wypowiedzianych słów bardzo mnie zmęczyło. Cromwell zacisnął usta i odwrócił wzrok. - Jest kruchy... ale i silniejszy... niż mu się wydaje.

Oddychał szybko, nie chciał na mnie spojrzeć. Uniosłam rękę i obróciłam jego głowę.

- Nie - szepnął załamany. Jego rzęsy stały się mokre od łez. - Nie mogę... Nie mogę cię stracić.

Zacisnęłam wargi, by nie zacząć szlochać.

- Nie... stracisz mnie. - Położyłam dłoń na jego mostku. - Zostanę tutaj. - Pochylił głowę. - Podobnie jak twój tata. - Wierzyłam w to.

Byłam przekonana, że kiedy ktoś został wryty w twojej duszy czy sercu, nie mógł prawdziwie odejść.

Na twarzy Cromwella zagościł dziwny wyraz. Chłopak wtulił się w moją szyję. Poczułam na skórze jego łzy. Objęłam go i uścisnęłam.

Patrzyłam na syntezator i skrzypce, dzięki którym muzyką mógł

zmienić świat. Byłam tego pewna, tak samo jak tego, że każdego dnia wszędzie słońce. Zasmucało mnie jednak, że nie miałam stanąć u boku ukochanego, by posłuchać. Obserwować, jak występuje w filharmoniach pełnych widzów. Widzieć go na klubowych podestach, z których będzie powalał ludzi na kolana.

Gdy uniósł głowę, szepnęłam:

- Obiecuj... że się o niego zatroszczysz.

Skinął głową z zaczerwienionymi oczami i rumianymi policzkami.

Kamień, o którego istnieniu nawet nie wiedziałam, spadł mi z serca.



- I komponuj. - Cromwell zamarł. Postukałam go w pierś. - Nie strać znów pasji.

- Przywróciłaś mi ją.

Jego siowa były miodem dla moich uszu. Uśmiechnęłam się na widok miłości w jego oczach.

- Moja torba... - Zmarszczył z dezorientacją brwi. - Zeszyt... w torbie.

Odnalazł notes. Podał mi go, ale nie wzięłam.

- Dla ciebie.

Wydawał się jeszcze bardziej zdezorientowany. Wskazałam, by się położył, umościł się więc obok mnie.

- Moje słowa...

Na jego twarzy pojawiło się zrozumienie.

- Twoje piosenki?

Przytaknęłam.

- Ta na końcu.

Przekartkował zeszyt wypełniony moimi myślami, snami, marzeniami. Przyglądałam się. Zrozumiałam, że mogłabym to robić przez całą wieczność i nigdy by mi się to nie znudziło.

Wiedziałam, kiedy dotarł do ostatniej strony. Zobaczyłam, jak przeskoczył wzrokiem po słowach, potem po nutach. Milczał, ale wystarczył mi błysk w jego oku. Nie musiał nic mówić, bym zrozumiała.

- Dla... nas - wyjaśniłam i pocałowałam grzbiet jego dłoni.

Przyglądał się uważnie moim gestom, jakby nie chciał przegapić nawet

najmniejszego ruchu. Tego, co robiłam, co mówiłam. Wskazałam na starą gitarę. - Chciałam to dla ciebie zaśpiewać... ale straciłam dech, nim zdołałam to zrobić. - Tego właśnie najbardziej żałowałam - że nie napisałam tej piosenki wcześniej. Teraz pomogła mi Clara. Zapisywała słowa, pokazałam jej też, jak wpisać nuty na pięciolinii.

Pragnęłam zaśpiewać mu ten utwór, gdy wyzdrowieję. Teraz jednak... przynajmniej w ten sposób mogłam mu go dać.

- Bonnie. - Poglaskał stronę, jakbym ofiarowała mu oryginalną partyturę *Piątej Symfonii* Beethovena.

- Potrafisz wyobrazić sobie muzykę - powiedziałam, wskazując na proste nuty kompozycji. Nic wielkiego. Nic trudnego. Po prostu słowa i akordy stworzone z myślą o nim.

- *Nasze życzenie* - przeczytał na głos tytuł.

- Mhm.

Wstał i wziął gitarę. Moje serce zostało pobudzone do życia, kiedy usiadł z nią na skraju łóżka. Położył zeszyt na stoliku i ułożył palce na gryfie.

Wstrzymałam na chwilę oddech, czekając, by zaczął grać.

Wiedziałam, że muzyka jak zawsze przemówi wprost do mojej duszy.

Byłam pewna tego, że Cromwell stworzy coś, czego nie zdołałby stworzyć nikt inny.

Ale nie spodziewałam się jego śpiewu. Nie sądziłam, że tym idealnie brzmiącym, zachrypniętym głosem powoła do życia moje słowa.

Próbowałam oddychać, ale piękno jego głosu sprawiło, że dech uwiązł

mi w gardle. Patrzyłam na tego wytatuowanego chłopaka o złotym sercu, zastanawiając się, jakim cudem miałam tyle szczęścia, by dostać go pod sam koniec. Wypowiedziałam w życiu wiele życzeń, ale akurat Cromwell nie był jednym z nich. Ten bonus na sam koniec był tym, co

ceńłam najbardziej.

*Zimne było serce, aż usłyszało pieśń twą, Bez symfonii, bez refrenu,  
wszystkich nut - tylko to.*

*Głośnym taktem życiowy rytm wybiłaś,*

*Swą miłością w mrok światło wprowadziłaś.*

*Uśmiech zyskałem za każdy oddech stracony.*

*Wszystko dla choć chwili z tobą poświęcić mógłbym.*

*Wkrótce koniec, zatapiam się w twych ustach,  
Z zamkniętymi oczami modlę się o cuda.*

*Fantazjuję o życiu z tobą w głównej roli,  
Od świtu do zmierzchu za muzyką pogoni,  
O robieniu tego, co naszym marzeniem.*

*To dla mnie, dla ciebie i dla nas życzenie.*

*Wzięłabyś moją rękę mocno w swoje dłonie,  
Moglibyśmy przebiec wzgórze, doliny, pola,  
Całowałabyś mnie nad wodą, przy drzewach, pod niebem, Oddychałbym  
tobą, twoimi słowami i śmiechem.*

*Nasze dłonie na zawsze byłyby splecione,  
I kochałbym cię bardziej, niż to dozwolone,  
Niosłabyś mnie do domu pod gwiazdami,  
I objęła w naszej sypialni ramionami.*

*Fantazjuję o życiu z tobą w głównej roli,  
Od świtu do zmierzchu za muzyką pogoni,  
O robieniu tego, co naszym marzeniem.*

*To dla mnie, dla ciebie i dla nas życzenie.*

*Trzymam się tylko cichej nadziei,*

*Choć zbliża się twój oddech ostatni.*

*Pragnę z całego serca, tak mocno,*

*Jak długo zdołam być z tobą tylko,*

*Nie śmiałem liczyć na taką miłość.*

*Barwy w mej duszy pomogłaś dostrzec.*

*Skoro tu jestem, ślubuję się trzymać,*

*Pełnej piosenki, ze snów życia.*

*Fantazjuję o życiu z tobą w głównej roli,  
Od świtu do zmierzchu za muzyką pogoni, O robieniu tego,  
co naszym marzeniem.*

*To dla mnie, dla ciebie i dla nas życzenie.*

*To dla mnie, dla ciebie i dla nas życzenie.*

Słuchałam obmywających mnie słów. Wersy opowiadały o mnie i o nim. O nas. Cromwell nie zagrał źle ani jednej nuty, a jego głos wyrażał więcej, niż sama zdołałabym to zrobić.

Słuchałam Cromwella Deana, chłopaka, którego widziałam na starym filmiku, a który swoim głosem sięgnął wprost do mojej duszy.

Gdy muzyka umilkła, a błoga chwila dobiegła końca, czekałam, aż Cromwell spojrzy na mnie, i powiedziałam:  
- Znów spełniłeś moje marzenie. - Uśmiechnęłam się, odtwarzając w myślach jego występ. - Usłyszałam swoje słowa w czyjejs piosence.

Najpiękniejszej spośród wszystkich.

Odłożył gitarę i ułożył się obok mnie na łóżku. Objął, jakby mógł

mnie chronić. Jakby jego ręce zdołały zapobiec nieuniknionemu.

Chciałam zostać przy nim już na zawsze.

-Niczego nie żałuję. - Poczułam, jak się spał. Mięśnie zeszywniały, a mimo to pocałował mnie w skroń. - Nie ciebie... Cromwell... Nie m rzeczy związanej z tobą, której bym żałowała. Ani na początku... ani w środku... a już na pewno nie na końcu.

Zasnęłam i obudziłam się w jego objęciach. Postanowiłam, że tak również chciałam się pożegnać, w ten sposób pragnęłam spędzić swoje ostatnie chwile.

Ponieważ było to idealne.

On był perfekcyjny.

Dzięki niemu takie było również życie.

W ten sposób powinny w końcu powitać mnie niebiosy.

## **ROZDZIAŁ 24**

### *CROMWELL*

Przemierzałam korytarz, każdy krok był cięższy niż poprzedni. Moje serce stopniowo się rozpadało. Zobaczyłem zamknięte drzwi i usłyszałem dobiegający zza nich szmer rozmów.

Zadzwoniono dwadzieścia minut temu. Kiedy do Bonnie przyszedł lekarz, wyszedłem ze szpitala, by wziąć prysznic. Powiedziałem, że niedługo wrócę. Ale otrzymałem telefon i usłyszałem, że nadszedł moment, którego się obawiałem.

- Chłopcze... - powiedział w słuchawce pan Farraday - lekarz właśnie wyszedł. Już czas.

Wiedziałem, że ta chwila wkrótce nadejdzie. Bonnie była słabsza niż kiedykolwiek. Była blada jak ściana, kolor malował się jedynie na jej fioletowych wargach.

Zdawałem sobie sprawę, że ją traciłem... ale nie potrafiłem dać jej odejść.

Miałem mokre włosy i nieustannie ściśnięte gardło. Nogi zaprowadziły mnie do sali, ale nie chciałem tam być, bo oznaczałoby to koniec. A nie chciałem w niego uwierzyć.

Złapałem za gałkę u drzwi. Palce drżały, gdy ją przekręciłem. W sali panowała cisza. Farradayowie siedzieli obok córki, trzymając ją za ręce.

Bonnie spała, jej twarz była spokojna. Przełknąłem ślinę, do oczu napłynęły mi łzy.

Nie potrafiłem wyobrazić sobie, by miało jej nie być.

Nie wiedziałem, jak wyglądałoby moje życie bez niej.

Nie mogłem... Nie mogłem...

Pani Farraday wyciągnęła do mnie rękę. Nie byłem pewien, czy zdołam poruszyć nogami, ale się udało. Podałem jej dłoń. Milczała. Po jej twarzy również płynęły łzy, gdy córka spała spokojnie obok.

Leżała, umierając.

Z rąk wymykała mi się miłość mojego życia.

I tak już można ją było wziąć za anioła.

Pan Farraday trzymał przy uchu komórkę. Pokręcił głową, na jego twarzy malowało się zmartwienie.

- Nie odbiera. Nie mogę się dodzwonić.
- Easton? - zapytałem.
- Powiedziałem mu, by zaraz wrócił. Stwierdził, że już jedzie, ale nie zjawił się, a teraz nie mogę się dodzwonić. - Przetarł twarz, w jego oczach widniało zdenerwowanie i strach. - Pojechał do domu się wykapać. Powinienem być z nim jechać. Nie...
- Znajdę go - zaoferowałem. Spojrzałem na Bonnie. - Jest na tyle czasu? - zapytałem ochryple.

Pani Farraday mocniej ścisnęła moją dłoń.

- Tak.

Pospieszyłem do samochodu. Próbowałem zadzwonić do Eastona, ale nie odebrał. Pojechałem do domu Farradayów, gdzie go nie zastałem. Wskoczyłem więc za kierownicę i pojechałem na kampus. W

naszym pokoju w akademiku również go nie było, więc przemierzyłem wszystko pieszo, sprawdzając skwer, bibliotekę, stołówkę... Nigdzie go nie znalazłem.

- Cromwell! - Zatrzymał mnie Matt.
- Widziałeś Eastona? — zapytałem, nie dopuszczając go do głosu.

Pokręcił głową i zwiesił wzrok.

- Jak Bonnie? Czy...

Stały za nim Sara i Kacey. Na końcu pojawił się Bryce.

Przeczesałem włosy palcami.



- Muszę znaleźć Eastona — obwieściłem, nie wiedząc, gdzie, u diabła, go szukać, ale...

Obróciłem się i pobiegłem do auta, kiedy do głowy przyszło mi ostatnie miejsce. Na polance nad jeziorem stawiłem się w mniej niż pięć minut, ale gdy zatrzymałem samochód, żołądek boleśnie mi się skurczył. Czułem się, jakbym oglądał wszystko spoza swojego ciała.

Wysiadłem, widząc migające pomiędzy drzewami niebiesko-czerwone światła. Biegłem, słysząc echo własnego oddechu. Minałem pickupa Eastona, a kiedy wychynałem zza rogu, zatrzymała mnie policjantka.

Zobaczyłem sanitariuszy wnoszących nosze do karetki. Serce biło mi tak szybko, że ledwie mogłem zrozumieć scenę, którą miałem przed sobą. I wtedy zobaczyłem zwisający z drzewa sznur...

- Nie. - Spanikowałem, gdy karetka ruszyła z miejsca. -NIE! -

krzyknąłem i ruszyłem do auta. Nieznany dotąd strach skuł mi żyły lodem. Musiałem zatrzymywać się na każdym czerwonym świetle po drodze do szpitala, zacisnąłem ręce na kierownicy tak mocno, że zupełnie pobieleły mi knykcie.

Wpadłem do budynku i pobiegłem aż do sali Bonnie... ale przed wejściem do niej zobaczyłem policjantów rozmawiających z Farradayami. Czekałem z sercem w gardle, wryty w podłogę niczym pomnik.

Pani Farraday zakryła dłonią usta, widziałem, jak nogi się pod nią ugięły. Jej mąż pokręcił głową.

- Nie - powiedział i sam również opadł na podłogę.

Trząśłem się na ten widok, ponieważ informacja zakorzeniała się w moim umyśle.

- Easton... - szepnąłem z ogromnym strachem. - Nie. - Pokręciłem głową, czując się, jakby ktoś uderzył mnie w brzuch metalową pałką.

Farradayów zaprowadzono do osobnej sali. Mama Bonnie spojrzała na mnie, przechodząc, a w jej oczach lśnił rozdzierający smutek.

Jakby za sprawą magnesu, moje spojrzenie zostało ściągnięte do pokoju Bonnie. Była tam sama. Potrzebowała mnie. Otarłem twarz i odrętwiały zbliżyłem się do drzwi. Wyglądała tak mizernie. Nie potrafiłem zapanować nad łzami, które płynęły po policzkach i kapały na podłogę. Zbliżyłem się, wziąłem ją za rękę. Poruszyła się, otworzyła oczy i popatrzyła na mnie.

- Cromwell - powiedziała, chociaż nie usłyszałem jej głosu.-Jesteś.
- Tak, kochanie. - Pocałowałem ją delikatnie. Uniosła słabą dłoń do mojego policzka. Musiała wyczuć wilgoć.
- Nie... płacz... - Pochyliłem się i pocałowałem jej rękę. -Zostań ze mną...
- Zawsze - odparłem i usiadłem na łóżku. Przytuliłem ją. Niedługo później wrócili jej rodzice. Byli jak duchy. Przełknąłem ślinę, ale nie zdołałem zapanować nad łzami, bo już wiedziałem.

Nie przeżył.

Za nimi wszedł lekarz. Bonnie otworzyła oczy, gdy zwrócił się do niej:

- Mamy serce.

Zadrzała, kiedy lekarz poinformował ją o procedurze, ale nie zapamiętałem jego słów. Dotarła do mnie prawda.

Easton...

To było serce Eastona.

Wystarczył rzut oka na Farradayów, by potwierdziły się moje przypuszczenia.

Zaraz później w sali powstało zamieszanie, przyszli medycy, żeby przygotować Bonnie do przeszczepu. Trzymałem ją za rękę, kiedy tylko

mogłem. W jej oczach gościła dezorientacja i strach. Podeszli rodzice, również dodawali jej otuchy.

- Easton? - zapytała, na co serce rozpadło mi się na milion kawałeczków.

- Jedzie - wypowiedział jakże potrzebne w tej chwili kłamstwo pan Farraday. Wiedzieliśmy, że Bonnie musiała teraz walczyć. Nie mogła poznać prawdy.

- Potrzebuję... go... - szepnęła.

- Niedługo tu będzie - odparła jej mama, a ja zamknąłem oczy.

Tak, będzie tu. Bliżej, niż zakładała.

- Cromwell. - Uniosłem powieki. Patrzyła na mnie pani Farraday, w jej oczach widać było cierpienie. Była załamana. Odsunęła się, by zrobić mi miejsce.

Bonnie wyciągnęła dłoń. Przemierzyłem salę. Miała zimne palce.

Uśmiechnęła się do mnie, a widok ten zniszczył moją duszę.

- Serce... - Próbowała uśmiechać się tak szeroko, jak tylko zdołała, fioletowe wargi ukazywały rodzącą się w niej nadzieję.

- Wiem, kochanie - powiedziałem z wymuszoną wesołością.

- Przeżyję - szepnęła z determinacją większą, niż gdyby krzyczała.

- Dla nas... - Zamknąłem oczy, oparłem czoło o jej mostek. Usłyszałem nierówne kołatanie i przypomniałem sobie, że nagrałem bicie serca Eastona. Serca, które wkrótce będzie biło w jej piersi. Uniosłem głowę i spojrzałem Bonnie w oczy. Wiedziałem, że prawda ją zniszczy.

Przyszedł lekarz. Objąłem jej twarz i po raz ostatni pocałowałem w usta.

- Kocham cię, kochanie - szepnąłem, gdy ją wywożono.

- Też cię kocham - nadeszła cichutka odpowiedź.

Rodzice Bonnie poszli za nią, aż zostali zatrzymani. Kiedy zniknęła za podwójnymi drzwiami, przyglądałem się emocjom rozrywającym Farradayów, załamanych po stracie syna.

Syna, którego serce mogło ocalić ich córkę.

Opadłem na podłogę, opierając się o chłodną ścianę. I czekałem.

Czekałem z nadzieją, że Bonnie przetrwa. Odczuwałem też strach, ponieważ nie wiedziałem, jak miałyby poradzić sobie z całą tą sytuacją.

Jeden bliźniak umarł, by drugi mógł żyć.

Odszedł mój przyjaciel.

Dziewczyna, do której należało moje serce, walczyła o istnienie.

A ja nie mogłem zrobić niczego, by to naprawić.

## **ROZDZIAŁ 25**

*CROMWELL*

Stałem, patrząc na nią przez szybę. Znów podłączono ją do respiratora, miała dreny, które odsączały zbierające się w jej ciele płyny, ale powróciła do mnie nadzieja.

Przeżyła operację. Lekarze określili to mianem sukcesu, ale gdy wpatrywałem się w jej twarz i zamknięte oczy, które według doktora powinny się dziś otworzyć, wiedziałem, że nie będzie tak łatwo. Dziś miała dowiedzieć się, że serce przyjęte przez jej organizm z taką łatwością zostało pobrane od jej najlepszego przyjaciela, bliźniaka...

Eastona.

Przetarłem twarz i obróciłem się do siedzących na sofie Farradayów, którzy trzymali się za ręce. Na ich twarzach gościła pustka i ból.

Wszystko wydarzyło się zbyt szybko i dopiero teraz dochodziło do nich, co się stało. Płakali, kiedy przywieziono Bonnie po operacji, ale nie rozmawiali ze sobą za wiele.

Nie miałem pojęcia, co powiedzieć.

Spojrzałem w bok, w miejsce, w którym normalnie stałby Easton. Na myśl o nim serce mi się ścisnęło. Przypomniałem sobie pierwszy dzień pobytu na uczelni, gdy wziął mnie pod swoje skrzydła. Kiedy paradował

po kampusie dumny jak paw. Wspominałem jego jaskrawe obrazy, zmieniające się z czasem w mroczne. I otaczające go barwy, które zblakły do szarości i czerni.

Obudziły się we mnie wyrzuty sumienia, ponieważ widziałem ten proces, ale sądziłem, że martwił się stanem siostry.

Dziś znów przyszli policjanci. Śmierć Eastona określili mianem samobójstwa, co nas nie zdziwiło. Przynieśli list znaleziony w jego samochodzie, zaadresowany do Bonnie. Pani Farraday ścisnęła kopertę, jakby w jakiś sposób miała ona sprowadzić z powrotem jej syna.

Wyszedłem ze szpitala, wyjąłem papierosy. Wsadziłem sobie jednego do ust, ale nagle zamarłem. Spojrzałem na pogodne niebo, usłyszałem śpiewające na musztardowo ptaki i szeleszczące brązem liście, po czym rzuciłem szluga na chodnik. Podeszedłem do kosza na śmieci i wyrzuciłem do niego całą paczkę fajek.

Opadłem na najbliższą ławkę. Emocje były tak wielkie, że zaczęły mnie dusić. Miałem ochotę pobiec do sali muzycznej i wyrzucić je wszystkie z siebie, ale na myśl o Lewisie musiałem zdusić gniew, zanim i on by mnie zniszczył.

W mojej głowie pojawił się wzór, gdy pomyślałem o pierwszym razie, kiedy zasiadłem do fortepianu i poprowadziły mnie barwy.

Słyszałem skrzypce grające *pizzicato*, następnie pojawił się flet. Utwór prowadziły klawisze, opowiadając o narodzinach muzyka. O siedzącym przy nim ojcu, który go wspierał. Zobaczyłem odejście taty w solówce wiolonczeli. Zacisnąłem powieki. Historia biegła dalej.

Ktoś złapał mnie za ramię. Spojrzałem w górę.

- Obudziła się - powiedział pan Farraday.

Przełknąłem ślinę.

-Wie?

Pokręcił głową.

- Wieczorem intubacja zostanie przerwana. - Skinął głową, pokazując siłę, którą podziwiałem. - Niedługo się dowie.

Wstałem i poszedłem za nim do środka. Przemierzyłem korytarze, by znaleźć się w sali na oddziale intensywnej terapii. Umyłem ręce i wszedłem. Bonnie spojrzała na mnie. Miała w gardle rurkę, zakrywającą całe jej usta, ale widziałem radość w jej oczach.

Dotrzymała obietnicy. Przetrwała.

- Cześć, kochanie. - Wziąłem ją za rękę, pochyliłem się i pocałowałem w czoło. Moje wargi drżały, bo miałem świadomość rzeczywistości, która całkowicie zniszczy Bonnie. Ścisnęła moją dłoń.

Zamknąłem oczy, walcząc ze łzami. - Byłaś dzielna - powiedziałem i usiadłem obok. Uroniła słońską kroplę.

Powieki zaczęły jej opadać. Pochłonęło ją wyczerpanie. Zostałem przy niej tak długo, jak mogłem. Siedziałem w poczekalni, kiedy po kolei odwiedzali ją rodzice. Wieczorem wyproszono nas, gdy wyjęto jej rurkę intubacyjną. Kiedy wrócił do nas lekarz, w moim wnętrzu wybuchła radość. Poszedłem za Farradayami do sali Bonnie. Matka podeszła do córki i bardzo delikatnie ją uściskała. Kolejny uściskał ją ostrożnie tata.

Gdy rodzice się odsunęli, Bonnie uśmiechnęła się do mnie. Znów była cała w przewodach i rurkach, ale miała szeroki uśmiech na twarzy.

Zbliżyłem się, pocałowałem ją w usta. Jej oddech nieco przyspieszył.

- Kocham cię - szepnąłem.

Bezgłośnie odpowiedziała tym samym. Ponownie się rozejrzała.

Poczułem ucisk w piersi. Wiedziałem, kogo szukała. Zmarszczyła brwi i zamrugła, pytanie miała wypisane na twarzy.

*Gdzie jest Easton?*

Podszedł do niej tata.

- Nie mógł przyjść, skarbie. - Próbował ukryć przed nią smutek, ale mu nie wychodziło. Bonnie przyglądała mu się uważnie. Pan Farraday odsunął jej włosy z twarzy, ale dziewczyna spojrzała na siedzącą obok, załamaną matkę. Popatrzyła też na mnie i zaczęła drżeć jej dolna warga.

Zacisnąłem dłonie w pięści. Czułem się beużyteczny, niezdolny powstrzymać emocje, które ją dopadały.

- Easton? - zapytała ochryple. Łzy napłynęły jej do oczu. - Gdzie...

jest? - Zwiesiłem głowę, nie mogąc przyglądać się tej scenie.

Próbowałem oddychać, ale nie pozwolił mi na to spoczywający na sercu głaz. - Coś się stało? - wydusiła.

Jej matka załkała, niezdolna się pohamować. Uniosłem głowę i zobaczyłem, że Bonnie spoglądała na mnie. Musiałem do niej podejść.

Zbliżyłem się i wziąłem ją za rękę.

Pan Farraday się wyprostował.

- Zdarzył się wypadek, skarbie. - Głos załamał mu się na ostatnim słowie.

Dłoń Bonnie drżała.

- Nie. - Łzy zmoczyły jej rzęsy i popłynęły po policzkach.

Przyglądałem się, jak bardzo powoli uniosła rękę, za którą do tej pory trzymała ją mama, do swojej klatki piersiowej. Zamknęła oczy i cała zaczęła się trząść. Łza za łzą skapywała na poduszkę.

Pochyliłem się, oparłem czoło o jej. Pogorszyłem tylko sprawę.

Bonnie szlochała. Pan Farraday stwierdził, że Easton miał wypadek, ale było jasne, że domyślała się prawdy.

Bez względu na powód, chłopak nie czuł się dobrze na tym świecie, a nikt nie wiedział o tym lepiej niż jego siostra bliźniaczka.

- Bonnie - szepnąłem. Zamknąłem oczy, po prostu ją tuląc.

Trzymałem ją, gdy płakała. Chwila, w której mieliśmy świętować, w jej oczach zmieniła się w tragedię. W oczach nas wszystkich.

Trzymałem ją, kiedy szlochała tak bardzo, że zacząłem się martwić, że coś jej się stanie. Obudziła się niedawno po ciężkiej operacji, ale byłem pewien, że tylko wiedza, że był to zły sen, pomogłaby ukoić jej ból.

Bonnie płakała, aż zasnęła. Nie ruszyłem się. Trzymałem ją za rękę, w razie, gdyby się obudziła. Farradayowie wyszli do poczekalni. Musieli zająć się pewnymi sprawami z policją i szpitalem. Nie miałem na tyle bujnej wyobraźni, by domyślić się, co musieli robić, aby poradzić sobie



z tymi wszystkimi rzeczami. Jak można cieszyć się życiem przywróconym jednemu dziecku, gdy drugie odeszło w tak tragicznych okolicznościach?

Byłem odrętwiały, ale wiedziałem, co miało nadejść. Nie mogłem powstrzymać wszystkich uczuć przed wypłynięciem na powierzchnię, ale na razie zepchnąłem je w siebie tak głęboko, jak tylko zdołałem.

Musiałem przysnąć, ponieważ obudziłem się, kiedy ktoś głaskał mnie po włosach. Zamrugalem i spojrzałem w górę.

Patrzyła na mnie Bonnie, ale, podobnie jak wcześniej, miała mokre oczy i bladą cerę, na której widniały ślady łez.

- Odebrał sobie życie... prawda? - Jej słowa trafiły we mnie niczym kule.

Przytaknąłem. Nie było sensu jej okłamywać. Od dawna już wiedziała. Wzięła mnie za dłoń. Już teraz, zaledwie kilka dni po operacji, jej uścisk był mocniejszy.

Cała była silniejsza.

Byłem pewien, że gdziekolwiek znajdował się w tej chwili jej brat, na jego twarzy gościł uśmiech.

Bonnie odetchnęła głęboko, napełniła płuca powietrzem tak mocno, że na jej policzkach natychmiast odmalował się kolor. Położyła sobie moją rękę na klatce piersiowej. Usłyszałem bicie jej nowego serca. Było silne i rytmiczne.

Magenta.

Taką właśnie barwę miał puls Eastona, gdy słuchałem go przez stetoskop.

- Mam jego serce, prawda? - zapytała z zamkniętymi oczami, ale zaraz je otworzyła i spojrzała na mnie.

- Tak.

Skrzywiła się z bólu. Coś zdawało się w niej zmieniać. Jakbym obserwował, jak szczęście i dusza uleciały z jej ciała. Barwy, które ją otaczały, zmieniły się z róży i fioletów na brązy i szarości. Zabrała nawet dłoń, którą mocno mnie ścisnęła. Próbowałem ją złapać, ale Bonnie dosłownie zamknęła się w sobie.

Wycofała się.

Zostałem w jej sali przez kolejne dwa dni. Z każdą sekundą jednak Bonnie, którą znałem i kochałem, odchodziła coraz dalej. Chciało mi się płakać, kiedy włączyłem na telefonie Mozarta, a ona popatrzyła na mnie pustym wzrokiem i powiedziała:

- Mógłbyś to wyłączyć?

Zdrowiała, ale jej psychika została zniszczona. Pewnej nocy myślałem, że do mnie wróci. Obudziła się o trzeciej, wzięła mnie za rękę i obróciła się, by na mnie spojrzeć.

- Bonnie? - szepnąłem.

Drżała jej dolna warga, wyczerpane oczy były ledwie otwarte.

- Jak niby moje serce może poprawnie działać, a nadal być złamane? - Zbliżyłem się i ją przytuliłem. Tuliłem ją, gdy szlochała. Nie zrobiłem wiele, ale w tamtej chwili wydawało mi się, że pomogłem jej bardziej niż komukolwiek innemu w całym swoim życiu.

Następnego ranka ponownie się jednak wycofała. Wróciła do bycia Bonnie, która odcięła się od nas wszystkich i utknęła w swoim bólu.

Fizycznie nabierała sił, ale emocjonalnie była wrakiem.

Pielęgniarki uśmiechały się szeroko, kiedy przeszedłem obok dyżurki na nowym oddziale, na którym leżała moja ukochana. Jak do tej pory jej organizm nie odrzucił przeszczepionego narządu i miała się na tyle dobrze, że przeniesiono ją z intensywnej terapii. Wziąłem głęboki

oddech. Pod drzwiami jej nowej sali zastałem pana Farradaya.

- Dzień dobry - powiedziałem i postawiłem krok, by je otworzyć.

Mężczyzna zastąpił mi drogę. Zmarszczyłem brwi. Był blady i smutny, na jego twarzy malował się żal.

- Nie chce nikogo widzieć, Cromwell. - Słyszałem jego słowa, ale ich nie rozumiałem. Ponownie spróbowałem go wyminąć, ale znów stanął przede mną.

- Proszę pozwolić mi przejść - powiedziałem cicho, ostrzegawczo.

Wiedziałem o tym, ale miałem to gdzieś. Chciałem wejść do środka, by się z nią zobaczyć.

Pan Farraday pokręcił głową.

- Przykro mi, ale w tej chwili... jest jej ciężko. Nie chce się z tobą widzieć. Z żadnym z nas. - Widziałem na jego twarzy ogromny ból. -

Próbuję jej pomóc, chłopcze. Jak tylko potrafię.

Zamknąłem usta, ręce zaczęły mi się trząść. Zacisnąłem je w pięści.

- Bonnie! - zawołałem na tyle głośno, by ściągnąć na siebie uwagę każdego na oddziale. - Bonnie! - krzychałem. Pan Farraday próbował mnie uciszyć. - BONNIE! - Odepchnąłem mężczyznę i wpadłem do sali.

Siedziała na łóżku, oparta o poduszki. Wpatrywała się w okno.

Obróciła ku mnie twarz.

- Bonnie - powiedziałem, podchodząc o krok, ale zamarłem, gdy odwróciła się ode mnie.

Wtedy to się stało. Tama puściła, wszystkie wstrzymywane od tygodni uczucia wybuchły niczym ciężkie *crescendo* basowego bębna.

Odsunąłem się w tył, przypominając sobie Eastona z podciętymi nadgarstkami. Jego siostrę z zawałem serca, umierającą w moich ramionach. Mojego przyjaciela na noszach, sznur zwisający z drzewa. I Bonnie... kiedy dowiedziała się o śmierci brata i tym, że ma teraz jego serce.

Nie mogłem tego znieść. Nie potrafiłem sobie z tym poradzić.

Odwróciłem się, gdy podeszło do mnie dwóch ochroniarzy. Uniosłem rękę.

- Idę. Idę! - Zaryzykowałem spojrzenie na Bonnie. Zobaczyłem tylko jej plecy. Ruszyłem korytarzem, ale nim zdołałem opuścić budynek szpitala, puściłem się biegiem. Dopadłem samochodu, wszystkie barwy i emocje zlewały się w jedność. Umysł pulsował jak perkusja. Głowa bolała, ciśnienie naciskało na mózg, ledwie coś widziałem.

Pod powiekami wybuchały neonowe fajerwerki, rozpalając myśli, aż nie byłem w stanie ich znieść. Zatrzymałem auto i praktycznie z niego wyskoczyłem. Wpadłem do budynku wydziału muzycznego, niczego nie planując, po prostu dając ponieść się nogom. Zacząłem dobijać się do drzwi, które stały otworem. Zobaczyłem twarz Lewisa. Złapałem się za głowę, po czym, nie dbając o to, czy ktokolwiek mnie usłyszy, powiedziałem:

- Chcę skomponować utwór na tę galę. - Profesor otworzył usta, na jego twarzy zagościł szok. Przepchnąłem się obok mężczyzny, wchodząc do gabinetu. - Bonnie ma serce.

- Zacisnąłem mocno powieki. - Easton się zabił... - Głos mi się załamał, smutek zmiażdżył mnie niczym wielka fala. Zakrztusiłem się na wspomnienie sznura, noszy... i Bonnie.

- Cromwell. - Lewis się zbliżył.

Uniosłem rękę.

- Nie. - Zatrzymał się. - Przyszedłem, bo nikt inny nie zrozumie. -

Uderzyłem się pięścią w głowę. - Widzi pan to, co ja, czuje pan to samo.

- Wciągnąłem powietrze. - Potrzebuję pomocy. - Opuściłem dłonie, zaczynałem tracić energię.

- Potrzebuję jej przy muzyce, profesorze. Narastają. Barwy. Wzory.

- Pokręciłem głową. - Dźwięki są za głośne. Za dużo ich, kolory są zbyt jasne.

Lewis ponownie się zbliżył. Kiedy stanął przede mną, wyciągnął

rękę, ale się odsunąłem. Widziałem jego twarz i malującą się na niej desperację. Wiedziałem, że musieliśmy porozmawiać. Spojrzałem jednak na leżącą na jego biurku pierśiówkę. Alkohol. Worki pod jego oczami.

- Nie przyszedłem po nic innego. - Zamarł, po czym przeczesał

włosy palcami. Gest był podobny do tego, jaki sam robiłem. Żołądek znów mi się skurczył. Zakrztusiłem się, ale wydusiłem: - Jestem tu, by tworzyć. Nie chcę rozmawiać o niczym innym. Proszę... - Zalałem się łzami. Kierowało mną odrzucenie przez Bonnie. Gdyby usłyszała moją muzykę, gdybym wystąpił na gali, uchwyciłaby dźwięki, które były jej przeznaczone. Zobaczyłaby, że ją kochałem. I to, że miała przed sobą życie.

Ze mną.

Przy mnie.

Na zawsze.

Spojrzałem na Lewisa.

- Proszę mi pomóc... - Postukałem się w głowę. - Żeby zmienić to w muzykę. Po prostu... proszę o pomoc.

- Dobrze. - Ponownie przeczesał włosy. - Ale, Cromwell, pozwól

mi wyjaśnić. Proszę, wysłuchaj mnie tylko...

- Nie mogę - wychrypiałem. - Jeszcze nie. - Pokręciłem głową, w mojej piersi powstawała dziura wielkości jaskini. Próbowałem zaczerpnąć tchu, ale było to za trudne. - Nie mogę radzić sobie i z tym...

Jeszcze nie.

Lewis wyglądał, jakby chciał mnie przytulić. Stał z uniesioną ręką, ale nie mogłem mu na to pozwolić. Jeszcze nie teraz.

- Dobrze. - Popatrzył mi w oczy. - Mamy bardzo mało czasu, Cromwell. Jesteś na to gotowy? Będziemy pracować dniami i nocami, by osiągnąć cel.

Poczułem mocną potrzebę spełnienia tego zamiaru. Uspokoila mnie.

- Tak. - Wciągnąłem powietrze i tym razem udało mi się odetchnąć. - Mam to w sobie, profesorze. Zawsze miałem. - Zamknąłem oczy na myśl o tacie, Bonnie i muzyce, która od tak dawna próbowała wydostać się na zewnątrz. - Jestem gotowy, by komponować. - Nagła zmiana zdawała się przynieść spokój umysłowi i emocjom. -

Skończyłem z uciekaniem.

- Więc chodź ze mną. - Zabrał mnie do studia, które pokazał mi w noc, gdy Easton podciął sobie żyły. Podszedłem wprost do fortepianu.

Usiadłem, ułożyłem palce na klawiszach, otworzyłem duszę i uwolniłem barwy.

Czerwienie, błękity, fiolety i róże wylewały się ze mnie, otaczając chmurą. I pozwoliłem im zagościć w miejscu, do którego należały. Moje własne palce pokazały mi drogę.

Lazur.

Brzoskwinia.

Ochra.

I fiolet.

Już zawsze miałem podążać za fioletem.

## **ROZDZIAŁ 26**

*BONNIE*

Patrzyłam na list, który trzymałam w dłoni. Od wielu dni nie byłam go w stanie otworzyć. Ręce trzęsły mi się, gdy uniosłam kopertę do nosa. Zaciągnęłam się korzennym zapachem, którym wciąż pachniał papier. Easton. Znajoma woń była sztyletem dla mojego serca.

Jego serca.

Przycisnęłam list do piersi i zamknęłam oczy. Ucisk w gardle, który nie odpuszczał, odkąd obudziłam się w szpitalu, nasilił się na myśl o bliźniaku. O jego uśmiechu. O dźwięku jego śmiechu. O tym, że chłopak przyciągał inne osoby jak magnes. Potem ten Easton zniknął, pozostawiając po sobie smutną wersję, która czasem go zastępowała. Tę skąpaną w szarej i czarnej farbie, zbolełą i tak smętną, że nie mógł jej rozweselić nawet najśłoneczniejszy z dni.

- Easton - szepnęłam, wodząc palcami po imieniu na kopercie.

Spojrzałam po sobie. Ubrana byłam w czarną sukienkę i czarne

rajstopy. Modliłam się, by udało mi się przetrwać, ponieważ wiedziałam, co mnie dziś czekało. Miała to być pierwsza wizyta po operacji w prawdziwym świecie.

Ostateczne pożegnanie z bratem, który ocalił mi życie. Który był przy mnie od tak dawna, że nie wiedziałam, jak bez niego oddychać. Z

dyżurki pielęgniarek dobiegała muzyka, a także piskliwy dźwięk ich śmiechu.

Chciałam się uśmiechnąć, słysząc w ich głosach szczęście, ale kiedy popatrzyłam na kopertę, nie sądziłam, bym kiedykolwiek jeszcze miała poczuć coś takiego.

Pozostałam w tej pozycji przez ponad godzinę, po prostu wpatrując się w list. W końcu, gdy zebrałam się na odwagę, otworzyłam go i wyjęłam ze środka kartkę.

Ręce trzęsły mi się tak bardzo, że nie byłam w stanie czytać, ale rozłożyłam ją. Wiadomość nie była długa. Zanim przeczytałam choćby jedno słowo, do oczu napłynęły mi łzy.

Zacisnęłam powieki, próbując odetchnąć. Nowe serce uderzało w piersi jak bęben. Uczucie to wciąż mnie szokowało. Nie przywykłam do rytmu, który był tak równy, silny i głośny, i który powinien napędzać mnie życiem.

Zamiast tego czułam się pusta.

Wzięłam głęboki wdech i spojrzałam na słowa, zapisane tylko dla mnie...

*Bonnie,*

*pisząc to, patrzę na nasze ukochane jezioro. Widziałaś kiedyś, jak niebieskie jest w słońcu? Jak spokojne? Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek przyjrzał się światu i dostrzegł jego piękno.*



*Piszę to, gdy leżysz w szpitalnym łóżku. Właśnie zadzwonił tata, mówiąc, że nie zostało Ci zbyt wiele czasu. Nie wiem, czy kiedykolwiek dostaniesz ten list. Nie mam pojęcia, czy przetrwasz. Jeśli Ci się nie udało, jestem pewien, że jesteśmy razem, w miejscu poza tym światem.*

*Gdzieś, gdzie jest lepiej. Gdzieś, gdzie nie ma bólu.*

*Ale, gdybyś jakimś cudem dostała w ostatniej chwili serce, chcę, byś to przeczytała. Pragnę, żebyś wiedziała, dlaczego nie mogłem dłużej tego znosić.*

*Chcę, byś zrozumiała, że to nie przez Ciebie. Wiem, że od lat obwiniasz się o to, ale naprawdę nie jesteś przyczyną.*

*Pragnę wytłumaczyć, jak się czuję, ale nie jestem Tobą i nie potrafię ubrać wszystkiego w ładne słowa. Nigdy nie cieszyłem innych tak jak Ty.*

*Zamiast tego wydawało mi się, że na wszystko patrzę z boku. Widziałem szczęście i radość życia innych, ale dla mnie sprawy przedstawiały się wręcz przeciwnie.*

*Moje życie było trudne, Bonnie. Kiedy wciągałem do płuc powietrze, czułem się, jakbym oddychał smołą. Chodziłem po ruchomych piaskach.*

*Musiałem się ruszać, inaczej zostałbym wciągnięty.*

*Walczyłem, ale prawda była taka, że chciałem zatonąć. Pragnąłem zamknąć oczy i zniknąć, bym nie musiał już walczyć o życie, które chciałem sobie odpuścić.*

*Uświadomiłem sobie tę prawdę, gdy zachorowałeś -potrzebowałem zrezygnować. Chciałem zasnąć i nigdy się nie obudzić. Ponieważ, Bonnie, po co miałem żyć na świecie, w którym nie byłoby Ciebie? Jeśli dostał serce, jeśli ktoś Cię uratował, oddając Ci coś, co jemu nie było już potrzebne, wiedz, że się cieszę. Możesz być na mnie zła. Właściwie jestem przekonany, że tak jest. Jesteś moją bliźniaczką. Czuję to, co Ty. Nie potrafię jednak dłużej wytrzymać. Nawet kiedy tu siedzę, wiedząc, że zostały mi tylko minuty, pragnę odejść. Nie potrafię już walczyć, by*

*zostać na tym świecie.*

*I nie chcę się z Tobą żegnać, Bonnie. Chcę odejść w ten właśnie sposób. W moim ulubionym miejscu, wiedząc, że niedługo znów Cię zobaczę. Po tym, gdy przeżyjesz życie za nas oboje. Życie, którego ja nigdy bym nie miał.*

*Niektórym nie jest przeznaczony ten świat, Bonnie. I jestem jedną z tych osób. Wiem, że będziesz mnie opłakiwać, ale jeśli przetrwasz, będę tęsknił za Tobą każdego dnia, aż znów się zobaczymy.*

*Ponieważ kiedyś jeszcze się spotkamy, Bonnie. Spójrz w górę, zawsze będę przy Tobie.*

*Ale teraz muszę odejść.*

*Walcz, siostra. Żyj swoim ukochanym życiem. A kiedy nadejdzie Twój czas, przyjdę po Ciebie. Wiesz, że właśnie tak się stanie.*

*Kocham Cię, Bonn.*

*Easton*

Szlochałam mocno, łzy skapywały na papier i rozmazywały linijki.

Natychmiast otarłam list, musiałam ocalić każdy, nawet najmniejszy jego fragment. Przytuliłam kartkę do piersi. Byłam pewna, że w tej właśnie chwili poczułam brata w sercu. Wiedziałam, że się do mnie uśmiechał, próbując mnie pocieszyć. Był szczęśliwy, ponieważ, choć o tym nie wiedział, stał się moim cudem. Odebrał sobie życie, nie wiedząc, że uratuje tym moje.

Trzymałam jego list przy piersi, aż skończyły mi się łzy. Kiedy rodzice wywieźli mnie na wózku inwalidzkim ze szpitala, aby zabrać mnie na pogrzeb, wciąż miałam w kieszeni kartkę. Blisko siebie.

Czerpałam z niej siłę, by przetrwać jakoś ten dzień.

Następną godzinę spowiła mgła. Zostałam posadzona w

samochodzie, jechaliśmy za karawanem z udekorowaną białymi liliami trumną brata. Gdy przyjechaliśmy do kościoła, przyglądałam się wyciąganej z czarnego auta trumnie. Zrobił to tata z wujkami. Wtedy też zobaczyłam osobę, której nie widziałam od wielu dni.

Chociaż byłam odrętwiała, moje serce zgubiło rytm, kiedy dostrzegłam Cromwella, ubranego w czarny garnitur i krawat. Jego włosy w słońcu były kruczoczarne. Próbowałam oderwać od niego wzrok, ale nie potrafiłam tego zrobić. Podszedł, uścisnął rękę tacie.

Zmarszczyłam brwi, zastanawiając się, o co chodziło. Zajął jedno z miejsc przy trumnie, niosąc mojego brata, biorąc na siebie ciężar, którego Easton nie był w stanie dźwigać.

Ktoś wziął mnie za rękę, gdy wniesiono trumnę do kościoła. Mama wiozła mnie na wózku. W ławkach zauważyłam znajomych ze studiów: Bryce'a, Matta, Sarę, Kacey, ale nie mogłam się z nimi przywitać. Byłam zbyt zajęta wpatrywaniem się w Cromwella, który szedł tak dostojnie, że łamał mi serce.

Ponieważ go od siebie odepchnęłam.

Trzymałam go na dystans, choć przez cały ten czas chciał mi tylko pokazać, jak bardzo mnie kochał.

I kochał Eastona.

Kiedy zaczęła się msza, wpatrywałam się pustym wzrokiem w ołtarz i wiszący na ścianie krzyż. Pastor głosił kazanie, ale nie słuchałam.

Zamiast tego patrzyłam na trumnę, odtwarzając w myślach słowa z listu. Byłam zdezorientowana, gdy usłyszałam, jak pastor powiedział:  
- A teraz posłuchamy muzyki.

Cromwell wstał z zajmowanego po drugiej stronie kościoła miejsca.

Serce podeszło mi do gardła, kiedy ruszył w stronę pianina.

Wstrzymałam oddech, gdy ułożył ręce na klawiszach. Moje serce

zostało zmiądżzone, kiedy kapłan zapowiedział *Skrzydła*.

Znajoma melodia wypełniła wielki budynek. Zamknęłam oczy, gdy Cromwell anielsko zagrał swoją wersję mojej piosenki, idealnej na tę chwilę. Nie śpiewał, ale w mojej głowie wirowały słowa doskonale pasujące do genialnej muzyki Cromwella: *Niektórym nie jest dane przeżyć długie lata... Przybywają anioły, czas już się im oddać...*

*Porzucamy klatkę, jak ptaki uwalniane... Ze łzami więc w oczach, poświęcając spojrzenie, mówię: żyłam, kochałam i miałam marzenie...*

Kiedy melodia trwała, spłynęło na mnie dziwne ukontentowanie.

Skomplikowane przejścia i akordy Cromwella sprowadziły Eastona do mojego serca, dając znać, że w końcu odnalazł spokój. Że uwolnił się od niewolących go w tym życiu okowów.

W końcu był szczęśliwy i nie cierpiał.

Gdy Cromwell skończył grać, po kościele poniosły się szepty. Ludzie byli zszokowani tym, że ktoś potrafił tak pięknie grać. Idealnie. Bez zająknięcia.

Cromwell grał dokładnie tak, jak kochał.

Kiedy wracał na miejsce, spojrzał na mnie i w tej ulotnej chwili dostrzegłam w jego oczach wszystko, co czuł. Na jego widok również tego doświadczyłam.

Tęsknił za mną. Cierpiał.

Mama wzięła mnie za rękę. Pod koniec nabożeństwa mocno ją ściszałam. Pojechaliśmy na cmentarz. Płakałam, gdy opuszczano Eastona do grobu.

Ledwie pamiętałam, co było dalej. Zostałam zabrana do domu, gdzie urządzono stypę, ale większość czasu spędziłam w swoim pokoju, czytając list Eastona. Wpatrywałam się w ciemniejący krajobraz za oknem, myśląc o Cromwellu. Nie przyjechał do naszego domu.

Chciałam, by to zrobił, a kiedy się nie pojawił, poczułam, że popadałam w coraz większą rozpacz. Potrzebowałam światła, które rozpalał w mojej duszy i kolorów, którymi malował mój świat.

- Bonnie? - zapytała mama, stając w drzwiach. Posłała mi nikły uśmiech. - Wszystko w porządku?

Próbowałam odpowiedzieć uśmiechem, ale zdradziły mnie łyzy.

Zakryłam twarz dłońmi i rozplakałam się, szlochałam za Eastonem, Cromwellem, wszystkim...

Mama mnie przytuliła.

- Cromwell grał? - wydusiłam pytanie. Pytałam tak naprawdę o to, jak do tego doszło.

- W zeszłym tygodniu poprosił, by mógł to zrobić. - Oddychała nierówno. - Melodia była piękna. Gdyby Easton ją słyszał...

- Słyszał - stwierdziłam. Mama uśmiechnęła się przez łyzy. - Był tam dzisiaj, przyglądał się naszemu pożegnaniu.

Pogłaskała mnie po włosach.

- Musimy odwieźć cię do szpitala, mała. - Posmutniałam, ale wiedziałam, że było to konieczne. Nie mogłam przebywać za długo poza jego murami. Włożyłam kurtkę, po czym mama wywiozła mnie na wózku do samochodu. Gdy ruszyła z podjazdu, uświadomiłam sobie, że musiałam odwiedzić jeszcze jedno miejsce. Coś mnie przyzywało.

Wiedziałam o tym.

Serce chciało złożyć ostatnią wizytę w swoim starym domu.

- Mamo? - zapytałam. - Mogłabyś przejechać obok cmentarza?

Uśmiechnęła się i przytaknęła. Rozumiała, co to znaczyło być

bliźniaczką. Byliśmy z Eastonem nierozłączni. Nawet śmierć nie miała tego zmienić.

Zaparkowałyśmy pod bramą, mama zawiozła mnie do brata. Kiedy się zbliżyłyśmy, zobaczyłam, że ktoś siedział przy drzewie osłaniającym grób. Liście szeleściły, w koronie śpiewały ptaki.

Musztardowa żółć i brąz.

Cromwell uniósł głowę, gdy usłyszał, że idziemy. Wstał i włożył ręce do kieszeni.

- Przepraszam.

Zamknęłam oczy, kiedy jego głos, ciepły, ochrypły, z wyraźnym akcentem, ogrzał moje ciało. Otworzyłam je, gdy przeszedł obok. Nie zastanawiałam się, nie miałam planu. Zamiast tego zdałam się na instynkt i złapałam go za rękę.

Zamarł. Odetchnął głęboko i spojrzał na nasze dłonie.

- Nie odchodź - szepnęłam.

Rozluźnił się nieco.

- Zostawię was samych - stwierdziła mama. - Poczekam w aucie.

Daj znać, kiedy będziesz chciała wracać do szpitala.

- Zajmę się nią.

Mama spojrzała na mnie pytająco.

Odchrząknęłam.

- Może mnie odwiedź.

Cromwell wypuścił powietrze. Mama pocałowała mnie w czoło, po czym odeszła. Chłopak trzymał mnie za rękę, ale patrzył przed siebie.

- Tęskniłem - szepnął, a jego ochrypły głos dotarł aż do moich kości.

Odetchnęłam, chłodne powietrze wypełniło moją pierś.

- Też za tobą tęskniłam.

Spojrzał na mnie i ścisnął moją dłoń.

- Lepiej mówisz. - Uśmiechnęłam się i przytaknęłam. -Brakowało mi również twojego głosu.

Kłęknął przede mną. Popatrzyłam mu w oczy i zobaczyłam najwspanialsze tęczęwki. Objął moją twarz.

- Jesteś taka piękna... - powiedział. Wskazał na drzewo. -Usiądziesz ze mną? - Skinęłam głową i wstrzymałam oddech, gdy wziął mnie na ręce. Usiadł, posadził mnie obok. Nad nami śpiewały ptaki, gałęzie rzucały cień na miejsce spoczynku Eastona.

Wpatrywałam się w kwiaty i świeżą ziemię, która nakryła trumnę.

To było dla brata idealne miejsce.

Piękne, zupełnie jak on sam.

- Dopilnuję, by wstawiono tu ławkę - wyznałam. - Żebym mogła go odwiedzać. - Cromwell spojrzał na mnie błyszczącymi oczami. - To, jak zagrałeś dziś dla niego... - Pokręciłam głową. - Perfekcyjnie.

- To była twoja piosenka.

Westchnęłam, patrząc na horyzont, ponad którym zaczął wschodzić księżyc.

- Od jego odejścia nie byłam w stanie słuchać muzyki. Sprawiała, że czułam zbyt wiele. - Gardło mi się ścisnęło. -Straciłam radość, jaką mi kiedyś dawała.

Cromwell słuchał. Właśnie tego potrzebowałam.

Po chwili powiedział jednak:

- Lewis jest moim ojcem.

Obróciłam głowę tak szybko, że zabolą mnie szyja. Przeszył mnie szok.

- Co takiego?

Cromwell oparł się o pień.

- Miałaś rację. Synestezja jest genetyczna.

- Cromwell... ja... - Pokręciłam głową, niezdolna do zrozumienia tej prawdy.

- Poznał moją mamę na studiach. - Parsknął gorzkim śmiechem. -

Dość dobrze. Wydaje mi się, że byli razem.

Obolałe serce walczyło, by zrozumieć jego słowa. Biło szybko, choć dech uwiązał mi w gardle.

- Cromwell... - szepnęłam. - Nie wiem, co powiedzieć. Co... Co się z nimi stało?

- Nie mam pojęcia. - Westchnął. - Nie zdołałem go o to zapytać.

Chce mi powiedzieć. Każdego dnia widzę w nim to pragnienie. Mówił, że chciałby wyjaśnić... ale jeszcze nie mogę go wysłuchać. - Zwiesił

głowę, róż wykwitł na jego policzkach. Kiedy ponownie na mnie spojrzął, powiedział: - Ale mi pomaga. Codziennie pracujemy razem.

Zmarszczyłam brwi, ale w końcu dotarło to do mnie.

- Wystąpisz na gali?

Uśmiechnął się słabo.



- Tak. I chyba... - Popatrzył mi w oczy. - I to chyba dobre, kochanie. Symfonia, którą komponuję...

Kochanie. Pieszczota zatoczyła krąg w głowie, by spłynąć i zająć należne jej miejsce w moim nowym sercu. Gdy się tam zakorzeniła, poczułam spokój, ciepło i bezpieczeństwo, bo siedziałam tuż obok ukochanego.

- Easton napisał do mnie list. - Zamknęłam oczy, wciąż odczuwając smutek, ale... - Ma teraz spokój. - Próbowałam się uśmiechnąć. - Nie dręczą go już odbierające radość demony. -

Zapatrzyłam się na jego grób, zastanawiając się, czy nas widział i czuł, że potrzebowaliśmy jego towarzystwa. Tęskniliśmy za nim tak bardzo, że to aż bolało.

Spojrzałam na Cromwella.

- Jaki kolor widzisz wokół jego grobu?

Westchnął.

- Biały - odparł. - Widzę biel.

- I co to dla ciebie oznacza? - zapytałam szeptem.

- Spokój - stwierdził łagodnie, z ulgą. Ostatnie więzy bólu, z których nie mogłam się uwolnić, uleciały do ciemnego nieba. Oparłam się o Cromwella, rozkoszując chwilą, a on objął mnie i przytulił.

Zostaliśmy w tej pozycji, aż zapadła chłodna noc i poczułam zmęczenie.

- Chodź, kochanie. Czas wracać. - Wziął mnie na ręce i poniósł do auta. Posadził mnie w nim i wrócił po wózek. Zasnęłam, obudziłam się dopiero w łóżku. Otworzyłam oczy, kiedy Cromwell całował mnie w policzek. Popatrzył mi błagalnie w oczy. - Przyjeźdź na galę.

Serce mi się ścisnęło.

- No nie wiem. Nie mam pojęcia, czy zdołam.

- Muszę jechać do Charleston, żeby popracować z orkiestrą.

Przyjedź, proszę. Powinnaś to zobaczyć. Muszę wiedzieć, że tam będziesz, że pośród publiczności będzie dziewczyna, która przywróciła mojemu życiu muzykę.

Chciałam odpowiedzieć, ale nim zdołałam to zrobić, Cromwell pochylił się i mnie pocałował. Tym jednym buziakiem skradł mi dech i serce. Podszedł do drzwi, po czym się zatrzymał.

- Kocham cię, Bonnie. Zmieniłaś moje życie - powiedział, nie oglądając się za siebie, i wyszedł.

Byłam pewna, że wziął ze sobą moje serce i że mogłam odzyskać je jedynie jadąc do Charleston za kilka tygodni, by zobaczyć jego występ.

Występ mojego chłopca, który znów miał duszę pełną muzyki.

## **ROZDZIAŁ 27**

### *CROMWELL*

*Kilka tygodni później...*

Siedząc z zamkniętymi oczami, odetchnąłem głęboko. Byłem spięty, serce waliło mi jak młotem. W żyłach płynęła adrenalina. Było tak, odkąd przyjechałem do Charleston. Od kiedy wszedłem do sali prób i

spojrzałem na orkiestrę składającą się z pięćdziesięciu muzyków, którzy mieli grać na gali moje utwory.

Melodie, które skomponowałem.

Pokręciłem głową i wziąłem łyk jacka. Nie piłem od tygodni.

Przestałem palić wtedy pod szpitalem, gdy wyrzuciłem fajki do kosza.

Ale w tej chwili potrzebowałem alkoholu.

Wstałem, biorąc ze sobą butelkę, i wyszedłem z garderoby, po czym przemierzyłem korytarz. W pustym teatrze rozbrzmiał trzask zamykanych drzwi. Patrzyłem na pomalowany sufit i na rzędy wyściełanych aksamitem miejsc. Przeszedłem na scenę, zbliżyłem się do jej frontu. Spojrzałem na salę i zawrzała we mnie krew.

Skupiłem się na miejscu w samym środku. Fotelu, który zarezerwowałem dla Bonnie. Dopadły mnie wątpliwości. W ciągu ostatnich tygodni rzadko z nią rozmawiałem. Minęły święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. Zadzwoiła do mnie w bożonarodzeniowy poranek, brzmiała jak dawniej. Miała silny głos i wyznała, że nowe serce biło mocno.

Ale słyszałem duży smutek w jej słowach. Ledwie zapytała o muzykę. O moją muzykę.

- Tęsknię za tobą, Cromwell - szepnęła. - Życie bez ciebie nie jest takie jak przedtem.

- Ja też za tobą tęsknię, kochanie - odparłem. Umilkłem na chwilę. -

Proszę, przyjedź na galę. Błagam...

Nic nie odpowiedziała. Nawet teraz, dzień przed koncertem, nie wiedziałem, czy się pojawi. Musiała tu jednak być. Musiała usłyszeć ten utwór.

Napisałem go dla Bonnie. Dzięki niej. Całe moje życie kręciło się

teraz wokół ukochanej.

Nie chciałem, by było inaczej.

Zeskoczyłem ze sceny, zająłem miejsce w pierwszym rzędzie.

Patrzyłem na tło, które przygotowywano do koncertu. Westchnąłem i upiłem spory łyk jacka.

Zamknąłem

oczy,

oddychając

zapachem

tego

miejsca.

Przypomniałem sobie tę woń. Żyłem nią. *Należysz do tej sceny, synu -* powiedział głos ojca w mojej głowie. *Porwiesz ich w taki sam sposób, w jaki porywałeś mnie.*

Jak zawsze w takich chwilach, poczułem ucisk w gardle. Ktoś usiadł

obok. Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem Lewisa. Przebywałem w jego towarzystwie od tygodni. Nie opuszczał mnie nawet na chwilę.

Pracował ze mną nad tą symfonią dniami i nocami. Nie pisał jednak słówkiem o moim odkryciu. Pomagał mi jak kompozytor kompozytorowi, synesteta synestecie.

Rozumiał mnie lepiej, niż byłem to w stanie pojąć. Odczuwał każdą wygrywaną przeze mnie nutę. I czuł wszystkie emocje, które próbowała przekazać muzyka. Co najlepsze, wspierał mnie, gdy zdecydowałem się zmienić. Mój utwór miał podzielić jutro opinie widzów. Wiedziałem o

tym, ale musiałem to zrobić. Chciałem opowiedzieć tę historię w jedyny znany mi sposób.

- Zdenerwowany? — zapytał cicho, mimo to jego głos odbił się od ścian niczym grzmot.

Westchnąłem. Nie odpowiedziałem od razu.

- Nie denerwuję się występem...

- Chcesz, by była tu Bonnie.

Zacisnąłem usta. Nie lubiłem się otwierać, okazywać uczuć, ale Lewis widział, jak komponowałem. Pomagał mi przy tym. Wiedział, o czym opowiadał mój utwór. Nie było powodu, bym się przed nim ukrywał.

- Tak. - Pokręciłem głową. - Nie jestem pewien, czy przyjedzie. Jej matka stara się ją namówić, żeby to zrobiła, ale Bonnie nie doszła jeszcze do siebie. - Żołądek skurczył mi się ze smutku. - W głębi duszy kocha muzykę, ale odkąd straciła Eastona, nie wie, jak się pozbierać i do niej wrócić.

- Zobacz to - powiedział Lewis, wskazując na scenę, na której znajdują się jutro muzycy, światła i... ja. - Zobacz cię, jak dyrygujesz do utworu, który zainspirowała. Muzyka do niej powróci. - Spojrzałem na niego, gdy umilkł. - Nigdy nie widziałem i nie słyszałem czegoś podobnego do tego, co stworzyłeś, Cromwell — dokończył ochrypłym głosem. Spiałem się, słysząc to.

Ostatnie tygodnie były w miarę dobre. Udawało mi się nie myśleć o prawdzie. O tym, kim był dla mnie ten mężczyzna. Pochłonęło mnie komponowanie. Dnie wypełniały nuty, struny i *crescenda*, ale w tej właśnie chwili nie mógłbym z tym walczyć, nawet gdybym chciał.

- Jesteś ode mnie lepszy. - Roześmiał się. - Będąc kompozytorem, nie jest łatwo przyznać coś takiego, ale to prawda... i jestem z ciebie cholernie dumny - urwał. Musiałem zacisnąć zęby, bo znów poczułem

ucisk w gardle. Moje serce przyspieszyło. - Byłem egoistą - powiedział ochryple. Ścisnąłem butelkę tak mocno, że nie zdziwiłoby mnie, gdyby pękła. Lewis przeczesał włosy palcami. - Byłem młody, cały świat leżał u moich stóp. - Odetchnął głęboko, jakby potrzebował przerwy. - Twoja mama pojawiła się w moim życiu dość niespodziewanie.

Zwiesiłem głowę, gapiąc się w podłogę.

- Wpadła do niego jak tornado i powaliła mnie na kolana. - Ręka mi drżała, bursztynowy płyn wirował w butelce. - I zakochałem się w niej. Nie zauroczyłem, ta dziewczyna stała się całym moim światem. -

Umilkł. Zamknął oczy, na jego twarzy zagościł ból. Nie unosząc powiek, dodał: - Ale miałem muzykę... i miałem wodę i dragi. Twoja matka dowiedziała się o tym znacznie później. - Poklepał się po piersi. -

Emocje. Używki je tłumili.

Spojrzałem na alkohol. Pomyślałem o wszystkich litrach, które wypilem od śmierci taty, kiedy to świat stał się nie do zniesienia.

- Moja muzyka zaczęła być zauważana, więc wzrastała presja.

Twoja matka została przy mnie, pomagała samą obecnością i miłością.

Zamarłem, gdy to przyznał. Próbowałem wyobrazić sobie mamę, młodą i beztroską. Przez całe życie była cicha i wycofana. Walczyłem, by ją zrozumieć, ale wszystko zaczęło nabierać teraz sensu. To Lewis złamał jej serce. Po raz pierwszy wydawało mi się, że ją znam.

Pomyślałem również o Bonnie, ponieważ to właśnie ona była dla mnie taką osobą. Tą, przed którą się otworzyłem i która pomogła mi uporać się ze zbyt wielkimi emocjami. Wierzyła we mnie i została przy moim boku, choć próbowałem ją odepchnąć. W tej chwili było mi żal Lewisa, ponieważ stracił swoją Bonnie. Posmutniałem na myśl o dzielącej mnie i dziewczynę odległości. Ból, który poczułem, był nie do wytrzymania.

- Ale im bardziej pochłaniała mnie muzyka, tym bardziej alkohol i

narkotyki stawały się sensem mojego życia. Minęło wiele miesięcy, nim znalazła przy mnie prochy. - Skrzywił się, jego głos stracił na sile. -

Błagała, bym to rzucił, ale jej nie posłuchałem. Wierzyłem, że nie mogłem wtedy tego zrobić przez muzykę. Byłem jednak samolubny. W

życiu niczego tak nie żałowałem. - W końcu popatrzył mi w oczy. - Aż dowiedziałem się o tobie.

- Zostawił pan ją w ciąży? - zapytałem, a w moim głosie dało się słyszeć ciemny gniew.

- Początkowo nie wiedziałem o dziecku - odparł. - Byłem uzależniony, Cromwell. A twoja mama zrobiła wtedy najlepszą rzecz jaką mogła, a oznaczało to, że miałem zniknąć z waszego życia. - Otarł

twarz, wyglądał na wykończonego. - Dowiedziałem się o twoim istnieniu, kiedy była w szóstym miesiącu.

- I?

Pozwolił mi dostrzec wstyd w swoich oczach.

- I nic. Nie zrobiłem nic, Cromwell. - Wypuścił drżący oddech. -

Popełniłem wtedy największy błąd. - Pochylił się i zapatrzył na scenę. -

Moim życiem była muzyka. Miałem tylko ją. Wierzyłem, że tak właśnie było. Usłyszałem później, że gdy jeszcze była w ciąży, twoja matka poznała jakiegoś oficera armii brytyjskiej. Człowiek ten stacjonował w Stanach.

Spiąłem się. To wtedy w życie mamy wkroczył tata.

- Dowiedziałem się, że zamierzała przeprowadzić się z nim do Anglii. Pobrali się i wtedy... urodziłeś się ty. Chłopiec. - Spojrzał na mnie. - Syn. - Głos mu się załamał, zobaczyłem łzy lśniące w jego oczach. - W tamtym momencie mnie to dobiło, ale jak w przypadku wszystkich innych rzeczy, topiłem smutki w alkoholu i narkotykach. -

Ponownie oparł się na krześle. - Jeździłem po świecie, dyrygując w filharmoniach pełnych widzów, a także tworząc najlepszą w życiu muzykę. - Westchnął. - Wyparłem to wszystko. Ledwie odwiedzałem dom. - Złączył ręce. - Aż pewnego dnia to zrobiłem i zobaczyłem stos listów. Z Anglii.

Żołądek mi się skurczył.

- Były od twojego ojca, Cromwell.

Walczyłem ze łzami. Wyobrażałem sobie tatę, otoczonego niebieską barwą. Widziałem uśmiech na jego twarzy, czułem się tak jak wtedy, gdy przy nim byłem. Sprawiał, że świat był lepszy. Szczycił się tym, że robił wszystko, co słuszne. Był najlepszym z ludzi. - Opowiadał mi w tych listach o tobie. - Po policzku Lewisa popłynęła łza. - I były zdjęcia.

Twoje...

Ucisk w moim gardle pogłębił się, łzy zamazały obraz. Lewis pokręcił głową.

- Wpatrywałem się w te fotografie tak długo, że oczy zaczęły mnie szczypać. To byłeś ty, Cromwell. Mały chłopiec z moją cerą, z moimi czarnymi włosami. - Serce mocniej zabiło mi w piersi. - Po tym wydarzeniu walczyłem przez kilka lat, by pozostać trzeźwym. Walkę tę przegrywałem, aż byłeś o wiele, wiele starszy. - Umilkł. - Żyłem dzięki tym listom i zdjęciom. Stały się jedyną prawdziwą rzeczą w moim życiu... a pewnego dnia przyszła inna wiadomość. Zawierała nagranie. -

Pokręcił głową. - Straciłem rachubę, ile razy je obejrzałem.

- Co na nim było? - zapytałem ochryple.

- Ty - Otarł mokry od łez policzek. - Grałeś. Twój tata napisał, że nigdy nie brałeś lekcji, ale potrafiłeś grać. - Zatracił się we wspomnieniach. - Oglądałem, jak tworzyłeś i umiejętnie wywijalesz palcami... a na widok uśmiechu na twojej twarzy oraz światła w twoich oczach poczułem się, jakby uderzył we mnie pociąg, ponieważ na



ekranie zobaczyłem swojego syna... który zupełnie tak jak ja był miłośnikiem muzyki.

Odwróciłem głowę. Nie byłem pewien, czy chciałem tego słuchać.

- Twój tata powiedział mi o synestezji. Wiedział o mojej trasie koncertowej po Wielkiej Brytanii, o występach w Albert Hall, i poprosił

o coś, czego się w ogóle nie spodziewałem. Zwrócił się do mnie z prośbą o to, bym się z tobą spotkał. Aby ci pomógł... Sądził, że powinienem cię znać, ponieważ jesteś wyjątkowy.

Opuściłem głowę. Tata również był wyjątkowy. Bardzo mnie kochał.

Żałowałem, że nie powiedziałem mu, jak bardzo go kochałem, kiedy jeszcze był ze mną.

- Wiedział o twojej synestezji. Wiedział, że będziesz potrafił mi pomóc.

Serce mi się ścisnęło, gdy pomyślałem o dumie, której tata musiał się wyżyć, by prosić Lewisa - ojca, który mnie nie chciał - o spotkanie. Ale i tak to zrobił.

Uczynił to dla mnie.

Łza spłynęła po moim policzku.

- Tamtego wieczoru - powiedział drżącym głosem Lewis - byłem trzeźwy od kilku lat... - Spojrzał na mnie. To był pierwszy raz, kiedy naprawdę na niego popatrzyłem. Zobaczyłem w jego twarzy siebie samego. Zauważyłem podobieństwa i wspólne rysy. — Ale gdy cię spostrzegłem... mojego syna, stojącego przede mną... A twoja mama okazała łaskę, pozwalając mi cię poznać po wszystkim, co jej zrobiłem...

Przedawkowałem w hotelu i obudziłem się w szpitalu z trwałym uszkodzeniem wątroby.

Wytrzeszczyłem oczy. Lewis nadal płakał. Nie mogłem tego znieść.

Z niczym już nie potrafiłem sobie poradzić.

- Na twój widok zrozumiałem, jak bardzo spieprzyłem. Mój syn, utalentowany bardziej niż ja kiedykolwiek, nie wiedział, kim byłem.

Nazywał tatą innego mężczyznę. - Otarł twarz. - To mnie zniszczyło. W

tamtej chwili coś sobie obiecałem, a mianowicie, że zrobię wszystko, by ci pomóc... - Urwał, wiedziałem, co miało być dalej. - Cromwell, gdy dowiedziałem się o twoim tacie...

- Nie - rzuciłem, niezdolny do słuchania tego, co chciał powiedzieć.

Lewis skinął głową, zapadła między nami głucha cisza.

- Nigdy w życiu nie poznałem bardziej honorowego człowieka. Twój tata... - Czułem ucisk w gardle. — Kochał cię najbardziej na świecie. A dzięki temu wiedziałem, co się działo w twoim życiu, choć zupełnie na to nie zasługiwałem. Wciąż nie zasługuję.

Zwiesiłem głowę, moje łzy skapnęły na podłogę.

- Powinien tu być - wydusiłem. - Zobaczyć to jutro. Mnie.

Poczułem rękę na plecach. Spiąłem się. Niemal powiedziałem, żeby ją zabrał, by się odpieprzył, ale tego nie zrobiłem. Po wszystkim, co się wydarzyło - śmierci taty, Eastona i niemal Bonnie - po prostu na to pozwoliłem. Potrzebowałem tego. Musiałem wiedzieć, że nie byłem sam. W teatrze, w którym miałem nazajutrz dyrygować, wyrzuciłem z siebie wszystko to, co od tak dawna mnie więziło.

Z zapuchniętymi oczami i wyschniętym gardłem, uniosłem głowę.

Lewis nie zabrał dłoni.

- Nie mam prawa o cokolwiek cię prosić, Cromwell. I rozumiem, jeśli nie zechcesz niczego ponad pomoc, którą ofiarowałem w ostatnich tygodniach. - Popatrzyłem mu w oczy, w których dostrzegłem desperację. - Nie jestem tak dobrym człowiekiem, jak twój ojciec. I nigdy nie mógłbym go zastąpić. Ale jeśli kiedykolwiek mnie zechcesz lub będziesz mnie potrzebował. .. albo będziesz na tyle wspaniałomyślny, by pozwolić mi uczestniczyć w twoim życiu, choćby w niewielkim stopniu... - Urwał, wiedziałem, że walczył, by dokończyć to zdanie. - To... byłby największy dar, jaki kiedykolwiek mógłbyś mi dać.

Kiedy na niego spojrzałem, uświadomiłem sobie, jak bardzo byłem zmęczony. Miałem dosyć tego, że wszystko na mnie oddziaływało. Ze nosiłem w sobie smutek i złość. Pomyślałem o Bonnie i Eastonie oraz o wszystkim, przez co przeszli. O tym, jak chłopak nie potrafił

dostosować się do świata. Nie chciałem dla siebie czegoś takiego.

Spędziłem pełne trzy lata duszony gniewem, goryczą i żalem z powodu ostatnich wypowiedzianych do taty słów. Odmawiałem ponownego podążania tą drogą. Bonnie pokazała mi nową ścieżkę, nie chciałem więc zawracać.

Odetchnąłem głęboko.

- Nie wiem, ile mogę ci dać - wyznałem prawdę. Lewis wyglądał, jakbym go uderzył, ale skinął głową. Wstał. - Ale mogę... spróbować - dodałem, po czym poczułem, jakby kamień spadł mi z serca.

Spojrzął na mnie i odetchnął pośpiesznie. W jego oczach błyszczały łzy.

- Dziękuję, synu. - Odszedł.

*Synu.*

*Synu...*

- Dziękuję - powiedziałem, gdy był już przy wyjściu. Odwrócił się,

marszcząc brwi. - Za wszystko, co zrobiłeś, i te ostatnie miesiące. Bez ciebie... nie byłbym w stanie tego dokonać.

- Niczego nie zrobiłem, synu. Wszystko to twoja zasługa. A jutro zobaczysz rezultat swojej pracy.

Spojrzałem na butelkę, którą nadal trzymałem.

- Wytrzymasz? Jutro? - Dla dobra utworu poprosiłem go o przysługę. Zgodził się bez namysłu.

Uniósł głowę, spojrzał na pustą scenę, która następnego dnia miała wypełnić się muzykami.

- Będę tam obok ciebie, Cromwell. - Uśmiechnął się niepewnie. -

Wyobrażam sobie, że wytrzymam i będę czuł się lepiej niż kiedykolwiek wcześniej.

Wyszedł, zostawiając mnie samego z myślami. Siedziałem tam jeszcze z godzinę, odgrywając utwór w głowie, wspominając kolory, które widziałem na próbach. Kiedy już zamierzałem wyjść, wyjąłem telefon i napisałem do Bonnie: MAM NADZIEJĘ, ŻE PRZYJEDZIESZ, KOCHANIE. TO WSZYSTKO DLA CIEBIE. KOCHAM CIĘ.

Wsadziłem komórkę do kieszeni i poszedłem do hotelu. Z każdym oddechem przywoływałem w myślach twarz Bonnie, jej brązowe oczy, które błyszczały, gdy słyszała moją muzykę. I modliłem się do Boga, by ukochana przyjechała.

Miałem nadzieję, że ponownie zobaczę uśmiech na jej twarzy.

## **ROZDZIAŁ 28**

*BONNIE*

Przyjechaliśmy na miejsce, gdzie zobaczyłam sporą kolejkę.

Wyglądałam przez szybę, próbując zapanować nad zdenerwowaniem.

Cromwell miał tu dziś wystąpić. Bardzo mocno za nim tęskniłam.

Każdego dnia, gdy nie było go przy mnie, odczuwałam to coraz bardziej. Brakowało mi jego oczu o kolorze głębokiego morza. Sposobu, w jaki odgarniał moje włosy z twarzy, i tych jego rzadkich uśmiechów, którymi czasami mnie obdarowywał.

Trzymania za rękę.

Pocałunków.

Jego muzyki.

Ale najbardziej tęskniłam za nim samym.

Nie zdawałam sobie sprawy, że tak bardzo go potrzebowałam, póki nie zawitałam do Charleston. Był powietrzem, którym oddychałam, księżycem na moim nocnym niebie.

Cromwell Dean był moim słońcem.

- Gotowa?

Skinęłam głową mamie, która pomogła mi przenieść się z tyłu auta na wózek inwalidzki. Coraz więcej chodziłam, mój fizjoterapeuta mówił, że szło mi całkiem dobrze. Miałam nadzieję, że za kilka tygodni będę się samodzielnie poruszać.

Serce Eastona było zgodne z moim ciałem. Mogłam przypuszczać,

że tak będzie. Brat nigdy nie zrobiłby mi krzywdy.

Mama zawiozła mnie do drzwi. Zobaczyłam, że to wejście dla VIP-

ów. Uśmiechnęłam się do mężczyzny, który sprawdzał nam bilety. Serce zabiło mi głośno, kiedy zostałyśmy poprowadzone na nasze miejsca.

Teatr był wypełniony aż po brzegi, nie pozostał ani jeden wolny fotel. Z zapartym tchem przyglądałam się scenie, słysząc orkiestrę przygotowującą się za ciężką czerwoną kurtyną. Atmosfera była napięta, obsypała mnie gęsia skórka.

Gdy usiadłyśmy na wyznaczonych fotelach, rozejrzałam się po elegancko ubranych gościach. Mężczyźni włożyli fraki, kobiety wspaniałe suknie. Poczułam dumę. Każda z tych osób przyszła, by posłuchać muzyki mojego Cromwella Deana. Wszyscy byli tu przecież dla niego.

Mama przysunęła się i wzięła mnie za rękę. Patrzyła szeroko otwartymi oczami.

- To... - Pokręciła głową, nie mogąc znaleźć słów.

Mocniej ścisnęłam jej dłoń. Również nie wiedziałam, co powiedzieć.

Rozbłysły światła, sygnalizując początek koncertu. Wpatrywałam się w kurtynę, jakbym potrafiła przez nią przejrzeć. Zastanawiałam się, gdzie był teraz Cromwell. Czy czekał za kulisami na zapowiedź? Czy dobrze się czuł? Miałam ochotę tam pobiec i wziąć go za rękę.

Nie występował od trzech lat.

Musiał być zestresowany.

Podzielałam to uczucie, kiedy na sali zapadła cisza, a światła przygasły. Dech uwiązł mi w gardle, gdy kurtyna została podniesiona i zobaczyłam orkiestrę. Rozległy się brawa dla muzyków, po których wszyscy czekali... na chłopaka, którego kochałam ponad życie zarówno dawnym, jak i nowym sercem.

Słyszałam własny puls, który zgubił rytm, kiedy na scenie pojawił się Cromwell. Ścisnęłam dłoń mamy, spijając jego widok. Ubrany był w perfekcyjnie skrojony frak. Wysoka i szeroka sylwetka sprawiała, że wyglądał jak model. Wszedł na podwyższenie. Wiwaty publiki odbiły się echem od ścian, gdy zajął miejsce przed sceną. Wstrzymałam oddech na widok tatuażu wystającego spod kołnierzyka jego koszuli.

Kolczyki błyszczały w światłach reflektorów. Czarne włosy były jak zwykle zmierzwione. A kiedy dostrzegłam jego przystojne oblicze, poczułam w piersi trzepotanie.

Cromwell się denerwował. Nikt prócz mnie tego nie widział.

Zauważyłam, jak obracał językiem i pocierał o siebie wargami.

Dostrzegłam, że gdy jego wzrok przywykł do świateł, rozejrzał się po widowni.

Zamarłam, kiedy na mnie spojrzał. W moim wnętrzu zrodziło się ciepło, gdy odprężył się i wyraźnie westchnął. Zamknął na chwilę oczy, a kiedy je otworzył, uśmiechnął się. Prawdziwie. Szeroko.

Z miłością.

Dla mnie.

Powietrze uleciało z moich płuc, kiedy jego uśmiech dotarł do mojego serca. Cromwell skłonił się, po czym odwrócił do orkiestry.

Uniósł batutę i w tej właśnie chwili zdałam sobie sprawę, że widzę prawdziwego Cromwella. Profesjonalnego muzyka, którym się urodził.

Orkiestra czekała na sygnał, światła jeszcze bardziej przygasły.

Symfonię rozpoczęły pojedyncze skrzypce. Gwałtownie wciągnęłam powietrze, gdy zobaczyłam ekran nad sceną. Był czarny, ale kiedy popłynęły nuty, rozpalił się barwą i kształtem - pokazał się trójkąt.

Chciał, żebym zobaczyła, jak wyglądała dla niego muzyka.

Pokazywał mi słyszane kolory.

Przyglądałam się, zahipnotyzowana, gdy kształty i tęcze barwy tańczyły na ekranie. Dołączyły smyczki, a także instrumenty dęte, zmierzając za ruchami ręki Cromwella. Gdy obnażał przede mną swoją duszę, patrzyłam szeroko otwartymi oczami, z sercem pełnym miłości.

Próbowałam spijać to wszystko - dźwięk, obraz, zapach instrumentów, na których grano tak idealnie. I Cromwella, który czuł się na scenie jak w domu, pokazującego mi świat, w którym się urodził.

Pod koniec drugiej części muzyka umilkła, pozostał pojedynczy bęben. Cromwell opuścił batutę. Z lewej strony na scenę wszedł

profesor Lewis. Publiczność przywitała go cichymi oklaskami, niepewna, jak zareagować na to niespodziewane wejście niesławnego dyrygenta. Cromwell podał Lewisowi batutę i zniknął w ciemności.

Nadal słyhać było bęben, który wygrywał stały rytm... niczym bicie serca...

Nagle reflektor podświetlił podest po lewej. Stał na nim Cromwell za swoim mikserem, laptopem i kontrolerem bębnów. Miał na głowie słuchawki, wyglądał jak DJ elektronicznej muzyki tanecznej, którego znałam. Dźwięk bębna nagle został zdublowany przez syntetyczny dźwięk.

Następnie zaczęły grać smyczki, kontrabas i przejmująca prowadzenie wiolonczela. Skrzypce poprowadziły jasną i czystą melodię. Rozpoczęła się znana mi piosenka. Znajdujący się po prawej stronie pianista przedstawiał utwór, który pewnej nocy tak dawno temu grał sam Cromwell... płacząc, kiedy w sali muzycznej wybrzmiały ostatnie nuty...

Serce podeszło mi do gardła, łzy napłynęły do oczu. Pianista grał



idealnie. Lewis z łatwością dyrygował orkiestrą. Po chwili muzyka ponownie umilkła, pozostał jedynie cień znanej mi melodii - piosenki, która pochodziła z mojego serca - płynący z zawieszonych nad nami głośników.

Moja piosenka.

Mój głos.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze. Śpiewałam dla całej sali *Skrzydła*. Spokojnym, czystym podkładem dla słów stała się harfa i flet.

Piękne.

Zakryłam dłonią usta, gdy zaczął rwać mi się oddech, ponieważ zdałam sobie sprawę, że tak właśnie widział mnie Cromwell.

Następnie w tle rozległo się nieregularne bicie serca. Ręce zaczęły mi drżeć, kiedy rozpoznałam ten dźwięk.

Pochodził ode mnie.

Z mojego dawnego organu.

Melodia stawała się głośniejsza. Była smutna. Piękny dźwięk klarnetu i wiolonczeli sprawił, że poczułam ból w piersi. A potem to usłyszałam. Kolejne bicie o wiele mocniejszego serca.

Eastona.

Mojego.

Położyłam sobie dłoń na mostku i poczułam, jak biło pod moimi palcami, zsynchronizowane z tym dochodzącym z głośników. Cromwell dodawał elektroniczne beaty do melodii orkiestry, a na ekranie pojawiały się kolorowe wybuchy, obrazując to, co działo się w głowie kompozytora, gdy grała muzyka. Poruszyło mnie to. Utwór pochwycił

mnie, jakbym nim żyła. Następnie pojawiła się piosenka dodająca mi sił

do walki, którą Cromwell tak wiele razy grał mi w szpitalu, gdy leżałam bez tchu w łóżku, aż stała się moim hymnem. Ścieżką dźwiękową moich nadziei i marzeń.

Życzyłam sobie, by na zawsze być z Cromwellem.

Muzyka, którą odsunęłam od siebie, wsiąkała w moją skórę i mięśnie, aż do kości. Nie zatrzymała się, póki nie dotarła do serca i, w końcu, do mojej duszy.

Zamknęłam oczy, kiedy symfonia osiągnęła *crescendo* w mieszaniu nowoczesnych i tradycyjnych mediów, dzięki której poczułam, że *żyję*.

Wydawało mi się, że serce chciało wyrwać mi się z piersi.

Właśnie dlatego kochałam muzykę.

Dla tego uczucia. Dla harmonii, melodii, idealnej symfonii... Nagle usłyszałam gitarę akustyczną, która przebiła się przez instrumenty perkusyjne i skrzypce.

Moja piosenka.

Nasza.

*Nasze życzenie.*

Łzy popłynęły po mojej twarzy, gdy opowiedziano resztę historii.

Właśnie to robił Cromwell. Mówił o niej całej. Od swojego pierwszego skomponowanego utworu, kiedy był dzieckiem, przez tatę, Eastona... aż do mnie. Opowiadał m o tym wszystkim poprzez muzykę i piosenki... w jedyne znany sobie sposób.

Płakałam. Serce ścisnęło mi się z miłości do Cromwella Deana, poznanego na plaży w Brighton. Chłopaka, którego kochałam całą swoją duszą i który stworzył tę symfonię tylko dla mnie.

Gdy ostatnia nuta wzbiła się do nieba, cementując pozycję

Cromwella pośród mistrzów muzyki, publika zaczęła wiwatować.

Ludzie poderwali się z miejsc, by oklaskiwać geniusza i jego utwór.

Ktoś upuścił program. Kiedy na niego spojrzałam, zobaczyłam tytuł: *Nasze życzenie* i się uśmiechnęłam. Łzy płynęły po moich policzkach, wymazując ból, odrętwienie i życie bez Cromwella.

Twórca stanął pośrodku sceny. Lewis wyciągnął do niego rękę, przedstawiając syna publiczności. Duma w oczach profesora niemal stała się moją zgubą. Cromwell odetchnął głęboko, przeszukując wzrokiem publikę. Klaskałam, podziwiając go - osobę, którą był, i miłość, którą we mnie rozbudził.

Popatrzył wprost na mnie. Uniósł dłoń do piersi i postukał w miejsce nad sercem, uśmiechając się skromnie. Wypełniło mnie szczęście.

Cromwell skłonił się, po czym zszedł ze sceny. Aplauz trwał jeszcze długo po jego odejściu - świadectwo wpływu, jaki muzyka miała na ludzi, którzy wpuścili ją do swoich serc.

Gdy słuchacze wyszli, mama zawiozła mnie za kulisy. Czułam kołatanie w piersi, wygładzając dłońmi sukienkę. Napięcie wśród przebywających tam muzyków było wręcz namacalne.

Wychyńczyliśmy zza rogu i wtedy zobaczyłam Cromwella.

Stał z zamkniętymi oczami przy ścianie na końcu korytarza i głęboko oddychał. Rozwiązał muszkę, rozpiął górne guziki koszuli, podwinął rękawy, ukazując tatuaże.

- Zostawię was samych - powiedziała mama, po czym usłyszałam, że odeszła.

Otworzył oczy. Kiedy mnie zobaczył, przeszedł go dreszcz.

Wyprostował się, jego pierś gwałtownie się unosiła. Zbliżył się o krok, ale wyciągnęłam rękę, by go zatrzymać.

Stanął, a ja wzięłam głęboki wdech.

Przytrzymałam się podłokietników i wstałam. Niepewne stopy znalazły się na podłodze. Przez cały czas nie odrywałam wzroku od Cromwella, na twarzy którego pojawił się pełen dumy uśmiech.

Ruszyłam w jego stronę. Słabe nogi nie miały innego wyjścia, niż mnie do niego zaprowadzić, ponieważ podobnie jak moje serce wiedziały, że musiałam z nim być.

Był moim domem.

Serce biło mocno. Szłam, wspominając symfonię, którą Cromwell napisał dla mnie. Stawiałam krok z każdą przypominaną sobie nutą i barwą, dzięki którym mogłam wejrzeć w jego serce. Parłam do przodu, aż się zasapałam... ale stanęłam bezpośrednio przed nim. Walczyłam, by się tu znaleźć, nie chciałam się teraz poddać.

Uniosłam głowę, zobaczyłam, że Cromwell przyglądał mi się błyszczącymi oczami.

- To było piękne - szepnęłam łamiącym się głosem.

- Kochanie. - Przeczesał dłonią moje włosy. Zamknęłam oczy, po tak długiej rozłące jego dotyk był bardzo przyjemny. Poczułam na ustach jego wargi, tak słodkie i perfekcyjne, jak zapamiętałam.

Czułam go. W pełni odczuwałam ten moment. Kiedy się odsunął, spojrzałam mu w oczy.

- Kocham cię - powiedziałam, trzymając go za nadgarstki, gdy obejmował moją twarz.

- Też cię kocham - szepnął i zamknął oczy. Wyglądał, jakby nie mógł uwierzyć, że tu byłam. Jakby spełniło się jego marzenie.

Jakbym była żywą odpowiedzią na jego życzenie.

Kiedy ponownie uniósł powieki, powiedział: - Chodź ze mną.

Skinęłam głową. Wziął mnie na rękę i przytulił mocno do piersi,

niosąc do windy. Gdy drzwi się zasunęły, widziałam, słyszałam i czułam tylko Cromwella. Nie odrywałam od niego spojrzenia. Wydawał się zmienił. Rozluźnił ramiona, w jego oczach gościło światło, którego nie widziałam nigdy wcześniej. Jakby wstrzyknięto w nie życie.

Kiedy się we mnie wpatrywał, widziałam jedynie miłość.

Drzwi się rozsunęły, owiało nas świeże powietrze. Cromwell nie postawił mnie, tylko zaniósł w silnych ramionach na znajdujący się na dachu taras. Nad nami rozpościerało się czarne, usiane gwiazdami płótno, którego nie zasnuwała żadna chmurka.

- Cromwell... - szepnęłam, przytłoczona tym widokiem.

Wszystkim, co miało dziś miejsce. Muzyką, biciem serc, symfonią... i nim.

Zawsze nim.

Cromwell usiadł na sofie pośrodku niewielkiego, zaaranżowanego na dachu ogrodu. Płynęła tu woda, brzmiąca jak spokojna rzeka.

Otaczały nas zimowe kwiaty w czerwonych i zielonych donicach.

Fragment raju. A gdy Cromwell mocniej mnie przytulił, poczułam się jak po powrocie do domu.

Na dachu panowała cisza. Słysząc było jedynie odległe, przytłumione dźwięki ulicy. Zamrugałam, patrząc w niebo, zastanawiając się, czy był tam Easton, wciąż w jakiś sposób związany ze mną za pomocą serca.

- Pięknie tu - powiedziałam, w końcu patrząc na Cromwella, który już mi się przyglądał.

Spoglądał na mnie, jakbym była darem, w otrzymanie którego nie mógł uwierzyć. Serce mi urosło, wypełniło się jeszcze większą miłością.

Nie byłam pewna, jak to w ogóle możliwe.

- Przyjechałaś - szepnął, na co poczułam trzepotanie w piersi.
- Przyjechałam.

Pochylił się i przywarł do moich ust. Pocałunek był powolny i delikatny, zawierał prostą obietnicę - że nie będzie ostatnim. Kiedy Cromwell się odsunął, oparłam swoje czoło o jego. Oddychałam jego wonią, wpuszczając ją do swojego wnętrza razem ze spokojem.

Poczułam, że wargę zaczęła mi drżeć, ale odsunęłam od siebie emocje i powiedziałam:

- Chcę żyć.

Cromwell się spiął. Odsunął się i objął moją twarz.

- Przemyślałam kilka spraw. Miałam na to sporo czasu. - Patrzyłam na gwiazdy. Gdy spoglądałam w przepastne niebo, czułam się taka mała. Jeden mały ścieg na gobelinie świata. Przełknęłam ślinę przez ściśnięte gardło. - Życie jest takie krótkie, prawda? - Spojrzałam na Cromwella. Przyglądał mi się szeroko otwartymi oczami, czekając cierpliwie na moje kolejne słowa. - Nie miałam, co robić, mogłam tylko myśleć o życiu, Cromwell. O każdym jego aspekcie. O rzeczach dobrych. - Pocałowałam go w czoło. - I o tych złych. - W myślach powróciła chwila, kiedy dowiedziałam się o samobójstwie brata. - I wszystkich, które są pomiędzy. - Oparłam się o jego twardą pierś.

Rozpięta u góry koszula ukazywała jego ciemne tatuaże. Bawiłam się w palcach jednym z guzików. - I postanowiłam, że chcę żyć.

Cromwell

mocniej

mnie

przytulił.

Spojrzałam

w

jego

ciemnoniebieskie oczy, które niegdyś uważałam za burzliwe, a które teraz były spokojne.

- Nie chcę, by życie mnie ominęło. - Nagle w mojej głowie pojawił

się obraz, przedstawiający mnie i Cromwella, podróżujących po świecie... a także posiadane być może kiedyś dziecko o ciemnych włosach i niebieskich oczach. Podobne do niego. — Chcę doświadczyć wszystkiego, póki jeszcze mogę. Pragnę odwiedzić nowe miejsca, usłyszeć nowe dźwięki... wszystko. Z tobą.

- Bonnie - wychrypiał.

Wzięłam go za rękę i uniosłam ją, bym mogła przyjrzeć się wytatuowanym na jego palcach cyfrom. Tym, które były hołdem dla jego ojca.

- Strata najbliższych może sprawić, że świat wydaje się mroczny, ale uświadomiłam sobie, że nawet jeśli te osoby znikają fizycznie, tak naprawdę nigdy nie odchodzą. - Pokręciłam głową. Wiedziałam, że się rozgadałam. Popatrzyłam mu w oczy. - Kocham cię, Cromwellu Deanie.

I pragnę kochać życie, w którym będziesz. Nieważne, dokąd nas ono zaprowadzi, przynajmniej póki będzie coś znaczyć. Dopóki będzie miało sens dla tych, którzy nie mogą już z nami być. - Oczy Cromwella zaczęły błyszczeć, gdy pocałowałam każdy z jego palców.

- Póki będziesz przy mnie ty i muzyka, wiem, że będę żyła, bez względu na to, czy życie to będzie długie czy krótkie.

- Będzie długie — powiedział ochryplym głosem. - Będziesz miała długie życie. Serce Eastona pozostanie silne. - Opuścił głowę i pocałował

miejsce, w którym biło. Zatrzepotało jak skrzydła motyla.

Ponownie mnie pocałował. Zadowolona samym istnieniem, wpatrywałam się w gwiazdy. Chłopak, który tulił mnie w objęciach, był spełnieniem mojego życzenia. Trwał przy mnie w najtrudniejszych chwilach. Posklejał mnie, kiedy się rozpadłam, i sprowadził z powrotem do siebie.

Dzięki muzyce.

Dzięki miłości.

I dzięki barwom jego duszy.

Był i na zawsze będzie biciem mojego serca.

Mówiąc wprost, stanowił cały mój świat. Świat, w którym zamierzałam pozostać. Przysięgałam, że to zrobię i nigdy się nie poddam, ponieważ chciałam życia z tym chłopakiem. Chciałam życia, miłości i śmiechu.

Byłam zdeterminowana. Moje serce powtórzyło to życzenie.

## **EPILOG**

*CROMWELL*

*Pięć lat później...*



Słońce świeciło, gdy siedziałem na ławce. Zamknąłem oczy i odchyliłem głowę do tyłu. Poczułem ciepło na policzkach, wyłapałem musztardową żółć i brąz - śpiew ptaków, szelest liści.

Następnie usłyszałem dźwięki, które najjaśniej rozpałały moje myśli.

Barwy pojawiły się w złożonych wzorach. Otworzyłem oczy i zapisałem nuty w zeszycie.

- Easton! - W mojej głowie pojawił się fiolet, kiedy na wietrze poniósł się głos Bonnie. Uniosłem wzrok, w myślach pojawił się róż jej śmiechu. Z zaczerwienionymi policzkami wybiegła zza drzewa.

Skoczyła do przodu, a zza pnia rozległ się żółty chichot.

Uśmiechnąłem się do naszego syna Eastona, wyskakującego zza drzewa, by złapać jej nogi. Bonnie obróciła się i porwała go na ręce.

Podrzuciła go, a jego śmiech przybrał jaśniejszą żółtą barwę, na tyle intensywną, że mogła rywalizować ze słońcem.

Mieliśmy dziecko. Wciąż nie mogłem w to uwierzyć. Pobraliśmy się zaraz po studiach. Bonnie podróżowała ze mną wszędzie tam, gdzie występowałem. Po gali byliśmy nierozłączni, spędzaliśmy razem wszystkie dni i noce. Nie zamierzałem już wypuszczać jej z rąk.

Przy przeszczepionym sercu nie było gwarancji na dłuższe życie, ale jak na razie się udawało. I organ był silny. Wierzyłem, że Bonnie przeżyje długie lata. A gdy wydarzył się cud i urodził się Easton, wiedziałem, że nigdy nas nie zostawi.

Farraday miała przeciwstawić się światu.

O to właśnie chodziło. To życie, którego sobie życzyła. Marzyła, by być żoną i matką. W obu rolach świetnie się sprawdzała. Serce mi urosło, kiedy usłyszałem, że zaczęła śpiewać. W myślach zatańczył

fiolet. Nie mogłem oderwać od niej oczu, gdy śpiewała naszemu synkowi, a on patrzył na nią, jakby była całym jego światem.

I była. Dla nas obu.

Kołysanka tworzyła w mojej głowie fiolety, róże i biele. Gdy Bonnie skończyła, Easton spojrział na mnie, uśmiechnął się, aż w policzkach pokazały się dołeczki, i powiedział:

- Tato! Mama śpiewa na niebiesko, jak niebo.

Serce znów mi urosło, a Bonnie roześmiała się i pocałowała go w policzek. Easton miał po mnie wygląd i duszę. Był również podobny do dziadka Lewisa, którego bardzo kochał. Żona postawiła synka, który podbiegł do mnie. Wziąłem go na ręce i pocałowałem w pulchny policzek. Zachichotał, dźwięk ten okazał się żywą zólcia.

Malec usiadł mi na kolanach. Bonnie przeszła obok grobu brata, dotknęła płyty. Często tu przychodziliśmy, nie potrafiła trzymać się zbyt długo z dala od bliźniaka. Nawet po śmierci chłopaka rodzeństwo pozostało związane. Wspólne serce wciąż biło mocno.

I, jak mu kiedyś powiedziała, była zdeterminowana, by żyć za nich oboje. Tak też czyniła. Z każdym oddechem. Była szczęśliwa, a dzięki niej ja również.

Usiadła obok i wtuliła się we mnie. Objąłem ją, a ona zamknęła oczy.

- Zanuć to, co skomponowałeś.

Spełniłem jej prośbę. Zawsze to robiłem. Nauczyłem się, że życie było zbyt krótkie, by czegokolwiek jej odmawiać. Zanuciłem barwy, które miałem w głowie, siedząc na ławce z żoną i synem, którzy mnie słuchali. I nie potrafiłem wyobrazić sobie bardziej idealnego życia.

Codziennie komponowałem, tworzyłem muzykę, która rodziła się w moim sercu. Wiodłem życie, o jakim zawsze marzyłem. Miałem syna, który pokazał mi, jak można kochać ponad wszystko, co znałem.

I miałem Bonnie. Dziewczynę, która wciąż inspirowała melodie pochodzące z mojej duszy. Która zawsze przy mnie była. Która była

najdzielniejszą znaną mi osobą.

Najpiękniejszą.

Doskonałą.

A jednym prostym uśmiechem wciąż oświeślała cały mój świat.

Wiedziałem, że tata i Easton, bez względu na to, gdzie byli, patrzyli na nas z uśmiechem. Dumni z tego, kim byliśmy. Szczęśliwi z powodu ładu, który odnaleźliśmy. I usatysfakcjonowani, wiedząc, że nie marnowaliśmy ani jednego oddechu.

Gdy w mojej głowie pojawiła się ta kojąca myśl, owiał nas ciepły wiatr, przynosząc ze sobą poczucie spokoju. Nad nami ptak śpiewał swoją pieśń, dając mi srebro, a na płycie nagrobnej Eastona wylądował biały gołąb. Spojrzał wprost na nas...

...i się uśmiechnąłem.

## **PLAYLISTA**

Avicii, Sandro Cavazza (feat. Sandro Cavazza) - *Without You*

Clean Bandit, Zara Larsson (feat. Zara Larsson) - *Symphony*

Axwell and Ingrosso - *More Than You Know*

Steve Aoki, Boehm, WALK THE MOON - *Back 2 U*

Calvin Harris - *Slow Acid*

Kygo, Justin Jesso, Bergen Philharmonic Orchestra - *Stargazing*  
(wersja grana przez orkiestrę)

Calvin Harris - *Pray To God*

David Guetta (feat. Usher) - *Without You* Robyn (feat. Klearup) -  
*With Every Heartbeat* Maisie Peters - *Place We Were Made*

Alan Walker, Gavin James - *Tired*

Alex &c Sierra - *Little Do You Know* Chris Medina - *Cut Me*

Juliander - *Afterglow*

Lauv - *The Story Never Ends*

Ulrik Munther - *Before*

ARTY, April Bender - *Sunrise*

Halsey — *Colors*

Zac Brown Band (feat. Amos Lee) - *Day That I Die* Caroline Glaser -  
*I Hate That Part*

NEEDTOBREATHE - *The Heart* (wersja zarejestrowana na żywo)  
Alela Diane - *Ether* Łsf Wood

Sarah Jarosz - *Take Me Back*

John Barry - *Koncert klarnetowy A-dur* Mozarta Axwell and Ingrosso -  
*Sun Is Shining*

Florence and The Machine - *Sky Full Of Song*  
Lost Frequencies, James Blunt - *Melody* Sigala, Paloma Faith - *Lullaby*

Shane & Shane - *Psalm 91 (On Eagles Wings)* Yiruma -  
*Falling* (utwór oryginalny) jako inspiracja do utworu, który  
Cromwell skomponował dla ojca

Yiruma - *Beloved* jako inspiracja do melodii dodającej Bonnie siły do walki

Lewis Capaldi - *Mercy*

## PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mężowi Stephenowi, który utrzymuje mnie przy zdrowych zmysłach. Ten ostatni rok z Tobą i naszym bobasem Romanem był najlepszym w moim życiu. Za nic bym go nie zamieniła!

Romanie, nigdy nie sądziłam, że można kochać kogoś aż tak bardzo.

Jesteś najlepszym, co mnie spotkało. Kocham Cię nieskończenie, maluszk!

Mamo i tato, dziękuję za Wasze nieustające wsparcie.

Samantho, Marcu, Taylorze, Isaacu, Archie i Eliasie, kocham Was wszystkich.

Dziękuję, Thesso, za to, że jesteś najwspanialszą asystentką na świecie. Wprowadzasz najlepsze poprawki, pilnujesz, bym, była zorganizowana, i jesteś fantastyczną przyjaciółką!

Liz, dziękuję, że jesteś moją superagentką i przyjaciółką.

Dziękuję mojej cudownej redaktorze Kii. Nie zrobiłabym tego bez Ciebie. Sarah, dziękuję za wspaniałą korektę.

Hang Le, dziękuję za oszałamiającą okładkę. To dopiero książka!

Uwielbiam to, co razem stworzyliśmy. Oby było tego o wiele więcej!

Nedo i pozostali pracownicy Ardent Prose, cieszę się, że mogę z Wami współpracować. Sprawiacie, że moje życie jest nieskończenie bardziej zorganizowane. Rządźcie, PR-owcy!

Dziękuję moim promotorom i promotorkom, nie mogłabym mieć

lepszyc przyjaciół. Jestem wdzięczna za wszystko, co dla mnie robicie.

Dziękuję, że czytacie moje prace bez względu na ich gatunek. Wszystko Wam zawdzięczam.

Jenny i Gitte, wiecie, co do Was czuję, moje panie. Kocham Was!

Naprawdę doceniam wszystko, co zrobiliście dla mnie przez te lata i nadal robicie!

Dziękuję wszystkim wspaniałym blogerom, którzy od początku wspierają moją karierę, i tym, którzy pomagają rozprzestrzeniać informacje o moich dziełach i donoszą o nich całemu światu.

Na końcu dziękuję Czytelnikom. Bez Was nic z tego nie byłoby możliwe. Wasze wsparcie każdego dnia nieustannie mnie zachwyca.

Dbamy o siebie nawzajem, jesteśmy jednym plemieniem. Nie mogę się doczekać, aby kontynuować tę naszą podróż!

## **O AUTORCE**

Tillie Cole pochodzi z małego miasteczka w północno—wschodniej Anglii. Wychowywała się na farmie z matką Angielką i ojcem Szkotem oraz starszą siostrą i niezliczoną ilością bezpańskich zwierząt. Gdy tylko nadarzyła się okazja, Tillie porzuciła sielskie życie na wsi i przenieśli się do wielkiego miasta.

Po ukończeniu nauki na Uniwersytecie Newcastle z tytułem licencjata religioznawstwa, Tillie przez dekadę jeździła ze swoim mężem, zawodowym graczem rugby, po całym świecie. W międzyczasie została nauczycielką i z prawdziwą radością uczyła nauk społecznych w liceum, nim napisała swoją pierwszą książkę.

Po latach życia we Włoszech, Kanadzie i Stanach, Tillie z mężem oraz nowonarodzonym synem wróciła do rodzinnego miasta w Anglii.

Jest autorką niezależną, często jednak współpracuje z wydawcami, pisząc zarówno tradycyjne oraz mroczne romanse, jak i powieści dla

młodzieży i dorosłych.

Kiedy nie pisze, Tillie uwielbia spędzać czas z rodziną, siedzieć na kanapie i oglądać filmy. Pije zbyt duże ilości kawy i przekonuje siebie samą, że wcale nie potrzebuje ostatniego kawałka czekolady.